# NOTATKI
# ADAMA POLANOWSKIEGO

DRUK PIOTRA LASKAUERA
WARSZAWA, NOWY-SWIAT 41.

# ADAMA POLANOWSKIEGO

## Dworzanina Króla JMci Jana III

## NOTATKI

przez

**J. I. Kraszewskiego**

TOM I.

WARSZAWA
**NAKŁADEM M. ARCTA.**
1913

SIGILL. NOVITIATUS ORD. FR. MIN. REFORM.
ELLICOTT CITY, MD.

— *Vade retro Satanas!...*

Precz, kusicielu, ode mnie! nie dosyć ci, żem się długiem życiem umęczył, chcesz, abym się sam na tortury brał, spowiadając się z niego, gwoli waszej pociesze, a mojej konfuzyi!

Widziałeś mnie zawsze prawie wesołym, choć bieda to choc, jakbym albo najszczęśliwszym był, albo sobie nieszczęścia nie miał za nic; więc ci się zdaje, że mi żywot płynął, jak po maśle — i uciechą będzie czytać, gdy wam o nim nakłamię. Ale wiesz-że ty, czym ja, śmiejąc się, nie miał owego lisa spartańskiego ukrytego na piersi, który mi ją gryzł i szarpał, gdym się uśmiechał?? (Lis był czy wilk? proszę sprawdzić — o to idzie, że kąsał).

Myślisz, że życie własne, pełne omyłek, za które się pokutowało, drugi raz przeżyć na pacierze, łatwo jest albo miło? Naostatek sądzisz-że, iż ja ci, jak na spowiedzi, prawdę powiem. Choćbym chciał, nie potrafię.

Jest w ludzkiej naturze, iż mówiąc o sobie, człowiek zawsze kłamie, nawet gdy prawdę mówi, bo *gnoti scauton* — niemożliwa rzecz!

Więc pocóż się zdało biografię pisać? Z bajek ludzie tyle się uczą, co dzieci, o stworzeniach jakichś na świecie i cudach, których nigdy nie bywało.

Wiem, co mi na to odpowiesz, że nie mojej mizernej biografii żądasz, bo ta ci do niczego, ale chcesz, bym ci opowiedział, na com patrzał, *et quorum pars parva fui.*

To znowu sprawa inna. Odpowiedz mi naprzód na to pytanie, czy człowiek, który widział buty czyjeś, może wizerunek jego malować? Ja zaś w mojem życiu często na widzeniu historycznych butów musiałem poprzestać.

Na to już potrzeba daru osobliwego, odwagi wielkiej i bezczelności niepośledniej, aby ludzi odgadywać z małych próbek.

Z tem wszystkiem, mój Jordanie, wystawiłeś mnie na pokusę, bo mi się teraz coś o czasach moich pisać zachciewa i mówię sobie, prezumpcyą byłoby chcieć być lepszym od drugich...—i kiedy drudzy głupstwa po sobie *ad aeternam memoriam* zostawili, dlaczego ja mam być od nich lepszy?

Przyczem miłości własnej, zawsze trochę świerzbiącej, dogodziłoby się.

Zatem, nie będzie to ani biografia, ani historya, ani żadna taka rzecz, coby się na kopyt zwykły wbić dała, ale coś swobodnego, nie roszczącego sobie prawa ani do tytułu, ani do znaczenia. Luźne karty...

Nie żądaj ode mnie, abym pięknie pisał i przedmiot mój umiejętnie ci rozpłatał, jak kucharz rybę. Pióro puszczę tak, jak to się język puszczało przy kominie i ciepłem piwku, a co pamięć przyniesie, to się na kartach zapisze.

Niech ci Pan Bóg przebaczy, żeś mnie do tego namówił. *Vale et me ama.*

*ADAM POLANOWSKI.*

1698 r.

Z młodszych moich lat niema co pisać, bo ludzie są jako trawa, gdy się z ziemi wytyka, wszyscy jednakowi; trudno poznać, czy to z tego będzie łopuch, czy sałata. Pamiętam tylko, że mi dla zbytniej swawoli matka i ojciec prorokowali, iż się szubienicy dorobię, lecz, dzięki Bogu, nie sprawdziło się, choć prawda, żem dokazywał srodze i kipiało we mnie, a spokojnie na miejscu wysiedzieć nie było sposobu.

Rodzeństwa nas było troje, starszy brat, Michał, powolny i nad wiek stateczny, młodsza siostra, Julusia, a ja w pośrodku.

Matka nasza najukochańsza, świeć Panie jej duszy! niebardzo była dla mnie surowa, i mawiała (choć nie w mojej obecności), że młodość ma prawa swoje i najlepsze piwo, gdy zrazu szumi — więc przez palce patrzyła na wybryki i folgowała, gdy ojciec dyscypliną i rózgami groził. Swawola też owa ograniczała się na znęcaniu nad ptactwem, do którego z łuku się strzelało, na rybołówstwie, na dojeżdżaniu koni, od których nie jednegom guza dostał i sińców napytał.

Do abecadła, nad którem Michał rad siadywał, ani mnie było napędzić, ale przecież, gdy na srom przywiązano mnie sznurkiem do ławki i kazano się uczyć — nie przychodziło mi to z trudnością.

Bakałarza mieliśmy osobliwego, niejakiego Kleta Cygańskiego, który *nomen omen*, choć szlachcic, jako cygan się włóczył ode dworu do dworu, to bakałując, to

za oficyalistę służąc, to przy kościołach rezydując, a nigdzie nie zagrzewając miejsca. Człek był i na oko niepowszedni, drab jakby z samych kości zbudowany, skóra lśniąca na nim, jakby wyprawna, włosa tyle tylko, że korona dokoła łysiny, wargi odwalone ogromne, a oczy, gdyby ślipia kocie świecące; nosił się nędznie, nie zawsze czysto około niego bywało, ale głowę i gębę miał, że i statyście-by ich starczyło.

Powiadano o nim, iż tak ciekaw był, że żadnej książki z rąk nie puścił, aby jej nie przeczytał. Oracyę napisać komu, jakąkolwiek bądź, jak orzech zgryźć było dla niego, i płacono mu za to, a pojono go i karmiono... Grosza byłby mógł łatwo sobie przyzbierać, ale potajemnie pono pił, a pod humor pieniądze rzucał ubogim i lada komu, jak plewę.

Ja u Cygańskiego miałem łaskę, choć Michał był pilniejszy i stateczniejszy. Czasem mnie za uszy wytargał, czuprynę mi wymiętosił, ale nigdy się nie pogniewał bardzo, a często i zataił przed rodzicami, gdym co zrobił.

Michałowi starszemu przepowiadał, co się sprawdziło, że do zakonu wstąpi, gdyż wistocie potem o. Jan, brat matki naszej, do nowicyatu go w Lublinie wziął, i już z niego nie wyszedł, choć ojcu się to bardzo nie podobało.

Z rąk Cygańskiego oddano mnie do infirmy w Łucku, a później razem z Michałem do Lublina, z powodu, że tam ojciec Jan, wuj nasz, rezydował i w zakonie miał znaczenie, a nami się opiekował.

Tu Michał mój poczciwy, natura spokojna i łagodna, jak przylgnął do ojca Jana, jak sobie upodobał życie klasztorne, tak już pozostał, Bogu służąc; mnie zaś mamonie na łup dano. Uczyłem się niezgorzej, chociaż się o pierwszą ławę i laury nie ubiegałem, a swawola szła swoim porządkiem i w tej celującym byłem zawsze. Rózeg nie brałem, bobym był ich nie zniósł, ale w karceresie na rekolekcyach mało którego tygodnia nie siadywałem. Miano wzgląd na krew oną burzliwą, której mi pohamować było trudno.

Gdy wreszcie Michał obrał sobie stan duchowny

i odwieść go od tego postanowienia nie było podobna, na mnie przypadło w przyszłości sposobić się do gospodarki, a razem i do stanu rycerskiego, bo co szlachcic, musiał być żołnierzem.

Jam sobie tem wcale nie przykrzył. Śmiało mi się życie obozowe, o którem się nasłuchałem siła — wyprawy wojenne, potem sejmikowanie a gospodarzenie około roli.

Wszystko to we krwi już było. Od młodu się człowiek nasłuchał, napatrzył, obyczaje te poznał i w nich kochał.

Nim do szkół mnie oddano, tom ci się już w szable umiał ściąć niezgorzej, na koniu jeździł jako centaur, a z łuku i strzelby celnie strzelałem i nikomum się wyprzedzić nie dał. — Łuk naówczas do parady więcej służył, niż do boju, ale się nim zabawiano chętnie, równie jak oszczepem. Pozostałości to były prastarych czasów, które konserwowano.

Pamiętam, że na tak zwane łuby, w których strzały pierzaste noszono, wysadzano się chętnie, równie jak na ozdobne tarcze, choć oboje tylko na okaz służyły. Niejeden taki łub, w którym ani śladu łubu nie było, perłami szyty, złotem dzierzgany, kamieniami sadzony, kilkaset złotych wartał; tak samo tarcze, które albo giermek niósł, albo na sobie wieszano, lekkie, łacne do przebicia, dla splendoru tylko chowano, a były malowane, złocone i roboty osobliwej.

Szlachcic około domu w kitlu płóciennym, w kozłowych butach i ladajako chodził, ale każdy najuboższy, po dziadach i pradziadach miał się w co odziać paradnie, gdy wystąpić było potrzeba. Przechowywały się pasy, lamy, futra, delje z pokolenia na pokolenie. Dopiero za moich czasów, gdy różne mody cudzoziemskie nastały, poczęto się pozbywać drogich pamiątek i przebierać szpetnie. Przyczem nieraz od tych, co obyczajowi staremu wierni pozostali, dostało się dobrze tym zniemczonym i sfrancuziałym po tebinkach.

Pod koniec mojej nauki szkolnej wąs mi się już wysypywał, a okrutnąm niecierpliwość czuł, aby się z pod fe-

ruły wydobyć i w świat pójść. Ale człowiek sam sobą nie dysponował, ojca, matki słuchać było potrzeba. Wyrwał się który niecierpliwszy bez zezwolenia ich z domu, nie było już po co powracać. Rygor był wielki, ani rzadkością to, że młodzieniec pod wąsem, na kobiercu ręką ojcowską oberwał baty, za które karzącą dłoń pocałować musiał.

Pod koniec mojej nauki szkolnej rodzicowi naszemu najlepszemu nagle się zmarło, po sejmiku w Łucku, czasu którego się namęczył i zirytował, tak, że do domu powróciwszy, obległ zaraz i już nie wstał.

Dano nam znać do Lublina, gdy już nadziei utrzymania przy życiu nie było i śpieszyliśmy z Michałem dniem i nocą po błogosławieństwo ojcowskie, aleśmy już ojca na katafalku zastali.

Pogrzeb z sumptem niemałym odprawiliśmy w Łucku u Dominikanów, gdzie w refektarzu chleb żałobny potem zastawiono, przy którym ja gospodarzyłem, bo Michał, choć starszy, lecz już kleryk, nie chciał się tego podjąć.

Kilka tylko dni w domu przy matce zabawiwszy, musieliśmy do Lublina powracać, Michał do nowicyatu, a ja do szkoły, której matka porzucić nie pozwalała.

Z męstwem wielkiem, choć z sercem bolejącem, wzięła się sama do interesów i do gospodarstwa, nie zapominając o wychowaniu Julusi, którem się sama zajmowała, a na wszystko jej czasu starczyło.

Ale też niewiast takich, jak ona, starego autoramentu, już wówczas niewiele było u nas. W życiu jej marnej chwili nie było, wstawała z kurami—z nią się też wszystko we dworze do pracy budziło. Obchodziła wszystkie kąty — nie wyręczając się nikim. Rzadko z rana miała czas przysiąść, bo zawsze było coś do czynienia, co ją na nogach trzymało.

Przy pracy i przy modlitwie wspólnej ona przewodniczyła. Nie rzadko jeszcze gość nadjechał, proboszcz, kwestarz — trzeba go było przyjmować, regestra przepisywać, motki i talki policzyć, wymiaru zboża jeśli nie

dopilnować, to na niego najrzeć — i tak cały Boży dzień schodził.

Przyczem i to dodać potrzeba, iż prawne interesy, na których nie zbywało, bo mało która majętność albo spornej granicy, lub jakiego zastarzałego procesu nie miała, pani matka nadzorowała sama, i prawo jej nie było obce... tak, że lada jurysta nie podszedłby był i nie oszukał.

A wszystko to szło, pamiętam, tak spokojnie, cicho, jak w zegarku, że ani słychać było ani widać wysiłku. Przybył obcy człek, witała go obliczem wypogodzonem, dla wszystkich uprzejma, łagodna, chociaż w potrzebie surowa, i gdy co postanowiła, nieprzełamana.

Na wakacye przybyłem już sam, gdyż Michał, jak każdy zakonnik, rodziny się wyrzekać musiał, tak jak wyrzekał świata. Ze łzami na oczach powitała mnie, gdym jej w ganku do kolan przypadł, sam też płacząc, bo przypominał się ojciec, którego nam brakło.

W pierwszych dniach mowy nie było o tem, co pani matka względem mnie postanowi. Korciło mnie wielce dowiedzieć się o tem, alem nie śmiał pytać.

Nie nagliłem też, bo mi doma, po szkole było jak w raju. Wszystkom tu miał, za czem w mieście tęskniłem: konie, psy, las, rzekę, szerokie pola, a sąsiadów tak miłych, którym się przypominało. Byli między nimi i rówieśnicy, i szkolni z Łucka z jednej ławy towarzysze.

Pani matka swobody mej wiele nie hamowała, zapowiedziawszy to, żem mógł sobie spocząć i zabawić się, nimbym się zaprzągł do nowego życia, ale jakie ono miało być, nie mówiła.

Po nieboszczyku ojcu wierzchowych koni, psów łowczych różnych zostało dosyć, ludzi też w pomoc do tej zabawy nie brakło. Zapraszali sąsiedzi, między innymi, pomnę, Steccy i Tomaszewscy, z którymi i ojciec żył w przyjaźni.

Czasy były niewesołe, bo po owem nieszczęsnem panowaniu Jana Kazimierza nastąpiło było jeszcze smutniejsze króla Michała, które zwichrzyły całą Rzeczpospolitą, podzieliwszy ją na obozy.

Stali jedni, szczupła gromada przy królu, przez szlachtę sobie obranym, drudzy przeciwko niemu, a turecka potencya z Kozakami na granicach plądrowała i pustoszyła, zanosiło się po okropnych klęskach i Buczackich traktatach na gorsze jeszcze.

Lecz, prawdę powiedziawszy, tam, gdzie wojna ogniem i mieczem nie dochodziła, ledwie ją czuć było i wierzyć w nią chciano. Paliło się nieraz obok, łupiło kozactwo i plądrowali Tatarzy, a byle nie dotarli gdzie, szlachcic się nie poruszał i na wojska zaciągane zdawano obronę, pospolitemu ruszeniu opierając się do ostatka.

Wichrzyciel wielki, ówczesny prymas jednooki, Prażmowski, i jego zausznicy wbrew królowi wojnę negowali, nieprzyjaciela ignorowali, ani ludzi, ani pieniędzy niemiłemu panu dawać nie chcieli.

Jeszcze na chwiejącym się tronie siedział ów elekt szlachecki, gdy już jedni księcia Lotaryńskiego, drudzy jakieś francuskie książątko, inni Neuburskiego na gwałt forytowali.

Szlachta, choć niby mocy swej dała dowód na elekcyi wbrew panom, i na przekorę im wyniósłszy ubogiego Michała, za którego się pod Gołębiem gorąco ujęła, złamaną została wprędce, a senatorowie i panowie tak znowu rej wiedli, jak przedtem.

Mnie naówczas mało te rzeczy obchodziły, wszelako mimowoli się o uszy obijało, co się gdzie działo. Widocznem było, iż, choć rakuscy przyjaciele i cesarscy mieli mir i pewną siłę, francuska partya górę brała.

Od abdykacyi Jana Kazimierza, którego francuski król namówił do złożenia korony, albo raczej od śmierci Władysława IV-go — sprawą królowej Maryi Ludwiki, pani wielkiego rozumu i energii, zgoła nie kobiecej, Francuzi i francuskie stronnictwo coraz się potężniejszem stawało. Chciał król francuski w Polsce przeciwko cesarzowi mieć ścianę mocną, a nad utwierdzeniem jej pracowała skutecznie Marya Ludwika.

Nie lubiano Rakuszan i obawiano się ich, posądzając, że na Polskę i jej wolność czyhali, ale też Francuzi miłości sobie wielkiej nie pozyskali, krom u tych, co się na

ich obyczaj ponawracali, język ich sobie przyswoili, suknie przyodzieli.

Pomnę to sam, że na prowincyach u nas, gdy się który z panów z peruką na głowie, we wstążki i koronki przystrojony pokazał, — zbiegano się nań patrzeć, jak na raroga, a śmiechu było pełno. Z za płota niejeden do takiego Francuza strzelił, taką obrzydliwość miano ku nim.

Mogło się było zdawać, że po śmierci królowej, która poprzedziła abdykacyę, ten wpływ jej i Francuzów ustanie, lecz okazało się inaczej.

Przywiozła z sobą była z Francyi Marya Ludwika siła młodych i pięknych Francuzek, dobrego rodu, które za Paców, za Zamoyskich powychodziły.

Pomiędzy temi celowała najpiękniejsza, królowej najulubieńsza, którą niemal dzieckiem jeszcze przywiozła Marya Ludwika, tak, że złe języki bąkały nawet, jakoby ukochana ta wychowanka bliższą jej była, niż się wydawała. Zwała się Marya de la Grange d'Arquien, pono dobrego, ale zubożałego rodu, i wistocie wychowanką była tylko bezdzietnej naówczas pani.

Oprócz niej, panna de Mailly, później żona kanclerza Paca, i innych wiele ze dworu królowej za znacznych panów powychodziły.

Wszystkie one przyjęły po nieboszczce sprawę francuską i mężów na nią ponawracały, tem łacniej, że z Francyi płynęły pieniądze, a większe jeszcze od nich obietnice.

Mówiłem już o pannie Maryi de la Grange. Dzieckiem była ona nadzwyczajnej piękności a dorastając jeszcze większym zajaśniała blaskiem. Ludzie dla niej głowy tracili, szczególniej młody Sobieski, dzielny wojak, ale jako człowiek — krewki i gorącego temperamentu, w niewolę się jej zapisał.

Ale wówczas jeszcze płotka to była dla niej, co szczupaka o złotej łusce mieć chciała. Czuwała też nad tem królowa, aby tę perłę dobrze sprzedać.

Więc, choć się pannie piękny i miły, a serdeczny Sobieski podobał, ale miłości czekać kazano, gdy tymcza-

sem chciwość i ambicya wyswatały ją za starego Zamoyskiego.

Jakie z nim było pożycie, łatwo zgadnąć. Na tej nad podziw pięknej kobiecie sprawdziło się to, iż nie wszystko złoto, co się świeci, a dziwnie czasem piękność niewieścia idzie w parze z okrucieństwem i nielitościwą rachubą.

Pieszczona, ubóstwiana od dziecka, samolubna, ambitna, wychowana w szkole Maryi Ludwiki zestarzałej i ostygłej, owa pani cudnej piękności, wyrosła na niewiastę, jakiej u nas w Polsce, dzięki Bogu, drugiejby nie znalazł.

Po śmierci starego Zamoyskiego oddała wprawdzie rękę Sobieskiemu, zdawna kochankowi i niewolnikowi swemu, lecz naówczas już kiedy jego męstwo, rozum, dzielność wielką mu przyszłość obiecywały, której też fundamenta położyło marszałkostwo naprzód koronne, potem hetmańska buława.

Więcej już, zdaje się, wdowa po Zamoyskim, ulubienica królowej, ani pragnąć, ani się spodziewać nie mogła.

Rozszerzyłem się tu o niej nie bez przyczyny, bo ona i na losy kraju i na moją dolę wpływ miała, choć za panowania Michała wszystkiego, co potem nastąpiło, przewidywać nie było można, ale mi do niej jeszcze wielekroć powrócić przyjdzie.

Rodzina nasza Polanowskich z dawien dawna szlachecka i rycerska, po całej niemal Koronie, na Rusi i na Litwie nawet była porozrzucana. Naszej gałęzi na Wołyniu ojciec jeden był ostatnią odrośla, i, krom rodziny matki, nie mieliśmy nikogo bliższego, któryby głowę domu zastąpił i matce radą w pomoc przyszedł.

Za żywota nieboszczyka ojca z tymi innymi Polanowskimi rozproszonymi utrzymywaliśmy stosunki, a szczególniej z Aleksandrem, chorążym Sanockim, pułkownikiem w wojsku kwarcianem, słynącym z męstwa i ulubieńca rycerstwa całego. Matka więc i teraz, gdy o mnie stanowić przychodziło i szukać, gdziebym się ja, dla dal-

szego wyrobienia między ludźmi pomieścił — pomyślała o tem, aby się zwrócić do chorążego.

Tylko, że nie wiedzieli, gdzie go było szukać, bo w domu na wsi rzadko siadywał, przy wojsku statecznie będąc, a że się teraz na wojnę zbierało, od regimentu swego ani się mógł ruszyć.

Naprzód tedy list napisała do niego, a z nim, któż miał jechać, jeżeli nie Leśko! Widzi mi się, że takiego drugiego Leśka dziśby ze świecą szukając, nie znalazł, i dlatego o nim coś powiedzieć muszę.

Kto był ów Leśko? — Prosty chłop, siedzący w chacie na wsi. Młodość, prawda, pędził na dworskiej służbie, ale potem, ożeniwszy się ze służącą matki naszej, poszedł na grunt i gospodarzył.

Bez Leśka ani ojciec, ani matka stąpić nie mogli, i muszę mu to przyznać, że, gdyby go do Chin posłano, zdaje się i do nichby drogę znalazł, a sprawił się.

Małego wzrostu, dużej twarzy, z długim jasnym włosem na głowie, oczów niebieskich, spokojny, cichy, milczący, jakby trzech zliczyć nie umiał—Leśko miał w postępowaniu rozum i zręczność niesłychaną.

Chodził zawsze powoli, a robił wszystko prędko — nie obiecywał nigdy nic, a z każdą rzeczą radę sobie dał, nikt go nie oszukał.

Leśkowi ojciec często tysiącami powierzał pieniędzy, nigdy tego zaufania nie pożałowawszy. Matka też Leśka szacowała, jako klejnot, i rzadki był dzień, aby do dworu go nie potrzebowano.

I teraz też, ponieważ o pułkowniku chorążym Polanowskim nic nie wiedziano, kędy się obracał, Leśko tylko jeden mógł go wyszukać.

Przywołano go, gdy już list był gotów; kieliszek wódki wypił, głowę ciągle ręką przyczesując, wziął pieniędzy na drogę, pokłonił się i tegoż dnia wyjechał.

Nie było go blizko trzy tygodnie z powrotem, bo, jak się okazało, stał pan chorąży z pułkiem swym około Lwowa, ale Leśko go znalazł, pismo wręczył i respons przywiózł — konia nawet nie schudziwszy. Po drodze zaś na

jarmarkach nakupił chust i różnego towaru, który potem z zarobkiem sprzedał.

Pułkownik matce odpowiedział, iż chętnieby się losem moim zajął, ale jako sam żołnierz, do wojska mnie wpisać życzył, a o dworskiej służbie pod te czasy wyrażał się, iż o nią trudno było.

Mnie rycerska sprawa dosyć się uśmiechała, nie byłem od tego, ale matka mając już teraz mnie jednego, bo pierworodnego Bogu ofiarowała—wolałaby była spokojniejsze pomieszczenie, gdzieby codzień życia stawić nie było potrzeba. Zawahała się więc mocno.

Wiedzieliśmy o tem, iż u hetmana Sobieskiego Polanowski był w zachowaniu wielkiem, z tego urosło, iż matka powtóre list do pułkownika wysłała, wyłuszczając mu, dlaczego życzyła sobie mnie dać na dwór czyjś, insynując, czyby hetman dworzanina nie potrzebował.

Niewątpliwem było, iż ich chować musiał wielu, bośmy o tem słyszeli, że i Polaków, i Francuzów, i Włocha miał do listów, a kancelaryę liczną.

Na to pismo powtórne, które już poszło przez ręce duchownych oo. Dominikanów z Łucka do Lwowa, dosyć długo czekaliśmy odpowiedzi.

Nadeszła wreszcie tąż samą drogą;—pisał Polanowski, iż z hetmanem o mnie mówił, bliższym mnie uczyniwszy sobie pokrewieństwem, niż wistocie byłem, i że choć Sobieski utyskiwał, że miał próżniaków przy sobie nad miarę, przecież na opinie i prośby, przyrzekł mnie przywiązać do swej osoby.

Radość stąd u nas była wielka i pani matka natychmiast zajęła się wyprawą. Chociaż mi wielce o to chodziło, abym się między obcymi wydał przystojnie i śmiechu z siebie nie uczynił—znając matkę naszą, tak byłem pewnym, iż wszystko rozporządzi najlepiej, żem się ani chciał mieszać do tego.

Nigdybym też sam tak się obficie nie zaopatrzył we wszystko, jak ona mnie w tę podróż. Nie było zapomnianego nic, ani najmniejszej rzeczy—nie wiedziałem, jak dziękować.

Konie najlepsze, wóz węgierski, siodła dwa, kulbakę,

wyrostka też we wszystko zaopatrzonego z łaski jej dostałem, żem aż nadto pańsko wyglądał. Sukni poddostatkiem, kożuchów dwa pokrytych, wojłoków, kobierców, nawet cokolwiek sreberka i namiocik obozowy na wozie się mieściły. Nie chciała też, abym grosza rychło z rąk cudzych patrzał, więc i kilkaset złotych w talarach bitych do puzderka włożyła.

Pierwszy też raz sygnet bowy herpo ojcu na palec włożyłem, przy którym nauka była, jak ten klejnot szanować należało. Uzbrojenia, choć wojskowo służyć nie miałem, musiałem wziąć dosyć dla parady, a szabel dla bezpieczeństwa.

Bogu tylko wiadomo, jak mi się tęskno zrobiło, gdy z domu wyruszać przyszło, choć wprzódy tak się w świat chciało! Obchodziłem, żegnając wszystkie kąty, z każdym parobczakiem się żegnałem, a chwilami serce mi się ściskało, żem im losu zazdrościł.

Matka popłakiwała, Julusia mi się wieszała u szyi... —ów świat, co się tak uśmiechał, teraz gdyby kirem powleczony się zdawał. Zwlekałem z dnia na dzień, aż naostatek—ruszyć musiałem w imię Boże.

— Jakem się rozstawał z panią matką i domem— sywać nie będę, ani podróży, w ciągu której przez nie viadczenie nastrzelało się bąków siła, za które wor- płacić przyszło.

Hetman czasowo przebywał we Lwowie, wybierając się do obozu pod Gliniany; i tu go zastałem, ale tak był niesłychanie zajęty wojskowemi sprawami, że ani mu listu oddać, ani się przedstawić pierwszego dnia nie było sposobu.

Około domu, w którym stał, ludzi różnych czekały gromady, ciągle dobijając się posłuchania, wojskowi przyjeżdżali z obozu, przyprowadzano języka—przychodzili mieszczanie, przybiegali posłańcy z majętności jego z pieniędzmi, Żydów też siła wartowała... nie licząc senatorów i panów nawiedzających.

Z tego mi zaraz poznać było łatwo, co hetman znaczył, jakie miał zachowanie, bo, choć króla się też spodzie-

wano, ale na Sobieskiego wszystkich oczy były zwrócone.

Wystawszy nadaremnie u wrót godzin parę, z desperacyą niemal wróciłem do gospody—ale tu mi się szczęściem nastręczył Wardeński, rządca dóbr hetmana, któremu gdym się wyspowiadał z biedą moją, ulitowawszy się, obiecał mi nazajutrz drogę utorować.

Był naówczas Sobieski, gdym go po raz pierwszy zobaczył, urodziwym bardzo mężczyzną, w sile wieku, chociaż już widać było nieco początki otyłości późniejszej. Twarz piękna, oko pełne ognia, czoło rozumne, na ustach często uśmiech, postawa pańska i rycerska. Nosił się po polsku i spojrzawszy nań, wnet czuć było, że to kość z kości naszych, a ród wielki i stary. Groźnego w sobie nie miał nic, a przecież posłuszeństwo wrażał jednem skinieniem. Czynnym był nieustannie i niezmordowanie, a czasu marnować ladajako nie lubił.

Gdy mnie przywołano, już był uwiadomiony przez Wardeńskiego, z czem przybyłem i pokłon mój do kolan, jako ojcu, przyjął, uśmiechając się.

— Chłop zdrów, silny jak dębczak—odezwał się—czemuż to do wojska się nie zapisał? U mnie teraz wszelki dworzanin będzie musiał zbroję wdziać.

Wtem się zadumał, przystąpił do stołu i zwracając się do mnie, począł:

— Już rozkazy wydam, aby tam waści pomieszczono; nie wiem jeszcze, ale może być, że wypadnie na początek z listami i parą puzderek do Warszawy, naprzeciw żonie mojej, z zagranicy powracającej, jechać i przy niej do czasu pozostać, bo ja tu dosyć dworu mam, a tam pani hetmanowej go braknie. Gotuj-że się ewentualnie do drogi.

Pokłoniłem się, chcąc odejść, aż się zawrócił.

— A jak tam z końmi? Masz szkapy dobre? — zapytał.

— Niczego—rzekłem, chwalić się nie śmiejąc.

— Każę Stebelskiemu zobaczyć—dodał.

Na tem się posłuchanie skończyło, bo już Aron, Żyd, dobijał się pilno do drugich drzwi i dwa razy go oznajmywano.

Dnia tego tyle tylko, żem się z towarzyszami zapo-

znał i przeniósł do ciasnej ciupki, którą we dwu zajmowaliśmy z drugim, w kancelaryi polskiej pracującym, Morawcem... a wieczorem, wedle zwyczaju, musiałem znajomość moją i inkrutowiny te paru garncami wina oblać.

Z tego, com słyszał i widział, strachu wielkiego i grozy nie nabrałem. Pan był dobry, ale, gdy się dowiedziano że mam być wysłanym do pani hetmanowej—nikt mi nie winszował.

Nie powiedział żaden, uchowaj Boże, złego słowa, lecz z milczenia i min wiele się domyślać było można.

Tylko, żem ja nigdy tchórzem podszyty nie był. Wolałbym był może z panem hetmanem do Glinian, a potem dalej, jak zapowiedziano pod Kamieniec, czy ku Chocimowi —ale i Warszawę poznać nie przykrzyłem sobie, na wszystko gotów będąc.

Przeciągnął się ten wybór do obozu, bo jakem już mówił, hetman niezmiernie był zajęty i na głowie miał nie jedno wojsko—choć ono teraz było najważniejszą rzeczą, ale i własne interesy i cudzych siła.

Drugiego dnia, gdy się Sobieski z kwatery swej wybrał arcybiskupa odwiedzić, mnie Morawiec zaprowadził do jego sypialni i gabinetu—dla ciekawości. Z obejrzenia ich najłatwiej mi przekonać się było można, jak ten człowiek pracować musiał, bo—czegóż tu nie było?

Na wielkim stole map i planów wojennych mnóstwo, sztychowanych i od ręki świeżo przez inżynierów rysowanych, książek też francuskich poznaczonych kupy; na innych cebule kwiatów, nasiona, owoce różne, słoje ze słodyczami. Obok dziecinne stoliki (dla trzyletniego synaczka Jakóba, którego Fanfanikiem zwano). Listów wszędzie stosy, w których mi Morawiec ukazał cyfry, com je pierwszy raz w życiu oglądał, regestra gospodarskie, komputy wojskowe.

Przy łóżku aż trzy wizerunki pani hetmanowej po raz pierwszy oglądałem, jeden większy, bardzo piękny, snać dawniej ją, gdy młodziuteńką była wystawujący, dwa pomniejsze w różnych strojach, bo jeden nakształt pasterki.

Morawiec mi ukazał ten, który najpodobniejszym być miał—ale na tym, mimo piękności, oblicze miała tak dumne i pogardliwe, iż mi się wcale nie podobała.

Wpatrywałem się w nią długo,—ale oprócz tej pychy i nadąsania jakiegoś, nic nie znalazłem, czemby człowieka oczarować miała—choć Morawiec mi szeptał, że ona z panem hetmanem czyniła, co jeno zamierzyła i gdyby mu była kazała kraj porzucić, wyprzedać się, opuścić wszystko, przesiedlić za góry—i na to był nawet gotów.

W pokojach, przez hetmana zajmowanych, wszędzie tu jego pracowitość, o której dworacy cuda opowiadali, widać było. Samych książek porozpoczynanych do czytania,—po wszystkich kątach walała się moc wielka.

Morawiec mówił, że często o czwartej dopiero nad ranem usypiał, a w parę godzin potem był już na nogach. Koni po kilka na dzień zamęczał, bo nigdy jeden mu nie starczył. Przytem mało kiedy zupełnie zdrów był i leki jakieś bierał, krew często puszczał, wody mu różne z za świata sprowadzano do picia!! Z twarzy zaś tego bynajmniej wyczytać nie było można.

W tych pierwszych dniach małom ja tu co mógł wyrozumieć, później dopiero wszystko mi się jaśniej przedstawiło.

Człowiek mi się wydawał najszczęśliwszym w świecie, na równi z królem lub więcej nad niego mogący, gdyż wojsko całe w ręku miał, a w senacie co najprzedniejsi z nim trzymali, w dostatki zdawał się opływać, żona, jak anioł piękna,—czegóż mógł pragnąć?!

A w istocie samej—troski go jadły, pokoju nie miał. Na oko się prezentowało wszystko, jak nie można piękniej i lepiej, a pod tą pozłotą...

Ale ja wówczas tego jeszcze wcale nie rozumiałem, tylko wielką potencyę mego pana widziałem, a winszowałem sobie, że mnie pan chorąży Sanocki tu umieścił.

Mając zapowiedziany wyjazd do Warszawy naprzeciw pani hetmanowej, musiałem czekać na listy, które nierychło przygotowano. Ale zdawało się nieodmiennem, że z niemi mnie nie kogo innego odprawi, boć wolał pozbyć

się mało znajomego, niż jednego z tych, do których był nawykłym.

W ciągu dni tych miałem czas lepiej się tu rozpoznać i rozsłuchać, choć nie rozumiałem ani części tego, co się koło mnie obracało.

Panowie senatorowie, panie też nieustannie do hetmana przyjeżdżały, z któremi żywe rozmowy po francuzku się wiodły, które często i listy już gotowe zmieniać zmuszały, bo tu się jakichś intryg różnych plątało i krzyżowało bez miary. A co pism przychodziło dnia każdego, kartek, notatek, tego nie zliczyć! Zawóz był nieustanny, jak we młynie.

Starsi dworzanie, jak Morawiec, który mi się okazywał bardzo przyjaznym, rozumieli tu ludzi lepiej, wiedzieli, kto miły, a kto podejrzany.

Dla mnie ten zgiełk cały tyle tylko, że hetmana potęgę i wpływ dobitnie oznaczał. Musiałem się uczyć, co tu które nazwisko wyrażało, przyjaciela, czy wroga; bo jedni i drudzy kłaniać się przychodzili.

Nie pełniłem tymczasowo żadnej służby stałej, ale porywano i posyłano podczas i mnie do innych posług, gdy pilne były.

Jak mi się to po cichem życiu domowem wydawało, trudno powiedzieć—*mutatis mutandis*, jak wyżej powiedziałem, zdało się, jakbym do młyna zajechał. Dzień i noc prawie spoczynku nie mieliśmy.

Gdy od wojska lub od granicy przychodziły kresy, przyprowadzano języka, budzono nietylko nas, ale samego hetmana o każdej godzinie.

O tak czynnym żywocie wyobrażenia nie miałem, potrzeba było do niego nawyknąć.

Wkońcu dzień wyjazdu do obozu oznaczony został, a ja też zaraz miałem się puścić w drogę, do której byłem przygotowany. Zawołano mnie do hetmana rano, który z małej chwili wolnej korzystając, jeszcze mi ustną chciał dać instrukcyę, to dodając, że od pani hetmanowej zależeć będzie, albo mnie przy sobie zatrzymać lub też z listami i posyłką do niego nazad odprawić.

Wardeński mi pieniędzy na drogę miał dać, jakoż

wistocie znalazłem je bardzo ściśle obliczone, i odrazu mogłem zmiarkować, że ze swoich dokładać przyjdzie. Dziękowałem więc przezorności matki dobrodziejki, iż mnie uprowidowała. Z góry zaś, wyliczając mi strawne i na konie, pan Wardeński zapowiedział, żebym się rządził, jak chcę, ale żadnych potem pretensyi nie wnosił o dodatki, suplimenty i indemnizacye, bo tych nie dostanę.

— My tu—rzekł—takie mamy ciężary niesłychane, a i pani hetmanowa potrzebuje tak dużo, iż ledwie nastarczyć można...

Sam też w kilku dniach tych przekonać się mogłem, iż hetman, oprócz osobistych wydatków, miał do dźwigania i publiczne, bo ze swej szkatuły wojsku często płacił, gdy szemrało, prochy swoje własne i działa dawał...

Słowem, nauczyłem się tu wiele w krótkim czasie, choć nie wszystko rozumiejąc.

Ze Lwowa razem jechaliśmy, hetman do obozu pod Gliniany, a ja do Warszawy naprzeciw jejmości.

Gdym się po tym szumie i zgiełku znalazł sam jeden na gościńcu, z wyrostkiem i masztalerzem, sam sobie znowu pan, aż mi się lżej zrobiło.

W drodze pośpieszałem jakem mógł, ale koni zaoszczędzając, bo koń dla szlachcica to więcej, niż drugie nogi, bez niego, ani kroku.

Przypadku, dzięki Bogu, nie było żadnego, tyle tylko, co z podkowami się kłopotać musiałem, choć zapaśne miałem, bo nie wszędzie się kowal znalazł, a nieraz dla niego z gościńca w bok trzeba było skręcić.

Mało to mnie opóźniło i w Warszawie stanąłem szczęśliwie przed panią hetmanową, której się dopiero spodziewano. Był więc czas odetchnąć.

Po Lwowie Warszawa wydała mi się bardzo piękna, a ruch tu jeszcze większy, chociaż król się też pod Gliniany wybierał, a koło zamku, frekwencya była daleko mniej żywa, niż przy kwaterze p. hetmana.

We dworze, który zajmować miała pani nasza, już część fraucymeru i nas dworzan oczekiwała na nią, z ochmistrzem i rodzajem marszałka tymczasowego, który był człek niemiły i opryskliwy i wielce godność swą nową nosząc-

cy dumnie. Szczęściem, był rodem z Wołynia, i familię moją znał, albo o niej słyszał, więc dla mnie dosyć się uprzejmym obiecywał.

Na tym punkcie mojej spowiedzi stanąwszy, pióro mi niemal odmawia posługi, tak człowiekowi trudno się przyznać do słabości swych...

Słabością ja to zowię przez konsyderacyę dla siebie, choć surowiej biorąc, inaczejby denominować należało.

Pierwszego dnia przybywszy, oprócz IMPana Łowczyca, który marszałkował i dwu młodych dworzan, przyszłych towarzyszów moich, nie widziałem nikogo. Dużo było do czynienia z rozgoszczeniem się, postawieniem koni, poznoszeniem rzeczy kosztowniejszych i t. p. Jeść mi dano do izby i cale nieosobliwie, alem o to wiele nie dbał.

Nazajutrz, ponieważ wcale nic do czynienia nie było, a o hetmanowej wiadomości nie mieliśmy, wolnym byłem i do kościoła ks. Bernardynów chciałem na mszę świętą, gdy w samych wrotach spotkałem ochmistrzynię, starą Francuzkę, również z książką od nabożeństwa idącą, a za nią tuż młodziusieńkie dziewczątko.

Jakże tu opisać i opowiedzieć wrażenie, które na mnie uczyniło to zaledwie z dzieciństwa wychodzące stworzenie. Wprost, przyznaję się—osłupiałem. Takiej piękności, jakiejś delikatnej, niby z powietrza i promieni słonecznych zlepionej, nie miałem pojęcia, aby ona w świecie naszym mogła się znajdować.

Widywałem ci ja niewiast wiele i pięknych dziewcząt niemało, ale czegoś podobnego, do czegoby ją przyrównać było można, nigdy.

Pokłoniłem się im i zdjąwszy czapkę, jakem stanął olśniony, zapomniawszy się, tak długo przyjść do siebie nie mogłem, a dziewczę, to dojrzawszy, śmiech chusteczką na ustach stłumić musiało. Śmiesznym też w tem zachwyceniu wydawać się im musiałem, sam to wiem, alem mocy nad sobą nie miał, tak mnie ogarnęło zdumienie.

Oczu czarnych, biała jak mleko, śnieżna jak pączek różany, niezbyt słusznego wzrostu, zręczna jak sarenka, z wyrazem na twarzyczce figlarnym i wesołym—wydała mi się panna Felicya Viviers—aniołem z niebios zstępu-

jącym. Paść tylko było przed nią na kolana i chyba się do niej modlić. Cała moja istota zadrgała i poruszyła się na widok tego cudownego dziewczęcia.

Wrota się już za niemi zamknęły i obie mi znikły z oczów, a jam stał, widząc ją jeszcze ciągle przed sobą. Dopiero po dobrej chwili oprzytomniałem i ruszyłem też precz.

Widziałem je idące przed sobą; w pewnej odległości, a panna Felicya parę razy się szybko obejrzała...

Doganiać ich nie myślałem, anim się ważył, w głowie tylko rozbierając, co ta dzieweczka tu robiła i znaczyła, i czy ona też do fraucymeru hetmanowej należała...

Wszystko się już na upojenie mnie odrazu składało, bo i ochmistrzyni z towarzyszką poszły też do Bernardynów, a ja podążyłem za niemi.

Żem się tego dnia roztargniony niewiele modlił, oczywista rzecz, ani dziw. Razy dwa i trzy poczynałem jedną modlitwę, nie mogąc jej dokończyć. Panna się już krom jednego razu, nie obejrzała ku mnie.

Uklękły obie przed wielkim ołtarzem, gdzie się właśnie msza rozpoczynała i dotrwały do jej końca, poczem obie jeszcze przeszły na prawo do N. Panny ołtarza i tam pomodliwszy się, z kościoła się wymknęły.

Zrazu mi się chciało gonić je, alem się rozmyślił, odwagi nie miałem i zostałem na drugą mszę cichą, słuchając jej pobożnie do końca. Tegom jednak na sobie wymódz nie umiał, żeby pozbyć się obrazu dziewczęcia z przed oczów moich...

Samem się tego wstydził przed sobą, lecz też samego siebie poznać nie mogłem, tak mnie widok tej dzieweczki do gruntu przemienił.

Strach aż ogarniał...

Pomodliwszy się w kościele, wyszedłem w ulicę, a że mimo późnej jesieni czas był dosyć pogodny i ciepły, poszedłem ku zamkowi, zabawiając się widokiem miasta i ludzi. Czym jednak wiele widział i nauczył się dnia tego, wątpię.

Nie wiedziałem jeszcze wcale, kto była owa dzieweczka, a paliła mnie ciekawość okrutna. Ze stroju wnosząc,

domyślać się było można, iż chyba do dworu hetmanowej należeć musiała, co mnie wielce radowało.

Gdym tak przechadzał się około Krakowskiej Bramy, natknął mi się wczoraj już poznany towarzysz ze dworu naszego, Szaniawski, czemum rad był bardzo i przystąpiwszy do niego, zaprosiłem na kubek wina, do francuskiej winiarni, tuż pod zamkiem. Szliśmy tedy razem, a jam tylko na myśli miał, jak się od niego o dzieweczce dowiedzieć, nie zdradzając z tem, żem się jej dał tak olśnić.

Szaniawski był mojego wieku, wesoły i dziecinny prostaczek, jak się później okazało, poczciwy i serdeczny chłopak, któregom przyjaźni doświadczył w ciągu życia.

Z rozmowy zręcznie mi się udało na to wpaść, iż bodaj ochmistrzynią do kościoła idącą spotkałem, o pannie nie śmiałem nawet napomknąć.

— A jużci—odparł Szaniawski—chodziła do kościoła z Felicyą Viviers... Nie może być—dodał—abyście i tej nie postrzegli, bo dziewczę śliczne.

Przyznałem się tedy, obojętność całe udając, że wistocie była z nią panienka jakaś.

Szaniawski był w bardzo dobrym humorze.

— Najpiękniejszą z naszego fraucymeru panienkę— rzekł—widzieć się wam udało na początek; macie szczęście. Jest to Francuzka, sierota, bardzo naszej pani hetmanowej ulubiona, którąby jej była pewnie do Francyi towarzyszyła, gdyby na odrę nie zasłabła właśnie na ten czas. Dziecko to jeszcze, bo nie wiem, czy ma lat piętnaście skończonych, ale gdy wyrośnie, obiecuje być pięknością osobliwą. Już teraz ludziom głowy zawraca.

Stanąłem milczący, nie chcąc okazywać, ile mnie to wszystko obchodziło.

Dowiedziałem się tedy od Szaniawskiego, że dziewczę było ubogie, na łasce hetmanowej, sierota, bez rodziny —i pono nawet nie szlachcianka, ale tego trudno było dojść, jak powiadał, bo Francuzi wszyscy, jakiejkolwiekby byli extrekcyi, do Polski przybywszy, sobie nadawali szlachectwo,

Wypiwszy po parze kubków wina, poszliśmy razem do dworu Daniłowiczowskiego, gdzie była nasza kwatera. Mnie ciągle po głowie chodziła owa Felisia, aż mi wstyd było samego siebie.

Fraucymer mieścił się na drugim końcu dworca, daleko od nas i nie spodziewałem się prędko znowu zobaczyć Felisi, gdy na obiad powołano nas do wspólnego stołu, do którego przychodziły i panny z ochmistrzynią.

Zjawiła się i panna Viviers z innemi, które, choć dosyć przystojne, wszystkie przy niej gasły, *stelae minores*. Mnie się albo na szczęście, lub na biedę dostało miejsce naprost przeciwko tego obrazka, tak, że moc nad sobą musiałem mieć wielką, aby wciąż w nią oczu nie wlepiać.

Ile razy pobieżnie spojrzałem, tylekroć jej wejrzenie nadzwyczaj śmiałe ku sobie skierowane znajdowałem.

Z drugą towarzyszką przez cały czas obiadu szeptały, śmieszki stroiły i zabawiały się wesoło.

Siedziała przy niej nie tak już młoda, ospowata, niełądna, ale śmiała i dowcipna dziewczyna, która czas dłuższy była w Polsce i bardzo pocieszne po polsku mówić się nauczyła.

Ta parę razy próbowała mnie zaczepiać, alem z nieśmiałości i tego odurzenia pięknością Felisi, języka w gębie zapomniał. Siedziałem jak mruk, z podełba tchórzliwie spoglądając.

Lżej mi się zrobiło, gdyśmy od stołu wstali nareszcie...

Wszystko toby opisywania nie było warte, gdyby ten moment na całe moje życie późniejsze nie miał wielkiego wpływu, a owa piękność Felisi nie upoiła mnie odrazu i nie uczyniła niewolnikiem.

Doświadczenia nie mając żadnego, padłem ofiarą, bo to, co mi się wydawało nietylko pięknem, wziąłem też w dobrej wierze za anioła.

Następnych dni do stołu chodząc, ośmielony stopniowo przez ospowatą, wielce śmiałą i złośliwą pannę Blanc, którą tu Sofronisbą zwano, poznałem się bliżej z fraucymerem, a choć taiłem się z tem, iż Felisia uczyniła na mnie takie wrażenie, choć strzegłem się patrzeć, nie

zaczepiałem nigdy ani słowem, nie wiem jak i panna Sofronisba, i inne dziewczęta zaraz to odgadły.

Zaczęto mnie nią prześladować.

W trakcie tego nadjechała pani hetmanowa i wszystko się z jej przyjazdem zawichrzyło u nas, bo trudno wypowiedzieć, jak była wymagającą, dumną i kapryśną.

Znalazłem ją podobną kubek w kubek do tego wizerunku, widzianego we Lwowie, który mi się nie podobał.

Piękna była, temu zaprzeczyć nie można, ale ta jej królewska piękność miała w sobie coś odstręczającego dumą, samowolą i takim despotyzmem, iż zdawało się, jakby miała prawo cały świat widzieć u nóg swoich. Miłą być ani się starała i aniby może potrafiła. Na palcach przed nią chodzić musiano, a skinienia patrząc, na twarz padać.

Pomimo że bardzo jeszcze wyglądała świeżo i młodo, lecz niekiedy przy małem znużeniu, oko dostrzegało, że o wiele starszą być musiała, aniżeli się zdawało.

Z panią hetmanową przybył dwór jej francuski dosyć liczny, panien służebnych kilka, ale ulubiona jej Felisia zaraz nad innemi miejsce przy pani dawne zajęła i można było dostrzedz, że wszyscy ją wielce szanowali i oszczędzali, gdyż u hetmanowej miała nadzwyczajne łaski. Sama nawet stara ochmistrzyni jej się akomodować musiała.

Z panią hetmanową przybył też trzyletni synek, zwany Fanfanikiem, Jakób, około którego naówczas bardzo pilno chodzono i pieszczono go wielce.

Ale ani dziecko, ani mąż nie zdawali się hetmanowej zajmować więcej nad nią samą.

Wszystkiego jej zamało było, nigdy niczem zaspokojoną się nie okazywała. Zły humor i lekceważenie były chlebem powszednim.

Natychmiast po przybyciu jej, z tych pań, które w Warszawie rezydowały, mało która nie pośpieszyła pierwsza się submitować hetmanowej.

Duchowieństwo też i panowie senatorowie, świeccy szczególniej, ci co do partyi francuskiej należeli, na wyścigi przybiegali spragnieni wiadomości, jakie z sobą przywiozła... Od rana do wieczora gości bywało pełno, ona zaś mało kogo nawiedzać raczyła.

W utrzymaniu domu postrzedz było można zarazem

wielką chęć okazywania splendoru i skąpstwa. Jak to umiano pogodzić, nie moja rzecz.

Drugiego dnia i mnie do siebie przywołać kazała, naprzód się pytając, czy po francusku umiem.

Uczyłem się ja ci tego języka w szkole, ale z niej tak mało wyniosłem, że mi się nie było czem chwalić. Przyznałem się do niedostatecznej znajomości języka, i konwersacya się poczęła po polsku, którym ona mówiła licho, chociaż rozumiała go dobrze.

Wzięty na spytki, oświadczyłem, co zresztą i w listach stać musiało, iż miałem się do rozkazów zastosować, azali nie zechce mnie z pismem do p. hetmana nazad odprawić. Na co nie otrzymałem odpowiedzi żadnej.

Nareszcie odprawiła mnie skinieniem głowy.

Z tej audyencyi mogę powiedzieć, żem jeszcze przykrzejsze wyniósł wrażenie, niż z widzenia wizerunku. Straszną mi się wydała, anim pojąć mógł, o czem mnie Morawiec upewniał, iż Sobieski w niej był zakochany do szaleństwa.

Ponieważ nas dworzan niewielu się przy niej znajdowało, a chciała się prezentować okazale, więc i mnie odprawić jakoś nie śpieszyła, a jam się też nie napierał, bo mnie tu sam widok Felisi karmił, żem więcej nic nie pragnął.

Napisałem—widok—bo wistocie oprócz widoku nie miałem nic. Obawiałem się przystępować bliżej, a ona tak dobrze mnie oczkami wabiła i zalecała się, jak drugim.

Rychłom się mógł przekonać o tem, że dziewczęciu szło o hołdy, bez wyboru, kto je składał. Pasyi to mojej jednak nie zmniejszyło, tyle tylko, że ją w sobie dusić musiałem.

Służba ciężką nie była, ale nieustanną, rzadko kiedy mogliśmy wypocząć z Szaniawskim i Drużbickim, kolegami moimi. Z tymi było mi bardzo dobrze. Tak Szaniawski, jak i on, oba nie byli majętni. Z domu im mało co nadsyłano, a jurgield był skąpy, więc mój worek przydawał się bardzo nietylko im, ale i panu ochmistrzowi, u którego też zachowanie miałem.

Grosza do zbytku oszczędzać nie potrzebowałem, bo matka w listach, zalecając, abym rozrzutnym i marno-

trawcą nie był, kazała się też strzedz brzydkiego skąpstwa i obiecywała, gdy zażądam, nowy sukurs dostarczyć.

Miłość dla Felci naówczas, ba i potem, choć nieraz mi dokuczyła, ale humoru i młodej wesołości nie nadwerężyła. Miałem taką naturę, żem wszystko brał pogodnem czołem, bez kwasu a dręczenia się, gdy mi było bardzo smutno, prowadziłem Szaniawskiego na wino, śpiewaliśmy piosenki, swawolili, aby o lichu nie myśleć. Do wzdychania łzawego usposobienia nie miałem, ani mi też ono na co byłoby się przydało. Owszem, gdy płoche dziewczę zawiniło mi, udawałem, jakobym sobie z tego wcale nic nie czynił.

Chociaż z góry do nas, od tego, co się tam działo, około hetmanowej ledwie kapnęło co czasem, czuć było całą sieć intryg osnutych, snujących się, rwących... Tajono się z niemi, każda z tych osób, o które chodziło, miała jakieś przybrane nazwisko, aby niewtajemniczeni nie rozumieli o kim mowa, ale hetmanowa czasem niezmiernie serdecznie z jedną dziś będąc, nazajutrz z drugą przeciwko niej knowała, a wistocie nie miała nikogo ukochanego, wszyscy jej byli obojętni—myślała o sobie.

Jeżeli się do kogo przymilała, to albo mu już buty szyła, albo jej musiał bardzo być potrzebnym.

Przytem chciwości grosza takiej, jak w tej kobiecie, nie widziałem w żadnej. Gdyby nie to, że duma ją zmuszała, od gęby sobieby była odejmowała, aby skarb pomnożyć.

Pomiędzy mężem a żoną—o ilem ja mógł już naówczas sądzić, nie było podobieństwa charakteru najmniejszego—i taki niech sobie kto co chce mówi, żadna polska kobieta-by taką być nie potrafiła, jak ta Francuzica.

Najmniejszego serca dla nikogo... a gdy była dla kogo dobrą, to pewnie tylko, że sobie go pozyskać chciała. Zresztą litości, miłosierdzia, uprzejmości ani śladu, a największe upodobanie ludzi czernić i narzekać, że jej się działa niesprawiedliwość, choć robiła, co zamarzyła.

Prosta rzecz, że u takiej kobiety, aby łaskę pozyskać, trzeba było kłamać, padać, uwielbienie przed nią udawać, pochlebiać bezustanku. Cały fraucymer jej z tej nuty śpiewał. Królowała nad nim filut Felisia, którą ona dla jej piękności lubiła: celowała w rozpadaniu się około pani.

Napatrzyłem się tedy na samym wstępie komedyi życia, która mi po rodzicielskim domu, po tem, czem się młodość karmiła, poczwarną się wydała. O wyprawieniu mnie do hetmana tymczasem mowy nie było. Ponieważ miałem się w co stroić gładko, a prezentowałem się niezgorzej, więc hetmanowa przy karecie jeździć kazała i około domu chętnie się mną posługiwała. Ale szczególnej łaski nie pozyskałem sobie.

Z Felisią zaś, w której się zakochałem szalenie, stosunek był osobliwy. Naprzód, żem wcale tego gatunku kobiet nie znał, myślałem, że po prostu starając się podobać, nadskakując, miłość jej okazując, skłonię ją ku sobie. Rychło jednak postrzegłem, że ta w dobrej szkole wyuczona, nie łatwą była do rozmiłowania. Chciała mnie mieć jako niewolnika, ale sama nie myślała wcale o mnie.

Tuszyła sobie, że swą pięknością, przy protekcyi hetmanowej, która ją niemal jak własne dziecko pieściła, dla zabawki, gdyby pieska lub papugę, nadzwyczajny jakiś los zrobi. Wiedziała, że i jej pani tyle tylko, że ze starej szlacheckiej rodziny, ale uboga z pomocą królowej Maryi Ludwiki dobiła się bogactw i świetnych małżeństw...

Więc czem dla niej był taki pan Adam Polanowski, dworzanin pana hetmana? Prezenta ode mnie przyjmowała, posługiwała się chętnie, mrugnęła czasem oczkami, ale serce ani drgnęło.

O czem ja przekonawszy się, wziąłem na kieł. Była druga, dosyć przystojna i stateczna panienka przy hetmanowej, Polka, panna Jagnieszka Skorobohata. Choć mi tak dalece w oko nie wpadła, nawróciłem do niej, a Felisi dałem napozór pokój. A co mnie to łgarstwo kosztowało, Bogu wiadomo. Zaś najsmutniejsza rzecz, że Skorobohata, jak to nasze wszystkie poczciwe dziewczęta, afektowi memu uwierzywszy, poczęła mi dawać dowody, że mi sprzyja.

Francuzka była zła, więc nuż szydzić ze mnie i z niej i zabiegać, abym się do niej powrócił.

Mówiła po polsku tak, jak jej pani, to jest bardzo źle... —ale o to nie dbała, bo godziła na takiego małżonka, coby

pół Francuzem był, jak i Sobieski, który po francusku, gdyby rodowity Francuz szwargotał.

Przy pierwszej zręczności, poczęła mi, drwiąc, winszować „konkiety", odpowiedziałem jej lekko i nie wdając się w dłuższą rozmowę, szedłem precz. Napadła mnie tedy powtórnie z innej beczki.

— Waćpan się gniewasz na mnie?

— Ja? A tożby za co?—spytałem.

— Albo ja wiem—odparła.

— A ja pannie Felicyi zaręczyć mogę, że ani się gniewam, ani też zbytnio o przyjaźń staram, bo wiem, że jej nie dostanę.

— Dlaczegóż?

— Panna Felicya wysoko patrzy, a ja dla niej za mały jestem.

— Któż to powiedział panu?

— Są takie rzeczy, że ich mówić nie potrzeba; same się w oczy rzucają.

Nadąsała się i poszła. Był tedy niby rozbrat między nami, ale uważałem, że ją to niepokoiło... Nie zbliżyłem się umyślnie, anim też unikał.

Najgorsza zaś, że z serca, jak raz je zajęła, tak jej nie było wygnać... Com wycierpiał, to tylko sam wiem, bom się chciał przezwyciężyć nadaremnie.

Jakby dla odetchnięcia i wypoczynku, nagle, gdym już sądził, że w Warszawie na hetmana czekać będę, kapryśna pani nasza, gdy ją coś tknęło, zawołać mnie kazała i oznajmiła, że z bardzo ważnemi listami mam jechać gonić hetmana, który gdzie się obracał,—spełna nie wiedziała,—tylko, że go koło Chocima szukać należało...

Jesień, plucha, drogi najgorsze... mnie więcej nad wyrostka i masztalerza brać z sobą nie godziło się, oddalenie znaczne, wreszcie i Kozacy a Tatarowie na przesmykach... otóż, co miałem przed sobą. Ale młodemu w to graj, a z ciężkiem sercem właśnie najlepiej w taki wir.

Pokłoniłem się więc i ruszyłem gotować, aby nazajutrz na koń siąść, a było co robić, bo i konie kuć, i węzełki wiązać i mój wóz i rzeczy bezpiecznie umieścić musiałem.

Szaniawski mi zazdrościł, drudzy głowami kręcili, a byli i tacy, co mi życzyli, abym ino cały powrócił.

Z pánnami nie było czasu się żegnać, tylko zdaleka. Hetmanowa, gdy raz postanowiła mnie wysłać, już się niecierpliwiła, abym jednéj godziny ruszał. Ekspedycya dla mnie gotową była.

Wyruszyłem tedy, mając zlecenie po drodze jeszcze w Jaworowie i we Lwowie pytać, czybym innych do hetmana posłańców dla bezpieczeństwa nie mógł wyszukać, aby razem z nimi się przez niepewne szlaki przedzierać,

Pierwszy raz w życiu, niedoświadczony, narażałem się na taką imprezę zuchwałą, która i daleko wprawniejszemuby trudnąby była, ale, właśnie to, że mi doświadczenia brakło, żem niebezpieczeństw wielu nie przewidywał, czyniło mnie odważniejszym.

Znaczniejsza część podróży wypadła lepiej, niż się mogłem spodziewać, we Lwowie zaś istotnie znalazło się różnych posłańców, opóźnionych wojskowych, a nawet handlarzów, którzy się do obozu dostać chcieli, i stąd już nie sam, ale w kilkanaście koni podążyłem dalej.

Chodziły pogłoski, że hetmana około Chocima szukać było potrzeba.

Król podówczas chory już leżał we Lwowie, gdzie go w samą wigilię zwycięstwa pod Chocimem śmierć miała od żywota męczeńskiego wyswobodzić.

Podróż dalsza może bezpieczniejszą była z powodu, że nas się zebrała większa gromadka, ale wyżywienie siebie i koni, pomieszczenie, często sam pochód bywał utrudniony przez to, że zbieranina się znalazła ludzi różnego rodzaju i nadto zuchwałych i zbyt przezornych a tchórzliwych. Skończyło się na tem, że raz i drugi zmuszony się kłócić, musiałem samowolnie wziąć komendę nad całą kupą, zagroziszy, że ich porzucę.

Szło potem raźniej, ale kraj ogłodzony, pusty, przewodników pewnych brak, głód, chłód, bieda dokuczyły.

Droga się przewlokła do zbytku, tak, że gdyśmy już ku Chocimowi się zbliżyli, dostaliśmy języka, iż hetman Turków zbił okrutnie, rozproszył, nasiekł, że Hussejn Pasza salwował się w kilkanaście koni, łup wielki zabrano i t. p.

Z wielką więc otuchą, a weselem i już bezpieczni po-

dążyliśmy do obozu, ciągle się krzyżując z posłańcami hetmana, którzy wiadomość o odniesionym tryumfie wieźli do kraju.

Razem z tem, wprzódy jeszcze, niemeśmy nadążyli pod Chocim, dowiedzieliśmy się i tej smutnej nowiny zarazem, że hetman Pac, zaraz po odniesionem zwycięstwie, przy którem kooperował, nazad z Litwinami do domu odciągał, nie dając się namówić, aby z niego korzystać.

Ponieważ tryumf ów cały hetmanowi naszemu słusznie przypisywano, bo Pac bitwy nie radził i w wigilię jej cofać się życzył, zazdrość i inwidya spowodowały, iż Sobieskiego samego rzucał. Nie było bowiem wątpliwości, że pozbawiony litewskich wojsk i on też na tem poprzestać będzie musiał...

Zastałem hetmana jeszcze rozgorączkowanego swem zwycięstwem, ale zarazem oburzonego na Paca.

W obozie wesołość, pomimo złej pory, wszystkich szczęśliwych i sławiących Sobieskiego, który ojczyznę uratował. Już ani wątpiono teraz, iż Kamieniec zostanie odzyskany.

Mnie, gdym się zjawił z listami od żony, hetman tylko że nie uścisnął i nie całował; pytaniom nie było końca. Jak jejmość wyglądała, czy zdrowa była, czym Fanfanika widział i jak się hodował?

Nie dość było listów, zaledwie mnie od siebie odpuścił, już biegł Morawiec, nazad wołając dla tych informacyi. Najmniejszej rzeczy nie zapomniał, która się ukochanej Marysieńki tyczyła. Musiałem więc opowiadać, kto bywał, czy hetmanowa z domu wyjeżdżała i do kogo, czy się na służbę i wygody nie uskarżała, nawet czy piece stare w domu Daniłowiczów dobrze izby ogrzewały.

Zwycięstwo odniesione i listy otrzymane, mimo ostrej pory roku, Sobieskiego, można było powiedzieć; odmłodziły, choć się to na nogi, to na krzyże uskarżał.

Na Paca tylko i Paców wogóle pioruny ciskano, bo nie dosyć, iż o mało Chocimskiego zwycięstwa swoim uporem nie wyrwał z rąk Sobieskiemu, ale wszystkie jego skutki paraliżował, odciągając bez pytania, samowolnie.

Dla mnie wszystko, com tu w obozie i Chocimie za-

stał, nowem było i ciekawem. Co tylko wojna z sobą przynosi, tegom się napatrzył—i pijanych tryumfem, a szczęśliwych i pokaleczonych okrutnie, a bolejących, i pozabijanych w kwiecie wieku.

Łupu tureckiego też mogłem nakupić za bezcen co wlazło, bo proste ciury najkosztowniejsze rzeczy w pół darmo dawali, napraszając się. W zdobytym zameczku, do którego się kupców siła schroniło, kupi różnej nabrano i rozerwano bardzo wiele na Żydach, Ormianach i Grekach.

Hetman właśnie był powrócił do obozu z wycieczki, którą przedsiębrał naprzeciw ciągnącemu Hussejnowi w pomoc Kaplanowi Baszy, który zawczasu się o Chocimskiej klęsce dowiedziawszy, uszedł.

W czasie oddalenia się Sobieskiego, Pac z Litwinami odszedł, a tu ze Lwowa jeden poseł naprzód zaraz po mnie nadbiegł, iż król bez nadziei życia dogorywa, a drugi, że zmarł.

Muszę tę sprawiedliwość oddać hetmanowi, iż choć do króla Michała srogi żal miał za wyroki Gołąbskie, przecież śmierć jego do serca wziął, i nad losem się litował.

Tu już dalej przeciwko Turkom, po wyjściu Paca, po odkomenderowaniu Sieniawskiego, chorążego koronnego w pomoc Mołdawianom, nie było co poczynać. Trzeba było myśleć o zimowych kwaterach dla wojska na granicy, bo wiosna z sobą wojnę przynieść musiała.

Hetman też, który wobec Turka tak dzielnym był, co umiał wojsko nieustannie się burzące i skłonne do związków utrzymać w ryzie, którego myśmy wszyscy i bali się i kochali, tak był stęskniony za jejmością, i niecierpliwy pośpieszenia pod jej słodkie jarzmo, że na łeb na szyję wszystkiem rozporządzał, zastępców dobierał, szukał, ktoby go wyręczył, aby co prędzej do najukochańszej Marysieńki się dostać.

Jak tylko wojsko się rozłożyło, hetman już po konwokacyi puścił się w podróż dla spotkania z żoną; tak mu pilno było, iż prosił ją, aby naprzeciw do Lwowa wyjechała, bo go ani elekcya, ani publiczne sprawy nie obchodziły w części nawet tak gorąco, jak połączenie się z żoną, za

którą gdyby młokos tęsknił, rozpadał się, o niczem nie myślał, tylko o niej.

Miałem tedy przed oczyma obraz pasyi, jakiej dotąd nie tylkom nie widział, alem się nie domyślał, aby człowiek mógł być nią do tego stopnia opętanym. Chociaż połowy objawów tej namiętności widzieć nie mogłem, była ona tak w oczy bijącą, że ślepy-by chyba poddaństwa pana hetmana nie dojrzał.

Jejmość czyniła z nim, co chciała.

Rozumem, nauką, charakterem, wszystkiemi przymiotami stokroć ją przewyższał, tymczasem ona królowała, rozkazywała, a on stawał się przy niej najniższym sługą i ślepym wykonawcą rozkazów.

Płaciła mu za to, żal się Boże, prawie ciągle kwaśną minką, wymówkami, złym humorem, bo jej nigdy nie było dosyć na niczem. Hetman bez ograniczenia we wszystkiem jej słuchał, tylko, gdy o wojsko szło i obowiązki względem Rzeczypospolitej, wymykał się i głuchym czynił.

Na konwokacyę, jakem pisał, hetman stawić się nie mógł, bo wojsku hiberny obmyślać musiał, rozkładać je na granicach i na oku trzymać. Dopiero na sejm elekcyjny podążyliśmy wielkim dworem, ale wojska z sobą nie prowadząc tak gromadnie, jak drudzy, tak, że ostatniego kwietnia ostatni też był nocleg przed Warszawą.

Jaka była miłość wielka i nadzieje w hetmanie pokładane, przekonać się mieliśmy zręczność po całej drodze niemal, bo go ciągle spotykano, wyjeżdżano naprzeciw, a orszak się nasz co godzina powiększał. Naostatku, nie licząc pomniejszych, mieliśmy z sobą Aleksandra Lubomirskiego, wojewodę Kochańskiego, i Stanisława Jabłonowskiego, wojewodę ruskiego, obu przyjaciół wiernych...

Zwycięzcę Chocimskiego wszyscy witali, jako wybawcę i przyszłego oswobodziciela Rzeczypospolitej, senatorów mnóstwo, szlachty stały całe gromady, przypatrując się uroczystemu wjazdowi hetmana, który też wystąpił bardzo pańsko.

Wojska nie było wiele, trochę pancernych i regiment

dragonów, ale więźniowie tureccy, janczarowie z muzyką swą osobliwą, potem sam pan z łukiem na ramieniu, z tarczą złotą, piękny, choć malować, tylko mu na skroń laur włożyć, oczy rwali!

Zajechaliśmy do pałacu Kazimierowskiego, który dla hetmana był wyznaczony i gdzie ona też mogła się wygodnie pomieścić.

Pan Bóg to wiedzieć raczy, azali naówczas w początku sejmu postało w czyjej myśli, aby hetmana królem wybrać. Jeżeli kto się z tem już nosił, ukrywając, to chyba jedna hetmanowa, a ta jeśli się komu zwierzyła, tylko Jabłonowskiemu, z którym się często na osobności, pocichu naradzała, przed mężem tając z temi konszachtami.

W Warszawie zastaliśmy wszystkich rozgorączkowanych, Paców zabiegających i intrygujących z królową wdową... z prymasem... jednych za Kondeuszem, drugich za Neuburgskim, innych za Lotaryńskim, który miał Eleonorę zaślubić, chociaż ta gotową była i za Francuza wybranego wyswatać się, byle się przy koronie utrzymać.

Zgiełk, ruch, wrzawa, a Litwa z Koroną, możne dwory między sobą w ciągłych waśniach, bij, zabij. Nie było dnia, żeby trupów kilkudziesięciu po ulicach i na drogach nie zwleczono.

Hetman, jak był ustrojony paradnie, musiał wprost nie na swą kwaterę jechać, ale naprzód do dworu księcia Michała Radziwiłła, hetmana polnego, który na przyjęcie jego się wspaniale przygotował i ugościł. Sławiono w nim zwycięzcę, ale najmniejszego nie było znaku, aby go na tron wynieść zamyślano. Gdzie się człowiek posunął, tylko o Neuburgu, Kondeuszu i Lotaryngskim słychać było.

Ja naówczas, jako młodzik, więcej się tą nielitościwą a płochą Felisią zajmowałem, niż polityką i elekcyą, ale o uszy mi się ciągle coś obijało, bo drudzy o niczem nie mówili, tylko o niej, więc w ostatku i we mnie się ciekawość rozbudziła...

To dobrze pamiętam, że w pierwszych dniach po przybyciu naszem do Warszawy, chociaż hetmana z weneracyą wielką przyjmowano wszędzie, i on tu obok prymasa najpierwszym był —wszelako nikomu na myśl nie

przychodziło, drugi raz Piasta wybierać, gdy się na jednym sparzono. Wiedziano też i znano, że Sobieski Francuza popierać przyrzekł.

Jednakże przewąchać musieli coś Pacowie, albo się obawiali niespodzianki, bo puszczono szmermel, aby na przód Piasta ekskludować, choć się żaden kandydat nie stawił. Byłoby może do tego przyszło, ale co godzina nowy niepokój nowe myśli sprowadzał.

Nigdy podobno tylu kandydatów do tej nieszczęśliwej korony Polskiej się nie zgłaszało, co teraz, gdy ona zewsząd zagrożoną była.

Nie notowałem sobie podówczas, ale się dla żartu nauczyłem na pamięć litanii, którą jakiś żartowniś, jowialista, ułożył z imion kandydatów. Zabawiano się na Woli, powtarzając i przepisując, chociaż większej części książąt tych nikt nie znał i ledwie kto popierał. Dwóch tylko znaczniejszą liczbę popleczników miało.

Snać już tę koronę za tak łatwą do zagarnięcia poczytywano, że po nią było tylko rękę wyciągnąć.

Stali w owej litanii, o ile ja sobie przypomnieć mogę, Tomasz Sabaudzki, książę, którego tu żywy człek nie znał, drugim książę Modeny, a o tym wiedziano tyle, iż dobry katolik był, Jerzy, królewicz duński, już przez to podejrzany, że luter; tak samo, jak syn elektora brandeburskiego. O tych obu ani nuncyusz, ani duchowieństwo słuchać nie chciało, a panowie dysydenci nie mieli tej siły, ażeby ich sami wybrali,—za tymi szli francuski Verdome, idem Kondeusz hrabia Swesjonu, jakiś książę bawarski, Jakób, książę Yorku, brat króla angielskiego, Don Juan austryacki, syn Filipa III, z nieprawego łoża (co szlachtę w pasyę wprawiało, bo u nas do cechu bękartów nie przyjmują), naostatku jeszcze byli: syn cara moskiewskiego Aleksego, książę Siedmiogrodzki, no i ów Neuburg i Lotaryński. Papież zaś miał ochotę forytować księcia Alfieri, tylko mu nuncyusz odradził.

Było więc w czem wybierać, do Piasta się nie potrzebując uciekać.

Ta mnogość kandydatów, właśnie naówczas, gdy pośpiech i zgoda były najpotrzebniejsze, jednych do roz-

paczy przyprowadzały, w drugich pusty śmiech budziły, bo połowy ich nikt poważnie za pretendentów przyjąć nie mógł i na żart niemal wyglądało, iż ich imiona wypływały na wierzch właśnie, gdy termin elekcyi wyznaczony był krótki, czasu na rozpusty wcale mało zostawało, Turek zagrażał, a o obronie myśleć było potrzeba *ante omnia*.

Przyszło do tego, iż panowie senatorowie, duchowni, zestraszeni tą ewentualnością, iż elekcya zwlec się może, nakazali na tę intencyę czterdziestogodzinne nabożeństwo, z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu po wszystkich kościołach, aby Pan Bóg umysły do zgody i jedności nakłonić raczył.

Nam się wszystkim zdawało, jakoby naówczas Neuburgski lub Lotaryński niezawodnie otrzymać musiał, a u nas tylko o pierwszych z nich lub Kondeuszu mówiono, oczekując, co poseł francuski z sobą przyniesie, który z przyjazdem się opóźnił, na co pani hetmanowa szczególniej się żaliła.

Być bardzo może, o ile ja sobie po latach tylu przypomnieć umiem i kombinuję dziś, *post festum*, że hetmanowa potajemnie, ewentualnie elekcyę mężowską na myśli miała, nikomu się z tego, oprócz wojewody ruskiego, nie zwierzając. Było to jednak tak przysłonięte, zakryte, iż się tego nikt nie domyślał. Rachowano na to, iż w ostatniej godzinie i gdy głosy rozbite zostaną, a elekcya pilną będzie—wszyscy się zgodzą na zwycięzcę Turków.

Składało się po myśli. Przybył do Wołochów poseł w imieniu Turka, ofiarujący pokój i zwolnienie z haraczu, byleby go zostawiono w posiadaniu Kamieńca. Ale po Chocimskim pogromie nikt słuchać nie chciał takich ofert.

Zaraz potem znać dano od granicy, że Kaplan Basza ciągnie pod Chocim, że na Jassy Turcy napaść zamierzają, Soczawę chcą zdobyć, że Tatarowie już na Pokuciu plądrują, że sułtan się z tem odzywa, iż Polacy bez jego zezwolenia króla wybierać nie mogą. Wszystko to tak umysły podburzało, iż na gwałt chciano elekcyę przyśpieszyć, aby Rzeczpospolita dłużej bez głowy nie pozostała.

Ale nimby do wyboru przystąpiono, szlachta była tak

nerwowa, tak różnie myśląca, a panowie tak zazdrośni o siebie i swe stanowiska, iż zgoda zdawała się niepodobieństwem.

Pacowie tymczasem, jakby przeczuciem jakiem, wraz z adherentami swymi w Litwie i Koronie, poczęli, jakom mówił, naglić, aby naprzód Piasta wyłączyć. Mówiło to za nimi, iż z Michałem wszystkie klęski na Polskę spadły, powtarzano więc—*non bis in idem.*

Byłoby może do ekskluzyi przyszło, ale się Wielkopolanie rozmyślili, lub im kto podszepnął, żeby się z tem nie śpieszyć—i zażądano od nich, aby wprzódy wszystkich kandydatów pod pręgierz postawić i przedyskutować ich zalety i defekta.

Tak tymczasem Piastowi została otwarta brama, chociaż żaden się nie ukazał, coby nią ochotnie miał wjechać, a dawni kandydaci, Kondeusz, Neuburg, Lotaryński byli we wszystkich ustach i kieszeniach—Pacowie, Sobieskiego nienawidząc, ponieważ on Francuz był—jak naówczas się wyrażano, do obozu cesarskiego się zaciągnęli.

Z wymienionych w litanii kandydatów, duńskiego i brandeburskiego, przeciwko którym nuncyusz w imieniu papieża się oświadczył, nie przypuszczono nawet do zalecenia się.

Jeszcze to teraz powtórzę, iż ja, com przy dworze hetmana był, patrzył, słuchał, a choć młody, ciekawie chwytał wszystko, nie dostrzegłem ani najmniejszej oznaki, ażeby Sobieski myślał o koronie dla siebie. Do ostatniego momentu nic nie transpirowało.

Poza szopą, co się działo, trudno to opisać i dosyć, że bójki i strzelanina codzienne, nawet po ulicach. Na Woli zaś posłów cudzoziemskich, począwszy od nuncyusza i cesarskiego słuchano, potem pomniejszych, francuski się spóźniał i nie było go, na co u nas narzekano; tak, że dopiero piętnastego maja nadążył, gdy już niewiele mógł zrobić, bo termin elekcyi był za pasem.

Przypisywano mu później, że on hetmanowi dopomógł do korony, ale na to czasu nie miał, a mnie się zdaje, instrukcyi. Gdy się elekcya dokonała, wolał pewnie Sobieskiego, niż kandydata cesarskiego lub innego, któregoby

musiał zyskiwać, a ten duszą i ciałem Francuz był. I po przybyciu swem, pierwszego niemal biskup Forbin odwiedził hetmana i jego żonę.

Mówiłem już, co się na mieście działo... gdzie władza marszałkowska nie była zdolną porządku utrzymać i często przez szpary patrzeć musiała na bijatyki i kłótnie. Jedną z najznaczniejszych była pomiędzy czeladzią i dworem księcia Konstantego Wiśniowieckiego, brata Dymitra, którego ludzie zajęli kwatery, wprzódy pono przez Litwinów zamówione.

Litwa bojownicza,na miejsce przybywszy i dwory zastając zajęte, jęła się siłą i gwałtem rugować Wiśniowieckich, ci też za broń chwycili i czoło im stawili, a bój się i walka wszczęła tak zajadła i krwawa, że zabitych z obu stron kilkunastu liczono, a rannych dwakroć tyle.

Rozerwano ich potem i zmuszono do uspokojenia— ale sprawa, inkwizycye i godzenie trwało dni kilka, które marnie strawiono dla tej waśni.

Przez cały ten czas my z poczciwym Szaniawskim razem przy osobie hetmana zostawaliśmy. Widywaliśmy go w domu i w polu, między senatorami i pośród przyjaciół, a nikomu z nas w myśli nie postało przeczuwać w nim przyszłego króla, tak spokojnym był i pogodnego oblicza, wesołym nawet... czy że dysymulować umiał doskonale, albo wistocie nie myślał o koronie.

Przy stole, jeśli z gośćmi mówił, to o Turkach, Chocimie, Soczawie, Kamieńcu i pilnej potrzebie ciągnięcia na nieprzyjaciela, dopókiby się go większe kupy nie zgromadziły i nie zajęły pozycyi mocniejszych.

Honory mu czyniono wielkie—ale te hetmanowi należały się, a jako zwycięzca, który traktaty Buczackie poszarpał, zasługiwał na nie.

Od niego też jednego spodziewano się odzyskania Kamieńca i odparcia Turków.

Wszyscy go, jako tryumfatora na ręku nosili, co w Pacach tem większy gniew i zazdrość obudzało, bo było zarazem wymówką przeciw nim, którzy po niewoli tylko bili się pod Chocimem a zaraz potem precz do domów pociąg-

nęli i nie dali ze zwycięstwa skorzystać. Sobieski im to głośno wyrzucał, a nie mieli się czem tłumaczyć.

Zazdrość była jawna, prywata brzydka.

Jabłonowski, Lubomirski, wojsko całe wynosiło hetmana, gdy ich nawet obronić nie było komu. Stąd złość niewypowiedziana.

Na placu elekcyjnym unikano się wzajemnie, Pacowie świeccy i duchowni, dwu biskupów, kanclerz, hetman chodzili osobną gromadą. Patrzano na siebie z ukosa.

Na Litwie dosyć silni Pacowie, przecież mieli i tam przeciwko sobie Sapiehów, z którymi hetman stał dobrze, i Radziwiłłów, z którymi był spokrewniony przez siostrę. Siły więc były nierówne, lecz na warcholenie i zawichrzenie Paców stało.

Królowej wdowie hetman okazywał należne uszanowanie, ale ona wiedziała dobrze, iż go sobie pozyskać nie może, a samą hetmanowę nienawidziła. Trudno też było dla królowej wielki szacunek mieć, przypominając, jak z królem nieboszczykiem żyła; teraz intrygowała, gotowa się sprzedać za koronę, choć serce Lotaryńskiemu oddała.

Biskup marsylski, Forbin, który tak bardzo się opóźnił z przybyciem, natychmiast wszedł z hetmanem w stosunki ścisłe—ale, żeby go miał popierać, lub z myślą tą jechać—nie może być. Wiele zaś pomódz nie mógł, bo sam tu miru nie miał. Znajomych nawet ludzi, ani stosunków, a polecony był z Paryża hetmanowej i Sobieskiemu.

Wszyscy o pośpiech wołali i nie było dnia, żeby od kresów nie nadbiegł goniec, naglący o obronę.—*Periculum in mora*, wołano jednym głosem a tu Neuburg i Lotaryński tak stali, że gdyby na nich głosowano, na dwie prawie równe części podzieliłyby się wota i zgoda niemożliwą była, bo żaden nie myślał ustąpić.

W ostatku, szukając takiego, na któregoby się wszyscy zgodzić mogli, stawiono ks. Modeny, jako dobrego katolika, ale tego nikt nie znał i nic go zresztą nie zalecało. Zaledwie o nim mówić poczęto, gdy ponownie wiadomość przyniesiono, że Tatarzy na Pokuciu plądrują.

Hetman, a razem marszałek, w ciągu ostatnich dni, gdy już termin naznaczony dla elekcyi upływał, niezmier-

nie był czynny ze swego urzędu marszałkowskiego, a gdy pod szopą do zbytku się zawieruszyło, stukając laską o ziemię, dwa razy ją połamał.

My z Szaniawskim, gdy wchodził, umieliśmy się wcisnąć pod szopę i staliśmy, słuchając u drzwi. Tak się nam też dostało jego przemówienie, to jest wotum usłyszeć.

Z początku dosyć nieśmiało i cicho odezwał się z tem, że Polsce potrzeba nie takiego wodza i króla, któryby się dopiero uczyć musiał, ale doświadczonego i dojrzałego; potem coraz głośniej i wymowniej, za królem-żołnierzem przemawiając—wotował za Kondeuszem.

Krótkie to przemówienie ogromne uczyniło wrażenie. Pomieszali się wszyscy, rozbity obóz francuski na nowo się około tego imienia jednoczył,—tylko Pacowie nie chcieli go dopuścić.

Ze wszystkich stron ich adherenci nosić się z tem poczęli, że Kondeusz był znanym bezbożnikiem, z kalwinem Radziwiłłem poufale przestawał, w piątki z mięsem jadał, z obrzędów religijnych się naśmiewał—a Ludwik król dlatego forytował go do Polski, aby się pozbyć z Francyi.

Pomiędzy tymi, co Kondeusza chcieli z Pacami i rakuskimi stronnikami, w tych dniach do takiego rozdrażnienia przyszło, iż można się było obawiać krwi przelewu.

My jak w tęczę patrzyliśmy na naszego pana, ale ten tak był spokojnym, a na oko chłodnym, jakby się niczego nie obawiał, gdy z przeciwnej strony po Pacach poznać było można, iż w nich wrzało i kipiało.

Królowa wdowa, której zastępca prymasa pomagał,—trzymała dotąd za Lotaryńskim, który nie miał żadnej nadziei, aby go wybrano. Pacowie szli z nią. Powiadano, że do niej wysłano poselstwo, ale to z niczem powróciło. Hetman i kanclerz litewski spodziewali się Lotaryńskiego przeprowadzić, w najgorszym razie Neuburga — o Kondeuszu zaś ani słuchać nie chcieli.

Dano znać naszemu panu w porę, że Pacowie ze swym kandydatem do Koła pojechali... gdy po ogrodzie Kazimierowskiego pałacu z francuskim posłem się przechadzał. Słyszałem, jak się odezwał do biskupa.

— Bądźcie spokojni, ja też jadę do Koła; Rakuszanina nie dopuścimy nigdy.

Siadł zaraz na koń i popędziliśmy na Wolę.

Nigdym miasta jeszcze nie widział w takim popłochu, jak dnia tego, sklepy zamykano, w niektórych domach wrota stały zaparte, żydzi się wynosili, kupy zbrojne zewsząd zdążały na Wolę, zdawało się, że przyjdzie do starcia i rozlewu krwi.

Gdyśmy z hetmanem i niewielką garścią przybyli pod szopę, ruch między Litwą wszczął się taki, jak gdyby naraz i na naszych rzucić się chciała. Ale biskup Trzebicki zaintonował Veni-Creator—i wszyscy musieli mu wtórować, a przez ten czas poostygali nieco, rozważywszy, co z rozruchu wyrosnąć może.

Natychmiast potem województwa się rozdzielać poczęły i stawać pod chorągwiami, a hetman przy ruskim się umieścił... obok przyjaciela swego, Jabłonowskiego. To była godzina rozstrzygająca i myślę, że na nią wojewoda liczył.

Podniósł tedy głos bardzo śmiało i wymownie a nadewszystko gorąco, tak, że i słuchającym serca się rozgrzały...

— O Neuburgu mowy być nie może—mówił—Lotaryński rakuskim jest kandydatem, nie chcemy go... ja głosuję przeciw... Przeciwko mianowaniu Kondeusza nie miałbym nic do nadmienienia, ale Kondeusz starym jest i zmęczonym, a nam potrzeba dzielnego i w sile wieku wodza... Kondeusz nie zna ani kraju, ani wojen naszych. I pocóż bohatera tego szukać mamy za granicami naszemi, a do cudzych uciekać się bogów, gdy w swojem gnieździe mamy jedynego człowieka, wodza, który już dał dowody męstwa, rozumu i dzielności.

Przerwano mu wołaniem:—Piast! Piast!...

Jabłonowski coraz goręcej ciągnął dalej, zalecając już Sobieskiego,—i przypominając zwycięskie jego bitwy, Słobodyszcze, Pohajce, Chocim...

Ledwie mu dokończyć dano, tak wszyscy jednogłośnie wołać zaczęli:

— Vivat Piast! *Vivat Joannes!*

Patrzyłem się na niego, gdy się to działo, pobladł nieco, ale wnet odzyskał spokój i panowanie nad sobą. Prosił o głos... i odezwał się za Kondeuszem dla aliansów i opieki mocarstw obcych, których Piast za sobą mieć nie mógł.

Ale przerwał mu kasztelan lwowski, poważny mąż i krótkie przemówienie zakończył:

— Palec w tem Boży widzę, wotuję za Sobieskim!

Za nim już jednym chórem zgodnym wołać poczęto, okrzykując go, Aleksander Lubomirski z Krakowskiem, Czarnecki z Podlasiem, dalej województwa już wszystkie, a wielka część Litwy Sapieżyńskiej i Radziwiłłowskiej—tylko Pacowie, pociągnąwszy z sobą dwu Wiśniowieckich—krzyczeli za Lotaryńskim i królową Eleonorą, ale ani ich słychać było, ani słuchać chciano... Znalazłszy się w bardzo szczupłej kupce, bo jeszcze im odpadło dużo w samym ostatku... utonęli prawie z uporem swoim nadaremnym...

Wszystkie te mowy, krzyki, radosne nawoływania się, spory, zabrały czasu do wieczora.... Mrok padał już, gdy Jabłonowski z Lubomirskim na biskupa krakowskiego nalegać poczęli, aby okrzyknął króla, którego jednogłośnie obrano...

Tymczasem Sobieski, obejrzawszy się, postrzegł, że Pacowie wszyscy z Wiśniowieckimi i wierną sobie Litwą z placu zjechali, nie bez celu...

Zabrał zaraz głos i oświadczył, że z urzędu swego marszałkowskiego, obowiązanym będąc do strzeżenia, aby się prawu zadość działo, na ono ogłoszenie zgodzić się nie może, dopóki Litwa i ci, co opór stawili, nie zostaną pozyskani... Gdyby innej opozycyi nie było—dokończył, podnosząc głos—ja veto moje stawiam i nie dopuszczę.

Za czem, gdy już mrok padał coraz gęstszy, wszyscy się z pola rozjeżdżać zaczęli, ale hetmanowi towarzyszył orszak ogromny z okrzykami, a wszyscy go, mimo wzdrygania się jego, królem już zwali.

W Kazimierowskim pałacu, hetmanowa już przez biskupa marsylskiego uwiadomiona o wszystkiem i pierwszy raz... najjaśniejszą panią utytułowana, dowiedziawszy się, że mąż nie dopuścił okrzyknięcia i z powodu Pa-

ców wszystko zwlókł, narażając elekcyę swą na nieprzewidziane zmiany, przyjęła go gniewem i wyrzutami.

Nie pochwalę się tem, abym tam był, na to patrzył i słuchał, ale wiem z najlepszego źródła, że między małżeństwem wszczął się spór żwawy i niemal kłótnia. Wpadła hetmanowa z gwałtownością wielką na niego, wyrzucając mu, że siebie, ją i przyszłość dzieci, jakiejś fantazyi poświęcał... Słuchał dosyć zimny, z początku mężnie się opierając.

Powtarzały panny, które u drzwi słuchały, całą tę rozprawę między małżeństwem, w której i łez, i gniewu, i pogróżek zażywała hetmanowa, a ci, co znali ją i jego, wiedzieli dobrze, na czem się to skończyć musi, i że Sobieski w ostatku znużony, przeciwko przekonaniu ulegnie...

Tymczasem jednak zakończyło się pono tem, iż hetman powiedzieć miał do żony:

— Nie chcę, aby mnie Pacowie tak na tortury brali, jak Prażmowski i my wszyscy męczyliśmy tego nieszczęśliwego Michała... Pomsty Bożej się lękam, Paców znam, nie chcę ich mieć przeciw sobie, życie nam zatrują. Wyboru, ani korony nie przyjmę, jeżeli się oni nie zgodzą...

Przez caluteńką noc, ani hetman, ani żona szczególniej nie udała się na spoczynek, nawet chwilowy...

Przybiegali posłańcy z doniesieniami, wyprawiano listy, wszyscy byli na nogach, tak samo u nas, jak na zamku, w klasztorze oo. Jezuitów, u Bernardynów i t. p. Pacowie, na Pragę się cofnąwszy, tam obozem rozkładali, a słychać było, że z wieczora jeszcze przeciwko elekcyi protest do akt w imieniu Litwy zapisali...

Mnie dopiero później na to wszystko otworzyły się oczy, bo naówczas patrząc, co się działo, widziałem tylko, iż się panowie rozgorączkowywali, gniewali, występowali, alem sprężyn tych machinacyi nie dopatrzył. Wistocie zaś wojna to była pomiędzy kanclerzyną Pacową, z królem francuskim spokrewnioną, dumną i ambitną, jak hetmanowa, a nią, która po Maryi Ludwice energię, jeśli nie rozum i przebiegłość odziedziczyła.

Dodawszy do tego królowę Eleonorę, która prymasem i obozem rakuskim władała i nim się posługiwała, choć mężczyźni walczyli z sobą, wojna była kobieca...

Jam też tej nocy dla mnie pamiętnej, nie wyszedł bez szwanku.

Posłano mnie do pana wojewody krakowskiego z kartką, od którego powracając, wstąpiłem do winiarni francuskiej, w której świeciło się, bom i głodny był i spragniony.

Tu ledwie się do kubka docisnąć było można, taki tłok i gąszcz ciasne izdebki napełniała.

Jeszczem po winie gęby nie otarł, słyszę za sobą na stole stojącego oratora, który wrzeszczy w niebogłosy...

— Co wy mi hetmana zalecacie? Sławicie jego zwycięstwa, albo to światu nie wiadomo, skąd jego moc i bogactwo pochodzą! Od wszystkich brał, gdzie tylko urwać było można... Płacili mu Turcy, płacił Neuburg, sypał Kondeusz... albo to nie cudowna rzecz, że gdy mu kto zawadzał, to go nagle choroba sprzątała... Zapytajcie, z czego zmarł król Michał i kto mu upiekł tę cyrankę, która go zadławiła? Kto sprzątnął prymasa, gdy niewygodnym stać się mógł?

Mnie, słuchają, krew buchnęła do głowy... i drżącą ręką szabli dobywszy, z tkrzykiem się rzuciłem na stojącego a perorującego ze sołu szlachcica, któregom na ziemię ściągnął.

W izbie ciasnota była wielka, ludzisków różnych kupa, jedni za mną, drudzy za obalonym stawać poczęli... Ja już spełna nie wiedziałem ani co czynię, ani na co się ważę i ledwie się podniósł z ziemi orator, z szablą na niego wpadłem.

— Bij się, szelmo!

Zaczęto nas rozrywać nadaremnie, bo mną taka złość miotała, taka jakaś siła wstąpiła we mnie, żem się i dziesięciu nie dał, a Litwina Suszkę, który tak przeciw hetmanowi bluźnił, po łbie raz i drugi ciąwszy, byłbym dobił, gdyby mnie gwałtem nie oderwano od niego...

Nie czułem tego nawet, że sam też cięty w ramię, ranny byłem i nie opamiętałem się aż w ulicy, bo mnie poznawszy, niektórzy uprowadzili poniewoli właśnie, gdy się Litwa mścić za Suszkę zabierała...

Tum się dopiero obejrzał, że mi ciepło w rękawie, ale

że ręką władać mogłem, nicem sobie z tego nie czynił, i ledwie chustką zawiązawszy, pośpieszyłem do Kazimierowskiego pałacu.

Alem już do hetmana samego z odpowiedzią pana wojewody nie mógł dostąpić, bo przy świetle się okazało, żem cały był krwią własną i ranionego umazany, a we łbie mi się też kręciło i padłem na łóżko, jak martwy.

Dopiero nierychło, gdy felczer hetmana Żyd nadszedł zawołany i ranę opatrzył, a mnie orzeźwił, do zmysłów przyszedłem...

Tłumaczyć się z tego, co się stało, nie potrzebowałem, bo Michałowski, teżd worzanin Sobieskiego, świadkiem był w winiarni całego zajścia i powodu, jaki miałem, ujmując się za cześć pana.

A choć tej nocy zasnąć prawie czasu nie miał, przyszedł sam hetman do mnie.

— Bóg zapłać, Polanowski—rzekł, pochyliwszy się nade mną,—ale powinieneś wiedzieć, że psie głosy nie idą pod niebiosy, a w takiej kupie ludzi nie się porywać jednemu z szablą... Łaska Boża, że cię nie rozsiekali.

Na co ja mdłym głosem odparłem:

— Człowiek niepoczciwej potwarzy słuchając, pomiarkowania nie ma.

A hetman uśmiechając się, bo mu już śpieszno było, odparł tylko:

— Janasz powiada, że was rychło wykuruje, tymczasem leżeć spokojnie...

Radnie rad w tej godzinie, gdy mi najgoręcej się chciało patrzeć i słuchać, zamknięty w dusznej izbie, przykuty do łóżka, męczyć się musiałem i polewką mnie karmiono, a wściekły głód męczył...

Szaniawski mi wiadomości wszelkie do poduszki przynosił.

— Nie stałoby nas wszystkich, ilu jest przy hetmanie—powiedział,—gdybyśmy za Francuzką się ujmować chcieli... On, jak on, ale ona się ma z pyszna, aż uszy więdną. Odgrażają się, że choć królem obrany został, co pewno nastąpić musi—jej koronować nie dopuszczą...

Ale o tem ja i wszyscy wiedzieli zdawna, że krom roz-

kochanego w sobie małżonka, wojewody ruskiego, którego sobie starała się pozyskać, kilku osób do rodziny należących, miłości nie miała u nikogo, ani się też ją pozyskać starała.

Zrażała dumą, mało powiedzieć królewską, bo się za bóstwo jakieś miała, a czci dla siebie wymagała nadzwyczajnej. Rzadko ją widzieć było można z wypogodzonem obliczem, rzadziej jeszcze od niej dobre słowo posłyszeć. Jak się czasem z mężem obchodziła, któremu wszystko była winna, choć się jej zdawało, że on jej wszystko zawdzięczał, o tem tylko my, domownicy, wiedzieliśmy!

Hetman to wszystko z niewymowną łagodnością i słodyczą znosił.

— My, obcy, nie obdarzeni taką świętą cierpliwością jak on i nie wdrożeni do ulegania, nieraz patrząc i słuchając zaciskaliśmy pięście, mrucząc:

— Aj dałbym ja ci, dał!

Od Szaniawskiego tedy wiedziałem, jak hetmanowa, nie zważając na to, co mąż mówił i zamierzał, niesłychanie była czynną z jednej strony, z drugiej Pacowa i królowa—i co na nie wszystkie wygadywano, szczególnie na piękną hetmanową, której faworom dla wojewody ruskiego przypisywano, że on za Sobieskim głos podniósł.

Oprócz tego Aleksander Lubomirski i książę Michał Radziwiłł i wielu innych elekcyę Sobieskiego gorąco popierali pomiędzy senatorami, bo u szlachty i tak miał mir wielki, jako dzielny żołnierz i dowódca.

Pani hetmanowa zaś obietnice przyszłych łask w rozdawnictwie wakansów nie szczędziła i oprócz tego samej rzeczypospolitej chciała od męża więcej pono przyrzekać, niż to, na co fortuna jego starczyć mogła.

Gdyby nie Szaniawski, który o mnie pamiętał, następnego dnia byłbym mógł z głodu zdechnąć i wszyscyby o mnie zapomnieli, takie było w pałacu zamieszanie, latanina, niepokój, przybywanie ciągłe gości, rozsyłanie na wszystkie strony, taka jeszcze, pomimo wyboru, niepewność, co z niego wyniknie.

Hetman—król wszystko to z wielkim znosił spokojem, ale co się z nią działo i że przeżyła tę gorączkę, lu-

dzie się wydziwić nie mogli, bo na przemiany to się radowała, to desperowała, odgrażając, że się z Polski wyniesie, że znać jej nie chce, jeżeli dozna sromoty... Do biskupa Krakowskiego, do wojewody ruskiego biegały a biegały posły.

Pacowie tymczasem, na Pradze osobnym obozem stojąc, obliczali się ze swojemi siłami, ale te okazały się za szczupłe, aby mogli wydać wojnę. Wdał się w pośrednictwo marszałek Połubiński, jeden z Ogińskich. Pozyskano biskupa Wileńskiego, i wkońcu mięknąć poczęli, choć kanclerzyna upokorzona rozpaczała...

Już tego dnia byłby biskup rad nierad, mimo nalegań i próśb królowej wdowy ogłosił Jana królem, ale Sobieski wbrew żonie, wbrew wszystkim oświadczył, iż korony inaczej nie przyjmie tylko jednogłośnie i zgodnie ofiarowanej, *nemine condradicente*, jak prawo chciało.

Nie powątpiewano już tej nocy, że nazajutrz okrzyknięty zostanie królem i Szaniawski mi relacyę z tego zdał, że w mieście i na Woli radość, ognie, strzelania i śpiewania, a pijatyka aż do rana trwały.

W pałacu znowu mało kto mógł zmrużyć oko, bo spokoju nie było ani w kuchni, ani w stajniach, ani na pokojach. Hetman tylko nad ranem poszedł do łóżka, gdy sama ona listy dyktowała i rozsyłała.

Tu mi się godzi wspomnieć o moich nieszczęśliwych z panną Felisią stosunkach. Jużem ją znał i każdego dnia lepiej wiedziałem, że płochą była a wedle wzoru pani swej i opiekunki postępowała we wszystkiem, ale na co człowiekowi rozum się zdał, gdy nim pasya owładnie.

Wszyscyśmy z królewskiej powolności dla żony szydzili, a jam słowo w słowo takim był dla tej dziewczyny, jak on dla swej Marysieńki. Robiła ze mną, co chciała, z nieba mnie do piekieł strącając i z otchłani dźwigając jednem paluszka poruszeniem. Niewiele ją to kosztowało, tak słabym byłem dla niej.

Dopóki nic się jej lepszego nie stręczyło, bywałem i ja dla niej dobry, uśmiechała się, podarki przyjmowała, rączki do pocałowania nie broniła, a no trafił się ktoś pokaź-

niejszy a spojrzał na nią i okazał jej, że mu obojętną nie była, szedłem w kąt i znać mnie nie chciała.

Naówczas poprzysiągłem sobie, iż nie spojrzę na nią nawet i zbliżałem się do Skorobohatej, która była dobrego serca dziewczęciem, szczerze mi sprzyjającem.

U Felisi nie trwało nic—po mnie wraz wstąpił w łaskach niejaki Bartkowski, herbu Świnka, którego my całą świnią przezywaliśmy, bo otyły był i ciężki, ale za bogatego uchodził. Ojciec jego starostwo miał i za króla Michała dla syna prawo następstwa sobie wyrobił, *jus comunicativum.*

Zawsze więc już jam nie mógł sprostać.

Ten pono niedługo w jej sercu gościł, jeżeli tę gospodę sercem się zwać godziło.

Nastręczył się przy Jabłonowskim będący, młody i ładny chłopak, wojskowo służący, Kostecki, który oszalał niemal dla niej.

Na mnie więc ani patrzeć nie chciała, ale zarazem Francuz inżynier, świeżo z Francyi przybyły, zjawił się na naszym dworze i przylgnął do niej.

Kostecki się o tem dowiedziawszy, że panna z nim, po ogrodzie przy pałacu, który rozległy był i bardzo piękny, wieczorami sam na sam długie odbywa przechadzki, odstręczył się i porzucił. Francuza hetman wyprawił do zameczków, które chciał mocniej opatrzeć, Bartkowskiego też gdzieś nie stało—mogła przyjść znowu kolej na mnie.

A było to właśnie pod ten czas, gdym leżał ranny.

Zdziwiłem się mocno, widząc ją wchodzącą do mnie z ochmistrzynią starą. Byłem *sit venia verbo*, tak głupi, żem to wziął za dobrą monetę, za dowód jej serca litościwego i na nowo rozgorzałem. Szaniawski, nie chcąc mnie martwić, z tem, o czem wiedział, zamilczeć wolał.

Panna, usiadłszy na chwilę,—jako towarzyszka ochmistrzyni, niewiele mówiła, ale się uśmiechała i okazywała taką miłą dla mnie, iż mi, mogę powiedzieć, sił i zdrowia dodała.

Chociaż i inne osoby, do naszego dworu należące, odwiedzały mnie też z kondolencyami, z powodu, żem dla czci królewskiej cierpiał—bytność u mnie panny Felisi

wziąłem za szczególny dowód jej łaski.—Znowu mi głowę zawróciła.

Rana moja nie była niebezpieczną, ale się goiła powomnie trzymała między czterema ścianami właśnie podówczas, kiedy było najwięcej do słuchania i widzenia.

Szczęściem, że dobrzy przyjaciele, Szaniawski i Morawiec, na przemiany przychodzili i przynosili, co który posłyszał. Morawiec zaś, choć na to nie wyglądał, z cicha pęk—niezmiernie zręcznie umiał chwytać w powietrzu plotki i podglądać a podsłuchiwać.

Przez te dni przyszła królowa chodziła w gorączce, bo wdowa po Michale, która naprzód z Lotaryngskim chciała panować, potem gotową była Francuza poślubić, naostatek teraz z pomocą Paców powzięła szaloną myśl, aby sejm Sobieskiemu kazał się z żoną rozwieść, a ją poślubić.

Ukrywano to przed hetmanową, ale przed nią żadna się intryga utaić nie mogła. Trzeba było widzieć jej wściekłość, gdy się dowiedziała o tem!

Próżno hetman, klęcząc, z palcami złożonemi poprzysięgał jej, że prędzej się korony zrzecze, niż sobie warunek taki da narzucić, ona, sama z siebie miarkując, nie uspokoiła się, dopóki naostatek *Pacta Conventa* nie zostały spisane i poprzysiężone. Dopiero się uczuła panią—a że zemstę na wszystkich tych, co przeciwko niej stawali, dopóki żywota wywierać postanowiła... o tem i mówić nie potrzeba.

O każdym kroku królowej wdowy wiedziała hetmanowa, bo za nią i do Bielan i do Częstochowy słała swoich, a nie odetchnęła, aż Te Deum odśpiewano i uroczyście królem okrzyknięto.

Od tej chwili poczęło się, można powiedzieć, panowanie jej nad Rzeczpospolitą całą z wyjątkiem nieprzyjaciół, którzy jej przebaczyć nie mogli tego nadzwyczajnego szczęścia i których ona też nienawiścią ścigała do końca. Była zawczasu już dumną i wymagającą czci i hołdów—teraz wszelką miarę straciła i baczność.—A że jej się kłaniano, padano przed nią, że najwięksi panowie, książęta, duchowieństwo dla męża ją szanowało—a we-

dle naszego obyczaju uniżenie bardzo się zachowywało... musiało ją to upoić.

W życiu mojem to zawsze postrzegałem w narodzie naszym, że—jedno z dwojga, albo się uniżał i korzył, padając do stóp i całując nogi, albo stawał się zuchwałym i grubijańskim. Środka między temi krańcami mało kto się trzymał. Królów zaś u nas nawet rokoszanie wenerowali... jako pomazańców bożych.

Razem z panowaniem przyszła królowa musiała rozpocząć wojnę, nie jak mąż z Tatarami i Kozakami, ale z kanclerzyną i mnóstwem zazdrosnych a dumą jej obrażonych.

Wedle zwyczaju odwiecznego, powinien był odbyć się teraz pogrzeb nieboszczyka króla i koronacya obojga królestwa, ale tę musem było odłożyć, bo wojna się odkładać nie dała, a Sobieski może też myślał, że się umysły uspokoją i przejednają—bo mu donoszono, iż nieprzyjaciele koronacyi królowej przeszkodzić się gotowali, a przynajmniej wywołać burzę i dumną kobietę upokorzyć.

Zaledwie Te Deum odśpiewano, gdy już przyszła królowa, wraz z posłem francuskim i swoimi przyjaciółmi i przyjaciółkami tak czynnie się krzątać poczęła około rozdawnictwa urzędów, starostw i wszystkich tych, jakiemi król rozporządzał,—że sobie wrogów namnożyła bez liku.

Trzeba ją było widzieć pod ten czas, naprawdę swem szczęściem i potęgą upojoną, dwakroć dumniejszą i kwaśniejszą, niż kiedykolwiek była, mściwą, rozkazującą, despotyczną i nie szanującą nikogo. Jedni tylko posłowie obcych mocarstw, Nuncyusz szczególniej i biskup marsylski, byli wyjątkami, bo dla nich pewny respekt miała, obu ich potrzebując; co do innych, nie oszczędzała nikogo.

Można sobie wyobrazić, ile nienawiści, sarkań, gniewów, obudziła przeciwko sobie. Z kobiet nawet te, z któremi dawniej w przyjaznych była stosunkach, wszystkie zrażone się od niej cofnęły i jawnie lub skrycie poprzechodziły do obozu nieprzyjacielskiego.

Król zaś, wyjąwszy, gdy szło o wojsko i obronę granic, we wszystkich innych sprawach ślepo jej był posłuszny. Gdy się w czem oparł, dąsała się, zamykała, nie

wpuszczała go do siebie, nie dawała rączki dotknąć i wkońcu wymogła, co chciała.

W rozdawnictwie urzędów musiał Sobieski choć ze wstydem dopuścić, aby zaprowadzony za Władysława i Kazimierza system, który Marya Ludwika do końca utrzymywała, nie został zmieniony.

Wiadomem było, że za wszystko sobie Francuzka płacić kazała—a wychowanica jej natychmiast przyjęła ten obyczaj, o czem król wiedzieć nie chciał; on ulegał i milczał. Zwało się to porękawicznem, było niby podarkiem dobrowolnym—ale się targowano, jak na jarmarku, kto da więcej i na zasługi nie zważano wcale, tylko na zapłatę.

Nigdy to nawet tajnem i tajonem nie było, w początkach ostrożniej, potem śmielej oferty się czyniły, a ten, co zapłacił, głośno mówił, co królowej dał.

Stąd wszędzie, nawet po miejscach publicznych, paszkwilusze i urągowiska rosły, ktoby chciał za wszystkie się ujmować i rąbać, prędkoby go nie stało.

Trąbiono o tem po mieście, ale że obyczaj ten wprzód nastał, niż hetmanowa królową, było się czem zasłonić, że tak zawsze się praktykowało.

Mnie ręka porąbana, choć rana się zdawała mało znacząca, nie dawała jeszcze w świat wyjść, nosiłem ją na opasce, nie chciała się goić, a władnąć nią nie mogłem.

Matka moja, która dla gospodarstwa i interesów oddalić się z domu nie mogła—pisała a pisała, żądając, abym dla kuracyi i spoczynku na wieś do niej jechał—a mnie tu ta niepoczciwa Felicya przykutym trzymała, tylkom się wymawiał przed jejmością doktorami, o których tu łatwiej było.

Tyczasem liczba dworu naszego urosła, ludzi przybyło i coraz pokaźniejszych, więc i moja łaska u Francuzki coraz zaczęła mniej się okazywać. Powrócił naprzód ów inżynier, który nad Prutem i Dniestrem zameczki opatrywał, i myślał, że dawne swe prawa odzyszcze, ale tu znalazł przy pannie, oprócz mnie kaleki, com się nie liczył, drugiego Francuza, też ze dworu biskupa Marsylskiego, i jednego Polaka na przyprzążce.

Ja póki z izby nie wychodziłem, nie patrzałem na to,

o czem mnie poczciwy Szaniawski nie chciał informować, oszczędzając umartwienia, o niczem nie wiedząc, najlepsze miałem nadzieje, ale raz pierwszy siadłszy znowu u marszałkowskiego stołu, gdzieśmy razem jadali przekonałem się, iż abszyt dostałem, a o dziewczynie płochej nie było co i myśleć.

W początku o małom się z tej aprehensyi nie rozchorował na dobre, alem nakoniec przemógł się i postanowiłem na czas jakiś do matki zjechać, aby Felisię z oczów stracić.

Zameldowałem się więc zrana, gdy się odziewał król, który o mnie dobrze pamiętał: zobaczywszy mnie; zawołał, rękę postrzegając na chuście:

— A cóż to waść jeszcze nie wydobrzał! Nie mówiono mi o tem nic, przecież staranie o tobie mieli?

Pokłoniłem się, dziękując i prosząc o dozwolenie pojechania do matki

— Jedź,—rzekł Sobieski —ale młodemu się na wieś zakopywać nie życzę. Wieś nie ucieknie, a młodość drogą jest. Ja o waszmości pamiętać będę, i czy przy dworze, czy w wojsku miejsce się dla was znajdzie!

Kazał mi dać wiatyk, choć skromny, którego przyjęcia odmawiać nie wypadało, i tak Francuzki nawet żegnać nie myśląc, zaraz się do podróży sposobić począłem.

Ale dziewczyna była, jak młoda, tak już dobrze wyedukowana,—więc choć miała poddostatkiem wielbicieli i mnie puścić nie chciała, a manewrowała tak, żem z nią mówić musiał, a zalotne jej wejrzenie wziąć z sobą do Polanki do domu.

Wiedziałem bardzo dobrze, iż na nią rachować, na lodzie budować było, ale czy pasya rozumuje?

Jechałem precz z taką w sercu tęsknicą, jakbym tu największe szczęście porzucił.

Dopiero, gdym się w znajomych okolicach znalazł a zbliżać począł do gniazda, serce się poruszyło i zapomniałem o wszystkiem, myśląc tylko o matce, którą widzieć miałem, o Julusi i o domu.

Coraz pośpieszając, bo mnie teraz coraz mocniej ciągnęło do swoich, nocą przybyłem do Polanki, gdy już wszystko spało.

Co za radość była, aż do łez, jakie witanie—ile uścisków, co pytań! nie potrzeba pisać!

Matkę znalazłem trochę postarzałą, i jakby zmęczoną, Julusię znacznie wyrosłą, a największą niespodzianką było dla mnie, żem zastał Michała, któremu ojcowie, w towarzystwie drugiego starszego kleryka, na parę dni do domu przybyć dozwolili. Bóg wie, czybym go gdzieindziej był poznał, tak się z twarzy, ruchów, obyczaju, w głosie nawet i całej postaci odmienił.

Spoważniał bardzo,—alem go nie znalazł smutnym, a gdym we cztery oczy pytał, czy mu dobrze było i czy z wyboru stanu zawsze był rad, odpowiedział mi, że zupełnie się czuł szczęśliwym.

Matka się skarżyła, że jej gospodarstwo, interesy i wychowanie Julusi, trochę na lata jej przychodziło za ciężko... ale do pozostania w domu mnie nie namawiała, powiadała, że powołania słuchać należało, do czego komu Bóg dał ochotę.

Nie przyznałem się przed nią, ani nawet przed Julusią do tego, że gdyby nie owa przeklęta Francuzka, która mnie oczarowała oczyma bazyliszka—pewniebym był na wsi pozostał.

Jak się tylko w sąsiedztwie dowiedziano, iż dworzaninm króla JMci, przybył w odwiedziny do matki, drzwi się u nas nie zamykały, tak wszyscy ciekawi byli ode mnie dowiedzieć się o elekcyi i o tem, co się w Warszawie działo. Na prowincyi z wyboru wszyscy byli radzi, na hetmanie pokładano nadzieje wielkie, a o królowej mało co kto wiedział, tyle tylko, że Francuzką była, a to za nią nie mówiło, bo Maryę Ludwikę pamiętano, która miłości nie miała—choć pono od tej nowej królowej daleko była lepszą.

Czas mi tu zszedł do jesieni, mogę powiedzieć, piorunem, zasłyszałem i Szaniawski mi doniósł, że król się na odzyskiwanie Ukrainy i przeciwko Tatarom a Turkom wybierał. Chciałem i ja stąd pośpieszyć wprost do niego, czy do Lwowa, czy do Żółkwi, lub gdziebym o nim zasłyszał, ale ręka się uparcie jątrzyła, mimo balsamów i plastrów, które matka, na wagę złota przepłacając, sprowadzała.

Śmiech powiedzieć dopiero, gdym te leki porzucił, a prostą babę przywołano, która ranę obmyła i jakieś ziela zgotowawszy, niemi mi okładać zaczęła rękę, prędzej ognia się pozbyła i goiła.

Ale pomimo to, i jesień i zimę przebyłem przy matce, tak, że dopiero w roku 1675 mogłem się na nowo wybrać do króla na służbę.

Ręka była zabliźniona zupełnie, a jednak mi w niej pozostała jakaś sztywność, której długo się nie mogłem pozbyć.

Przez cały ten czas wierny mi przyjaciel Szaniawski regularnie pisywał, a choć listy, różnemi drogami przychodziły nierychło—miałem ciągle wiadomości ode dworu. Donosił mi, że Felicya zawsze adoratorami chodziła otoczona, ale że w coraz większych była łaskach u królowej, więc niebardzo na kogo patrzeć chciała, coraz wyżej nadziejami sięgając. Królowa się nią posługiwać lubiła, bo jej myśli odgadywała, a u nóg leżała pokorna...i wprost adorowała ją, jak bóstwo.

Zarazem jednak w fraucymerze królowej nienawiść ku niej była wielka, bo nikomu nic dobrego nie wyświadczyła, a donosiła i zniechęcała panią do swoich towarzyszek.

Jako się tedy postanowiło, żem powrócić miał na usługi do króla, tak się spełniło. Na nowo tylko wóz, konie i wszystką moją wyprawę matka opatrzyła, aby mi na niczem nie zbywało i żeby się mnie pan pułkownik Polanowski nie wstydził. Wziąłem też jednym koniem więcej i jednym pachołkiem, tak, że z wyrostkiem miałem ich trzech do posług, a więcej nie było potrzeby.

Już na samem wyjezdnem Szaniawski mi dał znać, że król sobie życzył, abym wprost do niego do obozu przybył, gdy ja dla Francuzki tej nieszczęśliwej spodziewałem się zostać przy królowej. Nie twierdzę tego napewne, ale Szaniawski, który mnie oderwać chciał od tych niezdrowych amorów, jak on je nazywał, przyczynił się może do tego, abym jej nie mógł widywać zbyt często.

Z listów dorozumiewałem się tego, co mnie miało spotkać przy królu. Nieukoronowanego jeszcze prześla-

dowały intrygi, i nawet na życie czyhano, o czem mało kto wiedział, bo sprawa uduszona została, ale to pewna, że mu truciznę gotowano i że podczaszego oddalić musiano.

Na Paców cała Rzeczpospolita za nową zdradę oburzoną była, gdyż tak, jak z pod Chocima, tak znowu z Ukrainy od króla precz odeszli, samego zostawiając. Hetman jednak zmiarkował wkrótce potem, że nienawiść powszechną ściągnął na siebie, bo mu publicznie imieniem zdrajcy w oczy ciskano. Pacowie w rakuską opiekę ufali, a królowa Eleonora, w Toruniu siedząca, spiskowała.

Powtarzano powszechnie, jakoby Sobieski wojewodzie ruskiemu miał to często powiadać:

— Los Michała i mnie nie minął, mści się Opatrzność za to, cośmy mu dali cierpieć!!

Jakem króla znalazł, gdym powrócił do niego, opowiedzieć mi trudno—męczennikiem mi się zdał i chwilami rozpacz go ogarniała.

Wojska przy nim nie pozostało nad kilkanaście tysięcy, Kozactwo, Tatarowie i ogromna siła turecka w części niszczyła już kraj, a więcej jeszcze zagrażała mu zawojowaniem. Zdradzany przez swoich, pomimo największych ofiar, największych wysiłków, Sobieski wątpił już, azali podoła nawale.

Prawda, że odejście Paca nawet Litwę przeciwko niemu tak podniosło, iż musiał króla przebłagać i naprawić, co zawinił, chociaż teraz to trudniej przychodziło, bo nieprzyjaciel miał czas wzmódz się w siłę. Sobieski, który się spodziewał, jako zwycięzca, sięgnąć po koronę, zawiedziony w nadziejach, niemal do szaleństwa był doprowadzony. Nigdym go też nie widział czynniejszym i tak niezmordowanym.

W sierpniu już Lwów był zagrożony, król miał wszystkiego kilkadziesiąt tysięcy żołnierza, Litwę w to licząc, a Nuraddyn, który już pode Lwowem leżał, poprzedzający Ibrahima paszę, nierównie wielmożniejsze prowadzącego zastępy, sam czterdziestu tysiącom dowodził.

Gdyśmy do Lwowa z królową i całym dworem przy-

byli, już jedno tylko z ust Sobieskiego słyszeć się dawało— albo tu paść lub zwyciężyć!

On też jeden w początku męstwo okazywał i w Bogu nadzieję, a niemi drugich natchnął, bo gdyśmy przybyli do miasta, tylko łzy i narzekania słychać było, a kto mógł, uchodził precz... Dopiero gdy go ujrzano krzątającego się, ciągle, na koniu, działa rozstawującego, wojsko opatrującego, a pogodne okazującego oblicze — duch też wstąpił i w wojsko, i w mieszczan.

Na dwa dni wprzódy, nimeśmy pod murami Turków nadciągających ujrzeli, łuny stały dookoła po całych nocach, aż strach i groza patrzeć było.

Sobieski z góry to zapowiedział, że byle się Turcy ukazali, nie dając im obozem się położyć, natychmiast na nich rzucić się musi. Wszystko to tak przygotowanem było, ażeby Nuraddyn większych sił, niż wistocie były, miał wyobrażenie. Dlatego jak pod Zbarażem i Beresteczkiem, użyto fortelu, iż kopijników lance i proporce osobno w zaroślach zatknięto, przestrzeń niemi znaczną zajmując, która zdala jak wojskiem osadzoną się wydawała.

Przed wyciągnięciem z miasta, w kościele oo. Jezuitów król, królowa, hetmanowie, starszyzna, pułkownicy przed obrazem ś. Stanisława Kostki modlili się ze łzami.

Patrzyłem na Jana wówczas, alem na jego twarzy tylko zapał i niecierpliwość widział. Wprost z kościoła, żonę ze łzami w oczach uściskawszy, Fanfonika całując— konia dosiadł.

Choć to było w końcu sierpnia, ale dzień burzliwy i straszna zawierucha z gradem i śniegiem nas poprzedziła... gdy Turcy zaledwie się rozkładać mieli.

Sroga ich mnogość stała przed nami, tak, że przy pierwszem starciu jazda nasza złamać się dała, ale król przyskoczył sam, wołając:

— Albo niech mnie ubiją tu, lub zwyciężyć musimy! Naprzód!

Próżno go, jako wodza i króla, powstrzymywać chciano, żołnierzem był tylko w tej chwili — ani Radziwiłł, ani Lubomirski, ani Pac, którzy go odciągali, nie mogli

nic. Puścił się na czele pułków, a to tak wojsko całe zapałem wielkim przejęło, iż z góry runęło impetem okrutnym na Turków, którzy go nie wytrzymali.

Kto zna sposób ich wojowania, wie to, że raz złamani, gdy, wedle wiary swej, widzą w tem rękę przeznaczenia, iż ginąć mają, już się nie opierają. Dlatego popłoch na nich rzucić pierwsza rzecz, bo z losem walczyć nie umieją.

Jak skoro tył podali, już było tylko ścigać i zabijać, chociaż, na oko samo, bo liczby Turków dokładnej nie znał nikt, było ich pewnie trzykroć tyle, co nas — a uchodzili; tak ścigano i zabijano po drodze, że ich ranek następny o osiem mil ode Lwowa zastał.

Nikt tak dobrze charakteru muzułmanów, sposobu wojowania ich nie znał, jak Sobieski, i to mu dawało wielką wyższość nad innymi wodzami. Zapobiegł, aby się do kupy zebrać nie mogli, kazał ścigać pojedyńcze oddziały, a gdy raz zwycięstwo na naszą pochyliło się stronę, już wiernie nam służyło. Dopiero duch, męstwo i ufność w siebie powróciły.

Muszę też to przyznać wszystkim, których w boju przy królu widziałem, że, nie wyjmując Francuzów, dzielnie się i z męstwem niewypowiedzianem wzorem króla — potykali. Biskup marsylski, Forbin, na com patrzał, dwa konie miał zabite pod sobą, a kawaler de Maligny nikomu się wyprzedzić nie dawał. Powziąłem respekt dla narodu tego, o którym dotąd, z samych kobiet sądząc, całe inne miałem wyobrażenie.

O sobie tego powiedzieć nie mogę, abym kontent był, bo mi ta ręka przeklęta, jeszcze słaba, nie dawała być czynnym, iżem stał a patrzył, a serce mi się w piersi tłukło, jak młotem. Zrywałem się z koniem nie jeden raz, aż mnie Szaniawski, za cugle chwytając, strzymywać musiał. A jak całe życie do guzów i ran miałem szczęście wielkie, iż mnie nigdy nie mijały, gdziekolwiek ich napytać było można, tak i pode Lwowem, choć stałem na boku za dworem, kula mi skroń drasnęła i skórę zdarła — z czego tylko śmieliśmy się i plaster zaraz położony przez parę tygodni ze mnie bohatera czynił. Kula snać słabą

była, bo się po kości oślizgnęła, za co Panu Bogu niech będą dzięki.

Cudem było, żeśmy się nawałe Turków opierać mogli, ale króla rozpacz ogarniała, że mu Podhajce wzięto i spalono, a Ibrahim szedł na Trębowlę, choć zamek z położenia samego bronić się i trzymać obiecywał.

O tem oblężeniu Trębowli siła się nasłuchałem rzeczy sprzecznych i do wiary niepodobnych, ale to poświadczyć mogę, iż nie darmo Chrzanowskiej, żonie dowódcy przypisują, iż się Turkom oparła, aż król z odsieczą nadciągnął. Wistocie ona nietylko na zamku czuwała — mężowi dodawała męstwa — ale sama z pistoletami na czele oddziałów jeździła na wycieczki i tak się potykała odważnie, że ją najstarsi żołnierze podziwiali; niewiasta była godna mężczyzną się rodzić.

Gdyby nie ona, byłby Trębowlę ten sam los spotkał, co Zbaraż, który tchórząc, zabiwszy Dezotela, Francuza, tam dowodzącego, Turkom zdali, w nadziei, że ich oszczędzą.

W Trębowli też schroniona uboga szlachta i osadnicy z okolicy już się zmawiali zamek poddać, ale im Chrzanowska zagroziła, że wpierw w powietrze zamek wysadzi, niżeli dopuści poddania.

Chrzanowskiego później za to sejm uszlachcił, bo chociaż żonę szlachciankę miał, rodem z Kurlandyi (von Fresen), sam prostej kondycyi człowiekiem był.

Chrzanowska Turkom tak się dzielnie opierała, że do wściekłości ich doprowadziła, bo i dział mieli dosyć, i ludzi poddostatkiem, a przecież zamku nie dostali, a gdy o królu zasłyszeli, tak się ulękli, że od oblężenia ustąpili, uchodząc ku Kamieńcowi.

Ale nie pośpieszyli się oddalić i przez rzekę przeprawić, gdy król na nich wsiadł i bitwę stoczył krwawą, która dla nas szczęśliwie się skończyła, bo Turcy, od niewolników zasłyszawszy o królu, nie czekając reszty, na pobojowisku zostawując kilka tysięcy trupa, odciągnęli pod Kamieniec.

Samo imię Sobieskiego już starczyło, aby ich trwogą

przejąć i precz odegnać, tak, że Ibrahim aż za Prut i Teret się przed nim cofnął.

Pan Bóg mu błogosławił i Polskę przez niego z wielkiego uratował niebezpieczeństwa, chociaż nie było końca na tem, bo Kamieniec został w ręku Turków, a odwet, o który się kusić musieli, zagrażał. Ale król przynajmniej wytchnąć mógł i na nowe zdobyć się siły.

Ja z rozkazu pana, z listami jego do Żółkwi go wyprzedzić musiałem, gdzie zwycięzcę już po całym świecie wysławionego, posłowie mocarstw obcych powitać mieli— chociaż on pewnie mniej to sobie ważył, niż ucałowanie rączek najukochańszej Marysieńki, za którą jak tęsknił, jak do niej posyłał, jak jej listów żądny był, tego ja wypowiedzieć nie potrafię.

W Żółkwi znalazłem królowę, jeżeli to być mogło, teraz jeszcze nowemi męża tryumfami i sławą jego, po całym świecie rozniesioną — dumniejszą, niż przedtem była. Przystąpić do niej było trudno, takiego bałwochwalczego poszanowania wymagała, a w pojęciu jej na świecie całym chyba równej jej nie było. Kto chciał u niej nie łaskę, ale bodaj wejrzenie łagodniejsze pozyskać, musiał padać, czcić i wenerować, jako dawniej poganie czcili swe bóstwa i okadzali.

Nie było jednej z pań, krewnych i najdostojniejszych naówczas niewiast, z którąby w zgodzie wytrwała a wkońcu się nie skłóciła — że od niej uciekać musiały. Nikt z nią nie mógł wyżyć, krom tego nieszczęśliwego męża, a i ten cierpiał więcej, niż się rozkoszą napawał.

A co to był za człowiek!! Gdyby nie ta jedna jego słabość dla żony, która wcale miłości warta nie była i mówiła mu czasem w oczy, że go nie kochała, bez skazy bohaterem swego wieku i narodu nazywaćby go można. Do czegokolwiek się wziął, w każdą sprawę serce wkładał, a to jest największa w świecie rzecz... Na wojnie cały był żołnierzem, życia sobie nie ważąc wcale — na polowaniu tak samo łowcem był namiętnym; z uczonymi rozprawiając, co niezmiernie lubił, gotów był całą noc na dyskusyach spędzać, o spoczynku, jadle i napitku zapomi-

nając, naostatek tak samo i w tem nieszczęsnem kochaniu miary nie było u niego.

Pomimo, że go pierwszym bohaterem swojego wieku głoszono, dumy nie miał najmniejszej, a kondycyi swej ludzkiej nie zapominał — pobożny, modlił się gorąco, duchownych szanował, a przez to jednak z Tatarami, z żydami poufale obcując, nigdy ich wiary nie tknął. Dla służby pan najlepszy, a komu przyjacielem był, temu do żywota wiernym pozostał.

W Żółkwi, choć i nowe budynki naprędce powznoszono dla pomieszczenia koni i służby, choć domowi musieli wszyscy niemal po chałupach się tulić, miejsca zabrakło dla wszystkich, co się tu zjechali, aby Sobieskiemu winszować i starać się go sobie pozyskać. Cudowne sukcesa jego oręża, nad przeważnemi siłami otomańskiemi odniesione, imię jego i narodu daleko rozniosły tak, że od perskiego szacha wspaniałe przybyło poselstwo z podarkami, które przeciwko carowi moskiewskiemu przymierza jego szukało.

Przybyli też z powinszowaniem poseł cesarski, króla angielskiego, transylwański, elektora Brandeburgskiego, nie licząc biskupa marsylskiego Forbina, który tu u królowej szczególniej był w łaskach, a chlubił się tem nie daremnie, że on Sobieskiemu do korony był pomocą.

Ze wszystkich Francuzów, jakichem się tu napatrzył dosyć, bo ich zawsze pełno było, ksiądz biskup marsylski zawsze mi się najwięcej Francuzem wydawał, w którym krew narodu tego i temperament był zawsze najwidoczniejszy. Biskupa takiego u nas znaleźćby trudno i jemu podobnego trudno sobie wyobrazić.

Chodził, mówił, przymilał się, dowcipkował, jak gdyby więcej o świecie, niż o Bogu myślał. Towarzystwo kobiet bynajmniej go nie zrażało, ani ich galanterya, na którą nie patrzył obojętnie. Przytem przepych, elegancya, wystawność, pański ton — coś napół rycerskiego, dla mnie go tak osobliwym czyniły, żem się go napatrzyć nie mógł.

Było zresztą i innych wiele do widzenia rzeczy, dla mnie nowych i dla całego dworu naszego. Jeden tylko

król dosyć obojętnie patrzył i słuchał, a splendory i tytuły nie czyniły żadnego na nim wrażenia.

Więcej może niepokoił się zbliżającą koronacyą, o którą królowa nagliła, chociaż była brzemienną i przez to nakazywano się jej szanować.

Wiedziano dobrze w Żółkwi, że królowa Eleonora wdowa, dotychczas jeszcze w Toruniu przemieszkująca, intrygowała z Pacami, aby sejmiki i szlachta nie dopuściły koronacyi margrabianki d'Arquien po arcyksiężniczce austryackiej — ale intrygi te się nie powiodły. Nie mogąc zapobiedz koronacyi, knowano przynajmniej, aby w kościele czasu jej — rozruch i skandal wywołać, o czem też Sobieski, a wprzódy ona była zawiadomioną i obmyślano zawczasu środki, ażeby do kościoła niepewnych ludzi nie dopuścić.

Dość o tem napomknąć, aby dać wyobrażenie, co się u nas na dworze działo i jaka panowała gorączka a niepokój. Posłów wesołą twarzą przyjmować musiano, gdy w duszy gniew i troska się gnieździła, gdy codzień na wszystkie strony listy i posły się rozchodziły.

Mnie, już zdawna, jako zbyt dobrodusznego, niezdatnym do potajemnych knowań uznano, więc chyba z ważnemi pismami tylko czasem byłem wysyłany, a ustnych poleceń mi nie dawano. U królowej też miru nie miałem. Za to król JMści lubił dworskich rozmów słuchać, a listy królewskie przychodzące nie każdy czytać potrafił. Mogli głośno mówić, co chcieli, nie zrozumiał nikt nic, jeśli wtajemniczonym nie był.

W kółku królowej szczególniej nikt się własnem nazwiskiem nie mianował, ale miał przydane sobie, czasem nie jedno, ale dwa i trzy różne, aby, gdy listy kto podchwyci, nie doszedł z nich nic. Pisywali królestwo do siebie cyframi, ale to była nader uciążliwa rzecz odczytywać je potem.

Wolano się więc posługiwać tym umówionym językiem.

Król w listach zwał się Orondatesem, Feniksem, prochem (la poudre), Celadonem, Jesienią (automne)

i Sylwandrem; królowa Astreą, Bukietem, Klelią, Korynką, Mandaną, Słowikiem, Różą.

Krewnych królowej zwano Betes, Jana Kazimierza aptekarzem, królowę Maryę Ludwikę Girouette. Po abdykacyi Kazimierz zwał się już tylko kupcem paryskim (marchand de Paris); Michała Wiśniowieckiego przezwano Małpą, a matkę jego Viola di Gamba.

Nie zliczyć tych różnych przypadków, często obelżywych, czasem dowcipnych.

Zamoyski, wojewoda sandomierski, chodził pod nazwiskiem Wołu (Boeuf), Jan Zamoyski Fleta lub Konia fryzyjskiego, Stanisław Jabłonowski mianował się Dożą, pani Dönhofowa, podkomorzyna, Egipcyanką, Dymitr Wiśniowiecki — Śledziem, Kondeusz — Czaplą, Jerzy Lubomirski — Jaskółką i Żmiją. Morsztyn podskarbi i Prosiakiem i Wróblem bywał... Stanisław Rewera Potocki pod koniec zszedł u nich na stary pantofel.

Listy się nazywały konfiturami, zdrowie Odorem, Elekcya Myślą albo Widmem, miłość Pomarańczą, rozwód Inteligencyą. Później jednak król tego języka zaniechał... — lubił mnie i papiery a pieniądze powierzał często.

Pod koniec roku 1675, wyprzedzając dwór z poleceniami króla, musiałem jechać do Krakowa, gdyż niedalej, jak w styczniu, koronować miano oboje królestwo.

Opisywać tych obrzędów, jakie wedle starodawnego obyczaju towarzyszą koronowaniu, nie będę, bo się to znajdzie u innych. Wiadomo powszechnie, iż jakby dla przypomnienia nowemu panu znikomości wszech rzeczy ludzkich, koronacyę poprzedza pogrzeb zmarłego króla. Na ten raz zaś, co się dotychczas nie trafiło, nie jednego, ale dwu monarchów poprzedników pogrzebać miano; bo i zmarłego we Francyi Jana Kazimierza ciało sprowadzono i Michał Wiśniowiecki czekał nie pochowany na swego następcę.

Mogłem się przypatrzeć ceremoniom wielce wspaniałym, które w cudzoziemcach podziwienie wzbudzały, szczególniej, gdy rycerze we zbrojach konno do kościoła

wpadając, przy katafalku kopie i godła panowania kruszyli.

Pielgrzymka do grobu Ś. Stanisława męczennika, zamordowanego przez Bolesława Śmiałego, pokutnicza można powiedzieć, należy też do koronacyjnych obyczajów.

Lecz sam dzień koronacyi najmocniej niepokoił króla, królowę i przyjaciół ich, wiedziano bowiem, że przez pośrednictwo wdowy Eleonory austryackiej, wszyscy zazdrośni a niechętni, nie śmiejąc przeciwko Sobieskiemu wystąpić, gotowali się w kościele królowej, jeśli nie przeszkodzić, to przynajmniej zatruć tę chwilę uroczystą.

Od rana też, jak tylko kościół otwarto, wcisnęli się do niego ci, co ich nie dopuścić byli powinni. Do tych oczywiście my wszyscy ze dworu króla należeliśmy, a porozstawiano nas tak wszędzie, że gdziekolwiek śmiał się wyrwać warchoł z sykaniem, albo wykrzykiem, było komu zatkać mu gębę.

Mieliśmy też rozkaz w razie nieprzyjaznego wołania jakiego, zagłuszyć je wiwatami.

Chociaż Bóg widzi, królowej nigdy wielkim wielbicielem nie byłem, a za pana naszego żal do niej miałem, przyznać każe prawda, iż piękną bardzo była jeszcze naówczas, choć młodość miała za sobą. Tego jednak dnia, czy to dla cierpienia stanowi swemu właściwego, czy z trwogi, wydawała się prawie brzydką i dziwnie zmienioną. Dumą tylko i srogością wejrzenia nadrabiała, choć widać było, iż drżała ze strachu i nogi pod nią się chwiały.

Na Sobieskim religijne skupienie ducha i niemniejszą też obawę widać było, bo czuł, co często powtarzał, że się na nim to spełnić miało, co z jego pomocą Michała umęczonego do grobu wtrąciło.

Gdy nadeszła chwila ta straszna koronowania Maryi, czuć było po całym kościele podburzenie jakieś, dawano sobie znaki, starali się ode drzwi wcisnąć ludzie nieznani, wszystko zwiastowało niebezpieczeństwo. Aleśmy czuwali, a oprócz nas, dworzanie Jabłonowskiego, Radziwiłła, Sapieżyńscy i co było bliższych przyjaciół Sobieskiego.

Marya Kazimiera szła tak blada, iż można się lękać było, by nie omdlała, a ciężkie ubranie mogło się też przyczynić do tego; ale miała siłę nad sobą wielką, a gniew i ressentyment ją podwajał.

W chwili, gdy koronę na skronie miał wkładać arcybiskup, wistocie sykanie i urywane jakieś wyrazy słyszeć się dały z różnych stron, ale natychmiast zahukano je wiwatem, a po kątach nawet do starcia przyszło, które niepostrzeżone wprędce i bez wybuchu się skończyły.

Przy uczcie na zamku i zabawach, które nastąpiły, królowa już całą swą odwagę, dumę i despotyczny charakter jawnie odzyskała; na twarzy jej jaśniała radość niewypowiedziana i szyderskie napawanie się tryumfem, gdy król poważny był i smutny.

Słyszałem sam, gdy Lubomirskiemu powtarzał: — Weselszymbym był, gdybym rzeczpospolitej Kamieniec przyniósł za tę koronę, którą mnie obdarzyła!

Nazajutrz jeszcze w rynku krakowskim przyjmował król uroczysty hołd i podarunki miasta Krakowa. Królowa na to z Kamienicy naprzeciw z orszakiem swym patrzyła, postarawszy się o to, aby Jakóbek konno przy ojcu wystąpił, otoczony senatorami i rycerską młodzieżą, jako królewicz i książę.

Ni mniej, ni więcej wszystkie teraz myśli i starania ku temu skierowane były, aby familii tron zapewnić i dynastyę nową ufundować.

Głównym pomocnikiem królowej do tego, jak we wszystkich innych jej zabiegach i intrygach, był szlachetny, zacny, ale tak jak i król słaby dla niej — rozkochany, podbity niewolnik, wojewoda ruski, Jabłonowski. W oczy bił ten jej stosunek z panem wojewodą, który też królowi był najwierniejszym, ale królowej więcej posługiwał, niż jemu.

Spodziewała się też ona za te usługi wymódz na mężu dla niego buławę wielką, co się na ten raz nie powiodło.

Co król z tego powodu wycierpieć od niej musiał, jakim cudem oprzeć się jej potrafił, a Jabłonowskiego sobie zjednać, iż mu za złe nie miał, że go mniejszą buławą kontentował, tego ja wytłómaczyć nie potrafię.

Być może, iż stan zdrowia królowej, która wkrótce potem wydała na świat córkę, ułatwił Sobieskiemu to trudne zadanie. Wziął więc wielką buławę Dymitr Wiśniowiecki, a inne też wakanse, zdaniem wszystkich, tak rozumnie były rozdane, aby nieprzyjaciół ukoić i pojednać.

Olszowskiemu dostało się arcybiskupstwo, a pieczęć Wielopolskiemu, który siostrę królowej, Maryę Annę, miał poślubić.

Nie moja rzecz o tem pisać, co na sejmie pod obrady przyszło, pamiętam tylko ogólną tę impresyę, że rozum króla i przezorność jego, a troskliwość o dobro rzeczypospolitej wysławiano, i to, że Sobieski powtarzał a bił w jedno, że przedewszystkiem potęgę otomańską złamać było potrzeba, a kraje zagarnięte przez kozactwo i Turków odzyskać.

Królowa co innego miała na myśli.

Przed wyborem Sobieskiego, za panowania Michała jeszcze, odbyła podróż do Francyi, po której nieprzyjemne jej pozostało wspomnienie, gdyż u dworu tej konsyderacyi i miejsca nie mogła pozyskać, do jakich rościła sobie prawo.

Zdawało się jej teraz, że ukoronowana królowa, gdyby się do Francyi udać mogła, odwetby uzyskała i na równi z rodziną francuską, panującą, stanąćby musiała.

Zdaje mi się, że dworujący a nadskakujący jej biskup marsylski, któremu kapelusz kardynalski przyobiecała, pomagał ile zdołał, ale wszystko się rozbiło o nieprzezwyciężony upór Ludwika XIV, który królowi elekcyjnemu ani tytułu „Majestas" przyznać, ani na równi go z sobą nie chciał stawić.

Posłano z tem szwagra królowej, markiza de Bethune, spodziewając się, że przywiezie pomyślne rozwiązanie.

Na dworze głoszono tylko, że zdrowie królowej, ostatnią słabością mocno zachwiane, koniecznie się domagało jakichś wód francuskich i francuskiego powietrza.

Niecierpliwiła się tak królowa, bynajmniej nie powątpiewając, że Ludwik XIV, którego ojcem chrzestnym

dla dziecięcia swego wybrała, musi uledz jej wymaganiom— iż nie czekając nawet powrotu posła, wyruszyła w drogę, czemu Sobieski oprzeć się nie mógł.

Zabrawszy więc z sobą Jakóba, najstarszego, i dwór świetny a liczny, do którego ja, dzięki Bogu, nie należałem, wyruszyła z Żółkwi do Francyi. Myśmy swobodniej oddychali, gdy jej nie stało i cieszyliśmy wypoczynkiem, gdy nagle i wcale niespodziewanie w furyi i gniewie królowa razem z markizem de Bethune, do Żółkwi powróciła.

Starano się potem całej tej podróży już rozgłoszonej i powrotowi nadać inne znaczenie, ukryć doznany zawód, gniew i pragnienie zemsty — ale — szydła w worku nie utaić. Nieprzyjaciele się radowali, Sobieski był wielce markotny, choć pilniejsze sprawy go zajmowały.

Od tej podróży, można powiedzieć, poczęła się niechęć wielka i gniew na Francyę a krzyżowanie wszelkich jej do pozyskania sobie Polski zabiegów, co się później czuć dało.

W kilku słowach o tem mówię, bo trudno się rozwodzić — ale myśmy na skutki patrzyli i cierpieli, a u dworu każdy gniew królowej i jej wola wnet się mocno czuć dawały. Z dnia na dzień ci, co u królowej wprzódy w łaskach byli, popadali w nienawiść. Mściwą bowiem była i nieprzebłaganą, gdy kto jej miłość własną podrażnił.

Jam naówczas ani głęboko, ani daleko młodemi i niewprawnemi oczyma nie sięgał... wielu też rzeczy sobie wytłumaczyć nie umiałem, które później zrozumiałem dopiero.

Moje nieszczęśliwe rozmiłowanie w tej Francuzce trzymało mnie tylko przy dworze, alem się starał więcej przy królu, niż przy królowej służbę sprawiać, co się nie zawsze powodziło. Królowa mało mnie znała i nie lubiła pewnie, com z jej oczów czytał, ale wiedziała o tem, że mi zawierzyć było można, czem się nie cały jej dwór mógł pochlubić; często więc od króla żądała, aby mnie oddał na jej posługi.

Przyczyniało się do tego faworu, wcale mi niepożądanego, żem na nieszczęście w oko wpadł najulubień-

szej ze sług, powiernicy i niemal przyjaciółce, bez której królowa żyć nie mogła, pannie Federba...

Wstyd o tem mówić i pisać. Było ich dwie przy królowej, nienawidzących się wzajem, zazdrosnych o siebie, trzęsących całym dworem i więcej może, niż nim—panna Letreu i ta Federba.

Z prostych panien służebnych, umiały się jej stać tak niezbędnemi, że się bez nich obejść nie mogła.

Ja naówczas, jak ludzie powiadali, niczegom wyglądał, a wiedziano też, żem z dobrego rodu pochodził i nie bez grosza był.

Nie wiem zaprawdę, jak mogłem się podobać Federbie, która była już niezbyt młodą i dobrze przywiędłą i, choć z twarzy niebrzydką, ale wychudłą strasznie, tak, że ją służba, do kościotrupa porównywając, Kostuchą przezywała.

Letreu daleko baczniejsza, powolniejsza, chytrzejsza może i ostrożniejsza, nie miała ani w części tego niezmordowanego ducha intrygi, tej czujności i daru szpiegowania, co Federba, przed którą się nic utaić nie mogło. A miała też u królowej mir nadzwyczajny i gdy co chciała na niej wymódz, zabiegała tak, że mimo Letreu, która się starała przeszkadzać, zawsze postawiła na swojem.

Wiedzieli o tem wszyscy, iż Federba, każąc sobie płacić za przystęp do królowej, za jej łaski, za każdą pomoc, dorobiła się już dosyć pięknego grosza, a że miała przytem wpływ wielki—na starających się o jej kościstą rączkę nie zbywało. Lepszych ode mnie było kilku, ale skarał mnie Pan Bóg tem, że się we mnie rozkochała.

Z początku temu wierzyć nie chciałem, anim przypuszczał, gdy mi pierwszy Szaniawski oczy otworzył. Było to czasu pobytu owego w Żółkwi, przed koronacyą, gdy ścisk był niezmierny.

Staliśmy z nim razem pod strychem w izdebce takiej, że ledwie między dwoma na ziemi siennikami naszemi przejść było można. Szliśmy zwykle spać nadedniem, znużeni tak, że i do rozmowy ochoty brakło.

Powiada mi nagle, śmiejąc się, przyjaciel:

— Pilnuj-no się, Adasiu, bo cię Kostucha zabierze.

— Co tobie? jaka? — spytałem.

— Nie widzisz nic?

— Cóż mam widzieć?

— Toć Federba cię oczyma zjada i za tobą biega nie bez kozery.

We mnie się wszystko zburzyło.

— Słuchaj — rzekłem — głupie to żarty, — daj mi pokój, bo gniewać się będę. Cóżem ja u ciebie nie wart więcej nad to, żebym Federbie służył?

— Nie myślę wcale żartować — poważnie odparł Szaniawski — ale widzę, żeś ślepy, bo patrzysz tylko na Felicyę, która się od ciebie odwraca, a tymczasem stara Kostucha za tobą biega! Albo ci to wielkie szczęście przynieść może, jeżeli ambitnym zechcesz być, albo — pomstę jej na siebie ściągniesz, co niebezpieczną rzeczą jest.

— Bój się Boga — zawołałem — cóż ona mi zrobić może? W najgorszym razie ode dworu odsadzi — pojadę do domu.

Na myśl mi przyszła Felicya i westchnąłem mimowoli.

— Prawda — dodałem — że tej Francuzicy nieszczęsnej nie widzieć, śmierciąby było dla mnie.

Przekonał mnie Szaniawski, różne drobne przypominając okoliczności, iż wistocie Federba miała coś do mnie, jakbym jej był do czegoś potrzebnym. Nie przypuszczałem jednak, żeby to miała być miłość — bo na samą tę myśl — dreszcze mnie przechodziły, taki do tego kościotrupa wstręt miałem.

Nazajutrz, już na baczności będąc — przekonałem się, iż Szaniawski prawdę mówił, alem pocieszał się tem, iż może jej, wiecznie intrygującej, do innej sprawy jakiejś u króla byłem potrzebnym. Ostrożnie i grzecznie starałem się z drogi schodzić.

Postrzegłem i to, że Francuza inżyniera mocno u Felicyi popierała, aby mnie zrazić dla niej. Siadaliśmy codzień dwa razy razem do stołu... tego uniknąć nie mogłem. Prawie zawsze albo Letreu albo Federba naprze-

miany z nami jadały, rzadko obie, bo jednej z nich królowa potrzebowała nieustannie.

Służba ta ich przy pani była szczególnego rodzaju. Spełniały niby około osoby jej — nawet najpospolitsze obowiązki przy wstawaniu, ubieraniu, kąpielach i t. p., ale to im tylko służyło do przynoszenia plotek, do zawiązywania intryg lub do odbierania rozkazów różnych, które spełniały. Często też po całych dniach się jedna z nich gdzieś odprawiona absentowała. Ci, którym o łaski królowej chodziło, co o wyjednanie czegoś się starali, jak w dym szli do jednej lub drugiej.

Ludzie utrzymywali, że choć Federba więcej się poruszała i wydawała czynniejszą, Letreu tłusta, blondynka piegowata, z włosami rudawemi — jeszcze od niej była zwinniejszą.

Wpływ ich na królowę był tak wielki, czemu mi się zrazu wierzyć nie chciało, że siostra rodzona, która za Wielopolskiego wychodzić miała, ks. Radziwiłłowa, siostra króla, inne panie i panowie, nie wyjmując wojewody ruskiego Jabłonowskiego, musieli je sobie zjednywać. Niema mowy o tem nawet, że król też te potęgi szanował, nigdy się z niemi w walkę nie wdając.

Pozwalał sobie czasem żartów z tego, iż królowa tak im ulegała, ale Marya Kazimiera wpadała w gniew, a Sobieski na klęczkach najukochańszą Marysieńkę przebłagiwać musiał. Wszystkim było wiadomem, iż do królowej najprostsza i najpewniejsza droga prowadziła przez garderobę.

Mnie dotychczas było to obojętnem, bo chyba dla pozyskania Felisi byłbym się starał o łaski Letreu lub Federby. Teraz zaś i ta moja głupia, nieszczęśliwa miłość była tak zdesperowaną, żem tylko patrzeniem i napawaniem się widokiem Felisi musiał się karmić.

Rozum mi powiadał, że z tak płochego, a w takich przykładach wychowanego dziewczęcia, żony przywiązanej i wiernej, któraby się domowem szczęściem na wsi kontentowała, mieć nie będę. Desperowałem więc, wątpiąc, abym ją mógł pozyskać, bo ona też nie chciała mnie, a pomimo to ciągnęła, rwała ku sobie i gdzie tylko ją

widzieć było można, słowo przemówić, pewniem nie chybił.

Wstyd mi było pasyi tej, spowiadałem się z niej i modliłem na intencyę, aby mnie Bóg z tych utrapionych więzów wyzwolić raczył. Ilem razy próbował — nie wytrwałem.

Na ratunek wzywałem, Skorobohatę, gwałtem się usiłując do niej przywiązać, i—kto wie—możeby to się wkońcu powiodło, ale Federba, dojrzawszy tego, tak chodziła około królowej, około rodziny Skorobohatych, że ją *insperate*, przemocą za mąż wydała. Dziewczę do mnie lgnące już opierało się nadaremnie, rodzice chcieli tego, partya była dobra, stało się po woli Kostuchy.

Ciarki po mnie chodziły. Szaniawski mi jedno radził:

— Proś się na wieś do matki, zejdź jej z oczów.

Rada pewnie dobrą była, ale zejść z oczów znaczyło też i Felisi nie widzieć, a ja sobie mówiłem — tyle mojego szczęścia, że choć na nią patrzę i nasycam się tem.

Przyznałem się przyjacielowi, który takiej miłości, jak moja, nie rozumiał; miał słuszność, ale co tu pomógł rozum, kiedy człowiek chodził jak pijany.

— No, a cóż poczniesz, gdy za mąż wyjdzie? — pytał Szaniawski.

— Tak samo się za nią włóczyć będę, jako i teraz — rzekłem.

Ludzie to czarami zwali i trunkom jakimś miłosnym przypisywali takie bezrozumne umiłowanie, dziś się śmieją z tego, ale pasyi tej leczyć się nie nauczyli.

Dawał mi siebie za przykład Szaniawski, że on wcale się tak kochać jak ja nie był zdolnym, czego mu winszowałem, ale ludzie nie wszyscy są do siebie podobni.

Znając przywiązanie do mnie Szaniawskiego i obawy, jakie miał, lękałem się, aby i on potajemnie się nie starał na czas jakiś mnie od dworu oddalić i zakląłem go na przyjaźń naszą, aby tego nie czynił — powtarzałem mu ciągle — tyle mojego, że ja ją widzę!!

Coraz jawniej owa fantazya Kostuchy ku mnie okazywać się zaczęła. Już i drudzy prześladowali nią, a co

gorzej, gdy który miał sprawę jaką, zwracali się do mnie, abym pomagał i pośredniczył, czemu się stanowczo opierałem. W dodatku ta jej miłość śmiesznym mnie czyniła, bo Kostucha wcale powabną nie była... ani miłą.

Ale obawiano się jej, jak ognia.

Czasu podróży do Krakowa i koronacyi, trochę byłem od niej wyswobodzony, ale zato i Felisię widywać było trudno, a ta mnie nie szukała, wprost czasem drwiąc ze mnie, bo pewna była, że jednem słowem potem przyciągnie ku sobie.

Lecz dość o tem. Musiałem u samego króla się prosić, aby mnie do siebie wziął, bo już po sejmie na gwałt się wybierał na wojnę. Wszystko dobrze rozważywszy, com miał lepszego do uczynienia?

Trzeba się było gwałtem oderwać od niegodziwej tej dworki, uciekać od prześladującej mnie Federby, a w ostatku i nie gnuśnieć wśród tych babskich intryg.

A i to mnie ciągnęło, żem króla kochał i widział go wydanego na łup niegodziwy. Cała potęga pogańska ciągnęła z tym Baszą, którego szatanem zwano, a u nas jeszcze chodziły plotki, że król nie na Turków wojsko zbierał, ale chciał Prusy wojować dla siebie i iść w pomoc Francuzom.

A tu tymczasem siła nieprzeliczona pod nowym Seraskierem już nad granicę ciągnęła...—a Turcy przez szpiegów swoich wiedzieli, że Sobieski ledwie garść miał do stawienia przeciwko nim.

Ale nigdy Sobieskiego liczba nie ustraszała. Był on takim wodzem, iż dla niego położenie, rozstawienie, stan wojska, chwila stanowiła o wygranej, a nie wielkie hufce. Na przewagę liczebną nie rachował.

Miałem sposobność to już powiedzieć, iż Turków znał doskonale, których raz złamać było dosyć, aby im na całą wyprawę męstwo odjąć. A czemu mi trudno wierzyć, ale co po ludziach chodziło, że w wielu razach, wodzów, gdy tylko przychodziło do układów z nimi, wprost kupował pieniędzmi...

Nie podaję tego za prawdę, lecz już to, że utrzymywano jakoby się to działo — coś znaczy.

Gdy król cokolwiek ludzi mógł zebrać i wystąpić, trzeba się już było na własnych śmieciach bronić, tak Turcy daleko wtargnęli.

Cała ta wyprawa, można powiedzieć, cudowną była i więcej powinna Sobieskiemu przynieść sławy, niż wszystkie jego zwycięstwa!...

Nie wiem, czy który hetman inny byłby się ważył na tak śmiałe, zuchwałe, można powiedzieć, stawienie czoła wojsku kilkakroć liczniejszemu, we czterdzieści tysięcy niespełna, dając się otoczyć i zamknąć w zewsząd opasanym obozie... Słyszałem starych żołnierzy rozpowiadających, że tak samo pod Podhajcami zmógł nieprzyjaciela, choć był przez niego oblężonym.

Szliśmy pośpiesznie, przez Dniestr się przeprawiwszy ponad brzegami jego, aż do ujścia Stryja, który przebywszy też, posunęliśmy się pod Żórawno... Tu się wszystko miało rozwiązać.

W Żórawnie już o Turkach dostaliśmy języka, że cała ich potęga o mil kilka od nas była. Nie mieliśmy czasu do stracenia, trzeba było ledz obozem i zaraz się okopać, nimby Turcy nadeszli... Piechotę więc zostawiwszy z łopatami i rydlami, król z jazdą posunął się naprzód zabawiać nadchodzących, pókiby okopy nie były gotowe.

Mało co posunąwszy się dalej ku rozległej dolinie, jużeśmy stąd mogli widzieć, jak okiem zajrzeć całą zalaną, zasypaną, niezliczonemi namiotami i stadami koni i ludzi.

Jezu miłosierny! Widząc te tłumy dziczy a licząc się z tem, cośmy mieli z sobą, dreszcz przechodził, zguba zdawała się nieuniknioną.

Woziłem wówczas za królem to, czego mógł potrzebować pod ręką, stałem zawsze blizko, mogłem się twarzy przypatrzeć; nigdym na niej trwogi nie widział najmniejszej. Ile razy położenie stawało się trudne, ożywiał się, poruszał widocznie, budził, dawał rozkazy i zdawał tylko niecierpliwić najmniejszą zwłoką.

Ze wzgórza, gdy przed nami roztoczył się widok na to olbrzymie mrowisko, przeżegnał się i krzyż w powietrzu

zakreślił... stał milczący trochę i wnet z Lubomirskim, który przy nim był, prawie wesoło rozmawiać zaczął.

— Cofać się potrzeba w porządku do okopów—rzekł— ale jak najpowolniej, nie sądzę, aby oni bardzo napierali, nad Świeczą trochę może ich potrzymamy... tymczasem wał powinien być usypany...

Cały jeden dzień staliśmy nad tą rzeczką, którą Turcy wbród po różnych miejscach zaczęli przechodzić. Gdzieniegdzie do małych utarczek się zrywano... wkońcu już musieliśmy do okopów wnijść, chociaż naprawdę jeszcze było co koło nich robić, ale łopaty nie próżnowały...

Żórawno, mała mieścina, na prawym brzegu Dniestru w Pokuciu, leży w widłach u ujścia Świeczy do niego; majętność ta należała wówczas do Sapiehów.

Całą obroną był nędzny wał, zapadły w ziemię, darniną okryty... Zamku nie było nigdy, tylko dwór pański, albo gubernatorski, około którego też wał drugi taki sam, a po rogach cztery usypy, na których ustawiano małe działka, dla obrony od Tatarów, którzy tu często zaglądali, ale wiadomo, że oni na obleganie czasu nie mają.

Idąc dalej w górę Dniestrem, rozkłada się nad brzegiem piękna, szeroka równina, płaska, jak stół... nie więcej jak w pół mili od Żórawna, a jeszcze dalej poczynają się trzęsawice i błota, nie do przebrnienia.

Z błot tych głębokiem korytem płynie dosyć znaczny strumień wody. Ten przeżyna równinę całą, obraca kilka młynków pod miasteczkiem w przekopie i uchodzi do Dniestru.

Na przeciwnym brzegu rzeki tej wznoszą się pagórki i wzgórza, gęstym okryte lasem, poniżej i powyżej Żórawna.

Myśmy się położyli obozem w tej części doliny, która jest między miasteczkiem a błotami. Lewe nasze skrzydło osłaniało po części Żórawno, w części rzeczułka Świecza, którą wszędzie wbród przejść było można w tej porze roku, chociaż wiosną i po ulewach wzbierała gwałtownie i niosła się bardzo wartko. Prawe skrzydło nasze osłaniały błota, a na tyłach mieliśmy Dniestr i lasy

na wzgórzach. Od nieprzyjaciela z frontu usypany był okop świeży, poczynając od miasteczka aż do błota, o ćwierć mili od strumienia z niego wypływającego, którego koryto równolegle z naszemi okopami ciągnęło się.

Ledwieśmy do obozów weszli, gdy król, z konia nie zsiadając, począł objeżdżać obozowisko. Dwóch Francuzów inżynierów, Dupont, Lubomirski, i nas kilku towarzyszyliśmy mu. Rozmowa z Francuzami wszczęła się bardzo żywa — i zaraz, jak stał król, ponaznaczał miejsca na reduty, które niezwłocznie sypać się zabrano, bo nie było chwili do stracenia; zamiast jednego okopu osadzonego działami, starczyło na dwie linie fortyfikacyi, na których artylerya rozstawiona być miała, tak, że gdyby Turcy jedną linię zdobyli, druga się mogła opierać i kulami ich zasypać.

Do roboty około okopów wzięto się, nie zwlekając tejże chwili, ale Turcy też szli za nami tak w trop, że się na to patrzyli, jak nasza piechota z łopatami się uwijała.

Król, jak sam mówił, spodziewał się, że nieprzyjaciel, widząc nas okopujących się, będzie się starał przeszkadzać. Rachował tak dalece na to, iż pułki stały gotowe do odparcia.

Tymczasem Seraskier, któremu pono niewygodnie było w dolinie, spokojnie się rozpoczął rozkładać też, o sobie naprzód myśląc, nie o nas.

Drugiego dnia przekonawszy się o tem, Sobieski uśmiechać się począł. Słyszałem, jak mówił do Duponta:

— Przechwalili szatana, wódz z niego nie tęgi, gdy mi daje spokojnie się tu fortyfikować i nie przeszkadza. Będzie za to musiał drogo zapłacić...

Korzystając z tej niezdarności Seraskiera, kazał jeszcze Sobieski sypać kilka redut między lasem a błotem, które później się wielce przydały.

Ja, com po raz pierwszy widział ten kraj, choć nasz Wołyń mu miejscami nie ustąpi, nie mogłem się piękności jego nadziwić, chociaż go to plugastwo pogańskie szpeciło. Lasy, wzgórza, rzeka — cud — jakie mi się to wydawało śliczne! Ale gdzie było poza nasze obozowisko wyjrzeć,

wszędzie namioty tureckie i tatarskie niby kretowiska, wojłokami pookrywane siedziały skupione.

Tureckie obozowisko dzieliła od nas rzeczka Świecza, o której mówiłem. Od tej począwszy, ciągnęło się ono poza błota, wokoło otoczone Tatarami.

Ja z początku nie umiałem rozpoznać jednych od drugich, ale rychło się nauczyłem.

Języka ciągle różnego przyprowadzano, król miał też Tatarów swoich na usługach, którzy się wciskali do obozu i przynosili wiadomości.

Nuradyn sułtan stał po drugiej stronie rzeki na górach ze znacznym oddziałem wojska.

Strach było pomyśleć, spojrzawszy dokoła, bośmy byli jak w wianku otoczeni, tak, że ani od nas, ani do nas się przecisnąć nikt nie mógł.

Patrzałem na króla tylko, ale na twarzy jego, oprócz wielkiego zapału i ochoty, nic nie było można czytać, nie spróżnował chwili, koń stał ciągle gotów, ledwie zsiadł, często suchym kawałkiem chleba się pożywiwszy, ledwie do namiotu wszedł, już go wywoływano i znowu na koń, na drugi koniec obozu.

Ze wszystkiego widać było, iż Sobieski o Seraskierze miał daleko lepsze wyobrażenie, niż doświadczenie później poznać go dało.

Spostrzegliśmy, że i on, który z taką ogromną potęgą naprzeciw naszej garści się położył, nie czując się bezpiecznym, okopywać się począł, na co król ramionami ruszył, bo mu te szańce nie były potrzebne, a nam dawał czas do lepszego obwarowania się. Francuscy inżynierowie uśmiechali się, a Sobieski mruczał:

— Bogu dzięki! Dyabeł nie tak straszny, jak go malują!

Mnie, com po raz pierwszy w obozie był i na wojnie, wszystko naówczas niepomiernie dziwiło. Jak skoro miałem chwilę czasu wolnego, wybiegałem z Morawcem aż do drugiego okopu, aby na obóz turecki patrzeć.

Na Świeczy postawili mosty, bo ona między nami a nimi płynęła, jakem mówił, posypali koło nich reduty, a działa poustawiali.

Do utarczek prawie nie przychodziło, choć u nas ciągle czujność była wielka, bośmy się co godzina napaści spodziewali.

Połapani Tatarowie powiadali, że Seraskier dokoła nas otoczywszy, spodziewał się głodem wziąć i dlatego się nie śpieszył, owszem, umyślnie zwłóczył, myśląc, że bez wojny i przelewu krwi zmusi do poddania się.

Całą tak niedzielę wypoczywaliśmy, nie śpiesząc z wyzywaniem ich.

Król tylko, oko na nich mając, czekał.

Szóstego czy siódmego dnia dopiero ruszyli się za Świeczą, wyszli ku niej, ciągnąc za sobą ogrom wyciętego chróstu i gałęzi, bo myśleli groblę na rzeczce sypać dla przejścia.

Nam się już tak naprzykrzyło z założonemi rękami, że Lubomirski się wyprosił także wyciągnąć z obozu ku rzeczce i choćby stanąć, aby im pokazać, że i my w pogotowiu jesteśmy.

Sądziliśmy, że jak już chróstów nagromadził kupy i hacić począł, tak popróbuje do nas przejść.

Ale przyszło południe, nadszedł wieczór, Turcy się zminęli postawszy i do swego obozu powrócili, nie zaczepiwszy nas.

Wyglądało to na jakąś zabawkę. Ukażą się oni za Świeczą, występują nasze pułki także, patrzymy na siebie zdaleka godzina, dwie, Turcy powracają do obozu, a cokolwiek później my także.

Stary żołnierz, który zawsze jest wesołej myśli, choćby już mu wnętrzności wydzierano, żarty sobie stroił z Seraskiera, choć byli i tacy, co mówili:

— Nie bójcie się! mądry on jest! nie lekceważyć go.

Dwudziestego dziewiątego Septembris znowu z obu stron, jak na monstrę, wyciągnęły wojska, a z prawej strony Seraskier od błota postawiwszy część jego, sam przez mosty się przeprawił i naostatek podstąpił pod reduty nasze, które naprzód były wysunięte.

Król, gdy mu dano znać, wyjechał sam rozpatrzeć się i dragonów swych z pułkiem wyprawił, aby nieprzyjaciela odegnać.

Była to pierwsza utarczka krwawa, do której nasze wojsko szło spragnione, chciwe boju, z wielkim zapałem, ale i Turcy też walczyli zajadle. Można powiedzieć, że ważyło się zwycięstwo kilka razy, ale nasze posiłki stały w gotowości, uchowaj Boże porażki; a pod wieczór Turcy musieli się zwinąć i nazad za mosty, za Świecz uchodzić, tak, że dragonom pierwszy bój się poszczęścił.

Przez trzy godziny się ucierano.

Nazajutrz myśleliśmy, że się to ponowi, ale Turcy zostali w obozie i małe tylko oddziały występowały niby na harc, a postawszy nad rzeką, wracały, nic nie przedsiębiorąc.

Z naszej strony, ile razy oni wyszli ku nam, myśmy też stawili się na przyjęcie, ale od Septembra dni ostatnich do ósmego Octobris nie przyszło do starcia. Naszym się to oczekiwanie sprzykrzyło, ale król kazał mieć cierpliwość.

Ósmego wysypało się ich daleko więcej, a za pierwszemi oddziałami tuż szli Janczarowie i z pochodu król zaraz odgadł, że pomiędzy nasze reduty chcieli się wcisnąć, zostawując za sobą Janczarów, którzy mieli zdobywać pierwszą linię naszą, odciętą od wojska. Do tego nie dopuszczono i zaraz z prawego skrzydła puściła się jazda na nich z takim impetem, że ich złamała i zmusiła za forty umknąć.

Seraskier sam pod buńczukiem zielonym dowodził i jak tylko zobaczył uchodzących, natychmiast im posiłek posłał; Tatarowie też ruszyli się w pomoc kupami, ze zwykłym swoim wrzaskiem.

Z naszej strony Sobieski nie ograniczył się na pierwszych pułkach i sukurs wyprawił tak, że walka się zawiązała około pierwszych fortów zajadła wielce i można powiedzieć, że się tu ważyły losy całej wyprawy chwilami, gdyby, uchowaj Boże, jazda nasza złamać się dała i pierwszy szaniec opuściła.

Król z konia nie zsiadał. Dotąd cały bój się na prawem skrzydle toczył, ale wtem Seraskier z tych wzgórzów, na których stał od lewego, spuścił się z dosyć silnym oddziałem wpław przez Dniestr, potem przez Świecz

i natarł z drugiej strony, aby tu odciągnąć część sił, gdyż rachował na to, że król ich wiele nie miał.

Z bijącem sercem patrzałem na to, przy królu stojąc, który kilka razy to na prawo, to w lewo chciał sam się rzucić, ale go nie puszczano.

Na prawem skrzydle ciągle walka była najzajadlejsza, trzeba było coraz nowe posiłki wyprawiać, a Tatarowie, przez błoto przebrnąwszy, usiłowali tył zająć naszym, ale tu działa ich tak przywitały, że nie mogli się dalej posunąć. Huk był straszny, bo ogień nie ustawał.

W środku zaś wojska oba nieruchome stały.

Jak się zaczęło około południa, tak dopiero nad wieczorem skończyło tem, że nasza artylerya zmiotła tę ciżbę, okrutną moc jej nabiwszy i nie dając iść, dalej.

Pod jej zasłoną nasi, napadłszy dzielnie, naostatek przegnali napastników, których siła uchodząc, w błocie się potopiła na prawem skrzydle; a na lewem też się im nie lepiej powiodło. Dosyć, że o zmroku z tej strony Świeczy trupy tylko leżały, a żywi wszyscy przez mosty i wpław jak kto mógł salwowali się do swojego obozu.

Dopóki życia mojego, dzień ten mi będzie pamiętnym, mogę powiedzieć, żem oczy wypatrzył, jak stanąłem z wlepionym wzrokiem w ten bój straszny, takem ich już do zmroku odwrócić nie mógł.

Zapomniałem o głodzie, ogłuchłem, zdrętwiałem stojąc gdyby słup, a gdy wszystko się skończyło, mrok padł, a Morawiec mnie począł za rękaw sukni targać, jakby z drugiego świata zstąpiłem, zobaczywszy go. Cała moja dusza była przez ten czas na bojowisku.

Z naszej strony zabitych było niewielu, przecież najdzielniejszych padło kilkunastu, a rannych mniej więcej ciężko nie policzyć było. Turków, jak słyszałem, potopionych i pobitych do trzech tysięcy z Tatarami rachowano.

Przez całą noc potem opatrywaliśmy rannych, dawano jeść i pić zgłodzonym i zmęczonym, a radowano się i Bogu dziękowano za zwycięstwo.

Nazajutrz, jak się spodziewać tego było można

Turcy spokojnie leżeli w obozie, od którego językaśmy mieli, że im dla koni na paszy zbywać zaczęło, bo na kilkanaście mil wkoło kraj był zniszczony i wycieńczony, że nic w nim, oprócz gałęzi poschłych znaleźć nie było można.

Trudno temu uwierzyć będzie, co powiem, choć to tylko piszę, na co patrzyłem i czegom dotykał. Staliśmy tak opasani wkolusieńsko, że i myszy do nas dostać się było trudno. Król bardzo tęsknił nad tem, że od żony wiadomości nie miał, ani o sobie jej mógł dać znać, gdy dziesiątego Octobris, jak dziś pomnę, w parę dni po tej bitwie, nocą się zjawił na naszych czatach na samem skrzydle Tatarzyn. Widziałem go, więc zaświadczyć mogę, iż wistocie niktby w nim nie poznał przebranego posłańca, który szyję ważąc ode Lwowa się tu przekradł do króla z pismami.

Był to niejaki Drążewski, znany z tego, iż przez długą u Tatarów i Turków niewolę tak się wyuczył ich mowy, obyczaju, nawet modlitw i umywania, tak się opalił, a nawet twarzą stał podobnym do tej dziczy, iż go nikt w świecie nie mógł wziąć za kogo innego, tylko za rodowitego Tatara.

A i temu uwierzyć trudno, iż miał pasyę do przekradania i zwodzenia Tatarów i Turków. Sam się zawsze ofiarował na to niebezpieczeństwo, bo dosyć było podejrzenia, ażeby go strzęśli, a listy miał pozaszywane w czapce, w kożuszku... w skórzniach nawet...

Gdy królowi o Drążewskim powiedziano, iż ze Lwowa przybywał, wybiegł sam naprzeciw niego i tylko że go nie uściskał... Tymczasem zaraz poczęliśmy go rozdziewać i pruć, co na nim było, aby się dostać do pomiętych papierów, pomoczonych i zabrukanych...

Z tych się król dowiedział, że Radziwiłł, hetman polny litewski, pode Lwów przyprowadził dziesięć tysięcy z Litwy, ale z nimi się do naszego obozu przerznąć nawet nie było można myśleć. Oprócz tego we Lwowie siedzieli szwagier królewski Bethune i Anglik Hyde. Pierwszy z nich przywoził jakiś order od francuskiego króla... Anglik, który sobie Tatarów wyobrażał narodem,

jako drugie, szanującym prawo pospolite, uparł się posłać trębacza paradnie wystrojonego z tłumaczem, którego mu dał Radziwiłł, domagając się, aby go przepuścili jako posła do króla do obozu... Tatarowie spotkawszy ich, po swojemu się z nimi obeszli i pościnali, a głowy posłali Seraskierowi, za czem Anglikowi odeszła ochota próbować pod Żórawno się dostać.

Oprócz tych wiadomości, miał król list od Jejmości, który całował i czytał, i nacieszyć się nim nie mógł, a serca mu przybyło jeszcze, tak się tem uradował...

Drążewski, któremu mogło jednej takiej przechadzki być dosyć, już trzeciego dnia, wyspawszy się i posiliwszy, do króla poszedł, ofiarując się z listami do Lwowa.

Chłop był, jakem mówił, przysiądz można, patrząc na niego, że Tatarzyn, bo nawet nos miał płaski i skądsiś wziął oczy pokoszone, jak u Tatarów, mały, gruby, czarny, niezgrabny, ale nieopłacony...

Gdy się napił a był dobrej myśli, począł Tatara udawać i na dywaniku przysiadłszy, turecki majufes odprawiać, ręce podnosić, składać na piersiach, czołem o ziemię bić, tylko było patrzeć a dziwować się.

Ksiądz kapelan nasz wyrzucał mu to, iż się mahometańskiego nabożeństwa wyuczył, ale on tłumaczył się, że Pan Bóg po turecku rozumie i będzie wiedział, jako Drążewski Chrystusa się dla Mahometa nie zaparł, choć go pono Tatary gwałtem obrzezały...

Po tej bitwie Seraskier snać powrócił do pierwszego swego postanowienia, aby nas głodem wziąć...

Żołnierzom było łatwiej, bo żywności, choć ladajakiej, mieliśmy jeszcze dosyć, ale konie cierpiały i byłyby wyzdychały nam z głodu, gdyby nie ten zrąbek lasu, który okopany był pomiędzy obozem naszym a Dniestrem, gdzie się szkapy jako tako żywiły. Koń zaś nasz z biedy i strzechę je, i gałęzie ogryza, wychudnie prawda, ale, by wodę dobrą miał, będzie się trzymał.

Seraskier zaś sam tak cierpiał z końmi swojemi, jak i my, a może gorzej, bo ich daleko więcej miał, a w okolicy na mil dziesięć i dwanaście źdźbła trawy nie było.

A że się pogańcowi po dwakroć nie powiodło

zmódz nas w potyczkach, fortelu postanowił zażyć cale niespodziewanego, a przynajmniej niezwykłego, bo się chciał jak do twierdzy do nas przekopami dostać.

Dzień i noc pracowali nad niemi, ażeby nie dać robotnikom spoczywać, Seraskier kazał swoje namioty rozbić wśród robotników janczarów i doglądał a przyśpieszał...

Wysypali tak siedem redut czyli kawalerów naprzeciwko nam wymierzonych, a prędko, i jak oddawano im sprawiedliwość, bardzo zręcznie. Całą swoją ciężką artyleryę, działa ogromne, jakich w oblężeniach używają, zaciągnęli na te baterye, których naliczono dwadzieścia kilka, a z tych około piętnastu olbrzymich.

Ciągnęły się one ponad strumieniem wzdłuż, a że im spoczywać nie dano, bo po całych dniach waliły a waliły do naszych, niebardzo oddalonych szańców, szkody nam wyrządzili dosyć, ludzi nazabijali, a co najboleśniej było królowi, stracił Żebrowskiego generała, którego kula napół przecięła. Temu król kazał wznieść grobowiec, na jaki nas stało...

Z namiotów ludzie poczęli się wynosić do dołów, które sobie kopali, Sobieski ze swoich nie ustąpił, i nie zmienił nawet miejsca, w którem stały, powiadając, że Bóg kule nosi, a komu ona przeznaczona, nie minie.

A no gorąco nam było bardzo...

Trwało to sporo czasu, aż czy sam król, czy francuscy inżynierowie, odezwali się z tem, żeby z naszej strony też przekopy w stronę turecką rozpocząć.

Dosyć, że poczęto się kopać i sunąć ku nim, czego ja, przyznaję się, nie mogłem zrozumieć, na coby się to zdało....

W wojsku naszym, choć mu na wielu potrzebach życia zbywało, a położenie było niemal zrozpaczone, trwogi nie mogłem dopatrzeć najmniejszej. Żartowano sobie i pokpiwano, jak w najlepszy czas. Król także czoła nie zmarszczył...

Tymczasem konie żyły gałęźmi, a, co trzymano w sekrecie, nam mogło prochów zabraknąć... Było ich

omal, bo na straszny ogień turecki trzeba było odpowiadać.

W tureckim też obozie, cośmy przez połapanych Tatarów wiedzieli, konie padały, jak muchy, a z tego ścierwa końskiego, choć je zakopywano, fetor był do niezniesienia.

Trwało to do dwudziestego pierwszego października. Myśmy potrosze odsieczy i dywersyi się spodziewali, na to licząc, że pogańcy nie wytrzymają w polu, na mrozie i o głodzie.

Jakim cudem się to stało, iż wkońcu Seraskier przysłał jeńca naszego, proponując pokój, tego wytłumaczyć nie potrafię.

Słuchałem narady i odpowiedzi i negocyacyi z nimi.

Naprzód sobie król zawarował, że o haraczu mowy być nie może, ani on o nim słyszeć chce. Potem ofiarował stoczyć bitwę, byle Turcy za strumień ustąpili i plac mu dali... naostatek Seraskier zmiękł, a pokój został zawarty; w tych warunkach, w jakich myśmy się znajdowali, nie do wiary. Wszystko zaś to winniśmy byli tylko Sobieskiemu, jego męstwu i tej znajomości tureckiego charakteru, jaką on miał.

Powiadano potem, że Seraskier się dał podarkami ująć, a choćby i tak było, o czem wątpię, sztuką było do tego przyprowadzić taką siłę przemagającą, ażeby Porta zawrzeć była zmuszoną pokój, ze wszech miar dla nas chlubny i korzystny, z garścią ludzi opasaną dokoła.

Sławiono, prawda, Sobieskiego ze wszystkich jego wojennych czynów, ale kto na niego patrzył zblizka, temu się zdaje, że go jeszcze nie dosyć szacowano... On musiał i męstwem i rozumem iść przeciwko wszystkim... a naostatek i z szablą naprzód, aby dać przykład. Tego, co on przewidywał, nigdy nikt nie widział wprzódy, a jemu, jakby było objawione z góry.

O sobie, czasu tej wyprawy pod Żórawno, wiele do powiedzenia nie mam. Było to moje pierwsze pole, gdziem prochu wąchał i kule świszczące słyszał, a widział nie-

bezpieczeństwo utraty życia albo wolności. Śmierć lub tatarska niewola.

Gdyby się człowiek bił, łatwiejby te czarne myśli znosić przyszło, ale stać i patrzeć a medytować o łykach... nie najmilsza to rzecz.

Nasłuchaliśmy się też z Morawcem wszelakich przypuszczeń, bo niektórzy już pęta i śmierć widzieli nieuniknione, a takich było dużo.

Nawet stary żołnierz chwilami wątpił...

Mówiłem to już, iż miałem do guzów szczęście, jakoż i tu w obozie, choć w pole nie wyciągnąłem, nie minęła mnie pamiątka tatarska.

Poszliśmy z Morawcem na prawe skrzydło przypatrywać się harcom z Tatarami, a że trochę opodal w polu zobaczyliśmy leżącego pod krzakami dragona i zdało się nam, że go może ratować można, biegiem puściliśmy się ku niemu.

Zdało się, że Tatarów nasi odpędzili i że ich już tu niema wcale.

Miałem na sobie tylko kaftan łosiowy spodem, a na wierzch kożuszek, zbroi żadnej...

Wtem, gdy my już do trupa się zbliżamy, nie wiedzieć skąd świsnęło kilka strzał i czuję w ręku lewym, jakby mnie kto szydłem przebódł.

Siedzi strzała tatarska i dygocze.

Chciałem wyrwać zaraz, bo mówiono o zatrutych, ale tak głęboko poszła, żem dostać nie mógł. Trzeba było nazad do obozu zawrócić i tu mi dopiero Janusz, rozciąwszy trochę ranę, dostał strzałę z niej, którą na pamiątkę zachowałem.

Rana mi się bardzo długo jątrzyła, tak, żem z nią powrócił; ciekło z niej, ciekło i zagoić nie było można, a i na starość w tem miejscu czuję rwanie na słotę.

Takich drobnych wypadków siłaby można przypomnieć różnych; co najszczególniejsza zaś, że kto miał polegnąć, prawie zawsze przeczuwał coś, niepokoił się, spowiadał nawet...

Wiele razy mi się to widzieć zdarzało... Z wieczo-

ra siedzimy najlepszej myśli u kubków, aż wyrwie się który i zawoła:

— Jutro mnie kula nie minie...

Śmieją się z niego, on sam też wesół, nic sobie z tego nie czyni, a nazajutrz sprawdziło się.

Po zawarciu tego pokoju, wszyscy się cieszyli, że wypocząć cokolwiek będą mogli, a i król też, choć on z łaski żony i Paców nigdy spokoju zażyć nie mógł.

Biedny człowiek, bez tej żony żyć mu było niepodobna, tak ją kochał, albo raczej taką ona miała jakąś siłę przyciągającą dla niego, tak mu jej brakło, a z nią nieustanny spór był, walka, męczarnia, bo nigdy nic ją nie zaspokajało.

Dla siebie i rodziny swojej, doszedłszy do tronu, chciała nadzwyczajnych godności, tytułów i zapewnienia na przyszłość miejsca, jakie miała zajmować wśród najsławniejszych rodów monarchicznych. Marzyła dla syna o tronie polskim, dla córki o wyswataniu jej za panującego, a że przeszłości, niestety, zmienić nie było można, w której familia de la Grande d'Arquien nie tak świetne miała imię, starała się we Francyi dla ojca i brata o tytuł książęcy, o nadanie dziedzicznego parostwa.

Ludwik XIV potrzebował i pragnął aliansu z Polską, rad był sobie ująć Sobieskiego, ale nadzwyczaj surowy, gdy szło o dostojność, o nadawanie przywilejów rodowych, jakby na przekorę czynił trudności królowej przyprowadzonej do rozpaczy. Uwielbienie jej dla króla Francyi powoli zmieniło się w nienawiść i pragnienie zemsty.

Naprożno starano się to załagodzić małemi grzecznościami: Marya Kazimiera się niemi zaspokoić nie mogła.

Tymczasem tłumacząc te intrygi we Francyi, nieprzyjaciele króla rozgłaszali pomiędzy szlachtą, że on Polskę Francyi w hołdownictwo oddawał i że ją zabiegami temi poniżył. Wszyscy austryaccy przyjaciele, mający na czele Paców i stosunki z biskupem marsylskim, z innymi agentami francuskimi obracali się przeciw królowi.

On, dla zabezpieczenia sobie domowego spokoju, choć często przeciwko przekonaniu, opierając się, wkońcu żonie ulegał. Więcej ona z Jabłonowskim i Francuzami rządziła, niż Sobieski.

On, jak nie na wojnie, to był w ogrodzie, na łowach, albo na rozmowach lub przy czytaniu, z którego się coś mógł nauczyć.

Szczególniej lubił ludzi, z którymi mógł o religijnych i filozoficznych przedmiotach rozprawiać, a gdy mu na nich zbywało, śmiech powiedzieć i przyznać, alem na uszy słyszał, z Janaszem i Aronem, faktorem swym, godzinami o Biblii i talmudzie rozpytującego, rozkazującego sobie różne rzeczy objaśniać, dyskutował i sprzeczał się; zawsze mu kogoś było potrzeba do tych mądrych pogadanek, w których niezmiernie się kochał...

Trafił się duchowny uczony, to go przytrzymywał, nie puszczał i z nim kwestye wszelkie kontynuował, często do późnej nocy. To było jego najulubieńsze zajęcie.

Książek, w których zasłyszał, że się ukazały, szczególniej francuskich, był łakomy, a kto mu ich dostarczył, łaskę sobie zdobywał. Pomimo to między wesołymi wesół, i pożartować lubił i przez grzeczność wina się dla towarzystwa napił, chociaż pijanic i nałogowych bankietów nie znosił. Z pustogłowami też nie obcował.

Właśnie gdy królowa przez męża starała się we Francyi o owo księstwo i parostwo u króla, trafiła się przygoda osobliwa, którejby uwierzyć trudno, gdyby wistocie prawdziwą nie była.

Kawał jakiegoś łotra, pono chudzina i szlachcic nieosobliwy, jak to się we Francyi wszystko kupuje, tytuł sobie i urząd sekretarza królowej jejmości kupił. Matka jego może tylko z daleka widziała Sobieskiego, gdy był we Francyi młodym jeszcze, a może tylko zasłyszała, że jako młody a krewki, różne tam miłostki w Paryżu i stosunki pozawiązywał.

Syn tedy, z nią naradziwszy się, postanowił z wyniesienia na tron Sobieskiego korzystać i udać pana

Brisacier za syna jego, narodzonego po wyjeździe z Francyi.

Uknuto cały spisek, a sekretarz królowej francuskiej sfałszował list od niej do króla polskiego, w którym poświadczała to, iż wistocie Brisacier żądał, aby za protekcyą jego mógł otrzymać tytuł książęcy i parostwo!

List ten tajemnie powierzono niejakiemu doktorowi Akakij w Gdańsku, który interesy francuskie miał na pieczy, zalecając mu, ażeby do rąk własnych samego króla doszedł potajemnie. Musiano pewnie zastrzedz, ażeby królowa go nie widziała.

Znalazłszy pewną zręczność i zaufanego człowieka, Francuz pisma te jakoby, królowej polecającej swego sekretarza i jego, doręczono Sobieskiemu.

Nie byłem przy tem, ale co piszę, tom od najlepszego przyjaciela królewskiego słyszał i wierzę w to, jak w ewangelię.

Przeczytawszy owe listy, król formalnie osłupiał. Nie był ci bez grzechu w czasie swojego pobytu w Paryżu, ale o owej jejmości pani Brisacier nie pamiętał wcale.

— Boże mnie skarz, — rzekł przytomnemu przyjacielowi, któremu listy były powierzone — Boże mnie skarz, jeżeli sobie przypominam tę kobietę... Ani wiem, ani rozumiem... Lat upłynęło wprawdzie wiele, zapomniało się nie mało, ale gdybym serdeczniejsze miał stosunki, juściżbym o nich pamiętał i cośkolwiekby z nich pozostało w sercu. Powiedziałbym, że oszustwo jest, na moją kieszeń wymierzone, ale królowa jejmość sama świadczy i zapewnia, że świadomą jest tego i ręczy za uczciwość tych ludzi...

Król w piersi się bił.

— *Mea culpa.* Mszczą się grzechy, choć późno, na człowieku! Ale uchowaj Boże, dowie się o tem królowa! Ona mnie wszystkie młodości mojej Hanusie i Kasie po dziś dzień wspomina... będęż się miał za tę!... Jakże się ona zowie? Brisacier! Brisacier! i ruszał ramionami, uśmiechając się, — ani wiem, ani rozumiem.

Co tu począć?

Nosił się z tem król, zafrasowany mocno, przez dni

kilka wzdychał, radził z przyjacielem, naostatek w wielkiej tajemnicy, nie śmiejąc odmówić królowej francuskiej, postanowił list do Ludwika z interwencyą za panem sekretarzem wystosować. Ale łatwo przewidzieć było, że w Paryżu, gdzie na straży wszechpolskich stosunków był de Bethune, szwagier królowej i ojciec jej, owo pismo się nie utai... i... dojdzie do wiadomości Marysieńki.

Tymczasem chciał choć zwlec burzę, której uniknąć nie było można.

Stary Markiz d'Arquien, ojciec królowej, sam chodząc około otrzymania przywileju na księstwo i parostwo, dowiedział się zaraz, że król, zamiast pisać za nim, wstawiał się za jakimś chudopachołkiem... i nie wiadomo za co i dla czego!

Narobiło to wrzawy w Paryżu, a stąd przyszła ona do nas.

Naturalna rzecz, królowa się dowiedziała pierwsza i wpadła, jak burza, na męża. Jednemu Bogu wiadomo, jak się to między nimi skończyło, ale jejmość po kobiecemu rozpatrując się w całej intrydze, dojrzała w niej jakiegoś oszustwa i fałszu.

Poszły rozkazy do Francyi, dochodzenia, czy istotnie królowa list pisała za swym sekretarzem... i okazało się, że o niczem nie wiedziała, że pismo było po prostu sfałszowane.

Ukarano fałszerza pono wygnaniem i więzieniem wraz z matką, ale co król wycierpiał, to przy nim zostało. Żona mu za ową niewierność imaginacyjną dobrze odpokutować kazała. A że Ludwik XIV od dania księstwa p. d'Arquien grzecznie się wymówił, chcąc go orderem kontentować, gniew powstał wielki, tak, że niemal z dnia na dzień z partyzantki Francyi, królowa się stała opiekunką austryackiego aliansu i austryackich przyjaciół.

W takich to my żyliśmy nieustannych przemianach, zachodach i troskach, bo z Francyą jawnie zrywać nie chciano, oszczędzano ją i królowa, zemstę knując, zawsze się niby z weneracyą odzywała o Ludwiku XIV, tak jak on z uwielbieniem dla Sobieskiego.

Lecz nim co więcej o tem powiem, muszę też cokolwiek o sobie wspomnieć, jak mi się działo.

Król, któremu pod Żórawnem się wysługiwałem, jak mogłem, a widział mnie ciągle pilnym i statecznym, przytem dobrej myśli, bo smutnych twarzy koło siebie nieznosił, polubił mnie dosyć i czasami nawet, jak bywał poufałym, baraszkował sobie ze mną. Nie mogę narzekać, bo i podarków mi się kilka dostało, — i co droższe nad nie, zaufanie mi okazywał.

Ktoś mnie przed nim zdradził, żem się szalenie kochał w Felicyi, z czego raz wraz żartował, ale pół żartem radził mi się z tej choroby wykurować, twierdząc, że dziewczyna była płocha, innych też Francuzów mu bałamuciła, a że mi się i tem ktoś u niego przysłużył, że o Federbie powiedział, śmiał się, rając się i swatając Kostuchę, jako bardzo rozumną i stateczną niewiastę.

— Ta cię nie zdradzi — śmiał się,—pomocnika do tego łatwo nie znajdzie...

Markotne mi były te żarty, ale i w nich dobre serce króla czuć było...

Gdyśmy powrócili i połączyli się ze dworem królowej, Szaniawski mi zaraz dał znać, żebym sobie Felisię z głowy wybił i ani o niej myślał, bo Francuz Boncour już ją zaswatał, a królowa przyrzekła wydać za niego.

Boncour ten był sługą królowej, którego do różnych potajemnych robót używała, miał zachowanie wielkie, mówiono, że pieniędzy umiał od niej wyciągać sporo i już trzos dobrze nabity nosił...

Niepowabny był, bo i niemłody i ospowaty nieco, sprytny, żywy, kłamca i intrygant wielki.

Chociaż wiadomo było wszystkim, że się żenił z Felisią i ona temu nie zaprzeczała, gdym przybył, przyjęła mnie tak, żem zmysły postradał, z wielką uprzejmością, z takiemi czułemi wejrzeniami, jak gdyby istotnie w sercu dla mnie co miała.

Nie mogłem tego zrozumieć. Wiedziałem ci, że Francuzki mężów oszukiwać zwykły, i to chleb powsze-

dni, że mąż u nich do serca nie ma prawa — ale mnie to obrzydzenie i pogardę sprawiało, bom prostą drogą nauczył się chodzić.

Gdyśmy się tedy spotkali, a ta ząbki do mnie szczerzyć zaczęła, ja powinszowałem jej Boncoura.

Rozśmiała się, poruszając ramionami.

— Jeszcze do tego daleko — rzekła, — królowa mnie swata, ja się mojej dobrodziejce i opiekunce nie opieram, ale Boncoura nie lubię.

Odszedłem od niej rozmarzony, i byłbym może uwierzył zalotnicy, ale drugiego dnia już innego wabiła i z nim się zabawiała, a jam poszedł w kąt.

Oszaleć było można z tą dziewczyną.

Nie koniec na tem. Federba też przypomniała sobie, żem jej w oko wpadł i witała mnie straszliwie czule, na większe utrapienie moje. Szaniawski mi tego, szydząc, zazdrościł.

— A toś powinien Panu Bogu dziękować, że się starej babie głowa zawróciła, ona u królowej może, co chce, sam król się jej kłania.

To prawdą było, bo Letreu i Federba nawet Sobieskiemu straszne były, a często, gdy co u żony potrzebował wyrobić i szło mu opornie, udawał się do jednej lub drugiej.

Tak samo biskup Forbin ujmował je sobie relikwiami i agnuskami, a niemi się posługiwał.

Między niemi zaś była rywalizacya ciągła, chociaż jedna drugiej nie mogła całkiem wyprzeć z łask i ode dworu. Bywało, że tygodniami Federba stała górą przy królowej, a Letreu popadała w obojętność, potem naprzemian, ta brała górę, a Federba musiała głowę suszyć, jak się królowej przypodobać.

Niemal wszyscy, którzy przez królowę coś chcieli wyrobić sobie, zaczynali od ujmowania jednej z dwu faworyt. Pomiędzy niemi zgoda i pokój napozór czasem panowały, ale wistocie szkodziły sobie wzajemnie, jedna drugiej pozbyć się starała, nie mogąc tego dopiąć.

Ile razy księżna Radziwiłłowa z Białej do brata przyjeżdżała, zawsze dla obu jejmościanek przywoziła

podarki, toż samo później musiała rodzona siostra królowej, Wielopolska, naśladować, ani jedna ani druga nie zabezpieczyły się tem od plotek i posądzeń.

Federba tak się jawnie z tem popisywała, że raczyła mnie wyszczególniać i protegować, iż Letreu, która jej z oka nie spuszczała, była o tem uwiadomioną i nie mogła wytrzymać, żeby jej na przekorę coś nie począć.

Jednego dnia, gdy przy obiedzie nie było Federby, która u królowej została, chwilowo będąc w większych łaskach, niż Letreu, gdyśmy od stołu wstali, zbliżyła się do mnie z uśmieszkiem i dała znak, że ma mi coś do powiedzenia.

— Siadajno — odezwała się, zaprowadziwszy mnie do kąta. — Ja to wiem oddawna, żeś się zakochał w Felisi, którą królowa wydaje za Boncoura, i że ta stara Federba mizdrzy się do ciebie. Wszyscy się z niej śmieją!

Spuściłem oczy.

— Co się tyczy Felisi — mówiła dalej — dziewczyna płocha, niema się co śpieszyć, może się ustatkuje, a z Boncourem, choć królowa przez Federbę namówiona, chce ją wydać za niego i przyrzekła, rzecz nieskończona. Można mu jeszcze stołka przystawić. Federby się nie masz co obawiać, ja w. panu dobrze życzę i nie dam ci uczynić nic złego. Ona sobie pochlebia, że ma wielką moc w naszej pani, ale to nieprawda. Znosi ją, cierpi, nawykła, a czasem po całych tygodniach do niej nie przemówi ani słowa.

Podziękowałem jej za życzliwość, a co się tyczy Felisi, choć nie zapierałem się, że bardzo mi się podobała, zbyt się jej narzucać nie chciałem.

— Wielmożny pan jesteś dla Federby nazbyt grzecznym — ciągnęła dalej — a ona to sobie inaczej tłumaczy i durzy się napróżno. Powinieneś jej dać poznać, że się w niej przecie rozkochać nie możesz. Obawiać się nie masz co, spuść się na mnie.

Znowu tedy dziękowałem, dodając, że obawy nie miałem żadnej, bo oprócz chęci służenia królowi jegomości nie byłem ambitny i o nic się nie dobijałem.

— Pan Bóg dał mi — rzekłem — chleba kawałek

po ojcu, a służbę przyjąłem, żeby za młodu świata i ludzi trochę zobaczyć. Dopóki Najjaśniejsi Państwo z moich usług radzi, trzymać się będę u dworu — a, uchowaj Boże niełaski, wrócę na wieś.

Ta moja obojętność nie podobała się pannie Letreu.

— Jak to może być — przerwała — żeby młody człowiek ambicyi nie miał? Patrzajże na tych, co po rodzicach ogromne majętności odziedziczyli, a dlatego za starostwami i dzierżawami biegają. Wiem, że król was lubi, królowa też z usług była zawsze kontenta, potrzeba z tego korzystać, ale bez Fedebry w. pan się możesz obejść, ja mu dobrze życzę. Ona zaszkodzić wam u królowej nie potrafi, a u Felisi ja pomogę. Głupiąby była, żeby wybrała starego Boncoura, który tylko jurgeld swój ma, a może trochę grosza, gdy w. pan jesteś młody, masz majątek i sperandy przed sobą. Nie trać więc nadziei, ale Federbie daj do zrozumienia, aby się darmo nie durzyła.

Odpowiedziałem na to, że byłem zawsze z uszanowaniem dla panny Federby, ale więcej nic.

Rozmowa się przeciągnęła nieco, a że obie faworyty miały swoje partye u dworu, pewnie tegoż samego dnia Federbie doniesiono, iż miałem na stronie poufną rozmowę z panną Letreu.

Nazajutrz wyrwała się na chwilę od królowej i przybiegła, szukając mnie niespokojnie, chcąc się dowiedzieć, czego Letreu ode mnie żądała i co znaczyła ta narada na stronie.

Odpowiedziałem, śmiejąc się, że ciekawą była szczegółów o obozie pod Żórawnem i że o nie tylko rozpytywała. Na to Federba głową potrząsnęła...

— Strzeż się waćpan Letreu — rzekła — ja tam nie chcę jej szkodzić, ale was, dobrze życząc, muszę przestrzedz — to jaszczurka jest, żmija; komu tylko może zaszkodzić, nigdy nie pominie zręczności, pomódz ani umie, ani może. Królowa, nią dawno znudzona, radaby się pozbyć, ale kto to weźmie? Astmę ma, byle trochę się poruszyła żywiej, dysze i kaszle. Wiem, że mnie nie lubi,

bo zazdrosną jest, że u królowej mam łaskę, że gotowa była na mnie przed wami wymyślać.

— Nie było mowy o was — odparłem — i powodu do niej.

— No — dodała Federba —miejcie się na baczności. Ona gotowa czynić wam nadzieję, obiecywać złote góry, aby się popisać ze swoją mocą, a żadnego wpływu nie ma. Wierzcie mi!

Wpadłem tedy między te dwie baby zazdrosne i byłem w dosyć nieprzyjemnem położeniu, a że matka się dawno dopominała, ażebym ją odwiedził, wyprosiłem się u króla na kilka tygodni do domu. Szaniawski też, który chciał mnie oderwać od Felisi, a spodziewał się, że ją tymczasem za mąż wydadzą, naglił i napierał, abym jechał.

— Co z oczów, to z myśli;— mówił — póki będziesz ją miał codzień przed sobą, nie uwolnisz się od tej miłości, z której ci się otrząsnąć potrzeba, bo to dziewczyna nie dla szlachcica-wieśniaka za żonę. Dworką była od dzieciństwa i pozostanie nią do śmierci.

Wprędce tedy poszedłem do króla pokłonić się i poprosiłem o urlop do matki, na który natychmiast przystał, rozkazując mi wydać Wardyńskiemu viatyk, ale kazał powracać i nie zasiadywać długo, bo — będziesz mi potrzebnym — dodał.

Wybrałem się więc, pożegnawszy u stołu z mojemi protektorkami, które były trochę zdziwione, żem z placu im uszedł.

W domu matka i siostra, sąsiedzi, co żyło, serdecznie mnie przyjmowali. Nie mogłem im dosyć naopowiadać o Żórawnie, o królu, o Turkach i o tem oblężeniu kilkutygodniowem, w jakiem nas wytrzymał Seraskier, a nic nie wskórawszy, sam o pokój prosić musiał. Za ten pokój wszyscy króla błogosławili, bo cała Rzeczpospolita, zmordowana wojnami i najazdami, była żądną odetchnienia.

Znaczniejsza część ziemian króla pod niebiosa wynosiła, ale i tego zataić nie mogę, że się dawały słyszeć

złośliwe głosy przeciwko niemu. Obwiniano go o zbytnią uległość i powolność Francyi, o tajemne knowania, aby dzieciom za żywota tron zapewnić i t. p. Królowa wogóle przyjaciół nie miała, a kto nie wymyślał na nią, to się już liczył do jej stronników. Nie było się z czego chwalić.

Pocichu zaś sobie z ust do ust podawano, że ona w zmowie i serdecznych stosunkach z Jabłonowskim kieruje i prowadzi wszystko i t. p.

Z Podola szczególniej przychodziły głosy sarkających przeciwko królowi, bo mu za złe miano, że wszelkiemi siłami się nie starał o odzyskanie Kamieńca, w którym Turcy kościoły na meczety przerabiali, coraz się mocniej sadowili, i chcieli bronić do upadłego. Tego zaniedbania twierdzy, która się za perłę najdroższą korony rachowała, nie mogli przebaczyć królowi, choć z nas każdy wiedział, że Sobieski dzień i noc przemyślał o zdobyciu Kamieńca i jak prawdziwy kamień leżał mu on na sercu.

Zapraszano mnie wkoło ciągle do Steckich, do innych domów w sąsiedztwie, w Łucku księża przyjmowali i gdybym był chciał, dnia-bym jednego nie miał wolnego, chociaż z matką i siostrą sam na sam najmilej mi było. O Michale tyleśmy tylko wiedzieli, że z jednej rezydencyi do drugiej przeznaczono go, że on też się nie skarżył na dolę swoją.

Matka nie spodziewała się, że kiedyś do Żytomierza zawita, a ona go tam widywać będzie mogła.

Tym razem wspomniała też, że czasby może dwór porzucić, o gnieździe pomyśleć, żenić się i gospodarować, dając do zrozumienia, że pannyby się znalazły ze wszech miar dla mnie stosowne, młode, majętne, dobrych rodzin, przystojne.

Podziękowałem pani rodzicielce za jej troskliwość, alem odparł, że do stanu małżeńskiego ochoty jeszcze nie czułem i wolałbym to zostawić czasowi.

Na co mi zaraz odpowiedziała:

— Mój Adasiu, tylko żadnej żony z miasta i ze dworu, uchowaj nas, Panie! Nie przyzwyczai się to nigdy

do naszego wiejskiego życia, a tęsknić będzie za miastem i dworem. Dopókim ja żywa, nie dopuszczę tego, ale i po mojej śmierci, spodziewam się, że rady usłuchasz, a żony sobie u swoich równych szukać będziesz.

Nie przyznawałem się przed matką do Felisi, bo nigdyby w świecie ani myśleć o niej nie dała, raz, że na dworze przy królowej i splendorach była wychowana, powtóre, że Francuzka była, a Francuzów u nas nie lubiono i obawiano się.

Mimowolnie pobyt mój na wsi się przeciągnął, bom na polowaniu przeziębiwszy się, dostał srogiej gorączki, tak, żem bezprzytomny, majacząc, leżał więcej tygodnia, a gdy, dzięki księdzu kanonikowi, który razem doktorem był, do siebiem przyszedł, kilka miesięcy musiałem się odżywiać, aż mi siły dawne powróciły. Przyczem włosy z głowy wypełzły haniebnie i już nigdy nie odrosły tak bujne, jak były.

Przez ten czas król z królową pojechali do Gdańska, gdzie się Sobieskiemu narodził syn.

Gdańszczanie przyjmowali oboje królestwo nadzwyczaj świetnie i wspaniale, co u nich nie nowina, bo i Maryę Ludwikę oni w Polsce jedni tak witali, jak nawet stolica nie mogła kosztowniej i wystawniej.

Ale o tym pobycie w Gdańsku królestwa tyle tylko wiedziałem, co mi Szaniawski donosił, zapewniając, że się król o mnie informował i kazał mi donieść, że pożądanym mu będę, gdy powrócę.

Przez cały ten czas choroby małom co wiedział ze dworu i co się na świecie działo, anim tak bardzo ciekaw był, bo się pokojem cieszono, a to była główna rzecz. I z Moskwą też traktaty przedłużone, z tej strony zapewniały bezpieczeństwo. Naostatek, wydobrzawszy przy macierzyńskich pieszczotach, gdy mi włosy cokolwiek na nowo odrosły, pojechaliśmy znowu na służbę mało co przedtem, gdy się królestwo na sejm do Litwy wybierali, przeciwko czemu wrzawa była ogromna, iż dla niej tak znaczne czyniono ustępstwo.

Pacowie to wymogli, że Litwie alternaty zapewniono ale zawiedli się srodze, spodziewając, iż sejmy nazna-

czone będą do Wilna, gdyż król na przekór im wybrał Grodno dlatego tylko, ażeby wojewodzie wileńskiemu nie dać zbyt gospodarzyć, jako u siebie w domu!

Grodno nikomu, prawdę rzekłszy, dogodnem nie było, bo naówczas, gdy się pierwszy sejm miał tu zgromadzić, miasto było całe drewniane, a i lepszych dworów z drzewa mało w niem było.

Zamek zaś dosyć opuszczony, niewygodny, szczególniej pod zimę, trzeba było na gwałt wyporządzać dla królestwa, bo mury wszędzie poopadały z tynków, dachy były pogniłe, podłóg na dole cale żadnych.

U dworu zastałem tę niespodziewaną zmianę, w którą mi się wierzyć nie chciało zrazu, iż Pacowie, co trzymali z Austryą, a królowi byli przeciwni i wszędzie mu szkodzić a na przekory czynić się starali, mieli za sobą królowę, chociaż się z tem nie wydawała, bo wiedziała, że męża nie pociągnie za sobą. Rozgniewana na Ludwika XIV, który nie dosyć dla niej był powolnym, królowa zwróciła się ku rakuskiemu stronnictwu przeciwko francuskiemu.

I tak stała się rzecz nie do wiary, że ona trzymała z Pacami, a król z Sapiehami, których podnosił i opiekował się nimi, aby złamać wpływ, jaki sobie tamci pozyskali, począwszy od panowania Michała.

Dwór wybrał się w tę podróż do Grodna, w najgorszą porę, po najokropniejszych drogach, które w części grzązkie były, tak, że powozy w nich zapadały po osie, a za lada przymrozkiem gruda straszna pośpieszać nie dawała. Łamały się kolebki ciągle, niewygód, strachu, królowa miała tyle do zniesienia, że właśnie brzemienną będąc, musiała się położyć i rozchorowała niebezpiecznie, ledwieśmy do Białej przybyli.

W Białej Radziwiłłowie książęce albo raczej królewskie przygotowali przyjęcie. Dosyć powiedzieć, że muzyków i śpiewaków sprowadzono aż z Włoch, a dla króla do zwierzyńca nałapano niedźwiedzi, łosiów, jeleni z puszcz radziwiłłowskich moc ogromną. Od rana do wieczora, przy ogromnym zjeździe sproszonych gości, karmiono, pojono, zabawiano ze wspaniałością niesłychaną, a że szło szczególnie o pozyskanie królowej, dla tej i po-

darki i wszelkie możliwe wygódki, a czego tylko zapragnąć mogła, starano się przysposobić.

Tymczasem wszystkiemu temu choroba jej szyki pomieszała, i — co gorzej, nadzieja potomka zniweczona została, nad czem król bolał niezmiernie.

Po tym wypadku, trzeba było koniecznie, z porady doktorów, choć parę niedziel spocząć w Białej, a króla puścić samego na sejm, bo ten zwołany był i w dniu naznaczonym otwarty być musiał.

Na to królowa pozwolić nie mogła w żaden sposób. Już sam ów przepych i występowanie wspaniałe siostry królewskiej raziło ją i było widocznie przykrem. Powtóre króla uwolnić samego nie chciała, i choć zdrowie nie pozwalało, zerwała się z łóżka, nie dając sobie spoczynku, upierając się jechać z mężem do Grodna. Starań o to było i próśb a zaklęć nie mało, aby cokolwiek w Białej spoczęła, ale nie było sposobu przełamać jej i przekonać, gdy co raz postanowiła. Musiano dla niej kolebkę tak wysłać, aby w niej leżeć mogła, i wcześniej daleko, niż się można było spodziewać, puściliśmy się, chociaż powolnie jadąc, do Grodna.

Król bardzo był w czasie drogi markotnym, ale woli swej nie miał, słuchać musiał. Między nim a królową spory były zajątrzone, jak nigdy, niemal wojna, a Sobieski stawił opór, jeżeli nie jawnie, to z pomocą przyjaciół i swoich.

Gdyśmy przybyli do Grodna, senatorów było mało, musieliśmy czekać, aż się ich zbierze większa liczba.

Tymczasem między chorążym koronnym Lubomirskim a Wiśniowieckimi walka się rozpoczęła o dobra zakonu Maltańskiego... a obie strony przyciągnęły z taką liczbą żołnierzy, jakby sobie wojnę wistocie wydać zamierzały i siłą się rozprawiać.

Naprzód więc król musiał się starać uspokoić umysły, i do porozumienia się przyprowadzić, co nie przyszło łatwo.

Potem wytoczyła się sprawa o kanclerstwo, które Wydźga arcybiskupem, po zmarłym nagle Olszowskim mia-

nowany, trzymał i złożyć musiał, a król je szwagrowi Wielopolskiemu konferował.

Naostatek rumor wielki uczyniono o to, że po pijanemu z pistoletu postrzelono popiersie króla, i chciano winowajcę sądzić za *crimen lesae majestatis*, na ucięcie głowy i ręki, ale król go ułaskawił.

Naostatek sprawa Jezuitów jarosławskich poruszyła zakon i padł jej ofiarą spowiednik królewski, ojciec Piekarski, który się rozchorował z aprehensyi, z żalu do króla i zmarł w rozpaczy, że zakon został znieważony, chociaż Sobieski miał dla Jezuitów powolność wielką.

Wszystko to razem, w ciasnem mieście, gdzie nagle ludzi się zjechało kilkakroć razy tyle, ile mogło pomieścić, a przy ścisku niechęci i nieprzyjaźni siła, odgróżki po pijanemu, rąbanina nieustanna... nie dały nam spoczynku ani na chwilę, król też go nie zażył, bo go oblegano, a królowa często stała naprzeciw i na przekór jego woli. Że zaś świeżo była po chorobie i o zdrowie się jej lękał, więc przeciwko przekonaniu ulegać musiał i gryzł się tem a narzekał.

Przy tem całem nieszczęściu, musiał dla ludzi wychodzić z twarzą pogodną, zabawiać się, zachęcać do wesołości, godzić, jednać i zapobiegać, aby zgorszenia nie było. Pomiędzy nim a królową pośredniczył usłużny hetman Jabłonowski, a przy nim mała garstka przyjaciół.

Król chciał wojny i odzyskania Kamieńca, ku czemu umysły przysposobić należało. Królowa zaś, nie bacząc na tę sprawę najważniejszą, o sobie tylko myślała i nie powiedziawszy nic mężowi, korzystając z tego, że wielu posłów niechętnych jej jeszcze nie przybyło, skłoniła kanclerza swego, Załuskiego, aby bez wiedzy króla wniósł o zapewnienie jej oprawy.

Król był nad podziw cierpliwy i już wdrożony do noszenia ciężkiego jarzma, ale tym razem zbuntował się i przyjął Załuskiego w taki sposób, że osobiście obraził. Wprost niemal precz iść mu kazał.

Na ten wybuch gniewu Załuski z dosyć zimną krwią odparł:

— Jeżeli wasza królewska mość zapominasz, że kapłanem jestem, to proszę pamiętać, żem też szlachcicem polskim.

A trzeba wiedzieć, iż Sobieski go lubił i cenił, a obejść się bez niego nie mógł.

Obrażony przy świadkach, Załuski odjechał do domu, po drodze głośno oświadczając, że składa urząd i zupełnie się usuwa od wszystkiego.

Doniesiono o tem królowi, który już był ochłonął. Nie było to Załuskiemu przeznaczone, naprawdę, ale królowej; nie mogąc po koniu, uderzył po hołoblach, czego już żałował.

Wpadł tedy Sobieski niemal w rozpacz, nie wiedząc, co począć. Nastręczyła się szczęściem siostra, księżna Radziwiłłowa, oświadczając pośredniczyć do pojednania.

Król chodził struty, lecz trzeba go uniewinnić, bo kogo od rana do nocy, bez chwili spoczynku, ciągle drażnią, wkońcu, gdyby aniołem był, musi na kieł wziąć. Nieszczęściem, że to na Załuskiego trafiło, który, choć królowej posłuchać musiał, niemniej powinien był i króla przestrzedz, na co się zanosiło. Tłumaczył się zaś tem, iż znając stosunki obojga królestwa nie wątpił, iż za wspólną zgodą wniosek był postanowiony.

Księżna natychmiast pojechała w pogoń za Załuskim i uprosiwszy go a zakląwszy, we własnej karecie nazad na zamek przywiozła.

Zobaczywszy to, król (byłem przy tem) obie ręce do niego wyciągnął.

— Ojcze mój — zawołał — przebacz, ale obaj jesteśmy gorączki... Przyrzecz mi, że się gniewać przestaniesz, a ja ci słowo daję, że powodu do sporu nie dam.

I w najlepszej się komitywie rozstali.

Temu zmartwieniu królowa była winną, jak we wszystkich niemal sprawach, które Sobieskiemu dolegały, bo nigdy na niego nie miała najmniejszego względu... Co ją obchodził Kamieniec, gdy chciała swoją sprawę otrzymać! Chciwość miała nienasyconą!

Ta przygoda z Załuskim, szczęściem, jakoś prędko naprawiona, z łaski siostry królewskiej, niezbyt się rozniosła, ale zostawiła po sobie ślady... królowa, choć po-

stawiła na swojem, była gniewna za to na króla, że śmiał się jej woli przeciwić, król znowu zżymał się na żonę po cichu za jej postępowanie, a nie ważył się wyrzutów czynić.

Ale ze wszystkiego najosobliwszem i najdziwniejszem była ta niespodzianka, że gdy na stół przyszła sprawa oprawy królowej, ani królewska partya, ani przyjaciele nie śmieli jej jawnie popierać, a natomiast wystąpili z tem, kto? Pacowie! Wiśniowiecki oświadczył grubijańsko, że kucharkę przyjmując, przecież się jej pensya naznacza, a mianoby odmówić królowej? Cały ten obóz na przekór Sobieskiemu, tak gardłował za królową, że jej dwakroć sto tysięcy złotych w starostwach i gotowym groszu z żup Wielickich wyznaczono.

Około tych rozpraw czas się zwlókł, i to, co król miał na sercu głównie, pobór na wojsko pod Kamieniec nie został uchwalony. Król chodził tak pogrążony w sobie, że do żony się nie odzywał, choć się przymilała.

Austryacki poseł z jednej strony, z drugiej Bethune, ciągnęli go każdy do polityki swojego pana, a on ani całkiem jednej, ani się zupełnie drugiej nie chciał oddać.

Słowem, że ten sejm był nieustannym dla nas mankamentem, bo człowiek wkońcu nie wiedział, komu się uśmiechać, na kogo marszczyć, kto tu przyjacielem, a kto wrogiem. Ja, że w politykę naówczas niebardzo byłem wtajemniczony, przyznam się, żem chodził, jak w ślepej babce.

Pomiędzy królem a królową chłód, zatargi; po gabinetach szeptanie, narady, posyłania... kwasy ciągłe.

Wstał czasem król weselszy z łóżka, ledwie się do niego schodzić zaczęli, czoło mu się fałdowało. Poseł od Tatarów, poseł od Moskwy... oba odprawieni z niczem.

Caluteńką zimęśmy się tak przemęczyli w tem Grodnie i już wierzby puszczać zaczęły, gdy naostatek znużeni wszyscy na króla się zdali, głosując, jak sobie życzył. Sobieski brał na siebie odpowiedzialność politycznych układów z Francyą, z Wiedniem, ze Szwedami,

Jednej nocy, nagle szybko zgodzono się, aby raz dokończyć.. i Sobieski odetchnął dopiero, ale też i żonę przeprosiwszy, położył przed nią łapki, jak to powiadają. Odzyskała swój wpływ, oprócz tego na swą rękę nie przestając prowadzić po cichu polityki własnej, wymierzonej przeciwko Francyi.

Tenże sam plan, który zajmował od wieków wszystkich monarchów chrześcijańskich, — złamania wielkim sojuszem potęgi ottomańskiej — teraz na ramionach króla ciążył.

Wszyscy się potrosze obiecywali być pomocą, chociaż największe brzemię spądało na Rzeczpospolitę, która była narażona na nawałę niewiernych... a odzyskanie Kamieńca musiało z nią wojnę wywołać, bo o ustąpieniu go król ani słuchać nie chciał.

Tymczasem, sposobiąc się do tej wojny przeciw poganom, wysłał Sobieski do Francyi od siebie Morsztyna, który jej był cały oddany, a do Wiednia Radziwiłła, nie tracąc z oczów przygotowań do wojny. Widocznem tylko było, że się ona przewlecze.

Pomiędzy Paryżem a Warszawą, jakem i ja już ślepy mógł się dopatrzeć, rosło zadrażnienie coraz większe, bo Ludwik XIV, jak mi mówiono, z Turkami trzymał dla niechęci swej ku Austryi, a Sobieski przeciwko Turkom się gotował. Stąd wielkie na Polskę gniewy.

Zmieniono miękkiego margrabiego Bethune, a w jego miejsce przybył do Polski biskup marsylski, Forbin, i pan Vitry, Francuz wielkiego rodu, ale większej jeszcze przebiegłości, chytrości i zuchwalstwa.

Gdyby umyślnie wybierano człowieka, coby oliwy do ognia dolewał, lepszegoby pewnie nie znaleziono. Dumny, szyderski, śmiały, potęgą snać tego pana, którego reprezentował, wzdęty; jeżeli cokolwiek okazywał królowi poszanowania, to tak, jakby zmuszony, innym zaś, którychby sobie powinien był starać pozyskać, szyderstwami, przycinkami zalewał za skórę, że go cierpieć nie mogli.

W Polsce zaś sam i przez swoich pomocników tak się rządzić chciał, jakby istotnie w kraju hołdowniczym,

Ale przy tem wszystkiem jemu i Forbinowi nie zbywało na dowcipie, na umiejętności zabawiania króla, a nawet pochlebiania mu bardzo zręcznego, tak, że choć się go Sobieski bał i nie odkrywał mu się, obcował z nim chętnie i rozrywał się rozmową.

Okazało się, że i król w potrzebie dysymulować umiał, gdyż Vitremu nie okazywał, iż go przenikał na wylot, a tak się z nim obchodził, jakby go znał przyjacielem najlepszym.

Słowem, powiedzieć było trzeba, patrząc na to, że na teatrze komedyi się asystowało, a mnie młodemu te kłamstwa i podstępy, mogę śmiało wyznać, smak do życia odbierały.

Niekiedy tęsknota mnie porywała za tym naszym wiejskim, prostym obyczajem, za spokojem i prawdą, gdy to wszystko kłamstwem było i na kłamstwie się opierało i w tem powietrzu zatrutem żyć i oddychać było potrzeba.

Nie śmiem sądzić o królu, bo któż tam zajrzeć może w duszę człowieka, ale mi się czasem zdawało z jego słów rzuconych bezmyślnie, że i on się dusił i męczył... a wyrwać z tej opresyi nie mógł.

Bywało w Jaworowie zajdzie do ogrodu, do swoich drzewek i kwiatków, zastanie tam ogrodnika, albo parobka, prostego człeka, zaczepia go do rozmowy, pół godziny z nim spędzi na gawędzie, wesół taki, a smakujący w tym chłopskim rozumie, jakby to który z nas po czerstwych bułkach białych, dorwawszy się do świeżego razowego chleba.

Kochanie jego z królową zawsze niby też samo było, całował paluszki, delektował się zapachem jej sukni, unosił się nad wszystkiemi ślicznościami najukochańszej Marysieńki, ale absentował się chętnie, i choć w listach tęsknił, rad był wypocząć...

Z nią nie było dnia spokojnego, tak około niej odbywały się nieustanne wyścigi za wakansami, które ona samowolnie rozdawała; biorąc od każdego *certum quantum*, a drugie tyle dla króla. Ułatwiali to pośrednicy i pośredniczki... Rzadka rzecz była, ażeby kto, bodaj

najzasłużeńszy, dostał co darmo, a złożyło się tak, że król od siebie przyrzekł innemu, królowa obiecała drugiemu, musiał się Sobieski dla spokoju wykupić, aby jej nie drażnić.

Uchowaj Boże sprzeciwieństwa, wpadała w gniew, w furyę, ciskała wymówkami, łajała, zamykała się, czyniła chorą, dopóki król nie przebłagał.

Gdy się to wszystko działo, moja panna Felicya za mąż się naprawdę wybierała, a jam już prawie życzył, aby się to raz skończyło, bom sądził, że gdy ślub weźmie, a ja ją cudzą żoną zobaczę, ostygnę i nie będę więcej myślał o niej.

Pomimo że tam zachodziły jeszcze intrygi różne, koniec końcem, w zapusty tego roku naznaczono wesele, i pod niebytność moją, bom ja umyślnie wyjechał na ten czas, Boncour się ożenił. Nie wiem, czy sobie imaginował, że żonę ze dworu weźmie, ale ona królowej była potrzebna i ani się myślała ruszyć. Tyle tylko, że im mieszkanie wspólne wyznaczono, ale że Boncoura król ciągle posyłał, ona zostawała sama jedna.

Będąc już zamężną i wolną, przyjmowała kogo chciała, wieczorami wyprawiała kolacyjki gachom i koleżankom, słowem, bawiła się, jak chciała.

Dostąpiłem i ja tego szczęścia, że mnie też zapraszała, abym przychodził, ale noga moja nie postała u niej. Oburzała się dusza na to, ażeby złodziejem zostać i komuś szczęście a cześć kraść dla zabawki. A takiego kochania płochego, jakiem się wróble na dachach popisują, nigdym nie lubił; ona zaś innego pono nie rozumiała.

Żal mi jej było... bo patrząc na nią czasami, zdawało się, że to najświętsza panienka, najniewinniejsza istota, skromność sama, gdy pod tą powierzchownością mieszkała zdrada i fałsz.

Raz i drugi mnie zaprosiwszy do siebie pod nieobecność męża, gdym nie przyszedł, spotkała mnie w podwórzu i wprost przyszła z zapytaniem:

— Cóż to? Gniewasz się na mnie, że nawet nosa nie

pokażesz, choć zabawiłbyś się weselej, niż w przedpokoju u króla... Zły jesteś, żem Boncoura wybrała?

— Nie — odpowiedziałem po prostu. — Wolno było uczynić wybór wedle upodobania, ale raz męża wziąwszy, trzeba na nim poprzestać...

Spojrzała na mnie z pogardą.

— Nauki mi będziesz dawał? — zawołała. — Boncour nie jest zazdrosny, a ja dla miłości jego wędzić się nie myślę.

— Jest panią Boncourową i beze mnie komu bawić — począłem — więc się obejdzie bez takiego, jak ja, niezdary!

— A że nie tęsknię, tego możesz być pewnym — przerwała — ale ludzie widzą, że waćpan mnie znać nie chcesz... to znaczy, jakbyś potępiał...

Chciała mnie zmusić, abym do niej przyszedł, bo się obawiała języka mojego; niesłusznie, słowam bowiem nigdy złego nie powiedział o niej.

Przeprosiłem ją, że u króla mam służbę ciągle pilną i ani w wieczór nie jestem wolnym.

Oprócz niej musiałem się od Federby salwować, która mnie swoją miłością prześladowała. Dała mi nawet jasno do zrozumienia, że gdybym się z nią ożenił, królowa-by ją starostwem tłustem wyposażyła. Udałem, żem tego nie rozumiał, a dla oswobodzenia się raz na zawsze, oświadczyłem jej w rozmowie, że matka mi się żenić nie dozwalała, a i ja do tego stanu nie czułem powołania.

Nic to nie pomagało, nudziła mnie wielce, szczęściem, że Letreu długo jej nigdy nade mną się znęcać nie dozwalała... Myślałem już, mimo całego swego przywiązania do króla, czyby się nie lepiej oddalić było ode dworu...

Czas upływał po większej części na podróżach z królem, który dosyć lubił być w ruchu, i, jak sam często powtarzał, na powietrzu; jeżdżąc konno, polując, czuł się najzdrowszym, chociaż tuszy mu coraz przybywało i stawał się czasem ociężałym.

Wedle powszechnego zwyczaju medyków, skoro

nie dysponowanym był, krew mu puszczano i to bardzo obficie, a niekiedy raz po raz kilkakrotnie.

Felicya była już od roku prawie zamężną, gdy raz będąc z obojgiem królestwem w Jaworowie, przy wielkim konkursie gości, posłów, senatorów, cudzoziemców, z powodu których bardzośmy się licho mieścili, siedziałem wieczorem na strychu w mojej izdebce. Miałem bardzo szczupłą i lichą, co nie dziw, gdy Vitry, ów poseł francuski, nie mógł dostać więcej nad dwa pokoje. Wtem słyszę, że ktoś bieży po strychu i drzwi moich szuka, a nim wstałem, aby je otworzyć, wpada zapłakana, w sukni pomiętej, zmieniona owa Felicya Boncourowa.

Nie mogłem pojąć, co się stało.

— Panie Adamie! — krzyknęła od progu — ja tu nie mam nikogo, coby się ujął za mną, okazywałeś mi zawsze przyjaźń; broń, ratuj mnie! Mąż mnie bije!

Osłupiałem, a ta, padłszy na krzesło, w płacz.

— Na Boga żywego! — zawołałem! — Gotowem czynić, co tylko w mej mocy, ale jakimże ja prawem mogę wdawać się między małżeństwo!

— Na to nie potrzeba żadnego prawa — przerwała Felicya — obowiązkiem każdego mężczyzny jest za pokrzywdzoną kobietą się ujmować. To człowiek podły, ulęknie się, gdy zobaczy, że ja mam kogoś, co mnie broni.

— Ale cóż on pomyśli? — Co ludzie? — szepnąłem, wahając się. — Skądże przyszło do sporu i do tego, aby się ważył rękę podnieść?

— To jest najpodlejszy z ludzi! — krzyknęła Felicya. — Posądza mnie, zazdrosny jest. Wyjechał w pole, a powróciwszy, zastał u mnie Francuza Dupont. Niewiedzieć, co mu się przywidziało, tamtego przepędził, mnie złajał, a wkońcu laską uderzył. Nie mam nikogo, jestem sierotą, zlituj się nade mną!

— Gotów jestem na wszystko — odparłem wkońcu wzruszony — lecz cóż to pomoże? Wszak się nie uląkł Duponta.

— To co innego — wołała Felicya, — oni między so-

bą, jako Francuzi, po swojemu się rozprawią, wy tylko natrzyjcie—stchórzy.

Czułem, że żądała rzeczy ani dla mnie, ani dla niej nie dobrej, ale łzy, prośby tak mnie upoiły, żem postanowił rozprawić się z Boncourem.

Nikogo się nie radząc, nikomu nie zwierzając, natychmiast szedłem go szukać, a że właśnie od króla wracał, w podwórzu go pochwyciłem.

— Za pozwoleniem, — rzekłem, odprowadzając go na stronę, — mam mały interesik do waćpana.

— Wy, do mnie?—spytał ciekawie.

— Tak jest — ciągnąłem dalej — niech to waści nie dziwi, że się wdam w to, co na pozór do mnie nie należy. Kochałem się długo w tej, która została żoną waćpana. Los jej nie przestał mnie obchodzić. Dowiaduję się, że waćpan męczysz ją i ważyłeś się rękę podnieść na kobietę. Nie jestem z żadnego innego tytułu opiekunem, ale czuję się w obowiązku, jako przyjaciel, oświadczyć, że za wszelką krzywdę jej wyrządzoną mścić się będę.

Francuz patrzał na mnie i pogardliwie się zżymał.

— Ależ waćpan szalony jesteś!—zawołał. — Co komu do mojej żony? Sprawa między mną a nią.

Chciał odchodzić, porwałem go za guzik od sukni i wstrzymałem.

— Zrozumiałeś mnie waćpan? — powtórzyłem. — Mam, czy nie, prawo, żal mi kobiety; nie dam się znęcać nad nią.

Boncour śmiał się.

— Waćpan gdzieś dziś za dużo wina piłeś — rzekł do mnie. — Daj mi pokój... mówię ci, daj mi pokój....

Nie wiem, czym go w pasyi potrącił, ale Boncour się rzucił na mnie, a w złości już będąc, okrutniem się z nim obszedł, tak, że perukę postradawszy, uchodzić musiał.

Ledwiem ochłonął, wołają mnie do króla. Znajduję go samego w gabinecie z Matczyńskim.

— Coś zrobił Boncourowi?—pyta mn.ie

— Nic—rzekłem.

— Z czego poszło? Mów prawdę! nie mogę pozwolić, aby mi cudzoziemców, których potrzebuję, którzy mi służą, lekceważono. Boncour powiada, że nic nie zawinił.

Pomyślawszy trochę i widząc, że tu inaczej, jak prawdą szczerą, nie wybrnę, odezwałem się z cicha:

— Najjaśniejszy panie, żal mi się zrobiło żony jego, która lamentuje, bo się z nią źle obchodzi. Człowiek nie może dopuścić, aby nad słabą kobietą, choćby nawet własny mąż się znęcał.

Słuchał król, jakby nie rozumiał.

— Pocóż waćpan palec we drzwi wkładasz? co komu do tego?

— Skarżyła mi się, że ją bije.

Oburzył się na to Sobieski.

— A to infamia! — zawołał. — Prosił się, do nóg nam padał, żeby mu ją dać. Cóż zawiniła?

— Nie wiem spełna — rzekłem, — zazdrosny jest; zastał u niej pono kogoś.

— Dziewczyną była płochą — król wtrącił, — ale przecież nie waszmościa u niej zdybał?

— Nie—odparłem—podobno Dupont'a.

Rozśmiał się król.

— A! ten wszędzie się do kobiet wciśnie. Tymczasem — rzekł, zwracając się do mnie. — Boncour się tylko na waćpana skarży. Poco się w to wdajesz?

— Biedna kobieta płacze, skarżąc się, że nikt się za nią nie ujmie — dodałem skruszony — przyznaję się, nie mam prawa się w to mieszać, ale jak się tu łzom oprzeć?

Wzruszył Sobieski ramionami.

— Dajże mu pokój i niech się na tem skończy!

— Będę się starał—rzekłem cicho.

O tej małej rzeczy we dworze powstała gadanina wielka, która mnie na sztych wystawiła. Widziałem, żem zbytnią powolnością dla Felisi, sobie i jej kłopotu poczynił.

Mało kto wiedział o Duponcie, opowiadano więc,

że mnie zastał u żony, i choć się zaprzysięgałem, nie wierzono. Wyśmiewano się ze mnie, z Boncoura, ale Felicya nic sobie z tego nie czyniąc, tak śmiało w oczy wszystkim patrzyła, jakby się to jej nie tyczyło.

Nazajutrz król gdzieś wysłał Duponta; Felicya opuściła wspólne mieszkanie z Boncourem i przeniosła się do panien królowej, a że tej zabawiać nie było czem, zaraz jej Federba opowiedziała całą historyę, mnie nie oszczędzając, bo zła była.

Letreu przybiega przed obiadem do jadalnego pokoju i daje mi znaki.

— Co waćpan najlepszego robisz? — powiada, odprowadziwszy na stronę. — Jak można było dać się namówić Boncourowej do wystąpienia w jej obronie przeciwko mężowi? Gdzież to kto widział! Że ona rozumu nie ma i mogła tego zażądać, nie dziwuję się, ale żeś waćpan dał się namówić? A wiesz, o co to idzie? Felicya przed przyjaciółkami powiada, iż doprowadzi do tego, abyście pojedynkowali się i żebyś Boncoura zabił. Dlatego was wybrała, że najpewniejszą jest, iż dokażesz, czego ona chce. Sama się z tem nosi, iż na życie jego godzi.

Byłem skonfudowany niewypowiedzianie, a bolało najwięcej to, że owo ucieczenie się do mnie Felisi wziąłem za dowód jej serca, gdy tymczasem była to prosta rachuba, bo chciała ze mnie uczynić kata.

Nie mówiłem nic o tem Szaniawskiemu, bo mi wstyd było słabości, ale się dowiedział i dopieroż wpadł na mnie, a gorzej jeszcze na Boncourową.

— Nie warta jest tego, aby dla niej poczciwy człowiek życie ważył, przewrotna, płocha i wszystkich gotowa poświęcić dla siebie!

Nie mogłem się już tłumaczyć nawet, czując, żem zbłądził. Nie pozostawało mi nic, tylko się w kąt zaszyć i milczeć.

Król zaś, zmiarkowawszy moje położenie, wyprawił mnie do Warszawy z pismami do senatorów, którzy tam podówczas byli, i kazał mi tam aż do sejmu pozostać.

Co się czasu tego sejmu działo, nie umiem opowie-

dzieć, bom zdala i ze słuchu tylko mógł wnosić o okrutnem poburzeniu umysłów, jakie panowało z powodu frakcyi francuskiej i intryg Vitrego...

Między Pacami a Sapiehami przychodziło do tego, że wśród sejmu szabli dobywali... Król chciał koniecznie poboru i wojska dla odzyskania Kamieńca, a całe sejmowanie upłynęło na godzeniu zwaśnionych, na zasadzkach, potyczkach służby, pojedynkach i rozlewie krwi...

Nie było dnia, nie było nocy, ażeby z jednej lub drugiej strony nie padło kilka trupów, które do Wisły rzucano. W ulicach byle się spotkały czeladzie nieprzyjazne, wnet się rwały do szabel, a nie było sposobu karać, bo obie strony równie zawiniły. Francuska frakcya, Forbin i Vitry, tak się krzątali, płacili, podburzali, że wkońcu sejm zerwali, aż król niemal płakał....

Nie uchwalono nic, aby go bezbronnym uczynić i nie dopuścić do wypowiedzenia wojny Turkom.

Gdy już termin nadchodził i o głosowanie szło, umyślnie zwlekano do nocy, aby czasu nie stało do uchwały... Wiadomo, że prawo nie dopuszcza sejmować przy świecach.

Chciał król, szanując je, poradzić sobie, w sąsiednich salach światła kazawszy zapalić, a drzwi pootwierać, aby sejmującym widno było... ale spisek był na zerwanie. Zaprotestował najpierw Przyjemski, któremu ofiarowano znaczną sumę, aby odstąpił, ale nie chciał i wyszedł; poparł go poseł Dubrowski, i tak wszystko spełzło na niczem... a gdy mówię, że król płakał, to nic a nic nie przesadzam.

Słyszałem go z Matczyńskim chodzącego i powtarzającego:

— Odebrali mi Kamieniec! — nie puszczają mnie niepoczciwi przeciwko nieprzyjacielowi, wówczas, gdy mi go zmódz było najłatwiej!

Po sejmie , po tych burzach, jakoś się niby ukoiło.... pozostały tylko frymarki królowej z wakansami i chwytanie pieniędzy, które ze wszech stron starała się zagarnąć. Królowa, obawiając się wpływu czyjegokolwiekbądź,

któryby z jej wpływem mógł walczyć, starała się zwaśnić męża z familią jego, a nawet z własną, odsuwać ode dworu wszystkich, którzy jemu byli najmilsi. Podejrzliwa, niespokojna, otaczała go szpiegami, najmniejszą czynność śledziła.

Całą pociechą króla była nowa jego fundacya pod Warszawą, nad Wisłą, w bardzo pięknem położeniu, którą nazwał *Villa nova*, gdzie stawiał pałac i zakładał ogrody.

Pochlebcy Francuzi, choć się wyśmiewali po kątach głośno, porównywali ją do Wersalu i nazywali polskim Wersalem. Bóg tam wie, bo ja go nigdy nie widziałem, czy piękniejszy jest i wspanialszy od Wilanowa, ale ta fantazya królewska wiele Sobieskiemu chwil szczęśliwych przyczyniła, bo z nadzwyczajną, można było powiedzieć, pasyą, sadził, kopał, plany rysować kazał i pilnował ich wykonania. Szczególniej zaś owocowe drzewa go zajmowały, gdyż owoce lubił bardzo i jadł ich wiele, a nie było ich w Żółkwi, Jaworowie i po własnych ogrodach, zwożono mu je zdaleka, i delektował się niemi. Słyszałem od Brauna i innych lekarzy, że się owoce do otyłości mu przyczyniły.

Oprócz ogrodów, król był ciekaw wszystkiego i rad każdej rzeczy próbował, a wprowadzał do Polski o czem gdzie zasłyszał; w Wilanowie Holendrów osadził, którzy nabiałem i robieniem serów się zajmowali.

Tych gustów królewskich wielkiego bohatera i hetmana pospolici ludzie rozumieć nie mogli, wyśmiewali się z nich po kątach, ale gdy on ogród pokazywał, drzewka swoje opatrywał, sam kołki wbijał i łyczkiem, które w kieszeni nosił, przywiązywał do nich szczepki, unosili się i admirowali. Królowa też wolała go ogrodnikiem widzieć, niż wtrącającym się w jej sprawy.

A jak to zawsze bywa, gdy ludzie możnemu się chcą przypochlebić, ci, co przypodobać się pragnęli, zwozili cebule z Holandyi i kwiaty szczególne, nasiona i drzewka.

Tak samo było ze zwierzętami, bo i te Sobieski lu-

bił, szczególniej osobliwe, nieznane w kraju, albo przyswojone i ułożone, jako to była wydra pana Paska, co ryby łowiła... W Jaworowie strusie, wielbłądy, wilki ogłaskane, niedźwiadki i różne stworzenia wolno chodzące i w klatkach widzieć było można.

Przez parę lat spokojniejszych, tych właśnie, które wielką wyprawę poprzedziły, można powiedzieć, że Sobieski cokolwiek domowego szczęścia zażył, o ile ono z taką kobietą, jak królowa jejmość, możliwe było.

Familia z Francyi niemal cała się około Maryi Kazimiery gromadziła, mieszkał ojciec, który pewno nie na czyim koszcie żył, tylko na królewskim, a honory mu oddawać musiano i wygód też ci Francuzi wymagali nadzwyczajnych.

Honorami i pieniędzmi chciwej rodzinie nastarczyć nie było można. Dwór też dla ciągłych posłów cudzoziemskich, książąt i grafów przybywających, na wysokiej stopie król trzymać musiał; i był on prawdziwie pańskim, licznym a wspaniałym, chociaż król dla siebie tego wszystkiego nie potrzebował.

Na łowach kawałkiem chleba, owocami, kubkiem wina się kontentował, a w nocy pod lada namiotem, na cienkim materacyku legał.

Gdy występować musiał z całym majestatem i pompą królewską, miał po temu i postawę i oblicze, ale daleko szczęśliwszym był w małem kółku, w letniem ubraniu za stolikiem, godzinami rozprawiając. Ciekawy byłem nieraz przedmiotu tych rozmów, które się do północy i za północ przeciągały... — podsłuchiwaliśmy, Boże odpuść, pode drzwiami.

Przybył jakiś cudzoziemiec, inżynier, uczony lekarz, fizyk, król się z nadzwyczajną ciekawością informował o nowych wynalazkach, o książkach, o doświadczeniach, jakie gdzie czyniono. Z duchownymi zaś godzinami o nieśmiertelności duszy, o życiu przyszłem, o Bogu i t. p. rozprawiał, a często się tak zapędzał, że mu to spowiednik potem naganiał.

A w ciągu tych rozpraw trudno go było poznać, tak się poruszał, ożywiał cały i niemi przejmował.

To mu dozwalało o dawnych troskach zapominać i o dzieciach, które kochał bardzo i wielce się troskał o nie. Królowa jak Fanfanika, Jakóbka, tak i inne wychowywała na sposób francuski, i niańki, dozorców, nauczycieli sprowadzała Francuzów, tak, że dzieci szwargotały lepiej tą mową, niż polską władały.

Sam słyszałem, jak się upominał niejednokrotnie, aby z nich nie robić cudzoziemców... ale o to sam się starać musiał, bo go królowa nie słuchała...

Miała w głowie alianse monarchiczne i chciała, aby synowie i córka byli po europejsku wychowywani.

Jakóbkowi, choć król sobie tego życzył bardzo, polskiego stroju włożyć nie dała wcale. Musiał uledz dla świętego spokoju.

W nim samym polskiego szlachcica nic zatrzeć nie potrafiło, a najszczęśliwszym był, gdy nim, nie przymuszając do niczego, mógł się okazać.

Jak ona nigdy swej dostojności królewskiej nie zapominała, tak on się jej pozbywał łatwo. Nieraz też mu brak ambicyi wyrzucała.

Dwory króla i królowej, chociaż się z sobą łączyły, ale bliżej się przypatrując, tak się od siebie segregowały, że nigdy zmieszać nie mogły: co królowi było upodobanem, to ona odpychała, a on tego, co ją otaczało, wprost się obawiał.

Dosyć było łaskę u króla mieć, aby królowej stać się podejrzanym.

Ale o tem i o Francuzach na naszym dworze wogóle, jeszcze pisać będę, a teraz przystąpię do roku 1681, w którym się rozstrzygnęła sprawa o to, z kim król i Rzeczpospolita trzymać będzie w razie konfliktu rakuskiego z Turkami, którzy Tekelemu pomagać mieli, a wistocie zażyli go tylko, aby całą swą potęgę przeciw Cesarstwu rozwinąć.

Zaprawdę trudno mi wszystko opowiedzieć i jak do tego przyszło i jak maleńkie na pozór przyczyny sprowadziły bardzo wielkie i ważne następstwa. Dziś

i pamięć nie starczy, bo w niej tylko niektóre się szczegóły zatrzymały i uwięzły, tak jak, nie przymierzając, w sicie z mąki niektóre grudki pozostają.

Nie mogę inaczej powiedzieć, tylko, że król większym się politykiem okazał (zawsze nie zdradzając, na którą stronę się przechyli), niż po nim spodziewać się było można.

Mnóstwo okoliczności składało się na to, ażeby raczej z cesarzem iść i papieżem przeciwko odwiecznemu wrogowi Polski, Turkowi, niż z królem Francyi i Turkami, przeciw domowi rakuskiemu.

Nikt tu cesarza nie lubił, ani mu wierzył. Słyszałem niejeden raz Sobieskiego, który na rok przed sojuszem, w przewidywaniu jego, powtarzał, iż niewdzięczności cesarskiej tak jest pewien, jak, że żyw się czuje; ale dobrze zrozumiane Rzeczypospolitej interesy nie pozwalała na żaden sposób podać ręki Turkom. Złamawszy potęgę cesarską, dyktowaliby prawa Polsce i czynili z nią, co chcieli, a król Francyi pewnieby jej nie pomógł, ani ratował, aniby mógł nawet myśleć o tem.

W dodatku Vitry, którego wysłano do króla, najmniej miłym był wszystkim, bo z nikim się obejść nie umiał, aby pozyskać, zrażał dumą, szorstkością i szyderstwy.

Naostatek i sprawa siostry królowej naszej, pani Bethune we Francyi przepełniła naczynie i królowę naszą niemal do szaleństwa oburzyła.

Król Ludwik XIV, który chciał sobie pozyskać Polskę, bo nawet ze swoim protegowanym Tekelim, któremu pieniądze posyłał, aby go przeciw Cesarstwu ciągle na stopie wojennej trzymać, nie mogła Francya mieć stosunków, tylko przez Polskę, do czego tu trzymała osobnego agenta, Duwernego. Tymczasem, gdzie szło o jakieś uchybienie przeciwko etykiecie i powadze Ludwika, którego się miała dopuścić siostra królowej, pani Bethune, nie wahał się król jej zakazać przystępu do dworu i pokazywania się w Paryżu. Skazano ją na wygnanie gdzieś do dóbr na prowincyi.

Można tedy sobie wystawić, co się z królową naszą działo, gdy o tem otrzymała wiadomość, której zrazu wie-

rzyć nie chciała. Było to wprost znieważenie rodziny króla polskiego i bardzo łatwo przyszło królowej wytłumaczyć Sobieskiemu, iż on tego przebaczyć nie mógł, bo to była obraza majestatu jego i lekceważenie go.

Sam król wziął to mocno do serca i nazywał „doznaną sromotą".

Bardzo mu łatwo było z tego natychmiast skorzystać i Duwernego z Polski wygnać, przez co przeciętyby się stosunki Ludwika z Węgrami, ale miał w tem król subtelny rachunek swój, aby Vitrego i Francyę zostawić w niepewności, na którą stronę się przechyli stanowczo.

Z cesarzem potrzeba się było targować, bo na jego wspaniałomyślność wcale rachować król nie mógł.

Francuski poseł Vitry, czując, że stosunkom z Rzeczpospolitą grozi niebezpieczeństwo, króla niemal nie odstępował, pod pozorem ciekawości na łowy i wycieczki mu towarzysząc, w których więcej był naprzykrzonym, niż pożądanym.

Z Tekelim też król Jan do samego końca—albo, prawdę rzekłszy, nawet gdy się rozstrzygnęło to, że cesarzowi w pomoc szedł, nie zerwał zupełnie i zachował prawie przyjacielskie stosunki, które nawet czasu wojny nieraz się przydały...

Królowa, do żywego dotknięta sprawą siostry, której upokorzenia królowi Ludwikowi przebaczyć nie mogła, dysymulowała. Z Vitrym ciągle była ceremonialnie, zimno, ale niby z największą rewerencyą dla Ludwika i poszanowaniem. Czy Vitry temu wierzył, o tem nie wiem.

Oprócz niego, krzątał się tu w interesie Francyi Duverne, który szczególnie komunikacyi przez Polskę z Węgrami pilnował, doktór Akaleja w Gdańsku, przez którego chodziły wszystkie pieniądze, a nareszcie Morsztyn. Ten, będąc wolnym Rzeczypospolitej szlachcicem, nikomu, krom Boga nie podlegającym, dobrowolnie się zaprzedał, jak się później okazało, w poddaństwo królowi Francyi i jemu służył przeciwko własnemu królowi. Ten na wszystko oko miał, donosił, dozorował Vitrego i bystrzej wglądał we wszystko niż Francuzi. Umiał też długo tak się obchodzić

z królową, iż choć go posądzano, znoszono wszakże i nie zrywano z nim, jako ze zdrajcą.

Jesienią król (1681 r.) zabawiał się łowami, przy których byłem ciągle, rad, żem się wyrwał z babskich intryg. Towarzyszył nam Vitry z Francuzami, którzy i w myśliwstwie nie okazali się bardzo szczęśliwymi.

Nikt z nich, ani z towarzyszów cesarskiego rezydenta, Zierowskiego, o takich łowach, jak nasze, wyobrażenia nie miał, gdzie koło Dzieduszyc i Międzyrzecza, bywało jednego dnia w kniejach po dziesięciu niedźwiedzi i tyleż dzików, nie licząc pomniejszego zwierza, ubito; Francuzi tymczasem śrutem do psów królewskich strzelali i poranili je; król stracił charta ulubionego, jeden z towarzyszów postrzelonego brytana. Jednemu janczarowi królewskiemu niedźwiedź głowę obdarł, ale był tak poczwarnie ogromną bestyą, że nikt, jako żyw, podobnego nie widział.

Król nadzwyczaj wesół był, dobrej myśli, i choć się skarżył na jakąś niemoc a lekarstwo miał brać, tak nakoniec z drugimi dotrzymywał placu, że pociecha było patrzeć na tę jego działalność.

Najtrudniej mu bywało na siodło się dostać, ale raz na koniu, po kilka godzin nie zsiadając, nigdy się nie poskarżył. Na tych łowach, około Dzieduszyc i Międzyrzecza, dzień w dzień, bez spoczynku się zabawiał.

W tym roku już, zdaje się, szala przechyliła się na stronę aliansu z cesarzem, ale Vitry i Francuzi, znajdując króla do czasu powolnym dla Duwerna i zawsze z pewnym respektem wyrażającego się o Ludwiku XIV, pochlebiali sobie, iż króla i królowę pozyszczą.

Vitry, znając pewnie, jak nasza pani chciwą była grosza, wnosił, aby Francya sto tysięcy rocznie zaofiarowała, kupując sobie przymierze. Nie wątpiono, iż się to powiedzie. Ale nie znali pono oni Sobieskiego, któremu o tem mówić nawet nie było można, ani nawet królowej, która chciwą była, ale jeszcze bardziej dumną, a w osobie siostry dotkniętą tak boleśnie, iż tego przebaczyć nie mogła.

Na wiosnę tego roku znowuśmy z królem, który rad był trochę swobody mieć od żony i odetchnąć na świe-

żem powietrzu, ruszyli na łowy w kwietniu, a rezydent cesarski tak pilnym był, iż nawet na polowaniu chciał Sobieskiemu towarzyszyć. Od tego się ledwie oswobodzono.

Jednakże pamiętam, że gdyśmy około Dziedziłowa z nieosobliwem szczęściem polowali, bo zwierza było mało i tu króla nowiny od Turcyi przez Wołochy dostarczone doszły, które przepisane zaraz rezydentowi cesarskiemu posłano. O Tekelim też i wszystkich jego obrotach i zamiarach król był lepiej uwiadomionym, niż sam cesarz.

Królowa niedomagająca siedziała w Jaworowie ze swą rodziną, a król zarazem i dobra swe oglądał, porządek w nich zaprowadzając.

Po kilkudziesięciu latach, jak sam powiedział król, z wielkiem wzruszeniem odwiedzał przy tej okazyi, w kwietniu, zamek w Olesku, gdzie się urodził.

Znaleźliśmy go bardzo zdezolowanym i opuszczonym, bo komnaty niektóre zaciekały, za co król bardzo na burgrabiego się gniewał. Pokazywano nam tu marmurowy stół pęknięty, na którym, przyszedłszy na świat, naprzód był położonym. Olesko restaurować, choć miejsce bardzo piękne i ogrody pozakładane w dobrym stanie, podczas budowania i robotach w Wilanowie i Jaworowie, trudno było myśleć, ale król to sobie obiecywał w przyszłości.

Kościół i groby Daniłowiczów znalazły się dosyć dobrze utrzymane.

Z Oleska, gdzie król dłużej dnia nie bawił, jechaliśmy do Złoczowa i do Podhorzec do Koniecpolskich.

Wiosna była najśliczniejsza, a tam z podziwieniem się mógł przypatrzeć, jak ten wielki rycerz i bohater nie postradał, mimo wszystko to, co miał na głowie, upodobania w tem, co pospolitych ludzi bawi i zajmuje.

Musiałem raz wraz z Morawcem z konia zsiadać i pierwsze kwiatki nad drogą się pokazujące, które król radośnie witał, zrywać dla niego. Cieszył sie tak miodunkami, podlaszkami, żółtemi sosenkami, jakby, za pozwoleniem, dziecię. Inni się uśmiechali, a jam na to patrzył

z poszanowaniem, bo—dali Bóg, póty w człowieku serca i poczciwości, dopóki go takie proste rzeczy radują i smaku w nich nie traci. A tu, mimo cesarza i króla Ludwika, nasz pan śmiał się do przelaszczek tak, jakby Turka na świecie nie było.

Z Oleska, *in falor*, ciągnęliśmy na Zborów do Huty nad Krynicą, około Olejowa dwadzieścia sarn i ogromne wilczysko upolowawszy, dalej do Medyki, gdzie ten nieszczęsny Francuz Duwerne czekał na nas, bo mu jego szpiegów z listami Tekelego pochwycono.

Tych podstarości Niemirowski chował na strychu, aby Francuz o ich wzięciu i o listach, które wieźli, nie dowiedział się.

Listy odesłano rezydentowi cesarskiemu, a ludzi pobranych odprowadzić kazał król na zamek do Sosnicy pod Wysockiem.

Francuz już miał wiatr o ich przejęciu, czemu Sobieski nie zaprzeczał, ale udał, że ich rezydent cesarski sam pochwytał.

My czuliśmy już, że z Francuzami szło coraz gorzej, co i po nich widać było, bo nosy bardzo pospuszczali, a Vitry nawet taki był teraz grzeczny i nadskakujący, jak nigdy. Nie uchybiano mu też, ale chłód ceremonialny coraz był jawniejszym.

Politykowano.

Przed podróżą tą do Oleska i do dóbr na Rusi, Vitry, obawiając się na chwilę stracić go z oczów, ofiarował się towarzyszyć, ale Sobieski grzecznie dał do zrozumienia, aby na niego poczekał. Oprócz tego posłał z kancelaryi swej Czarnkowskiego, który najlepiej po francusku umie i więcej nie powie nad to, co potrzeba, aby panu Vitry poufnie oznajmił, iż rezydent cesarski, a nadewszystko nuncyusz papieski, Pallavicini, uskarżają się na to, że król toleruje stosunki Węgrów z Francyą przez kraje Rzeczypospolitej i że Sobieskiemu trudno będzie na dłuższy pobyt Duwernego pozwolić.

Papieża musiał mieć na względzie dla subsydyów, jakich się od niego spodziewał, w razie wojny z Turkami.

Czarnkowski, wszystko to odniósłszy, co Vitry kwaśną miną przyjął, króla od osobistych nieprzyjemnych tłumaczeń uwolnił.

Powróciwszy z tej wycieczki, zastaliśmy w Jaworowie Vitrego, który, jak nam powiadano, nieszczęśliwie się dowiadywał o powrót króla i zaraz nazajutrz rano, gdy król w ogrodzie się zabawiał około tulipanów, pochwycił go na długą rozmowę.

Z tej powróciwszy — Sobieski, choć wcale gorąco nie było, pot z czoła ocierał, a królowa natychmiast nadeszła na konferencyę z nim, aby się dowiedzieć, czego Vitry żądał i na czem się skończyło.

Z pochmurnego oblicza posła można się było domyślać, że nie bardzo był rad z posłuchania.

Przy obiedzie wszakże królowa dla Francuza nadzwyczaj była uprzejmą, jakby na przekorę i szyderstwo, a król też głośno się oświadczał z wielką dla Ludwika admiracyą i sympatyą.

Francuzi między sobą szeptali, że Duwernemu wskazano, aby się stąd oddalił, bo go dłużej cierpieć nie chciano.

Jawną już była przegrana Francuzów, na których się królowa mściła nietylko za siostrę, ale i za ojca, któremu tytułu książęcego i parostwa dotąd odmawiano.

O ilem ja moim mizernym rozumem mógł naówczas spenetrować, co się knuło, składało i przygotowywało, jawnem było coraz bardziej, iż mimo zapewnień poszanowania dla Francyi, wszyscy już z cesarzem trzymali, a król niekoniecznie dla żony, ale z własnego przekonania się na tę stronę przechylał.

Siostra, księżna Radziwiłłowa, szwagier króla, Wielopolski, żona jego, siostra królowej, trzymali z rezydentem cesarskim.

Pomiędzy ludźmi, przysłuchując się, różne można było chwytać zdania, bo u nas wkorzeniony był wstręt do rakuskiego dworu i obawa jego; również i dla Turków miłości nie mieliśmy, ani dla Francuzów. Więc głosy się dawały słyszeć najsprzeczniejsze, nie gdzie życzliwość i miłość prowadziła, ale gdzie nienawiść skłaniała.

Vitry, jakom później słyszał, przypisywał usposobienie króla i niechęć ku Francyi, jedynie obrażonej dumie królowej i chęci pomszczenia się za ojca.

Doradzał więc, aby mu, choć późno, owo pożądane księstwo i starostwo ofiarowano, gdy królowa głośno się z tem odzywała, że teraz nie przyjmie, choćby dawano, i nie potrzebuje łaski królewskiej.

Rachował też Vitry na owe sto tysięcy pensyi, którą Ludwik królowej czy królowi chciał ofiarować, ale— z tem wystąpić nie śmiano.

Myśmy z samego pochmurnego oblicza posła francuskiego mogli wnosić, że tu mu coraz ciaśniej było i niewygodniej. Siedział jednak, a w towarzystwie oboje państwo okazywali mu zawsze uprzejmość wielką, tak, że się skarżyć nie mógł.

Przez cały ten rok, nie umiem powiedzieć, czy Francuzi się łudzili, czy ich łudzono tem, że sobie mogą pozyskać króla, gdy wistocie, w miarę tego, co mógł zyskać Sobieski, stojąc po stronie cesarza, Ludwik XIV, ani w części nie mógł mu równoważnych zapewnić korzyści. Morsztyn, który dawniej u króla miał pewne zachowanie stał się nietylko podejrzanym, przyjmowano go chłodno, a wkońcu królowa, która mniej dysymulować umiała, jawnie już poczęła niechęć ku niemu objawiać.

Ale we wrześniu jeszcze Vitry się upierał, dworując ciągle, choć niezbyt zręcznie, że Sobieskiego przeciągnie na stronę Francyi. Tymczasem cesarz już nawet tytuł majestatu królowi pruskiemu dawać począł, a pono królowa się obietnicami cieszyła, że dla Fanfanika rękę arcyksiężniczki pozyszcze. Była to dla niej najprzyjemniejsza pomsta nad Francyą.

Nie przyznaję sobie wcale prawa sądzenia o polityce, bom się jej nie nauczył, choć się o nią ocierałem codzień, ale mi się widzi teraz, gdy poglądam zdala na ówczesny skład okoliczności, że więcej przewidując a mniej króla i Rzeczpospolitę sobie lekceważąc, Ludwik XIV byłby mógł sobie pozyskać królowę, jej rodzinę, a przez nich i Sobieskiego, który zdawna, od młodu miał skłonność sprzyjać Francyi.

Tymczasem czyniono wszystko, co tylko było można, aby królowę i jego zrazić i odepchnąć a w dodatku posłano tu Vitrego, który nikogo sobie pozyskać nie umiał.

Król rozmawiać z nim lubił, ale ni mniej ni więcej jak z innymi ludźmi trochę wykształconymi, konwersował z nim godzinami, nigdy mu się pono nie zwierzając z niczego, a sam na uszy moje słyszałem, bo się mnie nie wystrzegano, jak powróciwszy z takiej konferencyi z nim, przed królową się z niej spowiadał, podżartowując z Vitrego, którego półsłówka doskonale rozumiał, a przed nim udawał, że inaczej pojmuje to, niżeli on i wyślizgał mu się, nigdy nie dając wypowiedzieć szczerze, tak jak sam szczerze się przed nim wygadać nie chciał.

O ile wiem i przypominam, Vitry więcej łudzić się dawał, niż bystrzejszy od niego Morsztyn, który widział zawczasu, że interesy Francyi źle stały i ratować już nie było można.

W listopadzie, jeśli się nie mylę, Vitry naostatek oświadczył królowej, że Ludwik XIV, przez konsyderacyę dla niej, margrabiemu ojcu pana d'Arquien nadać był gotów ów tytuł książęcy i parostwo osobiste, ale Marya Kazimiera grzecznie a dumnie odpowiedziała mu, że jej godność i teraźniejsze położenie nie dozwalały już przyjąć tej łaski, za którą dziękowała, nie mogąc z niej korzystać.

Wyszły pono przy tej zręczności na stół żale za siostrę, panią Bethune, i Vitry już nie miał nic więcej do ofiarowania jako kompensatę nad owe sto tysięcy liwrów, na które rachował, znając chciwość i skąpstwo królowej, a posądzając i króla o to, że zbyt pieniądze lubił. Tymczasem i to już chybione było, bo spóźnione, albo-li całkiem niezręczne, bo godności króla uwłaczające. Można było tę ofiarę jak chcieć malować i tłumaczyć, zawsze ona była pensyą, która stawiła Sobieskiego na żołdzie Francyi.

Na to już duma królowej nawet nie mogła przystać. Napróżnoby Vitry chciał dowodzić, iż pensya mogła pozostać tajemnicą, ale w polityce takiej ledwie krótko się sekret uchować może, gdy kilka co najmniej osób—mieć go musi zwierzonym.

W grudniu wiem, że gdy sejm zwoływać miano,

przejęto list Morsztyna do Francuza jakiegoś, w którym stało:

„Liga pomiędzy naszym dworem a cesarzem zawarta, a nawet okupiona przyrzeczeniem wydania arcyksiężniczki za księcia i zapewnieniem sukcesyi tronu. Samo z siebie, z natury rzeczy wypada, iż gdy sejm zerwany zostanie, zerwie się i ta Liga".

Z tego wnosić już łatwo, jaki się sejm gotował, i jak wytężone były wszystkie siły i intrygi, aby przykładem innych, zerwany został.

To zaś Morsztynowi i francuskiej klice zdawało się bardzo łatwem, bo dosyć było jednego posła przekupić i kazać mu krzyknąć —*veto*—aby wszystkie narady w łeb wzięły.

Z takiemi aprehensyami jechaliśmy do Warszawy, jawnie już mając wystąpić z przymierzem rakuskiem, które tylko dlatego się ociągało, że je papież przez nuncyusza miał popierać.

O sobie, jak mi się pod te czasy działo, niewiele powiedzieć mogę, tyle tylko, że u króla w łaskach byłem zawsze, a nawet coraz większe zdobywałem zaufanie, które, oprócz Szaniawskiego i Morawca, we wszystkich zazdrość i niechęć ku mnie obudzało.

Bóg widzi, żem z królewskiego dla mnie usposobienia nigdy na niczyją krzywdę nie korzystał, owszem, gdy król pytał o kogo, zawszem tłumaczył, zalecał, a żadnego sobie złego słowa do wyrzucenia nie miałem.

Najwięcej się przeciwko temu oburzono, gdy pomijając starszych we dworze, król mi powierzył swój osobisty skarbczyk. Były to jego kieszonkowe pieniądze, o których ani królowa, ni też nikt nie wiedział, ani skąd przychodziły, ni gdzie się obracały.

Podskarbi prowadził wielkie rachunki, jam miał w zawiadywaniu woreczek królewski, ażeby zaś stosunek ten cokolwiek pokryć, dał mi król nadzór nad swojemi kosztownościami, których choć niewiele używał, ale ich dosyć było—po Daniłowiczach, Żółkiewskich, po pradziadach.

Już naówczas samych szabel w złoto oprawnych

miałem na regestrze kilkanaście (z których jedną najulubieńszą, król, sankami jadąc, zgubił w tym roku) drugie tyle było siodeł, rzędów, czubów, zbroi szmelcowanych, spinek pod szyję, pasów, łańcuchów i różnego srebra.

Nigdy nie wychodził król bez sakiewki, w której jednym końcu złoto miał, w drugim srebro, bo zawsze złotem rzucać nie lubił, choć jałmużnę chętnie dawał i nigdy ubogiemu odejść bez niej nie dopuścił.

Trafiało się bardzo często, że kilkadziesiąt dukatów wziąwszy z sobą, powracał wieczorem i oddawał mi, śmiejąc się, sakiewkę próżną, a gdym pytał, co mam wpisać, po namyśle najczęściej,—na rachunek ogrodowy wpisywać to kazał.

Wistocie dla ogrodników hojnym był, ale też i dla innych podupadłych szlachty, petentów, których zawsze było mnóstwo, umiał być szczodrym, szczególniej, gdy należeli do rodzin znanych mu. Skąpym ani chciwym nigdy nie był, choć rozrzucać nie lubił.

Tu też może słowo powiedzieć nie zawadzi o Francuzach na dworze u nas, około których teraz musiała być oględność wielka, bo do nich Vitry i jego pomocnicy łatwy przystęp mieli i przez nich wiedzieli, co się u nas mówiło i działo.

Nie mogę ich o to wszystko obwiniać, aby króla zdradzali, bo wielu z dobrą wiarą się wygadywali, nie wiedząc, że to szkodzić mogło, ale i na tych nie zbywało, którym Vitry i Forbin i inni agenci dawali pensye. Pomiędzy kobietami królowej też pewnie na ujętych przyjaciółkach Francuzom nie zbywało. A jako dawniej powiadano, że za Wazów aż do Maryi Ludwiki, przemagała u nas na dworze niemczyzna, tak Michała wyjąwszy, z królową francuską, a potem z naszą margrabianką tak się francuszczyzna rozwielmożniła, iż ją tylko prawie słychać było na dworze.

Królowa Sobieska, wprawdzie od młodych lat mieszkając w Polsce, języka się mimowoli nauczyła, ale nim mówiła bardzo źle, a pisała jeszcze gorzej, jeżeli parę słów czasem nakreślić była zmuszoną. Z mężem, z dziećmi, z ojcem, z bratem, siostrą, szwagrami, z całą służbą roz-

mawiała po francusku tylko. Około króla było dworzan i służby Polaków kilku, około królowej nie wiem, jeżeli kto, oprócz Szumowskiej jednej. Faworyty obie, Federba i Letreu Francuzki były, dziewczęta przeważnie też, lokaje nie mniej. Dopiero zstępując niżej coraz, przy kredensie i koniach Polaków znaleźć było można.

Z powodu margrabiego ojca, brata, siostry królowej, gdy ci do stołu siadali, albo w towarzystwie się znajdowali, francuszczyzna w salonie panowała, król też książki francuskie przeważnie czytywał, albo łacińskie; polskich, oprócz panegiryków, mało było i to tak szpetnie drukowanych, że ich do ręki wziąć było trudno. Nieraz biblioteki oglądając dawne i książki widząc dawniej u nas drukowane w Krakowie, w Gdańsku, nawet po mało znanych miastach, dziwić się musiałem temu, że u nas i papieru dobrego nie stało i drukować nie umieli. Dla króla, gdy panegiryk wydrukowano, to się już zmogli na papier ludzki, ale toż samo dla pospolitych ludzi, gorzej niż na bibule odbijano, a królewskie konterfekty, jak od siekiery wyrąbane wyglądały.

Ale to naówczas nikogo nie obchodziło, bo kto się o polską książkę troszczył, albo kto jej był żądny?

Wracając do Francuzów, właśnie naonczas, gdy królestwo oboje najgorzej byli z Francyą, gdy Vitry się wściekał, nic dokazać nie mogąc, powszechnie nienawidzony, Francuzów na dworze, po miastach, przy magnatach, w wojsku naszem było mnóstwo. Inżynierowie niemal wszyscy byli z Francyi posprowadzani.

Przy królu pisarze, sekretarze, lokaj i felczer razem— Dumoulin, Lafore służący, nie zliczyć ilu Francuzów.

Można pojąć, jak nam tu było cokolwiek przed posłem i agentami Francuzów ukryć. Czego mężczyźni nie wygadali, wypaplały kobiety. W Warszawie, we Lwowie, sklepów i kupców z Francyi moc było, jak niegdyś w Krakowie Włochów.

Myśmy się wszyscy prawie po niewoli czy po woli musieli nauczyć języka tego; choć kto mówił źle, rozumiał go dobrze. Jak na przekorę, cała ta francuszczyzna teraz z królową razem stała przeciwko Francyi i jej królowi, ale Vitry i Morsztyn, z całym zastępem swoich jawnych i skry-

tych pomocników, zakupionych, gotowali się bodaj Sobieskiego z tronu strącić, a do przymierza z Austryą przeciw Turkom nie dopuścić.

W tej niepoczciwej robocie Vitremu nie tyle przypisywać należało, co nader zręcznemu, przebiegłemu, okrutnemu, a duszą i ciałem oddanemu Francyi Morsztynowi, który już więcej Francuzem był, niż Polakiem, i dobra nabywszy we Francyi, sam się tam z radością przenieść zamierzał.

Jak do tego przyszło, iż z wielkiego przyjaciela i sługi króla jegomości przeszedł do obozu jego wrogów, trudno tłumaczyć inaczej, tylko wielkiemi dobrodziejstwy, jakich za zdradę własnego kraju spodziewał się od Ludwika XIV.

Królowa też w tem, jak we wszystkiem cokolwiek się u nas działo, miała udział niemały. Brat jej, kawaler de Maligny, któremu, jako mężnemu dowódcy, nic zarzucić nie było można, nie stary, przystojny, starał się o córkę Morsztyna. Odmówiono mu jej.

Królowa za brata i za własną obrazę poprzysięgała pomstę, a choć Morsztyn tłumaczył się i uniewinniał, że córki zmuszać nie mógł, nie przebaczono mu tego, że śmiał wzgardzić koligacyą z królewską rodziną.

Morsztyn naówczas już przygotowany opuścić całkiem Rzeczpospolitę, mający tu licznych przyjaciół i stosunki, zręczny, umiejący wszelką odegrać rolę, jaka na niego przypadała, ważył się na spisek przeciw królowi...

Nie miał Ludwik XIV czynniejszego, ani doskonalszego agenta w Polsce nad niego.

Nie umiem powiedzieć prawdą-li było, czy potwarzą, co później głoszono, a król taił i nie dopuszczał, by się rozchodziło, iż spiskowi zamierzali nie tylko go z tronu zrzucić, a wielkiego hetmana Jabłonowskiego w miejscu jego okrzyknąć, ale nawet na życie Sobieskiego godzili.

Tam, gdzie o tak straszliwe oskarżenie idzie, lekkomyślnie go rzucać nie pozwala sumienie, ani zapisywać ku wiekuistej pamięci tego, co bodaj zapomnianem zostało. Nie będę się więc rozpisywał z tem, co mnie doszło później o spisku, który, Bóg strzegł, nie przyszedł do skutku.

W całej tej sprawie ciemno było i jest, ci, co w niej ręce maczali, wyparli się udziału; o Jabłonowskim mówiono, iż bez jego wiedzy nim rozporządzano, król bowiem do ostatka miał go za najlepszego przyjaciela, a u królowej był nietylko w największej estymie, ale bodaj więcej jej upodobanym, niż mąż.

Tego szlachetny charakter i otwartość nie godziły się często z jej polityką niepatrzącą i nieprzebierającą w środkach, byle prowadziły do upragnionego celu.

Przed sejmem król tak był spokojnym i zdawał się swojego pewien, iż namniejszej obawy nie miał o rezultat. Obmyślanem było wszystko, aby do zerwania nie dopuścić, a wnioski królewskie, poparte przez nuncyusza Inocentego XI i przez rezydenta cesarskiego, przeprowadzić....

Zdaje mi się, że i królowa, nierównie podejrzliwa i przebieglejsza, nie domyślała się uknutej zdrady.

Lecz nim do sejmu przyjdziemy, moją własną nieszczęśliwą przygodę opowiedzieć muszę, gdyż ona, wielkich dla mnie strapień, zgryzot i mankamentu przyczyną była. Wspomniałem wyżej, jak mnie Felicya ta nieszczęsna, dziś już Boncourowa, wciągnęła w to, że z mężem jej o nią się poważniłem.

Wiedzieli o tem wszyscy, i my oba od siebie stronili, nie mówili jeden do drugiego. Francuz mnie omijał, a jam go też nie szukał. Wiedziałem o tem, że się na mnie odgrażał pokryjomu i ciągle obiecywał dać mi naukę. Śmiałem się z tego, ale z żoną jego stosunków unikałem i choć mi się uśmiechała pięknie a wabiła, nie dawałem się pokusie.

Tak stały stosunki nasze, gdy jużeśmy się naówczas na sejm wybierali do Warszawy, rano jednego dnia wpada do mnie poczciwy Szaniawski tak zaperzony, iż odrazu poznałem, że coś przynosi niedobrego... Nagle stanąwszy naprzeciwko mnie wśród izby, woła:

— Człowiecze! Coś ty zrobił, do czego cię ta głupia pasya twoja doprowadziła!

Przeżegnałem się.

— Co tobie jest?—pytam spokojnie.

— Przede mną nie udawaj!—krzyknął Szaniawski— póki czas, ubieraj się, uchodź, to nie przelewki... *Vox populi* na ciebie wskazuje... wszyscy mówią, że to twoja sprawa. Jeżeli ci życie miłe...

Mnie się w głowie mieszało.

— Bóg świadkiem duszy mojej — zawołałem, z łóżka się porywając—ani wiem, ani rozumiem, o co idzie... Czego ty chcesz? o czem mówisz?

Popatrzył na mnie Szaniawski.

— Czyś winien, czy nie winien, bo dalibóg nie wiem już co sądzić...—rzekł, ciężko oddychając—ratować się jakoś należy, bo jeden jedyny głos, że to twoja sprawa...

— Ale, do krocset dyabłów—przerwałem— powiedz że mi wkońcu, o co idzie? Jestem jak w rogu...

— Boncour zabity—począł Szaniawski — znaleziono go dziś rano na śmierć porąbanego w lasku za ogrodem. Wczoraj wieczorem widziano was sprzeczających się z sobą.

Dreszcze po mnie i ogień przeszły...

— Jakżeś ty mógł przypuścić—zawołałem,—ażebym ja był zabójcą, żebym pokryjomu napadał i rąbał! Waśniliśmy się z sobą niejeden raz, wczoraj też drwiłem z niego, aleśmy się w podwórzu rozeszli. O niczem nie wiem...

Przestraszony jednakże, wstałem natychmiast się odziewać.

— Pojdę wprost do króla—zawołałem—niech zaraz inkwirują... ja nie winien...

— A! już tam od dnia inkwizycya się poczęła i król uwiadomiony—rzekł Szaniawski;—byłem pewny, żeś uszedł, bo i ja ciebie posądzałem... Z inkwizycyi nie wyszło nic więcej nad to, że wczoraj późno wyście z sobą jeszcze koty darli, a potem on się z mieszkania wyśliznął i już nie powrócił. Nocą czeladź, powracająca z miasteczka, trupa w lasku znalazła. Mówię ci, że jednym głosem wszyscy ciebie obwiniają. Trupa złożono w szopie na tapczanie, posiekany strasznie, głowa rozpłatana... Żona wpadła, słyszę, zobaczyć go i łzy nie uroniwszy, wyniosła się ze

wspólnego mieszkania do fraucymeru. Wcale żalu po nim nie okazuje...

— Jam nie winien—odparłem Szaniawskiemu.— Znasz mnie, nie miałbym dla ciebie tajemnicy. Prawda się musi wykryć. Ubieram się i idę do króla...

Ledwiem tych słów dokończył, gdy Morawiec wpadł; zobaczywszy mnie, ręce załamał i krzyknął:

— Król kazał wołać cię, czemu nie uszedłeś zawczasu?

Pasya mnie porwała.

— Człowiecze!—zawołałem.—Coś ty z innymi oszalał także, czy co? Ja o Bożym świecie nie wiem...

— Król rozgniewany, jakiem go nie widział dawno— dodał Morawiec.—Już na ostatnim sejmie, pojedynki i zabójstwa około zamku doprowadziły go do srogiego oburzenia, chciał dać przykład, a tu przy nim, pod jego bokiem, taki kryminał i na Boncourze, którego on potrzebował i lubił.

Nie było już co z nimi rozprawiać, tyle tylko, żem porwał obraz Chrystusa, wiszący nad łóżkiem, i przysiągłem im, że zabójcą nie byłem.

— Żebyś sto razy przysiągł—odparł Szaniawski— ludzi nie przekonasz; ja ci wierzę, ale król, ale inni...

Jak w gorączce, pierwsze z brzegu suknie wdziawszy, pobiegłem do króla, którego właśnie Lafore ubierał i nogi mu smarował.

Z twarzy Sobieskiego postrzegłem zaraz, że sprawa źle stała. Zobaczywszy mnie w progu, zatrząsł się.

— Zbóju ty!—zawołał.—Nie poszanowałeś nawet majestatu króla twojego... Wiesz-że ty, co to szabli dobyć tam, gdzie król rezyduje?... Na gardle za to odpowiesz, na gardle!

— Padłem na kolana, bijąc się w piersi.

— N. panie—krzyknąłem z boleścią—jam nie winien. Sprawa to nie moja... Poprzysiądz to mogę...

— Precz! precz! pókiś cały! — począł król.—Mężobójcą a w dodatkuch cesz być krzywoprzysięzcą. Patrzajże do czego cię ta głupia miłość doprowadziła. Gubisz duszę.

— N. Panie!—zawołałem.

— Milcz!—krzyknął król—milcz!—Wynoś mi się, pókiś cały, nie pokazuj na oczy... Gdy cię marszałkowscy urzędnicy wezmą, ja nie obronię i bronić nie będę.

— N. panie—począłem błagać,—jeżeli ujdę, to mnie wszyscy winnym uznają, a ja nim nie jestem. Nie chcę, choćby życie ratując, sromotą się okryć, niewinny jestem...

— Wszyscy cię obwiniają—wtrącił gwałtownie król—wszyscy! Widzieli was wczoraj wieczorem waśniących się z sobą i takeście wyszli razem...

— Alem ja wprost do mieszkania na strych poszedł, anim potem Boncoura widzał—powtórzyłem.

— Jedź stąd, słyszysz—przerwał mi król—mam litość nad tobą. Prawda się odkryje, ale nim się ta twoja niewinność, w którą ja nie wierzę, okaże, będziesz więzionym, bo niemal *in flagranti* cię pochwycono... Z marszałkiem żartów niema...

Spojrzał na mnie.

— Nie, najjaśniejszy panie, uciekać nie będę—odparłem spokojnie,—zabójstwa winien nie jestem...

— Tak, tak!—gniewnie przerwał mi Sobieski—sofistykujesz! Zabójstwa nie popełniłeś, powiadasz, ale pojedynek był... Otóż tak! pojedynek bez świadków,—to morderstwo.

— Ale ja się z nim nie biłem—zawołałem zrozpaczony.—Sam się oddam w ręce marszałkowskiej straży, bo nie mogę tego ścierpieć, aby mnie obwiniano, gdy się niewinnym czuję...

Pomimo zaklęć moich, król się nie mógł uspokoić, nie chciał mi zawierzyć.

— Rób sobie, co chcesz—zawołał—ale ja cię dłużej trzymać nie mogę przy osobie mojej i przy dworze. Dosyć posądzenia o zabójstwo... tolerować mi się tego nie godzi. Mnożą się pokątne kryminały, folgować im nie mogę. Zdaj wszystko Szaniawskiemu i czyń, co chcesz... znać cię nie chcę.

Mnie się niemal na płacz zaniosło, kląkłem znowu.

— N. panie—począłem, ręce podnosząc—nie karz

mnie, niewinnego, nie odpychaj! Dosyć będzie tej oznaki gniewu twego, aby mnie wszyscy potępili...

Nie dał mi mówić.

— Dość, dość—rzekł—nie mogę tego słuchać i pobłażać nie wolno mi... Com rzekł, to się stanie!

Wskazał mi na drzwi; Lafore, widząc go zagniewanym, otworzył je przede mną, musiałem iść precz...

W głowie mi się zawracało, uciekać nie myślałem...

Szaniawski stał w przedpokoju, czekając, na czem się to skończy; rzuciłem mu klucze, powiadając, że skarbczyk miał przejąć.

— A ty?—zapytał.

— Cóż ja?—odparłem.—Nie możesz przecież myśleć, że ja ucieknę, kiedy się niewinnym czuję. Ja pozostanę tu, póki się instygowanie nie skończy. Sam będę instygatorem bodaj, a winowajcę odkryję, bo na sobie plamy takiego mordu znieść nie mogę.

Ludzie, którzy sądzili, że ja już za górami jestem lub za kratą, zobaczywszy mnie chodzącego swobodnie i ani myślącego o ucieczce, poczęli zmieniać zdanie.

Nikt jednak do mnie, oprócz Szaniawskiego i Morawca, nie zbliżał się, bo się obawiali wszyscy, aby o wspólnistwo i pomoc nie byli posądzeni, a w konflikt wejść ze z sądami marszałkowskimi nikt sobie nie życzył.

Pierwsza rzecz, poszedłem z Szaniawskim do szopy, gdzie trup był złożony. Ażem się wzdrygnął, tak haniebnie porąbany był. Oprócz głowy, z której mózg wyprysnął... twarz, ramiona miał posieczone... Ale krew już dawno płynąć przestała i tylko skorupa czarnokrwawa go okrywała... Z tego wnosić było można, iż jeszcze z wieczora został zamordowany.

Rany były zadane od szabli, a przy nim tylko złamany rożenek francuski się znalazł. Nie był to więc pojedynek, ale wprost napaść jakaś, a z ilości ran zdawało się, że chyba nie jeden, ale co najmniej dwu na niego naskoczyło...

Od niego potem poszedłem do żony, do fraucymeru królowej, chcąc ją widzieć, ale mnie nie dopuszczono.

Z tego, co mi Letreu przyszła podszepnąć, wnio-

słem, że i ona mnie musiała posądzać o zabójstwo, chociaż po mężu tym wcale nie płakała... Letreu też życzyła mi uchodzić, alem wprost jej oświadczył, że ani myślę się ruszyć, póki zabójców nie wyśledzę i nie oczyszczę się.

Nie ruszyłem się więc ani krokiem z Jaworowa, ale, że mnie już za ekskludowanego uważano, nie poszedłem do stołu i zostałem w izbie pod strychem. Com wycierpiał przez ten czas, nie opisać.

Marszałkowski zastępca nie chciał mnie aresztować, bo widział, że uchodzić nie myślę, ale brano to wprost za zuchwalstwo z mej strony, nie za dowód niewinności, i powiadano, żem był pewien królewskiej protekcyi, dlatego tak sobie śmiało poczynam.

Inkwizycya też szła przez ten wzgląd na króla opieszale, tak, że ja sam musiałem ją niemal prowadzić... Najmniejszego śladu nie można było natrafić, ani nawet domysłu powziąć, kto mógł to morderstwo popełnić.

Znałem już teraz do tyla Boncourową, że ją mogłem posądzić, iż jeśli zabójców nie nasłała, to przynajmniej przyczyniła się do tego mogła. Nie ja jeden dla niej głowę straciłem, było wielu innych, co szaleli, z tą różnicą, że moja miłość stateczną była, a ich przemijającą.

Rozpytując, rozpatrując, śledząc, tyle tylko doszedłem, że w ostatnich dniach przed zabójstwem najwięcej się około Boncourowej uwijali Słoniewski niejaki i Margocki, oba młokosy. Letreu mi mówiła, że widziała jejmość kilka razy to z jednym z nich, to z drugim, śmiejącą się i szepczącą po kątach, i że Słoniewski i Margocki nazajutrz po zabójstwie, do stołu przyszedłszy, tak mieli zmienione twarze, wejrzenia niespokojne, że ją to zaraz uderzyło.

Mnie oni bardzo mało byli znani; zwierzyłem się Szaniawskiemu...

Ten, nic nie mówiąc, gdy oni obaj na obiad poszli, poszedł ich mieszkanie i szable obejrzeć. Otóż u Słoniewskiego wprawdzie na szabli śladów krwi nie było, ale

w kącie znalazł starą koszulę, o którą widocznie zakrwawioną szablę ocierano i tę zabrał z sobą...

Krew była niedawna, a na dworze o żadnym pojedynku wieści nie mieliśmy. U Margockiego żadnego śladu nie natrafił....

Trzeba było, siebie ratując, drugich gubić. Rada w radę, co tu począć. — Szaniawski mi powiedział:

— Nie mieszaj się, gorączka jesteś i o skórę ci idzie — zdaj na mnie, ja popróbuję, azali się nie uda wykryć prawdy.

Mądry Szaniawski tegoż wieczora, gdy z kolonii wychodzili, przysunął się do Słoniewskiego i szepnął mu:

— Mam ci coś powiedzieć.

Przystał do niego młokos, jak pijawka, nagląc niespokojnie.

— Ludzie prawią — szepnął mu Szaniawski, — że waszmości wieczorem widziano idącego do lasku, w którym Boncoura zabito, a potem powracającego jakoby z szablą zakrwawioną.

Młokos nieopatrzny, a już w sumieniu niespokojny, odparł na to natychmiast:

— Któż to śmie mówić? kto? Nikt mnie nie widział! nikogo nie spotkałem!

Szaniawski języka zagryzł, *Habemus confitentem*, szepnął sobie:

— A Margocki, — spytał cicho — którędy zemknął?

Słoniewskiemu jakby się słabo zrobiło, rzucił się ściskać Szaniawskiego.

— Nie gub mnie! Skąd wy to wiecie? Jakim sposobem?

— O to nie pytaj — odparł Szaniawski, — powiedzieć ci tego nie mogę. Jedno tylko radzę: i ty, i Margocki zabierajcie manatki póki czas i uchodźcie na Wołoszczyznę, bo tylko nie widać, jak was wyśledzą, a wówczas gardłem przypłacicie.

Słoniewski już tak był strwożony, że z niego mógł inkwirujący dobyć, co chciał.

— Myśmy oba niewinni — mówił, — jak poczęła

Francuzka przede mną i przed Margockim narzekać i piszczeć — kto mnie od tego tyrana zazdrośnika uwolni! kto mnie temu zbójcy z rąk wyrwie! — A płakała, rozpaczała, i wprost podbudzała do tego, aby ją wyswobodzić zabójstwem, bo inaczej ona musiałaby się otruć lub utopić.

Przyznał się Słoniewski do tego, że się we dwu zasadzili na Boncoura, i że od żony mieli wiadomość, iż tego wieczora do miasteczka ma iść sam do Duponta, ze zleceniem od króla.

— Słuchaj, Słoniewski — rzekł, wybadawszy go, przyjaciel mój, — zguby waszej nie chcę, ale nie czekając dzisiejszej nocy, i ty, i Margocki na Wołoszczyznę ruszajcie. Wątpię, żeby za wami pogoń wysłano, w tem rozum, abyście umknęli. Paskudna rzecz, we dwu na jednego po nocy napaść i bezbronnego tak zamordować! Chcecie życie salwować, nie traćcież ani chwili.

Mnie Szaniawski tego wieczora nie przyszedł nic powiedzieć.

Rano wyrostek mój wchodzi do izby po odzienie i przed łóżkiem stanąwszy, mówi:

— Pan wie, że Słoniewski i Margocki dzisiejszej nocy gdzieś znikli stąd, najlepsze konie zabrawszy i mało co rzeczy? Ludzie mówią, że to sprawa Boncoura.

Zerwałem się tedy równemi nogami.

— Prawdę mówisz?

— A cobym miał kłamać?

Ledwie tych słów dokończył, wchodzi Szaniawski w rannym kożuszku, z uśmiechem na twarzy.

— Chłopiec ci już pewnie przyniósł wiadomość?— spytał.

— Prawda-li to?

— Obu ich niema — odparł Szaniawski, oczyma mi pokazując, abym odprawił wyrostka.

Posłałem go do stajen.

— Podziękuj mi — odezwał się przyjaciel — Wczoraj wieczorem zagadnąłem Słoniewskiego, a że na złodzieju czapka gore, zdradził mi się odrazu. Dziś ich już obu niema, zatem oczyścić się będziesz mógł,

a ja pozbędę się utrapionych kluczów od skarbczyka, które mnie palą, bo mi się ciągle zdaje, że ktoś go okradnie, a ja będę musiał odpowiadać.

Rzuciłem się go ściskać z radości wielkiej, a ten dopiero, usiadłszy, *per extensum* mi wszystko opowiedział, nastając na to, że oba młokosy nie tyle były winne, co ta przebrzydła Boncourowa, która ich nasadziła, podbudziła i właściwie ich rękami sama popełniła zabójstwo.

— Niechaj-że cię to — dokończył — raz na zawsze wyleczy z tej miłości dla niegodnej ciebie kobiety, która warta jest najsroższej kaźni! Właśnie się dowiaduję, że Francuz, mąż jej, testament zostawił, którym wszystko, co miał, niepoczciwej przekazał.

We dworze wiadomość o ucieczce Słoniewskiego z towarzyszem uczyniła wrażenie ogromne, a na moją stronę przechyliła się waga i poczęto ubolewać, że mnie nadaremnie posądzono, iż król w pośpiechu mnie skrzywdził i t. p.

Nie narzucając się przecież, pozostałem na strychu w izdebce, oczekując, co z tego będzie. Tymczasem poczciwy Szaniawski drugiego dnia, podając królowi sakiewkę, odezwał się:

— N. panie, — wypadałoby mi zdać i klucze i skarb znowu Polanowskiemu, bo on za cudzą winę pokutuje.

— A gdzież on jest?—zapytał król.

— Wybiera się do matki — rzekł Szaniawski — jest jeszcze tu.

Zadumał się Sobieski.

— Nie — rzekł — zostaniesz przy kluczach, a z Polanowskim ja nie wiem jeszcze, co zrobię. Znajdzie się dla niego zajęcie.

— Czy mam mu oznajmić, aby się stawił? — naglił Szaniawski.

— Daj pokój — nie mieszaj się w nieswoje rzeczy, odparł Sobieski, — będę wiedział, co zrobić.

Doniósł mi o tem zaraz, czekałem tedy, ale tego dnia do późnego wieczora, napróżno. Z rana nie zawołano

mnie też, i już mi się przykrzeć poczynało oczekiwanie, gdy jeden z paziów króla przyszedł mi oznajmić, abym do gabinetu szedł z nim zaraz.

Uśmiechnął się król, widząc mnie wchodzącego.

— Widzisz — rzekł, — prawda, jak oliwa, zawsze na wierzch wychodzi, ale do mnie żalu nie powinieneś mieć, żem był surowym i za posądzenie samo ukarałem. Król jest sędzią, a sprawiedliwość litości nie zna.

Milczałem.

Przeszedł się parę razy po gabinecie, z dużej misy srebrnej biorąc owoce, które zawsze miał pod ręką, i chciwie je zajadając.

— Oddałbym ci nazad skarbczyk — rzekł, — ale mi będziesz gdzieindziej potrzebnym. Znam cię, żeś roztropny i język za zębami trzymać umiesz. Będę cię musiał stąd wysłać przed sejmem do Warszawy instrukcyę ci dam. Wrzekomo powieziesz, co ci da szatny... i na zamku będziesz miał co czynić, ale ja ci ważniejsze rzeczy zwierzę... Przyjdź jutro... Co się tyczy rehabilitacyi, tej nie potrzebujesz, dosyć, że w służbie pozostajesz i jurgielt ci każę powiększyć.

Zjawiłem się tedy tego dnia u wspólnego stołu umyślnie; Boncourowej nie było, nie pokazywała się. Letreu i Federba obie mi winszowały.

Nikt się teraz nie chciał przyznać, aby mnie posądzał, wszyscy utrzymywali, że o mojej niewinności byli przekonani. O zbiegłych mówiono osobliwe rzeczy.

Boncourowa się wypierała i czerniła ich gorzej, niż inni.

Krótko trwała ta historya, a miała ten skutek, że w początku zupełnie mnie ze słabości dla wdowy wyleczyła. Nie starałem się jej nawet widzieć. Powiadali jedni, że chce opuścić dwór i służbę, drudzy, że pozostanie przy królowej, która się bez jej szczebiotania obejść nie może.

Jam starał się zapomnieć, że na świecie była, choć, pasya pasyą, we snach mi ciągle stawała na oczach w takich jasnych szatach niewinności.

Przychodziłem codzień na służbę do króla, widział mnie, uśmiechał mi się, ale czekać kazał. Upłynęło dni kilka. Jednego dnia późno w noc Szaniawski wbiegł do mnie, wołając natychmiast do króla.

Zastałem go już rozebranego, w jednym popielicowym kożuszku, na koszulę wdzianym, nad stolikiem, w papierach, które z otwartej dobywał szkatułki. Czoło miał zmarszczone i twarz bardzo smutną. Nierychło mowić zaczął.

Chociaż lat od tego czasu upłynęło wiele, nie sądzę, ażebym nie mógł tu zapisać, z czem mnie król posłał, dosyć powiedzieć, iż chodziło o spisek, o potajemne stosunki z Morsztynem i Vitrym tych osób, które on dotąd za najwierniejszych swoich przyjaciół liczył, a naostatek o pochwycenie listów, które Morsztyn do Francyi wysyłał.

Na piśmie nic mi król nie dał, a kazał poprzysiądz, że dochowam tajemnicy, której i dziś zdradzać nie chcę.

Ośmieliłem się uczynić pokorną uwagę, iż mi powierzał ciężar nad siły, że przy najlepszej chęci, mogą ramiona moje nie dźwignąć brzemienia.

— Serce poczciwe ci dopomoże — odparł król — wiem, że nie zdradzisz, a rozumu dość masz, abyś sobie dał radę. Jedź w imię Pańskie, głównie mi o listy Morsztyna chodzi, jak i którędy je posyła, najpewniej przez Gdańsk i Akakję — musisz pójść i środki obmyśleć, ażeby choć jedną przesyłkę pochwycić i do rąk moich oddać...

Sprawa ta może wymagać wydatków, z których mi zdasz rachunek. Uprzedzam tylko, abyś nie oszczędzał, bo na wagę złota bodaj trzeba dowód zdrady dostać... czarno na białem. Na tem mi zależy bardzo wiele. Jeżeliby nie starczyło, co daję, Aron będzie też w Warszawie i ma polecenie pod kwit waszmości dać, ile zażądasz. Dla kilkudziesięciu dukatów, bodaj dla kilkuset, nie godzi się opuścić tego, na czem mi zależy wiele...

Trzymał mnie potem król, informując o drogach, któremi iść miałem i ludziach, jakich w pomoc użyć mogłem, tak, że dobrze było po północy, gdym na strych

mój powrócił. Zastałem tu Szaniawskiego, który, czekając na mnie, położył się na łóżko moje i usnął. Ledwie się go dobudziłem, bo sen miał bardzo twardy. Począł tedy pytać, ale—mimo całej naszej przyjaźni, nie mogłem mu się przyznać, z czem i po co jadę. Powiedziałem tylko, że król kazał szaty swe wieźć i na zamku mnóstwo różnych odmian zlecił porobić, dlatego tak trzymał mnie długo.

Uwierzył Szaniawski czy nie, ale nie badał więcej, bo znał mnie, że gdy milczeć należało, żadna siła w świecie z ust mi słowa wydobyć nie potrafiła.

Nie zwlekając więc, począłem się wybierać tak pośpiesznie, ażebym przed wieczorem z Jaworowa mógł ruszyć... Wozów ze mną szło kilka, ludzi dosyć, koni luźnych też dodano, słowem, że się tabor wcale zebrał pokaźny.

Mogłem się cieszyć z nadzwyczajnego zaufania, jakie król miał we mnie, lecz prawdę mówiąc, więcej mnie to niepokoiło, niż radowało. Zadanie było tak trudne, a takiej niemiłej natury, że gdyby nie to, iż szło o życie i spokój króla, nigdybym się go nie podjął. Wymagało ono chytrości, której ja nigdy nie miałem, maskowania się, wykrętów dla mnie wstrętliwych...

Podróż z powodu bardzo złych dróg, ni zimowych, ni jesiennych, trwała dłużej, niżeli rachowałem, a było kilka takich przepraw w ciągu niej, żeśmy na ramionach niemal wozy dobywać musieli z grzęzawicy i błota.

W Warszawie już zastałem zjazd i ruch wielki, a jak zawsze przed sejmem, w mieście przygotowania na przyjęcie licznych gości, a razem niepokój o rozruchy, jakie oni z sobą przywożą. Mało co wypocząwszy, wedle wskazówek, danych mi przez króla, puściłem się na wywiadywanie po ludziach, a w tydzień byłem już pewny, że się wistocie na coś zanosi dla króla groźnego, nie mówiąc już o sejmie, który niezawodnie zerwać chciano.

Wielu bardzo przeciwko przymierzu rakuskiemu szemrało, przywiązując do niego to znaczenie, co zawsze do rakuskich praktyk, to jest o opanowanie tronu i zmie-

nienie na dziedziczny, *absolutum dominium*. Nie chciano ani arcyksiężniczki na tronie, ani Jakóba, choćby Mołdawia i Wołoszczyzna do Polski się przyłączyły... Wszystkie te głosy przeciwko królowi szerzyła partya francuska, więcej, jak uważałem, oszczędzająca królowę, niż króla.

Nie chciało mi się temu wierzyć, gdym się dowiedział, że hetmana Jabłonowskiego wciągnięto do spisku, a przynajmniej na niego rachowano.

Vitry i Morsztyn zawczasu byli bardzo czynni i nie trudno przyszło wyśledzić, że ostatni bardzo często korespondował z królem i innemi osobami, że Vitry odbierał pieniądze znaczne, nie dla Węgrów, ale dla robót na sejmie, na którym klika francuska chciała mieć wcześnie oddanych sobie.

Nie zbywało na przyjaznych i oddanych królowi, którzy w niego wierzyli i po nim się wszystkiego spodziewali, ale byli to po większej części ludzie małego znaczenia. Brakło też na dowódcy obozowi temu, bo na Jabłonowskiego rachować było trudno. Królowa, której nie lubiono, niewiele mogła. Ciągły frymark wakansami przysporzył jej pieniędzy, ale poszanowania ujmował.

Smutno mi się sejm przygotowujący prezentował. Ale do mnie to nie należało, przywiązałem się cały do Morsztyna, aby owe listy, których król tak był żądny, podchwycić. Miałem taki wstręt do tej pokątnej praktyki, żem musiał sobie po sto razy powtarzać, iż chodziło o zbawienie Rzeczypospolitej i ocalenie króla.

Nie łatwo też przyszło wyśledzić, jaką drogą szły przesyłki od Morsztyna i Vitrego do Akakii, gdyż innej drogi pewnej nie mieli. Byłbym może wcale nie mógł dokazać tego, czego król tak pragnął, gdyby Akakia sam potajemnie nie przybył do Warszawy, pod przybranem nazwiskiem. Nie straciłem go tu z oczów, jak cień chodząc za nim, ale wcisnąć się między spiskujących było nadzwyczaj trudno.

Wstyd mi nawet wyznać, jakich musiałem używać środków, aby dopiąć, co zamierzałem... Ale czegóż z po-

mocą tych wszechmogących pieniędzy nie dokaże człowiek?

Zbliżał się już termin naznaczony na przybycie króla, a ja, oprócz nadziei, nie miałem nic. Przyrzeczony był pakiet korespondencyi do pana de Cailléres adresowanych, ale Bóg jeden wiedział, czy one zawierały, co królowi czarnem na białem mieć było potrzeba, a ja rozpieczętowywać i rozczytywać się nie miałem prawa.

W wigilię wyjazdu doktora Akakii dopiero mu papiery owe doręczono, które zręczny mój pomocnik na inny, podobnie adresowany i zapieczętowany pakiet białego papieru zamienił i mnie wręczył.

Ale takem się lękał, ażeby się to nie wydało, a mnie nie wydarto drogo zapłaconych pism, żem żadnej nocy na zamku nie spał, i nosiłem je przy sobie na piersiach.

Wiedziałem, że i na zamku Francuzi mieli swoich ludzi, a gdyby się wydało, życia mojego i mnieby nie szczędzili. Z najwyższą więc niecierpliwością wyglądałem przybycia królewskiego, tymczasowo uciekłszy do Wilanowa, gdzie u znajomego mi ogrodnika przechowywałem się, kazawszy zaufanemu słudze, aby mi dał znać, gdy królestwo przyjadą.

Czas mi się okrutnie wydawał długim, a i niepewność ta, czym się nie zawiódł, ladajakiej bibuły za drogie pieniądze kupiwszy, mocno mnie dręczyła.

Naostatek mój Wasylek dał mi wiedzieć, że na króla czekają, i że wieczorem przybywa. Ruszyłem więc z Wilanowa na zamek, gdzie już dosyć urzędników, senatorów i wojskowych oczekiwało Sobieskiego.

Przyjęcie wszakże było zimne, a król zaledwie wysiadłszy, zdało się, że mnie szukał oczyma. Stałem tak, aby spostrzedz mógł, a gdy spotkałem wejrzenie jego niespokojne, ręką uderzyłem się po piersiach, pokazując, że mam to, czego sobie życzył.

Nastąpiły długie witania, rozmowy i taki natłok cisnących się do ręki królewskiej, że ja w garderobie musiałem czekać do późna. Wszedł do niej król z Matczyńskim, pytając o mnie.

Nie śmiałem przy świadku ust otworzyć, ale mnie klepnął po ramieniu.

— Mów, masz ptaka, czy nie?

— Mam, najjaśniejszy panie, ale jeden Bóg wie, czy kuropatwa, czy nietoperz, bom kota w worku brać musiał.

Rozpiąłem suknie i podałem pakiet. Matczyński na dany znak drzwi pospuszczał na rygle. Sam król rozerwał pieczęcie i kopertę...

Wypadło kilka listów, Vitrego do króla, do Forbina, naostatek znaną ręką Morsztyna do pana de Cailliéres; król najpierw ten otworzył i czytał, stojąc przy świecy, a jam mu patrzał w twarz, usiłując odgadnąć, com złowił...

Zbladł bardzo, czytając, i papier mu w rękach dygotał, ale chciwie aż do końca odczytał wszystko, niektóre miejsca, o ile mogłem pomiarkować, raz i drugi, aż naostatek rękę z listem do Matczyńskiego wyciągnął.

— Patrz, czytaj! Więcej nie potrzeba — rzekł,— choć najsmaczniejszy kąsek w cyfrach.

Zapomniał o mnie na chwilę, potem odwrócił się, szukając i klepiąc po ramieniu, szepnął głosem, w którym czuć było wielkie wzruszenie.

— Spisałeś się dobrze, Bóg zapłaci, uczyniłeś mi przysługę wielką, której ci ja nie zapomnę. Pomyślę, abym cię wynagrodził, teraz idź i ani piśnij nikomu... nikt wiedzieć o tem nie powinien...

Pocałowałem rękę królewską i wysunąłem się z sercem bijącem. Szaniawski, który ze dworem przybył, poznał zaraz po mnie, żem był wielce uradowany, a że nic nie mieliśmy do czynienia — po polsku więc, do winiarni na kubek wina!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

# Tom II.

Sejm się rozpoczynał przy najlepszych nadziejach może dlatego, że choć król miał już wiadomość o spisku Morsztyna, — wszakże pono nie domyślał się, nie posądzał nawet osób, które do niego wchodziły.

Listy, które ja przejąłem, nie starczyły na obwinianie go — i, choć dowodziły konszachtów — nie wypowiadały całej tajemnicy, ale po tej nitce można było dojść do kłębka i wistocie pochwytano ważniejsze jeszcze.

Sobieski, oprócz podskarbiego, Vitrego i Duverne, nie domyślał się żadnego wspólnika — nie posądzał ani mógł podejrzewać Jabłonowskiego, który zawsze mu był najserdeczniejszym przyjacielem. Tymczasem okazało się później, że świeżo mianowany hetmanem Jabłonowski, łudzony koroną, — neutralnie się zachowywał, ale o spisku bodaj był uwiadomionym, że Sapiehowie, — których król łaskami obsypał, zdradzali go, że w partyi własnej swej miał gotowych nieprzyjaciół,— gdyby się udało tylko zachwiać powagę króla i zyskać przeciwko niemu większość.

Nie chcę sięgać myślą dalej, ale za Jabłonowskim innych wielu się dorozumiewano. Morsztyn był tak swego pewny, jakby już króla z tronu obalił.

Wistocie, jak niegdyś król Michał, tak teraz Jan otoczony był zdrajcami i wrogami. Wielką jego sławę, jako wodza i pogromcy Turków, jako hetmana dotąd niezwy-

ciężonego, usiłowano równoważyć rycerską sławą Jabłonowskiego, a o królu głoszono, że ociężał, że na koniu nie mógł siąść, że na żadną wyprawę niepodobna mu się było wybierać. Na pozór można było nawet sądzić, iż w tem się coś prawdy mieściło, bo gdy na konia siadał, musiano mu stołeczek podstawiać, ale gdy był na siodle, po dziesięć godzin wytrzymywał, nie skarżąc się.

Sama zaś myśl walki przeciwko poganom w obronie krzyża świętego tak go ożywiała, poruszała, sił mu przyczyniała, że się stawał młodszym na jej wspomnienie.

Nigdym jednak smutniejszym go nie widywał, jak w chwili przedsejmowej; — bolało go zawczasu, że przyjdzie sromotne odsłaniać zdrady...

Królowa też, choć pono była uwiadomioną w części o intrygach Francuzów, nie wiem, czy je wszystkie znała... Jabłonowski, któremu wierzyła, musiał ją uspokajać i nie dawać jej zajrzeć w to głębiej.

Jak dawniej francuscy panowie, Forbin i inni, gośćmi byli najczęstszymi u króla, towarzyszami jego codziennymi, tak teraz nuncyusz papieski, poseł autryacki codzień przychodzili, przysyłali listy, nalegali na króla i królowę.

Sobieski szedł, o ilem ja widział i czuł, z pobudek chrześcijańskich, w obronie wiary, — a rachował, jak sam powiadał, że pod Wiedniem dobywał Kamieńca, królowej zaś szło o arcyksiężniczkę dla Jakóbka i o koronę dziedziczną.

Marszałkiem sejmowym wybrano Leszczyńskiego i dosyć spokojnie poczęły się obrady, a natychmiast wprowadzono posłów od papieża i cesarza w sprawie przymierza i pomocy Leopoldowi.

Na to czekali spiskowi, aby wybuchnąć — z całą gwałtownością długo poskramianej namiętności. Argumenta ich były na nieszczęście te, któremi się u nas pokolenia karmiły — nienawiść i obawa rakuskiego domu.

— Cesarz—poczęto wołać—nie pomagał nam, gdy nas Turcy napadali, za cóż my mamy w pomoc mu przycho-

dzić? My sobie z Turkami poradzimy, a że oni się nad Dunajem usadowią — co nam to skodzi? Naszymi wrogami nie są Turcy, ale Brandeburgi i Rakuszanie. Oni to już zdawna czyhają na to, aby rzeczpospolitą rozerwać i podzielić pomiędzy siebie.

Drudzy śmieli otwarcie wyrzucać Sobieskiemu, że z Austryą się łączył, aby sobie zapewnić dziedzictwo tronu, to jest zagubę wszystkich swobód rzeczypospolitej!

Nie dosyć, iż na sejmie krzyczano, ale tysiącami rozsypywano po polsku i po łacinie piśmidła najgwałtowniejsze przeciwko królowi.

Morsztyn widocznie prowadził cały ten zastęp krzykaczy i pismaków...

Zaczęła partya francuska tak brać górę w sejmie, a z każdym dniem się bardziej uzuchwalać, iż nie pozostawało królowi, mimo wstrętu, jaki miał do wystąpienia jawnego z oskarżeniem, które wiele osób dotknąć mogło, tylko publicznie obwiniać Morsztyna i pozwać go przed sąd świata.

Pochwycone przeze mnie i w Berlinie listy starczyły, jako dowody zdrady, — wprawdzie znaczniejsza ich część była pisana cyframi, ale to samo świadczyło, iż się taić musiał, a zatem nic dobrego nie zamierzał.

Listy te mając w ręku, król zwołał radę panów senatorów i kładnąc je przed nimi, domagał się sądu i kary.

Dowody były tak jawne i przekonywające, iż tłumaczyć się zdawało niepodobieństwem... Powołany przez senatorów Morsztyn, stawił się zuchwale — przeczył, ażeby działał na szkodę rzeczypospolitej, klucza cyfr nie chciał dać... wywijał się... Nie pomogło to, pozwano go przed sąd...

W jednej chwili listy te, które oprócz podskarbiego mnóstwo osób kompromitowały — wywołały zmianę całkowitą w usposobieniach — ci, co się dali uwieść Morsztynowi, wyparli się go, potępili, odstąpili.

Złość i gniew zwróciły się potem przeciwko Vitre-

mu, posłowi francuskiemu, który się w ulicy pokazywać nie śmiał.

Król na winnych i wspólników Morsztyna musiał patrzeć przez szpary i nie pociągać ich z nim razem. Morsztyn został z Francuzami sam i potępiony...

Rozeszły się wiadomości o spisku na życie króla — szlachta, wszyscy wielbiciele wojownika i bohatera podnieśli się w jego obronie, za nim, gotowi iść, gdzie wskaże!

Nie wszystko wyszło na jaw, co naówczas skutecznie tak przechyliło szalę na stronę króla, — alem ja słuchał i patrzał, i mogę sumiennie powiedzieć, że w tem nie tyle było polityki, co uczciwego oburzenia przeciw pokątnej, tajemnej zdradzie, którą każdy uczciwy człek u nas miał w ohydzie... ani nuncyusz, ani poseł cesarski nie zrobili tyle, co rozchodzące się wieści, że Francuzi chcieli króla struć lub zrzucić z tronu, że mu gotowano już napój jakiś, że nasadzano zabójców.

Przywiązanie do wiary świętej katolickiej działało też na umysły i serca, tak samo na króla, jak na pospolitą rzeszę...

Jednego więc dnia całe to rusztowanie francuskie, tak mozolnie wznoszone — runęło, gdy Morsztyna Lubomirski musiał pod straż wziąć, a podskarbi spokorniawszy, na zwłokę tylko rachując, o sześć miesięcy prosił, aby dowody niewinności swej zebrać... Domagano się cyfry od niego, ale tę podskarbina, dowiedziawszy się o losie męża, zdarła i spaliła. Musiano więc słać do Francyi, domagając się jej.

Francuzi, Duverne i Vitry, oba dotąd najpewniejsi zwycięstwa — choć wiedzieli, że im się nic nie stanie— choć Duverne opierał się rozkazowi wyjazdu i dumnie odpowiadał, musieli się przekonać, że sprawę na łeb przegrali.

Vitry, który dumą i szorstkością wszystkich przeciwko sobie zraził, nadrabiał swą ambasadorską powagą, ale i ta nie pomogła...

Młody Tyszkiewicz mu pokazał, że się tu nie bano ani jego, ani pana jego. Vitry stał w klasztorze u Bernardynów, strzelano do jego okien i do ludzi; on

sam musiał z eskortą tylko w ulicy się pokazywać, a wkrótce i widać go nie było.

W senacie wołano, że ambasadorów stałych w Polsce nie znano i domagano się, aby jechał precz, a inny z posłów krzyknął:

— Po turecku z nim się obejść, z tym przyjacielem Turków, czterysta kijów w podeszwy... Co on nam tu się będzie rządzić?

Sejm, tak nastrojony, wszystko przyjął, czego król żądał; — potwierdzono przymierze z cesarzem... — wionął duch rycerski i serca rozgrzał. Napróżno po staremu próbowano w ostatnim momencie sejm zerwać — przyjaciele króla, a najwięcej może ci, co wczoraj sekretnie Morsztynowi pomagali, dziś się oczyścić i zasłużyć pragnąc, pilnowali: — nie dopuszczono, aby wszystko marnie spełzło...

Vitremu nie pozostawało, jak fałszywemi doniesieniami łudząc króla i uniewinniając siebie, pożegnać Polskę i powracać do Francyi ze wstydem...

Myliłby się wszakże, ktoby sądził, że po pozbyciu się Vitrego i Duvernego, nikt już nie pozostał z tych, co knowali i psowali; — cała sieć, jak była rozciągnięta, pozostała, tylko mniej widoczna, bo jej głowy nie stało... I w Gdańsku, i w Warszawie, i w Krakowie, i na samym dworze, i w garderobie królowej przechowywali się słudzy wierni Ludwika XIV.

Od tej chwili nie było już wątpliwości, iż polski sukurs pójdzie w pomoc cesarzowi, natychmiast zaczęto naprzód na żołd rakuski zaciągać korpus, którym miał dowodzić Lubomirski, wyszły uniwersały do Kozaków, do Litwy, do wojska, aby w pogotowiu było i ściągało się — ale to wszystko było niczem.

Trudno mi może będzie tak to wyrazić, jakem ja widział, gdy się działo — i tym, co podówczas nie żyli a nie czuli, co my — nie do wiary się wyda, o co głównie Pallaviciniemu i posłowi Leopolda chodziło.

Imię Sobieskiego, jako statecznego Turków pogromcy, było tak głośne w Europie, wiedziano, że on jeden znał tak ich taktykę, sposób wojowania, język, jak nikt

drugi, że u Tatarów i Turków samo to imię budziło trwogę paniczną. W Europie miał dobrą sławę wodza — niepozorny książę Lotaryngski, ten sam, co się z wdową po Michale ożenił, — i tego generalissimusem cesarz miał nad swojemi wojskami i sprzymierzeńcami uczynić; — ale Lotaryngski u Turków nic nie ważył, bo go nie znali, a króla polskiego znali zdawna i wiedzieli, że gdzie się on pokazał, tam oni pierzchać musieli.

Sobieski osobą swoją starczył za dziesięć tysięcy ludzi. Szło więc głównie o to, ażeby już znurzonego, podstarzałego króla skłonić, wymodlić u niego w imię krzyża świętego, wiary katolickiej, aby on swą osobą szedł na wojnę. Niemała to była rzecz, bo ociężały, niebardzo zdrów, — o sławę swą dbający król, ważył życie, spokój i imię dla — wyratowania cesarza...

Królowi pod niczyje, nawet pod cesarskie rozkazy iść nie przystało, godności swojej strzedz był powinien; wstrzymywało więc to, a wreszcie i wzgląd i na wiek, i na siły.

Naostatek inna była rzecz wojsko posłać, a inna samemu ciągnąć, co się bez ogromnych wydatków i kosztów obejść nie mogło.

Ci, co do króla przywiązani byli, obawiali się, nie dopuszczali — protestowali... mało kto go podbudzał. Sławy nowej i tak wielkiej, jaką wistocie zyskał, nie spodziewano się, — ofiara była wielka... dla kogo? Dla cesarza, którego niewdzięczności król z góry był pewien, znając dumę rakuską.

Królowa też po ostatnim sejmie, do żywota małżonka i długiego panowania jego przywiązując wagę wielką — ulękła się. Obudziła się w niej niby jakaś opóźniona czułość dla męża, bo w sprawie z Ludwikiem XV przekonała się, iż opieki nie mogła spodziewać się od Francyi nad sobą w chwili, w którejby jej zapotrzebowała. Króla mógł nuncyusz sprawą krzyża i wiary zyskać, królowa nie miała tego ducha ofiary, jaki go ożywiał. Tę trzeba było zdobywać interesem, obietnicami arcyksiężniczki dla Jakóbka, Mołdawii i Wołoszczyzny i t. p.

Sobieskiego toż samo, co Warneńczyka niegdyś —

poruszało i unosiło: — imię zbawcy chrześcijaństwa, obrońcy krzyża.

Myśmy na niego w ciągu tej wojny patrzyli i możemy powiedzieć, że ta wyprawa była cichą modlitwą. Ledwie zdobyto gdzie zamek, pierwszą rzeczą było mszę świętą odprawić, w meczecie — księżyce pozrzucać, a postawiać krzyże. Jeżeli pamiętał o Kamieńcu i o odzyskaniu tego, co Turcy i Kozacy oderwali — to dopiero na ostatku; kościół i krzyż szedł przodem... A nie można znowu powiedzieć, aby takim nabożnisiem był, co modlitwą do niebios szturmuje i nieustannie się popisuje z pobożnością. Modlił się gorąco a krótko, mszy słuchał nieraz na kolanach, ale tuż stał koń osiodłany...

Gdy się w nim duch rozgrzał — zdawało się, że żywcem do niebios będzie porwany — ale ten duch zstępował na niego z góry, on się nigdy z nim przed ludźmi nie chwalił.

Lubił modlitwę tajemną i na osobności.

Można powiedzieć, że od tej chwili, gdy sejm się rozszedł, aż prawie do wystąpienia naszego w pole, do wyjazdu z Krakowa — jeszcze ciągle niedowierzano, a ciągle nad tem pracowano, aby go pozyskać.

Obiecał już; wieść poszła, że sam z wojskiem idzie; tak wielkiemu szczęściu wierzyć nie chciano.

Nuncyusz drżał do ostatniego momentu, aby co nie przeszkodziło... Myśmy się na wozy pakowali — a w poselstwie rakuskiem i w nuncyacie niezupełnie ufano, aby król słowa dotrzymał.

Nie dziw też, bo Jan więcej stawił na kartę, niż mógł zyskać; koronę miał, sławę miał — nie potrzebował się niczego dobijać, a wiele mógł utracić. Turków zemstę ściągał na siebie—postradać mógł życie i bohatera imię.

Tak samo, jak cesarscy do ostatka niedowierzali ażali pójdzie, tak też Turcy nie wierzyli, aby szedł Rakuszanom w pomoc. Nie śniło się im to. Przypuszczali, iż wojsko pośle i zaciągi w Polsce da cesarzowi robić, ale żeby sam w pomoc osobą swą śpieszył — z tego się śmieli. Stał już na Kalenbergu, gdy jeszcze wątpili, aby tu miał być...

Nie potrafię ja tego opowiedzieć, z jakiem uniżeniem nuncyusz i poseł modlili się a prosili go o tę pomoc... Powiadano, że klękali przed nim. Na obietnicach też najpiękniejszych nie zbywało, lecz muszę to poświadczyć za panem moim, iż ani się niemi uwodził, ani wierzył w nie.

Sam nieraz słyszałem, gdy Matczyńskiemu powiedział:

— Wszystko to *vox, vox, pretereaque nihil.* Jestem tego tak pewnym, jakbym rad zbawienia pewnym być, że mi się najczarniejszą niewdzięcznością wypłacą, że żadnego słowa i pisma nie strzymają—ale ja nie dla nich idę, ale dla krzyża Chrystusowego.

Królowę pod te czasy mało miałem zręczność widywać i w miejscu mi też król nie dał siedzieć.

Było do załatwienia poufnych spraw bardzo wiele, a raz się przekonawszy, iż służyłem sumiennie, usługi swej nie przeceniałem, nie domagałem się jak inni, nieustannych datków; król mną się rad wyręczał, posyłał — i ledwiem z konia zsiadł, już prosił, abym jechał w innej sprawie.

Musiałem się też wyprosić na parę tygodni do matki na wesele siostry, którą wydawała za Podhorodeńskiego, zamożnego ziemianina.

Chciano mnie, jako dworzanina królewskiego, mieć dla splendoru, a dawano mi tam tytuł skarbnika, choć urzędownie nim nie byłem, a moich funkcyi przy królu określić trudno.

Począwszy od pisania do przyjmowania czasem gości, spadały na mnie *onera* różne.

Te szczególne łaski, jakie miałem u niego—a przytem okoliczność, iż mnie rosnącego i bogacącego się nie widziano, obudzały zazdrość i podejrzenia. Królowa mnie niecierpiała, bo próbowała pozyskać, a jam się grzecznie wyśliznął. Domyślano się, że muszę ogromne sumy pocichu za moją służbę pobierać. Tymczasem Bogiem a prawdą, jam się nie dopominał, król obiecywał tylko, ale wistocie wcalem się nie bogacił.

W tych utrapieniach moich, bo inaczej nazwać

nie mogę służby tej,—myślałem, iż się choć tego dorobię, że się z miłości głupiej otrząsnę, ale Szaniawski słuszność miał, że nie będę póty od niej wolnym, aż się w innej pokocham.

Tymczasem ta kobieta, która się niezmierną zręcznością a padaniem przed królową trzymała przy dworze, choć jej ani Letreu, ani panna Baisson, ani Beaulien, ani Federba nie lubiły tak bardzo — umiała ze mną taką rolę odgrywać, żem się jej litował i potrosze był pomocnym.

Mniejsza z tem, że mi kiedy niekiedy wyciągnęła trochę grosza, bo była chciwą bardzo— ale bywało, przyjdę do niej, wiedząc, co jest warta... godzinę posiedzę, posłucham, tak mnie uwikła, iż ją i niewinną gotowem sądzić i niewiedzieć jakie dla niej ofiary ponieść.

Chciała widocznie, owdowiawszy, gdym coraz u króla w większych był łaskach, przyprowadzić mnie do tego, ażebym się z nią ożenił. Zabiegała wszelkiemi sposobami, znając słabość moją. — Pan Bóg mnie strzegł, żem się nie dał wziąć w bardzo pospolite sidła... Gdybym nie nawykł szanować kobiet, a szczególniej takiej, z którąbym żenić się miał — korzystał z zaprosin a zapomniał się — byłaby mnie z pomocą królowej zmusić mogła do ożenienia. Alem ją szanował i na dobre mi to wyszło.

Byłbym uległ jej może, gdyby cokolwiek baczniejszą była i na mnie jednym się ograniczyła — ale razem dwu czy trzech miała zawsze napatrzonych — a choć ona mnie ślepym sądziła — nie byłem nim...

Trudno opowiedzieć a niewarto może wyliczać wszystkich sztuk i wykrętów tej kobiety. Z każdym była inaczej, razem dwu i trzech o jednej godzinie zwodziła; jak czysty kameleon tak się mieniła, że wesołość, płacz, gniew, smutek, wszystko razem nic ją nie kosztowały.

Nikt nigdy słowa prawdy z ust jej nie posłyszał— ale gdy chciała oszukać, najostrożniejszego swoją minką uwiodła.

Właśnie jakoś pod ten czas, pamiętam, żartując tak ze mną i baraszkując, powiedziała mi te słowa:

— W. mość mi się bronisz, bronisz i sądzisz, że gdybym ja chciała, tobym go nie wzięła? Musiałbyś się

ożenić ze mną. Ale na to czas... Jak zechcę — poprowadzisz mnie do ołtarza!!

Mnie się aż gorąco zrobiło — szepnąłem — *Quod Deus avertat.*

Na weselu siostry mieliśmy gości tyle, iż ich nie tylko dwór, lamus, śpichrze, ale część stodoły dla nich opróżniona nie mieściły. Matka i ja staraliśmy się, aby gody były sute. Miała siostra wyprawę zawczasu przygotowaną kosztowną, piękną i dostatnią, — wino nawet na wesele przeznaczone od lat kilkunastu było w piwnicy, na niczem nie zbywało. Za bratem tylko Michałem tęskniliśmy, bo ten nie mógł przybyć, gdyż go do Brumbergii wyprawiono do misyi.

Podhorodeńskich w tych stronach rodzina stara, można, skoligacona z najważniejszemi domami, a wszystko to na weselu być musiało, naszych też i matki krewnych zjechała się moc wielka. Wesele trwało tydzień jak obszył, a po niem jeszcze było kilka dni zmniejszonych, gości zawsze osób kilkanaście.

Wśród mnóstwa panien, między któremi i bardzo urodziwych nie brakło, miałem co wybierać — alem tu dopiero postrzegł, że sobie smak popsułem. Wydały mi się jakoś prostaczkowate, i po Francuzkach nieokrzesane... Za radą Szaniawskiego idąc, chciałem się w której zakochać.. a po wojnie, jakby Bog dał powrócić — ożenić i osiąść na wsi.

Przysiadałem się z kolei do wszystkich, poczynałem rozmowy — ale — nie szło... Nie one były winne, tylko ja, com sobie na złej strawie podniebienie zepsuł.

Matka mnie z oka nie spuszczała — i wzdychała, widząc tak obojętnym.

Mnie też w głowie naówczas amory nie były, bo wiedziałem, co czeka, że król pewnie się da nakłonić, — pójdzie na odsiecz Wiedniowi, a ja z nim. Nie mogłem tak dobrego i łaskawego pana opuścić w konjunkturze owej, gdym mu właśnie mógł być potrzebnym, chociażby dla pilnowania, żeby materaca, torebki z owocami i butelki z winem wozić za nim nie zapomniano... Śpieszno mi było do niego, nimby królestwo wybrali się do Krakowa.

Zaraz więc po weselu, piękny podarek siostrze złożywszy, obdarzywszy też szwagra, pożegnawszy starych przyjaciół domu, puściłem się ku Żółkwi i Jaworowa, nie wiedząc, kędy króla szukać, bo wiadomości po kraju, nawet osób królewskich się tyczące, bardzo się powoli rozchodziły, a często i zawodne bywały.

Królestwo znalazłem na wyjezdnem do Krakowa, bo pani też odprowadzała męża, ze szczególną dla niego okazując się czułością, jakiej oddawna nie doznawał z jej strony. Mogła też ona być szczerą, bo uchowaj Boże czego — nie miała dość przyjaciół, aby na nich dla siebie i dzieci rachować mogła. Jeden tylko Jabłonowski, teraz hetman wielki koronny, zawsze jej pozostawał wiernym.

Króla, nad wszelkie spodziewanie, zastałem wesołym, wielce tą wyprawą przejętym, po całych dniach na mapach, które mu zewsząd przywożono, śledzącym ruch wojsk, położenie Wiednia, przejście Dunaju i t. p.

Powszechnie to znanem było, iż nikt o obrotach Turków, o ich zamiarach i planach nie był lepiej zawiadomionym nad króla naszego.

Zda się to fabułą, gdy powiem, że nawet w Radzie najwyższej ich, w Dywanie miał zawsze swoich, opłacanych dobrze donosicieli. Tatarowie też, zwłaszcza niektóre ordy potajemne były w stosunkach z Sobieskim i rozkazy jego spełniały. Przyczyniało się do utrzymania tego porozumienia, iż król po turecku i po tatarsku dobrze mówił, języki te rozumiał, z niewolników pobranych zawsze miał w Jaworowie, potem w Wilanowie ludzi dużo przy robotach w ogrodach, budynkach, z nimi konwersował i niekiedy ich obdarzonych wypuszczał z rozmaitemi do ord poleceniami. Napatrzywszy się jego potęgi i bogactw w Polsce, ci niewolnicy roznosili potem po ordach sławę króla i dobroć jego sławili.

Bardzo często się trafiało, iż który z carzyków, chcąc się mu zasłużyć, gońca—więźnia jakiego chrześcijanina do króla wyprawiał z oznajmieniem dokąd, którędy i kiedy się iść gotowali.

Sobieski więc pewnie lepiej był oświadomionym i teraz, co Turcy przedsiębrać mieli, i pierwszy dał znać

do Wiednia, że Kara Mustafa szedł na stolicę. W początku rzuciło to popłoch, zaczęto się przygotowywać do obrony, myślano przedmieścia palić, potem ochłonąwszy, Niemcy powiedzieli sobie, iż to bajką jest i próżnym postrachem. Zdawało się im, że Turek ważyćby się nie śmiał na cesarską stolicę. Wszystko więc pozostało do ostatniej chwili prawie zaniedbanem, patrzano tylko na Węgry, sądząc że tam się wojna ograniczy.

Dopiero, gdy już cała owa nawała niewiernych, nie wojsko, można było powiedzieć, ale jakby naród ogromny spadł na kraje rakuskie, a Węgrowie wszyscy woleli tureckimi być hołdownikami, niż w rakuskiej trwać niewoli — w ostatniej godzinie, cesarz po nocy, z rodziną swą uchodzić musiał, salwując się z Wiednia, bo nie ufał, aby się tu mógł utrzymać.

Po niewczasie przekonano się, że informacye Sobieskiego nie zawodziły i tem mocniej pomocy jego się domagano.

Książę Karol Lotaryngski był też wodzem i żołnierzem dzielnym, czego dał dowody, — ale co innego było walczyć z europejskiem wojskiem, a inna z ordami Tatarów i Turków, których on ani obyczaju, ni języka, ni sposobu wojowania świadomym nie był.

Urok też imienia króla, siejącego trwogę między poganami, tak był wielki, co się później okazało, iż twierdze silne, które Niemcy oblegali i próżno do poddania się wzywali — na imię Sobieskiego natychmiast wywieszały białe chorągwie.

Przyczem należy i to zapisać, iż król nawet z pogany w niewoli dosyć ludzko się obchodzić kazał. Bardzo wielu używano do lekkich robót, do dozoru dworów i zamków, a ci, co wały sypali, kopali i t. p., mieli żywność zdrową i taką, do jakiej byli przywykli.

Król, gdym się mu stawił po powrocie, okazał mi twarz bardzo wesołą i widocznie rad był.

— A toś mi zuch — rzekł, kręcąc mnie za ucho, jak był przywykł pod dobry humor — lubię to, że i w małej rzeczy słowa dotrzymujesz... No, gotujże się do drogi!... Nie wiem, czy w sakwie co będzie, ale sakwy ci zdać muszę...

a od siebie cię nie puszczę. Pilnuj mi się tylko od kul, bo jesteś potrzebny.

— N. panie — odparłem, przypominając strzałę tatarską pod Żórawnem — mam takie szczęście, że gdzie kule albo strzały latają — nigdy mnie nie miną...

— Pilnuj-że się, abyś zawsze Dumoulin'a pod bokiem miał — dodał król — ten cię zaraz obandażuje...

Rzadkom króla mocniejszym, ale też mocniej zajętym widywał, jak o te czasy. Słał listy i uniwersały na wszystkie strony, Kozaków chcąc swoich mieć koniecznie, a ci w porę nie nadciągnęli, potem Litwę, która się haniebnie spóźniła i przyszła, jak łyżka po obiedzie.

Całemi dniami z Dupontem i z innymi inżynierami siadywał nad planami, utyskując, że dobrych map i kart nie było nigdzie, choć je zewsząd sprowadzać kazał i przepłacał.

O wszystkiem musiał sam pamiętać, aż do kopii dla pancernych i kopijników, na których wistocie później zbywało, tak że je po drodze jeszcze strugano i wozy całe szły ich pełne za nami.

Widząc króla tak przejętym i troszczącym się, drudzy też dla przypodobania mu się, — pilnowali wyboru, ale pomimo to szło niesporo, i co król przewidywał, wiele rzeczy potem zabrakło, z któremi już nadążyć nie mogli ci, co się spóźniali.

Byli też tacy w wojsku samem, jak nasz powinowaty Polanowski, stolnik koronny, żołnierz doskonały, mąż ducha rycerskiego, wielce przez króla ceniony, chociaż hypokondryk, który całą tę wyprawę naganiał i przepowiedział jej najgorsze następstwa. Sam słyszałem go narzekającego, że król na zgubę swą idzie i kwiat rycerstwa prowadzi, bo inna rzecz na swoich śmieciach, we własnym kraju nieprzyjaciela ścigać, a inna w nieznanych okolicach, nie mając zapewnionej żywności, ludność też obcą i niechętną, walczyć i z nieprzyjacielem, i ze sprzymierzeńcem, i z elementami nawet, których się nie wie siły i skutków.

Jakoż później, już z drogi się Polanowski zrażony cofnął i do domu powrócił, zobaczywszy, że króla nic od

tej imprezy odciągnąć nie mogło. Przewidywał on też łatwo, iż cesarz niewdzięcznością się wypłaci, bo mu wstyd będzie zawdzięczać ocalenie obcemu panu.

Królowa niemal codzień była inaczej usposobioną. Raz chciała korzystać z okoliczności tych, dla rodziny i syna — to się obawiała o męża i o Fanfanika, który już wówczas był jej najulubieńszym. Jakoż można było przewidywać, że nie ulegnie matce do zbytku i zechce mieć wolę swoją.

Jakób kilkunastoletni z zapałem młodzieńczym napierał się na tę wyprawę, ale ci, co go lepiej znali, powiadali, że nie dla ducha rycerskiego tak się wyrywał za ojcem, ale przez prostą dziecinną ciekawość i w tej nadziei, że swobody mieć musi więcej, ludzi się napatrzy i rozerwie.

Ojcu zaś ta ochota Jakóba bardzo się podobała i nie był od tego, aby przy jego boku w pierwsze pole wyszedł. Było też komu go strzedz, bo brat królowej, kawaler de Maligny, jechał też z nami i miał regiment... a był, jak już mówiłem, rycerz bardzo odważny i wielkiego serca.

W Krakowie co żyło, a szczególniej duchowieństwo, króla i królowę przyjmowało z wielkim zapałem. Szliśmy jak na krucyatę...

Modlono się na intencyę naszą po wszystkich kościołach; starzy, pobożni, świątobliwi kapłani błogosławili i prorokowali.

A muszę tu zapisać, że wszystkie znaki i proroctwa zgodnie nam wróżyły wielkie zwycięstwa.

Opowiadano co chwila o jakiemś nowem zjawisku na niebie, głosach po kościołach, znakach, które się około króla ukazywały.

Otaczały go tłumy, kościoły były pełne... król z królową codzień prawie w innym nabożeństwa i suplikacyi słuchał.

Do Krakowa już gdyśmy się wybierali, a codzień coś się spóźniało i na coś oczekiwać było potrzeba — poczęli posłańcy od księcia Lotaryngskiego i od Lubomirskiego, który z kilku tysiącami przy nim był, nadchodzić,

nagląc a błagając, aby król pośpieszał, gdyż miasto wielce zagrożone było, ściśnięte, a lada chwilę obawiano się wyłomu i wtargnięcia.

Król, odbierając te wiadomości, musiał wkońcu wyrzec się opóźnionych i z tem, co miał, ciągnąć. Wprawdzie przewidywano, że Lotaryngski i oblężeni może trochę grozę swego położenia zwiększali, aby Sobieskiego przybycie przyśpieszyć, ale w samej istocie czasu do stracenia nie było. Z całych też Niemiec dopiero teraz się jakie takie posiłki pod komendą Lotaryngskiego ściągły, z Saksonii, Bawaryi, Wirtemberga i t. p.

Jako i my uroczyście z Krakowa się ruszyli za pułkami, które w części nas uprzedziły, pisać nie będę, zapisali to inni w ówczesnych dyaryuszach.

Królowa, jakom mówił, dla męża i syna czułość okazując bardzo wielką, a niepokój o losy ich — postanowiła, odprowadziwszy ich do Tarnowskich gór, wrócić do Krakowa i tam przez cały czas wyprawy pozostać, aby mieć częstsze i pewniejsze wiadomości.

W Tarnowskich górach jużeśmy po pierwszej próbie mieli doświadczenie, czem to będzie dalszy pochód w kraju obcym i nieznanym, z ludźmi do takich wypraw nienawykłymi. Ja, co miałem sobie dozór zwierzony nad częścią wozów i osobistych króla sprzętów, oręża, szat — nie mogłem sobie rady dać. Jak mi się nasi woźnice zaczęli żegnać w Krakowie, a potem opóźniać w drodze, koła i osie łamać, pakunki ginąć, myślałem, że głowę stracę, nim ład i porządek zaprowadzę.

Lecz mniejsza o to... *de minimis* nie było się tu co troszczyć. Patrzyłem na króla, królowę, familię, przyjaciół i domowników. Uroczyste to były godziny, szczególniej dla naszego pana, który wistocie wyglądał jako wysłaniec Boży, jako rycerz chrześcijański, obrońca chrześcijaństwa.

Zdał się to czuć, taką miał powagę wielką i majestat na obliczu, tak każde jego słowo tchnęło jakiemś namaszczeniem.

W ludziach widać było pewną trwogę, królowa, Boże mi przepuść, nie z miłości dla małżonka, ale z obawy

o los własny, drżała i płakała bez przerwy prawie. Z otaczających króla znaczniejsza część prawie, jak stolnik Polanowski, miała strach w sercu i mało ufności w sukces. W królu widziałem jedną tylko troskę, aby nic nie zabrakło, co mieć potrzebował, zresztą szedł z taką w Bogu ufnością, tak pewien siebie, iż drugim dodawał otuchy.

Gdyby też on o najmniejszej rzeczy nie pamiętał, jak to wyżej pisałem o włóczniach, — nie wiem, ktoby tem rozporządził, bo w pochodzie, mimo stanowniczych, pomimo, że przodem oznajmywano o nas, kwatery wyznaczono, żywność otrzymano, mało gdzie się znalazło wszystko na czas i poddostatkiem. Król, przysposabiając się do konia, z którego później nie zsiadał, prawie ciągle konno jechał, a dla tuszy i wagi ciągle mu je zmieniać było trzeba.

Po pożegnaniu z królową, która mdlała — chociaż ręczyć nie mogę, czy dla oczów ludzkich, czy też istotnie mdłości doznawała — król jechał, pomodliwszy się, cale ożywiony i wielkiego nie okazując smutku.

A żem wyżej wyraził powątpiewanie o mdłościach królowej, dodać muszę, że *post festum* ktoś z przyjaciół N. Pani puścił w świat jakoby o przyczynę łez na odjezdnem i przy pożegnaniu z Jakóbkiem spytana odpowiedzieć miała:

— Płaczę nad tem, że drogi mój syn za młody jest, aby mógł iść walczyć wraz z ojcem.

Otóż tej spartańskiej odpowiedzi królowej nikt naówczas ani słyszał, ni o niej wiedział, dopiero po powrocie i tryumfach zapisano ją w dyaryuszu... Wcale ona do Maryi Kazimiery nie przystaje... i bardzo wątpię, aby coś podobnego pomyślała przy rozstaniu. Drugiego też syna już naówczas przekładała nad Jakóba, choć ja niedowiarek, nawet w macierzyńską miłość tego wyschłego i wystygłego serca nie wierzę...

Z Tarnowskich gór wyruszywszy (22 sierpnia) ciągnęliśmy do Gliwic na Śląsku, gdzie dla nas w klasztorze oo. Reformatów były wyznaczone i opatrzone kwatery.

Przez cały ten dzień napędzali nas opóźnieni, do

których i brat królowej, Maligny, należał. Dlatego król troskliwy — namiot kazał pozostawić.

Listy też, które w Krakowie króla nie zastały już, na drodze odebrał.

Z tych dowiedział się o tem, z czego się głośno naśmiewał, iż ów szalony a zuchwały Duverne, któremu oświadczono, aby się sobie precz wynosił, w początku bardzo hardo się stawił, potem składał się tem, że nie francuskim był posłańcem, ale księcia Transylwanii, upierał się w Gdańsku pozostać — a wkońcu musiał się zabierać do odwrotu...

Cyfer zaś Morsztynowskich, o które we Francyi król upominał, pod różnemi pozorami, wydawać nie chciano.

Była to, jak się później okazało, ukartowana rzecz, aby Morsztyn wprzódy z aresztu marszałkowskiego zbiegł i salwował się z życiem...

Gdybyśmy byli wnosili z tego, jak nas po drodze i w Gliwicach witano, przyjmowano, zabiegano, — można się było spodziewać, że nas na rękach nosić będą.

Duchowieństwo wszędzie niemal wołało — *Ave Salvator!* — wielkich panów, komisarzy, różnego tytułu cesarskich urzędników po drodze zabiegała moc nieskończona aż do uprzykrzenia...

Królowi dziczyzny, zwierzyny, bażantów, prowiantu osobliwego naskładano więcej, niż go można było zużyć.

Do Tarnowskich gór król kazał kresy rozstawić z trabantów, dla korespondencyi, chociaż ona później najniepoczciwiej przychodziła.

Z Gliwic król, nie chcąc się wlec z ciężkiem wojskiem, które wolniej musiało się posuwać, oddzielił się we dwadzieścia kilka lekkich chorągwi z kilkuset dragonami i szliśmy na Opawę do Ołomuńca naprzód.

Tam hrabia Schafgotsch, wysłany przez cesarza, miał czekać na naszego pana.

Początki naszego ciągnienia, nie mogę inaczej powiedzieć, bardzo się przyjemnie zwiastowały, — gorąco, chociaż znaczne, do wytrzymania było, pogoda piękna,

kraj się nam wydał wesół, żyzny, obfity, ludność przyjazna i uprzejma.

W Raciborzu, którędy do Opawy wyciągnęli, graf jakiś przyjmował pana naszego, ale kosztem cesarza, chociaż u siebie. Sama pani z licznem gronem dam zabawiała też króla, który w karty z niemi grać musiał, nim do stołu podano. Na podziw wszyscy pełni byli wdzięczności i poszanowania, a nawet lud witał, błogosławiąc posiłki... przyjmowano nas, obficie ugaszczając i jak nie można lepiej.

Króla tu już słyszałem mówiącego, że musi pośpieszyć, bo się lęka, aby Turcy nie odstąpili od Wiednia, i zwycięstwa nam spodziewanego z rąk nie wydarli. Koniecznie przed początkiem Septembris chciał stanąć pod Wiedniem.

Pochód ten, gdyby już zwycięski, wesoły był i wszystko szło jak z płatka.

W Raciborzu nakarmiono nas i napojono obficie, potem i pod Opawą, znowu panie różne, Niemkinie, choć król w stodole się prostej zatrzymał, przyszły mu się przypatrywać i dziękować... Opawę, bardzo piękne miasteczko, tylkośmy przejechali, nie zatrzymując się w niem.

Drugiego dnia z noclegu o dobrą milę za miastem, bardzo pięknym krajem ujechawszy godzin parę, poczęły się góry Morawskie.

Nie mogę inaczej powiedzieć, tylko, że dla oczów naszych, do podobnych widoków nienawykłych, droga w górach powabną była, ale dla koni i wozów, żal mi Boże, bo skały, kamień i przez strumienie powyrywane doły bardzo ją utrudniały, tak, że późną nocą ledwieśmy się do noclegu naznaczonego dobili, konie znużywszy, a i około wozów szkoda też była, bo wiele ich nie wytrzymało.

Tu już nas ów obiecany cesarski Schafgotsch oczekiwał. Nie wiem, jak się tam z królem JMością rozmówił i czy z niego rad był, alem to postrzegł, że król się zmarszczył, zdumniał i odprawił go wcale nie uprzejmie, tak, że domyśleć się było można, iż poseł ów w czemś uchybić musiał i naukę dostał. Był to początek tych nieprzy-

jemności, które nam duma i dziwne wyobrażenia cesarskiej rady gotowały w przyszłości.

Ale Sobieski wszystko to przeczuwał, i jak należało, dawał odprawę. Odjechał graf ów, nosa opuściwszy, bo co chciał nauki dawać, sam pono dobrą dostał.

Słyszałem, jak się król zżymał i oburzał na to.

Nazajutrz ciągle pośpieszając, przyszło nam jeszcze niemal do południa przez te góry ciągnąć, a dalej ku Ołomuńcowi — równina się piękna roztoczyła przed nami.

Król się okrutnie męczył, bo go po drodze witano uroczyście, więc też dla mów i przyjęć musiał się odziewać paradnie, konia mieniać, występować — ale za to nasłuchał się salwatorów — i pochwał a błogosławieństw do syta!

Toż samo czekało nas w Ołomuńcu od Jezuitów i duchowieństwa. Król, aby uniknąć fatygi, jaką mu to sprawiało, domagał się, aby naznaczono kwatery za miastem, tymczasem nie posłuchano go i dano ją w kamienicy pośród miasta, z izbami pustemi, ogromnemi, gdzie wszyscy na kupie być musieli.

Zapisuję to dlatego, ażebym okazał, jak nas witano, jak nas czczono, a jak się to potem wszystko szpetnie odmieniło. Strach jeszcze naówczas wielką tę m łość rodził.

Król niezmiernie pragnął pośpieszyć, bo miał wiadomość od księcia Lotaryngskiego, że ten się już z nieprzyjacielem ścierał, a obawiał się, aby mu przeciwko jego planom nie uczyniono co i nie popsuto, co zamierzał.

Nie mogliśmy się skarżyć na brak języka od wojsk cesarskich, bo tego ciągle po dwa razy na dzień dostawaliśmy, co w królu niepokój budziło, tak, że naglił, co żywiej się chcąc dobić do Dunaju.

Ciągnęliśmy więc z pośpiechem wielkim, a znużenie to przy gorącu, król na podziw dobrze i zdrowo wytrzymywał, tylko na królewicza niewczas ten a zmiana życia tak podziałała, że mu twarz, usta i policzki szpetnie opryszczyła, ale Dumoulin powiadał, że to ze krwi i bardzo dobrze jest.

Po drodze ciągłe powitania różnych książąt i panów, jakiejś księżnej Lichtensztejnowej, która, powiadano, była przy królowej Eleonorze i królowi znajomą.

Mszy św. w sam dzień Ścięcia św. Jana król i my słuchaliśmy w Brunie albo raczej Brnie, bardzo pięknej mieścinie, nad którym panuje mocny zamek na wysokiej górze, a dokoła kraj, jak Ukraina, żyzny i zamożny. Przyjmowali nas uroczyście księża Franciszkanie, a tłok ludu ciekawego był wielki i dla odpustu, i dla nas.

Myśmy z rozkoszą się przypatrywali tutejszej zamożności a szczęśliwości ludu, który oprócz wszelakiego zboża, winnic, ma i owoców najpiękniejszych poddostatkiem. Chłopskie chaty, którychby na niejeden nasz dworek szlachecki nie pomieniali.

Obiadem nas w Brnie ze dworem razem królewskim przyjmował graf Kołowrat, którego nasi Kołowrotem przezywali — bo ten rządzi prowincyą; król z przyjęcia i jedzenia był dosyć rad.

Król tu odebrał listy od Lotaryngskiego na Imię Boże, na wszystko zaklinające, aby pośpieszał, bo Starenberg — a jego pismo też było przyłączone, pisał, że długo się już trzymać nie może, nieprzyjaciel w jednym z nami siedzi rawelinie, idzie ziemią podkopem, pod Beluard, zwany cesarskim, tak, że ci, co kontrminy kopią, czują go naprzeciw siebie.

Ponotowałem naówczas te doniesienia, — że się posiłków od elektorów co chwila spodziewano, oprócz Brandeburskiego, że Turcy mosty pozwalane przy Wiedniu na nowo odbudowywali i szańce koło nich sypali.

Król już spokojniejszym był, bom go słyszał mówiącego do wojewody wołyńskiego:

— Da Bóg, jutro posłyszymy działa wiedeńskie i napijemy się wody z Dunaju.

Teraz się już tem kłopotał, że o Kozakach, których chciał mieć przeciwko Tatarom, nic nie było słychać, i Litwa niewiedzieć co z sobą poczynała.

Król jej już nie potrzebował i życzył, aby na Węgry poszła dla dywersyi.

Takeśmy się dobili do Heiligenbron, niedaleko od

Tulmu, gdzie most budować kazano. Król stąd w kilkanaście koni jeździł pod Nikielsburg, bo go chciał oglądać sam, nie spuszczając się na cudze oczy. Wydziwić się obcy nie mogą, a i my też, jak król czynny, rzeźwy, niezmordowany i na małem poprzestający.

Ja, co go w pospolitem życiu przy wszystkich wygodach widywać nawykłem często ociężałego i uskarżającego się na różne dolegliwości, tu go poznać nie mogłem. Duchem się dźwigał a mocą cudowną. Nie dosypiał, nie dojadał, znużył się, a rzeźwy tak był, że Jakóbek z nim nie wytrwał, choć starał się go naśladować.

Ale w Jakóbku krew jakaś inna, charakter wcale odmienny — rzekłbym, że u matki coś wziął, a cudzoziemcem pachnie. Zarzucić mu nie można, iż rycersko się stara okazywać, lecz z kanclerzem Maligny, albo z Dupontem milej mu, niż z polską drużyną i tam go serce ciągnie. Szlachcica w nim już polskiego ani szukać, ani znaleźć.

Ale wracam do tego, co nas spotykało, a naprzód do onego księcia Lotaryngskiego, o którym - żeśmy się niezmiernie wiele nasłuchali zdawna, jako o wodzu znakomitym, wszyscy, nie wyjmując króla, byli go nad miarę ciekawi.

Ten królowi w kilkanaście koni zabiegł drogę, *cum debita reverentia*, bo szło o to wielce, jak się postawi i czy zechce obok króla być niezależnym generalissimusem, lub poddać się komendzie pana naszego. Otóż miał ten rozum, iż nie pretendował zostać swobodnym, ale po dobrej woli ofiarował się słuchać, boć gdyby dwu rozkazywało, gorzej, jakby żadnego nie było.

Po naszym panu, jak się nam ów wódz wydał niepoczesnym i z figury, i z ubioru, wypowiedzieć trudno. Średniego wzrostu, postawa pospolita, i niczem się nie odznaczająca, choć pewien wigor w niej czuć. Twarz też opalona, czerwonawa, nos jak u papugi i oczy tylko żywe a rozumne. Chociaż do króla jechał, wcale się na ubranie nie wysadził, suknię miał szaraczkową z trochą galonów i guzików pozłocistych, kapelusz bez piór, buty żółte, ale zbrukane i mocno wytarte.

Słyszałem jednak, gdy się król potem odzywał o nim z wielkiemi pochwałami i bardzo go wysoko szanując z tej prostoty i skromności a rozumu bystrego i znajomości sztuki wojennej. I tom słyszał, gdy król w rozmowie z nim rzekł, śmiejąc się:

— Nie mamy się co tych Turków i tego czarnego Mustafy obawiać, bo nieprzyjaciel, który nam bez przeszkody daje most na Dunaju budować, i albo nie wie o nim lub nie dba — zaprawdę nie jest strasznym.

Król jego i innych gości przybywających, na których nam nie zbywało, przyjmował, jak na obóz, wśród wojny, bardzo honeste i pańsko, bo ani jadła, ani wina nie brakło, i—choć nie pito, ale wszyscy sobie podweselili, nie wyjmując Lotaryngskiego, który zrazu pił lekkie wino z wodą, ale potem dał się i na węgierskie nakłonić.

Król bardzo rad był, bo się wszyscy oświadczyli, iż w najmniejszej rzeczy słuchać go będą i ordynansom jego podlegać. Szło mu potrosze o godność, ale pewnie więcej o sukces, który zależał na tem, ażeby jedna myśl i ręka kierowała wszystkiem.

Z obejścia się z panem naszym, z poszanowania dla niego, z radości, jaka się na ich twarzy malowała, gdy się przypatrywali wojsku naszemu, znać było, jak nas tu potrzebowali, że niedarmo króla wszędzie jako wybawiciela witano.

Nam zdawało się dotąd wszystko sprzyjać; mosty te, o które królowi tak chodziło, aby je bez przeszkody mógł wystawić, już na ukończeniu, wojska wyglądały, mimo strudzenia, bardzo okazale, z wyjątkiem kilku pułków piechoty odartych. Jednego dnia na niebie obserwowaliśmy przez kilka minut osobliwą tęczę i jasny pas niby jakiś znak, albo jakby olbrzymią literę, której nie było tylko komu nam wytłumaczyć, ale wyglądała ona nie jako groźba, miotła lub rózga, ale jasno i śmiejąco się — co daj Panie Boże wszechmogący—wołaliśmy.

Król ciągle dobrej myśli, ale troskliwy, wszędzie zaglądał, o żołnierzy, o konie się kłopotał, rad był nakarmić, napoić, a sam mało co jadł i to najwięcej owoców.

(Z mojego pisania widzicie, iż stare konotatki wciągam tu, bom w Krakowie umyślnie sobie papier oprawić kazał dla regestrów i rachunków, przyczem się to i owo notowało).

O książęciu Lotaryngskim, któregośmy też wszyscy ciekawi byli, król ciągle, pomimo jego wytartych butów i „niecnotliwej peruki", wyrażał się z wielkim szacunkiem. Zaraz po odjeździe mówił Matczyńskiemu przy mnie:

— Zda się być poczciwy człowiek, i wojnę rozumie bardzo dobrze, a do niej się aplikuje. Owo zgoła takim go znam, że się z moją fantazyą bardzo łacno zgodzi i godzien większej daleko fortuny.

Ze Stetelsdorfu, o ćwierć mili od mostu, dla przeprawy wojsk z wielkim pośpiechem zbudowanego bez żadnej przeszkody ze strony nieprzyjaciela, król z powodu, że sekretarz Talenti niedyspozyt był, mnie list do królowej dyktować raczył w części, a w części sam go pisał. Z tego sobie *praeter propter* przypominam, że się tłumaczył, iż nawet na korespondencyę czasu nie ma, gdyż konferencye ustawiczne z ks. Lotaryngskim i innymi, ordynanse, komplementa, witania po miastach, nietylko siła pisać, ale ani jeść, ani spać w porę iść nie dawały.

Nieprzyjaciel był już o cztery mile od nas, a tu przy każdem spotkaniu ceremoniały: kto gdzie ma stać, kto z tyłu, kto na przodzie, po lewej, lub prawej ręce.

Królowa się widać troskać musiała, jak tam majestat królewski wśród okazałości cesarskich prezentować się będzie, na co król odpowiadał, z prawdą zgodnie, że z powierzchowności sądząc, za krezusów Polaków mieć mogą, bo barwy na pajukach, na paziach, na lokajach bardzo piękne, konie bogato poubierane, pokoje obite, królewski i ks. Jakóba złocistemi oponami, antikamera brokatelą. U nich zaś (u Niemców) ani centka srebra na koniach, suknie proste, wpół z niemiecka, nawpół z węgierska, — wozy proste, pazia ani lokaja żadnego nie widać.

Książę elektor Saski, który wczoraj też przybył, w prostej czerwonej sukni, szarfą karmazynową z frendzlą prostą przepasany, wzrostu średniego, twarzy dosyć dobrej, broda staroniemieckim obyczajem, na pozór dosyć *simplex*, a co najdziwniejsza, żadnym językiem, oprócz niemieckiego nie mówiący, tym zaś także niewiele i nie bystro... Zato do napoju i kubka bardzo pilny.

I ten także pod ordynans króla się stawił... a pomimo iż sam tak niepocześnie wyglądał, znaleźliśmy piechotę jego, którą król oglądał, w bardzo pięknym porządku, czysto odzianą i dobrze uzbrojoną.

Obawiał się dotąd król JMść, aby go pod Wiedniem z akcyą nie uprzedzono i nie nadwerężono planów jego, ale tu się mógł z rozmów przekonać, iż nie tylko się o to lękać nie potrzebował, ale opieszałych i ociągających się napędzać było potrzeba.

Rzecz oczywista, że niebardzo pewni siebie, gdy do ostatecznej rozprawy, która o losie miasta i kraju rozstrzygać miała — przychodziło — wahać się musieli.

Z królewicza Jakóba, któremu towarzyszów stałych król dotąd nie wyznaczył, mając trudność w wyborze ich — dosyć kontent dotąd był, jako też z hr. Maligny, którzy oba nieodstępne mu towarzyszyli.

Przy królu sypiali, oprócz nas, na zawołanie będąc, podskarbi nadworny, Modrzejowski, i starosta łucki, Miączyński.

Jeszcze tu zapisać i powtarzać muszę wielką admiracyę moją dla pana naszego, bom go nigdy tak pracowitym nie widział, tak niezmordowanym, a o jadle, o śnie, o spoczynku zapominającym. Mil dziesięć do mostów i nazad na rozstawnych koniach zrobić jednego dnia, bez odetchnienia prawie — to dla niego nic...

Ale Dumoulin i Janusz powiadają, że już z tuszy cokolwiek spadł, prorokując, że schudnąć musi, co mu na korzyść wyjdzie. Na twarzy rumiano wygląda, choć policzki nieco opadły...

Do mostu pod Tulnem zbliżając się, osobliwego posła papieskiego spotkaliśmy, którego król i wszyscy

z nadzwyczajnym respektem przyjmowali, chociaż, Boże odpuść, nie wyglądał lepiej od naszych kwestarzów, albo raczej grubszą jeszcze suknią odziany — nogi bose, habit na gołem ciele...

Jest to wielkiej świątobliwości zakonnik kapucyn, ojciec Marek, którego wszędzie za niemal już błogosławionego za żywota ludzie mają, dar mu proroczy przyznają i do rąk się cisną.

Opisać go chyba nie potrafię, ale takim sobie wyobrażam onego św. Kapistrana, o którym w żywotach czytałem. Postawa dosyć piękna, ale kości na nim i skóra ogorzała, świecąca jak pergamin... oczy pałające ogniem jakimś, szczególniej, gdy się modli, zdaje się naszego świata nie widzieć wcale... Odzież na nim gruba, sznurem prostym przepasana, nogi w trepkach, — ręce tylko z twarzą nie pasują, bo białe i piękne, choć wychudłe.

Królowie i książęta dla niego, jakby ich nie znał, ani potrzebował wiedzieć, czem są, bo dla wszystkich i dla najmizerniejszego pacholika jednakim jest. Do króla JMci snać osobne polecenia miał od ojca św., bo sam go szukał, a przy powitaniu ze łzami niemal błogosławił, poczem na osobności z nim więcej pół godziny strawił. Słyszałem, jak potem król hrabiemu Maligny rozpowiadał, iż o. Marek cesarza wprzódy widział i napominał go, ukazując, za co Pan Bóg te kraje tak surowo karze. Przyczem upewnił, że cesarz się nie zbliży do wojsk, bo mu on to nietylko odradzał, ale wzbronił.

Król rad temu był, gdyż go sobie nie życzył, a pono i sam cesarz ochoty wielkiej nie okazywał w tę matnię wpaść, bo wojska się ruszały w góry, wąwozy i lasy ku Wiedniowi, gdzie Tatarowie łacno z tyłu niepokoić mogły.

Nabożeństwo, które odprawiał o. Marek, do żadnego zwykłego podobnem nie było... król i starszyzna z rąk pobożnego kapłana komunię świętą przyjmowali, przyczem głośno pytał, czy mają w Bogu ufność, i za sobą po razy kilka powtarzać kazał—Jezus, Marya...

Otucha wielka z tym świątobliwym mężem wstą-

piła we wszystkich, jakby go tu Pan Bóg nam zesłał w tym momencie, — gdy męstwa dodać było potrzeba.

Przeprawa przez mosty, które nareszcie gotowe stanęły, dosyć kłopotliwa była, bo ciągle tu i owdzie się coś psuło, a deszcz i ślizgawica wozom nie na pożytek. Za Dunajem, kraj, mówiono, wygłodzony i opustoszały, gdyż Tatarowie tu stali przez niedziel kilka, a po nich, jak po szarańczy, niczem się już nie pożywi.

Drogi przez góry, wąwozy i gęstwinę leśną trudne i niepewne, przewodników tak jak nie dostać, a karty i mapy okazywały się, na co król bardzo utyskiwał— albo fałszywe lub niewystarczające.

Przodem miały iść piechoty i dla jazdy drogi trzebić, rozszerzać i wyrąbywać. Największa męka była z wozami, których porzucić niepodobna, a ciągnąć je z sobą niewymownie trudno przychodziło, szczególniej dla koni i paszy, bo tu trawy ani na lekarstwo. Nie były też budowane na takie bezdroża kamieniste, przez jakie się z ciężarem wlec musieliśmy.

Dotąd król ze wszystkich rad, na nikogo się nie skarżył, książę Lotaryngski i Saski oba go słuchali, ordynanse przyjmowali i do nich się rekomendowali. Oprócz nich, książąt Rzeszy niemieckiej na łeb na szyję zbiegało się mnóstwo, którzy, opóźniwszy się, a zasłyszawszy o królu, pośpieszali dniem i nocą. Słyszeliśmy o Bawarskim, dwu Neuburgskich, Hanowerskim, Anhalt i innych, których imion nie pochwytałem. Oprócz tego ochotnika niby krzyżowców, różnych narodowości, chciwych boju pod takim wodzem, kawalerów siła było, którzy po różnych oddziałach się rozmieszczali.

Książę Saski, z wielkiem podziwieniem kawalera Maligny, ciągle w swej czerwonej przepłowiałej sukni, obok naszego pana objeżdżał wojska, niby ze dworu jego ktoś, niepodobny wcale do panującego.

Na koniu u rzędzika srebra ledwo dojrzeć było, paziów ani lokajów przy nim żadnych, namiociska z prostego ćwilichu... Asystencya przy nim sami oficerowie, brzuchatych dosyć i twarze tęgo rumiane.

Języka prawie codzień dostawaliśmy, który na

jedno się wszystek godził, że w obozie tureckim o przybywaniu króla naszego nie wiedziano, albo raczej wierzyć na żaden sposób nie chciano. Podjazdy nasze powracające powiadały, że strzelania dział pod murami srogiego nie słychać, z muszkietów tylko ognia dają, i pono miny kopią — a Czarny Mustafa nierad miasta szturmem brać dla łupu, bo grabieży przy zdobyciu gwałtownem nie uniknąć, a jemu się chce owe skarby niezmierne, jakich się w Wiedniu spodziewa, samemu zagarnąć. Stąd ta jego powolność i zwłoki, czemu król rad był, bo się niczego więcej nie obawiał nad to, jak żeby bez nas się obeszli i nas kto nie uprzedził.

Widzimy teraz, że strach ten był płonny, bo gdyby nie odsiecz, Wiedeń-by się poddać musiał.

Tak dalece w króla tu nie wierzono i nie spodziewano się go, że poseł od Tekelego, który do Lotaryngskiego przybył, ofiarując pośrednictwo jego dla uzyskania armistycyum — zobaczywszy naszego pana, języka w gębie zapomniał.

Nie wiem, czym o tem pisał, że Tekeli dla króla względy miał wielkie, bo się go obawiał, i posłusznym być musiał. Przez tego więc posła, Talentemu król kazał cyframi napomnienie Tekelemu wysłać, aby pamiętał, do czego się zobowiązał, chceli być cały.

Im bliżej Wiednia, tem goręcej nam wszystkim było, — cóż o nas mówić, gdy i król ani wygód już, ani opatrzenia potrzebnego nie miał.

Często dobrej wody mu dostać nie można było, a za całą strawę kawałek chleba starczyć musiał; król to tak wesoło Panu Bogu ofiarował, jakby we wszystko opływał.

Ledwie oczy otworzyl a przeżegnał się, już pytał o nowiny, o języku, posyłał — wyprawiał. Największy niepokój, gdy długo od królowej nie otrzymujemy wiadomości, a te bardzo nieregularnie przychodziły, chociaż środki obmyślane były, aby na posłańcach, trebantach, kursorach i różnych kresach nie zbywało.

Na posiłki, na Kozaków Mężyńskiego, który z nimi

we Lwowie dopiero stał, wcale król nie rachował, bo nam o liczbę nie szło już, ale o dzielność żołnierza.

Opowiedzieć trudno, jakiemi to drogami, z jakiem utrapieniem i znużeniem dla koni, które prawie gałęźmi samemi żywić przychodziłò, daleko później, niż król pragnął, na Kalenberg już pod Wiedeń dostaliśmy się. W drodze cudem prawdziwym prawieśmy żadnej przeszkody ze strony nieprzyjaciela nie mieli, raz dlatego, że się wojsk w tych górach i lasach nie spodziewał, powtóre, że w króla do ostatka nie wierzył.

Złączył się z nami elektor Bawarski, młody jeszcze, z twarzy niczego, nieszpetny, prezencya lepsza niż Saskiego i około niego też czyściej a wytworniej, konie piękne, ale dworu żadnego tak jak nie widać było. Ten z królewiczem Jakóbem się zapoznawszy, poufale do niego przystał i w komitywie najlepszej, czemu nasz pan rad, przyjmował go wielce życzliwie.

Obaj elektorowie, którzy się zrazu trochę opodal od króla trzymali, teraz, gdy już nieprzyjaciel blizko był, stawili się po kilka razy na dzień, parol odbierali, dopytywali sami o rozkazy, akomodowali się chętnie.

Król wczoraj mówił z widoczną radością:

— Kapitan najprostszy nie mógłby być posłuszniejszym od nich i dlatego możemy, przy łasce Bożej, spodziewać się dobrego końca... lubo nie bez mozołu, bo inaczej i gorzej rzeczy tu stoją, aniżeli nas informowano.

Com wyżej pisał o przeprawach górami do Kalenbergu, ani dać może wyobrażenia o tem, co wojsko i my ucierpieliśmy. Miejscami nie iść, nie jechać, ale się wprost trzeba było drapać na strome wyniosłości bez drogi wszelkiej, a wymyte deszczami wąwozy przepaściste przebywając, często kozom nóg zazdrościliśmy — bo nasze do takich przepraw nie były stworzone.

Wszakże z pomocą Bożą jakoś, bez wielkich strat i szwanków dobiliśmy się już tu — gdzie ponad tureckim obozem niewidzialni stanęliśmy. Narady ciągle trwały dniem i nocą, gdzie kogo postawić.

Król wszystkie wozy swoje, które prowianty, sprzęty, namioty lepsze i łopaty wiozły, musiał oprócz nie-

zbędnych kilku — pozostawić za sobą nad Dunajem w miejscu, jak się zdawało, dosyć bezpiecznem. Patrzałem na to z podziwieniem i admiracyą, jak się bez wszystkiego obchodził wesoło, na nic nie utyskując. Kazałem za nim wozić na siodle materacyk lekki, aby potrzebując spocząć, na gołej ziemi nie legał, ale rzadko na niego czekał.

Turecka nieopatrzność, czy z woli Bożej zaślepienie, dla nas niepojęte były. Nasza dragonia i kozacy podkradali się pod nich — bydło im zabierali, ludzi chwytali, wszystko to było na rachunek inny, a o nas jakby nie wiedzieli.

Przez parę dni byliśmy z królem bez wojska, które nadążyć nie mogło z takim pośpiechem, a król pozycyę chciał oglądać.

Tu dopiero okazała się decepcya wielka, straszna — która w początku naszego pana do rozpaczy prawie przywiodła — bo na wszystkich kartach i planach stało, iż wszedłszy na Kalenberg, stąd już pod miasto żadnej trudności ani zawady nie napotkamy. Tymczasem zamiast winnic, jakiemi góra mierna okrytą być miała— gdyśmy stanęli na wyżynie, ujrzeliśmy u stóp naszych obóz turecki ogromny — rozłożony jak miasto nieprzejrzane, dalej Wiedeń nim opasany jak na dłoni i poza nim przestrzeń na mil kilkanaście, ale w prawo, cośmy się pola spodziewali, las gęsty, przepaście i straszliwa stroma wyniosłość.

Książę Lotaryngski, pytany, przyznał to, iż się na mapach zawiódł, królowi zaś teraz przyszło zmienić plan i zamiast uderzenia nagłego i prędkiego, powoli się skradać, podchodzić, naciskać.

Szczęściem, Turcy, jak to już widać, obozu nie okopali, stał otworem — ani go podobieństwem było obwarować, taką rozciągłość miał wielką. Komendant wiedeński, Starenberg, już o przybyciu odsieczy zawiadomiony, racami nas wypuszczonemi nocą pozdrowił.

Wojsko nasze stało wszerz dobre pół mili, zalegając w górach i lasach, na prawem skrzydle; król na samym skraju nocował przy piechotach, skąd obóz caluteczki

Turków widać było, a w nocy huk dział ustawiczny oka zmrużyć nie dawał.

Bóg wiedział, co nas tu czekało, ale że na to patrzeć nie każdemu się w życiu dostało i że rozkosz to wielka widzieć ten kraj, gród, te namioty jako grzyby, te ogniste nocą po niebiosach wstęgi, te dymy kłębiące się nad wieżami i całe niezmierzone owo *spectaculum*, gdyby sen wielkie i dziwne — to pewna. Panu Bogu dziękowałem, że mi się to dostało, trudu nie lutując, jaki wyniosłem. Oczy się nie napatrzyły, uszy nasłuchać nie mogły, bo i one miały co chwytać.

Gdy wiatr, którego my tu na górach mamy poddostatkiem, mieliśmy, wionął na nas, a przyniósł razem huk tych dział — odgłos daleki dzwonów, ryk wielbłądów, rżenie koni, mruczenie obozowe, chrzęst, brzęk—aż mrowie przechodziło po człowieku.

Żadna-by muzyka tak do głębin duszy nie przemawiała. Trwoga jakaś ogarniała i podziw. A rodziło się pytanie, co Bóg z nami uczynić zechce—bo tu już żaden rozum ludzki nic nie mógł obrachować.

Jeżeli się nie mylę, król nasz na Tatarów wezyrskich coś rachować musiał, bo się o nich ustawicznie dopytywał i posyłał swoich, aby się o nich dowiadywali, kędy są — ale dotąd ich nie napytaliśmy.

Chodząc po obozie przez te dwa dni — gdzie znajomych miałem wielu, tyle o nim powiedzieć mogę, żem nigdy nie widział wojska więcej łaknącego boju i pewniejszego siebie, jako to nasze było.

W królu niezmierną ufność mieli wszyscy, o hetmanach mowy nie było. On tu najwyższym wodzem, i cudzoziemcy też — owi elektorowie, książęta Lotaryngski i inni na niego patrzyli.

Codziennie prawie widując go, mogłem poświadczyć, że dotąd nietylko się królowi nigdy kontr nie stawił nikt, ale w każdej rzeczy o zdanie jego pytano i za nim szli, uznawszy to, iż Turków lepiej znał i więcej praktykował, niż oni wszyscy.

Śmiejąc się, pokazywał nasz pan bliznę pod Berestecz-

kiem otrzymanej rany, mówiąc, iż tędy mu do głowy znajomość strategii pogańskiej weszła.

Gdy języka przyprowadzono, a tłumacza naszego nie było pod ręką, podziw zawsze wielki, że się król ofiarował z Tatarami rozmawiać i *expedite* konwersował. W jeńcach też, gdy o królu się dowiadywali, zaraz widać było, jak tracili odwagę i pokornieli.

O ile z góry widzieć się dawało i rozeznać, ów czarny Mustafa wcale się po pańsku rozgospodarował pod murami Wiednia, a same namioty jego i haremu służby, rzerzańców, janczarów przy osobie zostających jak miasto wielkie wyglądały. Pomiędzy temi szkarłatnemi i złocistemi namioty z księżycami na wierzchach, na których blachy świeciły, zieloności nasadzono, fontanny biły. Zdaje się, że i sam sułtan, gdyby szedł na wojnę, z większym-by się splendorem wybrać nie mógł, wielkiego zaś wojskowego ruchu w obozie nie widać było, tylko u samych baszt i murów, pod które się podkopywali i wyłomy robili. Opieszale jakoś szturmowali, a nierówno — i chwile spoczynku a modlitwy ich bardzo widoczne były.

Z miasta zaś ogień chociaż nie przestawał, ale mało się zdał skutecznym. Nocami z wież race ogniste puszczał Starenberg, które pewnie książę Lotaryngski i król rozumieli, co oznaczać miały, bo różne były i nierówno wytryskiwały, w przestankach, po kilka.

O tem też wiedzieliśmy, że za janczara przebrany Polak z Wiednia do obozów naszych i z powrotem do niego został wyprawiony. Słyszałem, jak król powiadał, że Starenberg nagli bardzo, ale pośpieszyć niepodobna, taki nam zawód góra uczyniła.

Jesień nam już się wielce czuć dawała.

Tu zapisać muszę pana naszego mądre znalezienie się przy wojsk przeglądzie, które okazywał książętom Lotaryngskiemu i Saskiemu. Byłem przy tem, gdy hetman przyjechał zafrasowany, iż część piechoty tak była odarta i nędznie przyodziana, że ją chyba z tyłu postawić należało, aby się przed obcymi nie wstydzić za nią.

— Zwłaszcza — dodał — po saskiej piechocie, któ-

ra barwę ma jak z igły, i ślicznie się prezentuje, ani jej pokazać możemy.

Król ramionami ruszył.

— Uchowaj Boże... — zawołał — nie kryjcie mi tego regimentu, owszem, występujcie śmiało, ja to wytłumaczę Lotaryngskiemu, jak należy.

Przyszła kolej na tę piechotę nieszczęśliwą, w której na ludziach dorodnych nie zbywało, ale odzież była w łachmanach niemal.

Król, zobaczywszy ich, odezwał się na głos:

— Upraszam was, panowie, abyście szczególną zwrócili uwagę na tych mężnych moich wojaków. Przed każdą wyprawą mają zwyczaj brać jak najgorszą odzież, poprzysięgając, że się zdartą z nieprzyjaciela wszyscy przystroją. A nigdy jeszcze nie powrócili bez najwykwintniejszych sukni. I teraz ręczę za nich, że będą wyglądali, jak pułk janczarów wezyra.

Lotaryngski i Saski z wielką tedy ciekawością przypatrywali się obdartusom i potem sobie o nich rozpowiadali, — król śmiał się.

Tatarowie, których myśmy się dopytać nie mogli, błądzili kędyś zdaleka, i gdy im o królu pobrane ciury nasze rozpowiadali — szydzili z nich. Wiedzieli tylko o Lubomirskim — a w samego pana wcale do ostatka nie wierzyli.

Z drugiej strony, będąc ciągle przy królu, który przy mnie wcale się nie wystrzegając, mówił o wszystkiem, mogę to poświadczyć, że w chwili, gdy uderzenie na obóz Kara-Mustafy postanowione zostało, a król ręką własną napisał rozkład dla wojsk — wcale się nie spodziewał nikt, ani on sam, ażeby się mogło wszystko rozstrzygnąć jednem uderzeniem.

Rachowano na to, że się początek uczyni, z gór w dolinę wojska przeniosą i obóz turecki powoli otaczać będą i zdobywać.

Niecierpliwość była wielka, aby dla spóźnionej pory roku nie zwłóczyć — i na dwunasty Septembris wszystko się gotowało. Umysły były wielce poruszone. Co Bóg

da? Każdy zbroję sposobił, włócznie dobierał — wszelki oręż rozpatrywał.

Na królu nie widziałem i naówczas najmniejszej trwogi, ale troskliwość nieustanną, aby jego rozkazy były spełnione, to też i mnie i innych ciągle rozsyłał z napomnieniami, gdzie kto ma stać, kogo słuchać i t. p.

W nocy, jeżeli usnął, to chyba mało bardzo, modlił się, chodząc. Późno już, swoich Tatarów, co mu służyli, wołać do siebie kazał i tych snać na zwiady posyłał.

O piątej zrana dały się słyszeć działa od strony zamku na Kalenbergu, gdzie stali Sasi, którzy ogień rozpoczęli, a zarazem i tureckie działa strzelać poczęły na mury miasta.

Król już ubrany wyszedł z namiotu, wszyscyśmy byli na nogach.

Wojsko się rozstawiało wedle dyspozycyi królewskiej. Na prawem naszem skrzydle stał hetman Jabłonowski i nasza husarya z nim — wprost prawie naprzeciw środka obozu tureckiego. Na lewem, które aż do Dunaju dochodziło — piechota cesarza i Sasi. Dowodzili tu najsławniejsi niemieccy pułkowódcy i książęta.

Sam elektor saski jeden oddział prowadził. Żołnierza ich król chwalił, piechotę szczególniej, doskonale wyćwiczoną i zahartowaną. Lubomirski z zaciągiem polskim zastępował tu jazdę niemiecką. Całe to skrzydło prowadził książę Lotaryngski.

W środku stało cesarskie wojsko i Bawarczycy, pod dowództwem książąt niemieckich, których ja nie zliczę.

Było ich bardzo dosyć, bo się zbiegli zewsząd i w stosunku więcej prawie do komenderowania stanęło, niż do szeregów. Oprócz cesarza, który się nie pokazał, cała rzesza jego była reprezentowaną, ale kapucyn mówił, że on tu wcale był niepotrzebnym.

Miejsce jego właśnie zajmował nasz król, przy którym i prawego skrzydła i całej armii było dowództwo.

Ogień, który już o piątej zrana się rozpoczął od Sasów, pochodził stąd, iż z wieczora król dysponował, aby pod klasztorem Kamedułów, na skraju lasu wysypano baterye i ustawiono działa, przeciwko środkowi obozu

wymierzone, — wedle porady Kątskiego. Nocą więc co prędzej kopano i wciągnięto działa, które przede dniem postrzegli spachowie i rzucili się, aby zburzyć baterye, tak, że tu się walka rozpoczęła naprzód, gdzie zaraz mężny książę Kroy został raniony, a książę Maksymilian zabity.

Gorący tu już wrzał bój na skrzydle, gdzie nasz Lubomirski bardzo się odznaczył dzielnie,—król posyłał do swoich i sam jeździł opatrywać, gdy się ustawiali. O godzinie ósmej może... nadbiegł konno z pośpiechem wielkim Lotaryngski po rozkazy i dla narady, w chwili gdy ojciec Marek w małej kapliczce mszę świętą miał rozpocząć.

— Poczynajmy od Boga — rzekł Sobieski do przybywającego — po mszy siadam na koń i już nie spocznę, aż się walka wywiąże.

Wtem król kołpak mi rzucił swój — i wszedł do zakrystyi — chciał sam służyć do mszy świętej... Wszyscy, co tam byli, zdumieni spoglądali, a mnie się łzy w oczach zwisły... Kapucyn wychodził ze mszą tak cały w Bogu zatopiony, iż może nie widział, ani kto przed nim szedł, ani kto mu do Confiteor odpowiadał.

Ja nie mogłem oczów od naszego pana odwrócić. Przez całą prawie mszę świętą z podniesionemi do góry rękami i oczyma modlił się tak gorąco, że mu w oczach łzy stały. Cały pewnie żywot od pierwszej młodości przechodził mu przez myśl w tym momencie uroczystym, gdy się przed Bogiem tak maleńkim czynił...

I król i Lotaryngski i kilku ze starszyzny z rąk świątobliwego kapucyna przyjmowali komunię świętą.

Zdaleka dochodzący huk dział, tętent jazdy ściągającej się, chrzęst oręża i zbroi towarzyszyły temu obrzędowi.

Serce się ściskało, pomyślawszy, iż jakby na śmierć się dysponowali...

Mówią, czegom ja nie słyszał, że o. Marek, sam o tem nie wiedząc, gdy się odwrócił na *Ite missa est*, zamiast tych wyrazów miał wróżyć zwycięstwo, ale król o tem nie wspominał.

Ledwie od ołtarza, potrzeba było na koń, tylko

że w progu kaplicy podano wina kubek i kawałek chleba królowi i księciu, ale czasu brakło nawet na zakąskę.

Nasza usarya już się miała rozpocząć spuszczać w dół po spadzistej górze, co przychodziło z niezmierną trudnością dla nierównego gruntu, kamieni, rowów, wyrw i dziur, w które konie zapadały. Porządek utrzymać było niezmiernie trudno, tak, że coraz to który z tych pięciu szeregów musiał stawać i czekać, aż opóźnieni podążyli i linia się wyrównała. Pośpieszyć nie było sposobu, boby wszystko na łeb spadło bezładnie. Tymczasem cesarscy już się w dolinie potykali i szło im dobrze, bo winnice i pasieki dosyć obronie sprzyjały. Około godziny dziesiątej pułki Lesle, ranny książę Croy, książę Saski posunęli się już, opanowawszy wąwozy, a nasza usarya jeszcze się dopiero spuszczała z gór, tak że król Jan posłał, żądając, aby na nią poczekano mało, dopókiby z tych przepaści się nie wydobyła. Dopiero o jedenastej godzinie jazdy nasze, przezwyciężywszy wszystkie przeszkody, w szeregach zwartych stanęły — cesarscy ich witali okrzykami.

Musieliśmy choć chwilę przystanąć, aby koniom dać wytchnąć i ludziom, choć chleba kawałkiem się posilić. Król z Lotaryngskim i kilku książętami pod drzewem przypadł nieco, rozkazując podać jedzenie, które jako tako przygotowane było.

Tymczasem koło południa gorąco okrutne się zrobiło, a we zbroi, w kaftanach, można sobie wystawić, co się z ludźmi działo, z których każdy jeszcze oręża ciężar dźwigał na sobie. Ledwie przekąsiwszy, król na konia siadł, ale już z paradą, z buńczukiem przed sobą, ze złotą tarczą, którą giermek wiózł za nim, i począł z Lotaryngskim wojsko objeżdżać, do Niemców po niemiecku, do innych po francusku, po włosku przemawiając i zagrzewając do boju za wiarę świętą.

Turcy też mieli dosyć frysztu, aby się przeciwko nam ustawić i przysposobić do walki, do której jednak pono zrazu wielkiej wagi nie przywiązywali. Można powiedzieć, że jeszcze o tej godzinie końca nikt ani przewidywał, ani się domyślał.

Dopieroż bój się krwawy zajął — wśród takiego

przepaścistego stoku, około Neudorfu, że jazda z trudnością się przeciwko Turkom utrzymać mogła. Nasza usarya rzucała się impetem wielkim i rozbijała Turków, ale się potem ani obrócić, ani chyżo ruszyć nie mogła, bo to żołnierz był jak młot ciężki, wszystko rozbijający, ale mu się podnieść łatwo nie było. W pierwszem tem starciu młodziuchny, mężny a ognisty kasztelalnic Potocki, ukochany ojcu, tak się narażał, że padł zabity, również jak Aswerus pułkownik dzielny. Usarya nasza o włos nie została rozbitą, gdyby jej Bawarczycy w pomoc nie nadbiegli.

Król przerażony z drugim szeregiem jazdy, sam na czele, animując swoich, rzucił się na Turków i—to cały sukces dnia tego rozstrzygnęło—bo Turcy nacisku wytrzymać nie mogli.

Turcy w początku dnia wiele nie przypuszczali, snać tak jak i my, żeby do stanowczej mogło przyjść batalii, dopiero może około południa spostrzegli, że siły większe, niż rozumieli, wyciągnęły przeciw nim, a Tatarzy Kara-Mustafie oznajmili pono pierwsi z trwogą, iż król polski, którego imię napełniało ich trwogą, sukursem tym dowodził, i że już nie z Lotaryngskim samym i kilku tysiącami Lubomirskiego do czynienia mieli, ale z wojskiem licznem, które się cudem przez góry zarosłe i przepaściste przedarłszy, zjawiło tam, gdzie się go wcale nie spodziewano.

Dopiero i Kara Mustafa i Ibrachim i posiłki wołoskie wyciągnęły naprzeciwko, a Tatarowie, jak później powiadano, wcale nieochotnie się stawili, gotowi raczej ratować siebie, niż wezyra.

Gdy nasza druga linia z królem złamała Turków, już się nie zatrzymali aż u przekopu obóz ich opasującego, gdzie się ukazała chorągiew wielka Mahometa i Kara Mustafa.

Tu dopiero rozpoczął się bój ostateczny, ale Jabłonowskiemu na prawem skrzydle powiodło się rozpędzić Tatarów już wylękłych, z lewej dzielnie naciskał Lotaryngski, w pośrodku zaś król sam z wyborem rycerstwa naciskał i łamał janczarów Kara Mustafy.

Jeszcze około godziny piątej z południa los był nierozstrzygnięty i król myślał, na pobojowisku się utrzymując, do jutra odłożyć ostateczną rozprawę. Wezyr zaś tak snać był spokojnym o siebie, iż namiot swój przenośny szkarłatny rozbić kazał i z synami w nim odpoczywał.

Wtem król, objeżdżając szeregi i rozpatrując się w położeniu, jakby tknięty jakimś rozkazem z góry, dał znak do boju.

— Wszystko się dziś musi rozstrzygnąć — zawołał,—jutro będzie za późno...

Kątskiemu kazano działa ustawić, do których z początku brakło pono ładunków, tak że król po pięćdziesiąt talarów za każdy strzał ofiarował, a Francuz jeden peruką i chustką działo przybił. Opanowano wzgórze po nad obozem Kara Mustafy, przybyły ładunki, ogień się rozpoczął srogi, a nasza usarya szła jak szalona na nieprzyjaciela

Król stał na wzgórzu z królewiczem i pierwszy postrzegł, że szeregi tureckie wygięły się, zerwały i cofać poczęły.

Pobiegł z rozkazem ktoś od króla, aby Lotaryngski na środek natarł co prędzej, sam on zaś naprost ku czerwonemu namiotowi wezyrskiemu się rzucił. Matczyński, który przy buńczuku i skrzydle niósł tarczę za królem, ledwie za nim mógł podążyć, tak pędził z szablą podniesioną na oślep... widząc już rycerstwo przed sobą i wołał tylko głośno:

— *Non nobis, non nobis! Sed nomini Tuo da gloriam!*

Usarzom w tem ostatniem starciu wszystkim prawie włócznie się skruszyły.

Już co się naówczas działo, tego żadne pióro nie opisze, duch jakiś wstąpił we wszystkich niezwyciężonej potęgi, którejby się i dwakroć większa siła oprzeć nie mogła. Siał trwogę przed sobą...

Przed chwilą jeszcze spokojny i pyszny ów wezyr, który się bezpiecznym mniemał, postrzegł, że zgubionym był... Popłoch niewysłowiony rozszerzył się mię-

dzy Turkami, którzy, rzucając oręże, jak szaleni zbiegać zaczęli na wszystkie strony, potraciwszy głowy...

Można śmiało powiedzieć, że tu już żaden wódz, ani rozum, ani umiejętność wojenna w tej chwili nic nie mogły — ale Pan Bóg gnał te rzesze jedne naprzód, drugie jakby rózgą chłoszcząc, do odwrotu...

Gdy się raz zamieszanie wszczęło — a prąd cały ku wezyrskim namiotom popłynął,—walka była rozstrzygnięta. Jak wicher piaski, tak strach rozpędzał te tłumy, rażone gdyby gromem.

Usarya nasza pierwsza klinem się wparła pomiędzy Turków i na dwoje ich przekroła. Zginęli naówczas paszowie Alepu i Sylistryjski a czterech innych na prawem skrzydle padło naprzeciw Jabłonowskiego.

Powiadano później, że wezyr, do wielkiego namiotu uciekłszy, — nie wiedząc, co począć, płakał... Selim Geraj, chan krymski, był przy nim jeszcze.

— Ratuj! — wołał wezyr zaklinając, — król polski jest z nimi, przeciwko niemu my nie możemy nic, siebie musimy ocalić!

Chodziły pogłoski, jakoby tu zdrada złotem była okupioną zawczasu, czemu nie werzę, bo na Tatarów król złota nie potrzebował—słowa jego dosyć było.

Z tego, co się człowiek późnej nasłuchał i napatrzył, księgi-by całe o tym jednym dniu spisywać można, ale tak wszystkiego razem, cośmy czuli i widzieli naówczas, zebrać niepodobna.

O godzinie szóstej król pierwszy do namiotów wezyrskich się dostał, pomimo, że janczarowie jeszcze ognia przeciwko niemu dawali, i natychmiast straże postawić kazał, aby się nikt nie ważył nic tknąć i żadnego łupu brać, obiecując nazajutrz wojsku ukontentowanie.

Sam los tak dał i postanowił, iż królowi naszemu dostały się niezmierne bogactwa po Kara-Mustafie, który tu z przepychem i okazałością monarchy ze skarbami rozposażył się zawczasu, jak zwycięzca. Było to razem i szczęście wielkie i wielkie nieszczęście dla nas, jak poniżej powiem.

O sobie, jakom ten pamiętny dzień życia mojego spę-

dził, nie godzi mi się prawie wspominać. Byłem właśnie jako ziarnko piasku wśród tej burzy. Od początku dnia — wedle przykazu króla, starałem się trzymać około niego w pobliżu, niosąc kubek, flaszkę z wodą i z winem, chleba kawałek i wędliny. Ale wszystkiego tego aż do nocy nikt nie tknął, a mnie, choć zrazu od skwaru wargi się spaliły, anim pomyślał o napoju. Podążałem też za królem, o ile mi koń i miejsce pozwalało, ale razy kilka się zdarzyło, żem w tyle pozostać musiał, a doganiać nie było łatwo, — oczyma szukałem ciągle skrzydła orlego i buńczuków a i te za proporcami ussarzów niezawsze dostrzedz było można. Zbłądziłem też nieraz i ledwiem potem się mógł zoryentować.

Dopierom w dolinie króla dognał, ale gdy już znowu konia dosiadł.

Gdyśmy przekop przebywali, niecnota janczar, niewiedzieć skąd, kulą mnie poczęstował, aby się sprawdziło, że nigdym całym wyjść nie mógł.

Oprócz mnie z orszaku nikt raniony nie był, a kula, snać umyślnie dla mnie przeznaczona, — tu nagnała, siły już nie mając, bo mi kaftan tylko na ręku zdrapała i skóry trochę zniosła, utkwiwszy w rękawie tak, żem ją potem, wyjąwszy, mógł zachować na pamiątkę dnia tego.

Rana była śmiechu warta tylko, ano bez krwi się nie obeszło.

Miałem króla na oku od tego momentu, gdy, przekop przebywszy, do namiotów zdążał, znużony wielce, zdyszany, za synem się tylko oglądający, ale takiego oblicza jasnego a majestatycznego, jakem u niego rzadko widział.

Usta mu się ciągle poruszały jakby modlitwą. O zwycięstwo nie było już co pytać, bośmy w obozie nieprzyjacielskim byli, więc tylko o swoich, których nie widział około siebie, ciągle się dowiadywał, o kawalera Maligny, o hetmanów, o swoich ulubionych. Matczyński go przez cały czas na krok nie odstępował.

Królewicz też, można mu oddać tę sprawiedliwość—

w ogniu się okazał bardzo statecznym. Na ojca patrzał i skinienia jego słuchał.

Ledwie się przy namiotach zatrzymaliśmy; gdy z różnych stron nadbiegać zaczęli dowódcy, winszując, okrzykując. Saski elektor się rzucił w ramiona królowi niemal ze łzami. W tej pierwszej chwili czuli to i rozumieli wszyscy, ile Sobieskiemu i nam byli winni, ale się to potem prędko odmieniło.

Tu zaraz u namiotów przyprowadził królowi niewolnik wezyra konia jego i złote strzemię ofiarował, które królowej posłał z pierwszym listem i wiadomością o zwycięstwie.

Książę Lotaryngski podstąpił pod mury miasta dla oczyszczenia ich z pozostałych po przekopach i murach janczarów; niektórzy w pogoń się puścili, ale Turcy uchodzili tak śpiesznie, że ich napędzić było trudno. Wszystko, jak wymiótł, znikło z tego olbrzymiego obozu, który napoły poobalanemi namiotami z pozabijanemi końmi i wielbłądami, z mnóstwem najrozmaitszego łupu pozostał w naszych rękach. Zakazano było wprawdzie łupieży wszelkiej, ale kto po nocy mógł upilnować!

Muszę tu wspomnieć tylko o samych namiotach wezyrskich, które się królowi dostały, że to było jakby miasto wśród obozu, dla rozkosznego żywota zbudowane... z takiem bezpieczeństwem, jakby się tu wezyr niczego nie mógł obawiać.

Ogrody, fontanny, łaźnie, altany, kioski, ścieżki powyścielane suknem i namioty z najdroższych materyi złotem bramowane, wewnątrz niezmierna moc sprzętu najwytworniejszego, kufry, sepety, siodła, kobierce, szaty w ilości nie do wiary ogromnej. Nie chciało się prawie oczom wierzyć temu przepychowi, z jakim poganin szedł, pewien panowania, jakby je już posiadł.

Tymczasem jedna godzina wszystko w proch i ruinę obróciła!

Król mógł tegoż dnia jeszcze ujechać do miasta dla spoczynku, lecz nie chciał, i noc spędził na pobojowisku pod drzewem, a że jeść nie było co, a dzień cały gło-

dem marliśmy, wcale tego nie czując, Starenberg przysłał cokolwiek żywności.

Tu niżej dalej powiem, co się z nami działo, teraz zaś muszę opisać, jaki zwrot natychmiast prawie po otrzymanem zwycięstwie nastąpił, który już nazajutrz się czuć dawał.

Po pierwszym wybuchu radości tym, gdy królowi mało nóg nie całowali, okrzykując go, — ochłonąwszy powoli, i żołnierze i wodzowie spostrzegli, że znaczniejsza część sławy i korzyści z tej wiktoryi została im wydartą. Nad królem błyszczał wieniec zwycięstwa, w jego rękach była wielka chorągiew Mahometa, skarby wezyra, namioty jego, łup najznaczniejszy, słowem, oni wszyscy schodzili na posiłkujących, on na głównego wodza i zwycięzcę.

Stąd zaraz zazdrość, a nawet u tych, co najlepiej wiedzieli, co byli winni królowi, który osobą swą i rozumem wszystkiem kierował i prowadził. Więc i niechęć, więc stąd łacne potwarze.

Powtóre, główny łup, który sobie może znaczniejszym wyobrażano, niż był, — a był wistocie niemałym, opanowała nasza usarya dla króla i ten do niego należał niewątpliwie. Choć z niego później szczodrą dłonią król wszystkim wiele rozdawał, mówiono o skrzyniach złota, o klejnotach nieocenionych, które sobie przywłaszczył.

Król naprawdę sam, chociaż wiele dostał, ale ze wszystkimi dzielić się musiał, a wiele mu też z rąk wychwycono, tak, że nie było ciury, któryby się nie pożywił, i następnych dni żołnierze sprzedawali za bezcen najdroższe sprzęty i kosztowności.

Z tych, co przy królu byli, nikt z próżnemi rękami nie wyszedł.

Prawda, że w namiotach wszystkich było co brać i czem się dzielić, tyle tam nagromadziło się skarbów.

Łupieży też z krajów zwojowanych wiele się znalazło. Samych szabel, siodeł, rzędów, czubów w kamienie drogie przyozdobionych, po kilkadziesiąt królowi zostało, obdzieliwszy towarzyszów. O złotej monecie, której

było poddostatkiem, nie umiem rachunku zdać, bo tą Matczyński się zajmował.

Innym posiłkującym dostały się pośledniejsze części obozu, w którem było też co brać, ale daleko mniej, niż u wezyra. Stąd nieukontentowania wiele i na króla patrzano jako na przywłaszczyciela, oskarżając go o chciwość, a nas Polaków o łupiestwo, choć nie wzięliśmy, tylko to, cośmy krwią naszą zdobyli. I to była cała nasza mizerna zapłata za wszystkie poniesione ofiary, bo największą niewdzięcznością królowi i nam później odsłużono.

Przewidywał on to zawcześnie i ciągle w podróży aż do spotkania się z ks. Lotaryngskim powtarzał, że od cesarza nic oprócz niewdzięczności się nie spodziewa.

Cesarz tem zwycięztwem ocalony, sam bezczynny, musiał się czuć upokorzonym, a przez to stał się pyszniejszym jeszcze. Snać miał się za ono jakieś bożyszcze, którego wszyscy obronić i osłaniać byli obowiązani, a on im nie winien nic.

Na tym materacyku ubogim, pod drzewem przez noc spoczywając, król pewnie miał na myśli, co go nazajutrz w ocalonym Wiedniu czekało... i potem jeszcze...

Widziałem go uspokojonym, modlącym się, ale znużonym wielce, bo to był dzień dla niemłodego już a ociężałego duchem i ciałem ledwie do przetrwania.

Od rannej mszy o. Marka aż do szóstej wieczorem, duch nie spoczywał na chwilę — ważyło się kilkakroć zwycięstwo, szło koniecznie o rzucenie popłochu, o złamanie... Potem, gdy raz pierzchać poczęli, — zmiótł ich strach, tak, że śladu nie pozostało...

Chociaż król około namiotów wezyra straże postawić kazał, aby z nich nic nie rozrywano, nazajutrz i dni późniejszych się okazało, że mnóstwo najcenniejszych klejnotów pochwytały ciury i przepadło a zmarnowało się tej zdobyczy bardzo wiele.

Ale że prosty lud szacunku tych rzeczy nie znał, panowie nazajutrz i dni następnych kupowali za kilka talarów, co warte było tysiące dukatów.

Warto zapisania, że gdy Turcy już zwyciężonymi

się widzieli, wszystko, co mogli, niszczyli, aby się nie dostało w ręce zwycięzców. Kobiet nawet niewolnic, których uprowadzić nie mogli, pozabijanych leżało wiele.

Król bardzo żałował ściętego strusia i różnych zwierząt, które wezyr dla rozrywki miał przy sobie, — bo i te poginęły, lub odleciały.

Z łupów bogatych, chorągwi, namiotów Niemcom się nic nie dostało, bo wojsko ich nie zdobyło żadnej części obozu... Pan Bóg nam i królowi poszczęścił, lecz też nieprzyjaciół przymnożył.

Noc tę po bitwie jak król spędził — choć przy nim byłem razem z Matczyńskim i kilku innymi, nie wiem, alem głos jego coraz słyszał, czy przez sen, czy, że się przechadzał często... Miał pewnie o czem myśleć teraz, bo nieuniknione było spotkanie z cesarzem, a z tym, choć go król ocalił, przewidywać było można trudności ceremoniału, przyjęcia i kwasy.

Zaraz z wieczora zapowiedział pan sekretarzowi włoskiemu Talenti, iż będzie miał to szczęście i nazajutrz Ojcu świętemu powiezie złożyć u stóp jego wielką chorągiew Mahometa. Włoch mało nie oszalał z radości, boć to dla niego cześć wielka i wiekuista chluba.

Wszystko to tu smakować nie mogło — Sobieski Ojcu ś. oznajmywał o zwycięstwie, łup główny on składał, — Sobieski „króla chrześcijańskiego" (!), Francuza zawiadamiał o wiktoryi, — on tu stał na pierwszej linii, gdy cesarz, co się salwował ucieczką, bardzo mizernie wyglądał. Jakże tu było takiego salwatora kochać!

A i to wielka prawda, że dosyć jest komu dobrodziejstwo wyświadczyć, aby go sobie uczynić nieprzyjacielem... Takie są serca ludzkie...

Lecz rzućmy na to zasłonę.

Nazajutrz rano tchnąć nie było czasu, — a co za widok tego pobojowiska, ruin, trupów, opuszczonych namiotów... tego język ludzki nie wypowie.. Od rana listy i posłańców musiał król wyprawiać na wszystkie strony. Obiad miał dawać nam Starenberg w Wiedniu, gdzie tyl-

ko w kościele Te Deum odśpiewać się miało i dłużej nie gościć.

Ponieważ żadne jeszcze wrota nie były wolne dla wjazdu, musieliśmy wyłomem, uliczką ciasną przeniknąć do tego miasta — któreśmy ocalili. Lud byłby krzyczał i cisnął się do zbawcy swego, ale cesarscy pono zakazywali wszelkich tych oznak, zachowując je dla cesarza, więc tylko gdzieniegdzie się głosy wyrywały, jak kradzione.

Król naprzód do kościoła Augustyanów po drodze wstąpił i tak mu pilno było Bogu dziękować, że gdy duchowieństwo, nie mające rozkazów, nie kwapiło się do Te Deum, sam kląkłszy u wielkiego ołtarza, począł hymn Ambrozyański. Dopiero później uroczyściej powtórzono go u ś. Szczepana—gdzie król, krzyżem leżąc, słuchał.

Tu go ksiądz powitał owemi słowy, które się tak do niego dobrze zastosować dawały:

*Fuit homo missus a Deo — cui nomen erat Johannes.*

Niemcy extra chłodno swojego zbawcę przyjmowali, choć Starenberg sam się przyznawał, że dłużej pięciu dni nie byłby się mógł utrzymać, a myśmy widzieli, co się w mieście działo,—i jak mury od kul były pogruchotane, a lochy od min popsute.

Król JMość bardzo się tem cieszył, że chorągiew młodszego syna jego, Aleksandra, którego podówczas Minionkiem (Mignon) zwano, (nie miał nad lat osiem) wezyra złamała — o czem królowej doniósł — wiedząc, że Aleksandra nad inne dzieci przenosiła.

Co się jednak z tego narodzić miało, ani on, ani nikt nie przewidywał.

Na to trzeba było przewrotności i śmiałości królowej, aby skorzystać z wiadomości przeciwko Jakóbowi starszemu, a Aleksandrowi niezasłużoną sławę robić po świecie. Król sam życzył sobie, aby z listów, które do królowej pisał, gazetki układano, a te się po całej rozchodziły Europie. Otóż w tych, które z Krakowa do gazet holenderskich i francuskich wyprawiano, wszystko, co czynił książę Jakób, przypisywano Aleksandrowi, i on jeden obok ojca występował. Działo się to w ten sposób, że królowej JMości trudno było obwinić, ale sądzę,

że Pac to rozumiał, i tyle tylko, że swego Fanfanika wychwalał coraz więcej.

Skąd i dlaczego poczęła się królowej matki już naówczas niechęć przeciw najstarszemu synowi, nie sposób odkryć, ale ona potem rosła i wzmagała się, chociaż Fanfanik się akomodował, listy pisywał i niczem przeciw niej nie wykroczył.

Zaraz po owem kusem przyjęciu w Wiedniu przez Starenberga, chłód, jaki nam okazywano, wzmógł się,— ale też i inni książęta, którzy posiłki dostarczyli, odciągali zniechęceni. Jeden z pierwszych odszedł książę Saski—Lauenburgski; król, gdy go przyszedł żegnać, sowicie obdarzył, dając dwa konie w bardzo bogatych rzędach, dwie tureckie chorągwie, czterech więźniów, dwie śliczne misy farfurowe i bogatą zasłonę. Także ze zdobyczy jenerałowi Goltzowi szablę w złoto oprawną, oficerowi konia i t. p.

Król życzył sobie co najrychlej ciągnąć dalej za uchodzącym nieprzyjacielem, ale że oznajmiono o rychłem przybyciu cesarza, z którym się wypadało widzieć, musiał się nieco zatrzymać.

Nie było to bardzo przyjemnem, bo na pobojowisku trupa ludzkiego i koni a wielbłądów tyle leżało, iż nieznośny fetor tchnąć nie dawał. Nie sposób było wszystko to uprzątnąć i zasypać.

Czekaliśmy tedy, czekali na onego przyobiecanego nam cesarza, aż wreszcie król już i tak zniechęcony, bo nam najmniejszej rzeczy nie ułatwiono, a starano się dziwną okazywać niechęć, pozostawił podkanclerzego z jedną chorągwią dla cesarza, a sam odstąpił z pod murów i byliśmy ze dwie mile, gdy Gałecki o północy nas nagnał od grafa Szafgotscha, z naleganiem usilnem, aby król sam z cesarzem JMością rozmówić się raczył, a nie przez podkanclerzego i t. d.

Nadbiegł i sam Szafgotsch z tłumaczeniem, zakłopotany jakiś, nie wyrażając się jasno, o co chodziło — ale dając poznać z siebie, iż coś im dolegało z czem się nie umieli jasno wygadać.

Król nasz w całej tej imprezie okazał się tak wynio-

słym umysłem wyższy nad cesarskie sługi i ceremonii mistrzów, ba i nad samego Leopolda, że z dumą na niego spoglądaliśmy. Szatgotschowi wręcz rzekł:

— Mówicie jasno, o co wam tam chodzi, pewnie o jakąś ceremonię dworską — kędy i jak się spotykać mamy, stać i kłaniać.

Tedy graf przyznał się, iż cesarz boleje nad tem wielce, że królowi prawej ręki dać nie może, gdyż elektorowie Rzeszy i t. d.

Śmiał się pan nasz.

— Ani prawej ani lewej nie potrzebuję, — odparł chłodno. — Gdy się cesarz zbliży do wojsk moich, z któremi ja ciągnąć będę, wyjadę naprzeciw niego i pozdrowię go kilku słowy — na tem koniec będzie, bo mi pilno za nieprzyjacielem.

Patrzyliśmy na to spotkanie. Król ze świetnym pocztem, w gronie senatorów, z hetmanami, z całą pompą wystąpił. Cesarz ukazał się w towarzystwie elektora Bawarskiego — z orszakiem niezbyt licznym. Przed nim kilku szło trębaczów i lokajów, około niego ministrowie, kawalerowie dworscy, urzędnicy, dalej drabanci. Leopold ze smutną i pochmurną twarzą, prezentował się niemal jakby wzięty w niewolę, nie śmiejąc oczów podnieść. Koń pod nim piękny, gniady, hiszpański. On sam ubrany w suknię niemiecką, bogato szytą, kapelusz ze spinką i piórami białemi i ceglastemi.

Podjechał nasz pan, ręką tylko do kołpaka sięgnąwszy i wesoło pozdrowił cesarza krótkim komplementem łacińskim,—na co cicho i jąkając się, cesarz coś w tymże języku mu odpowiedział grzecznie.

Natychmiast potem na dany znak podstąpił królewicz Jakób, którego ojciec przedstawił cesarzowi, ale ten ani oczów nie podniósł, ani ręki do kapelusza nie ściągnął, a król, widziałem, jak z aprehensyi zbladł i już byłem pewny, że się to spotkanie w polu nie przeciągnie. Jakoż po przedstawieniu panów senatorów i hetmanów, na których cesarz ani spojrzał, — pan nasz, kilka słów głośno przemówiwszy, zlekka mu się skłonił z dumą i powagą wielką i jechał precz.

A że cesarz sobie wojsko nasze widzieć życzył, — okazanie go pozostawił wojewodzie ruskiemu.

Oburzenie za znalezienie się to cesarza w wojsku było ogromne i powszechne. Ze strony Niemców zaś, gdy zobaczyli, iż cesarz sobie z tych aliantów nic nie czynił, i tak się z nimi obchodził, jakby im nic winien nie był,— postępowanie się zmieniło zupełnie. Znać już nas nie chcieli.

Gdy potem z oburzeniem się wyrażał za tę niewdzięczność nawet wierny cesarski sługa, wojewoda bełzki (Wiśniowiecki), słyszałem, jak król się odezwał:

— Ale za cóż miał cesarz dziękować? Przecież on wiedzieć musi, że ja tu nie dla niego, ale dla krzyża Chrystusowego i zagrożonego chrześcijaństwa przybyłem—więc nie czuł się w obowiązku.

Nadludzkiej czasem trzeba było cierpliwości, aby znieść, co oni z nami czynili. W niczem najmniejszej pomocy ani prowiantów, ani pomieszczenia dla chorych, którzy na gnojach pod gołem niebiem, po ladajakichś szopach jęczeć musieli. Jednego mizernego statku nie mógł się król doprosić, aby tych biedaków za sobą do Presburga wodą przeprowadzić, bo tu ich na łasce Niemców nie było sposobu pozostawić. Dopraszano się dla kilku naszych paniąt znaczniejszych, poległych w bitwie, grobów w kościołach,—i tego odmówiono.

Co gorzej, dragony i lancknechty ich, gdziekolwiek naszych spotykali w małej liczbie, bili, kaleczyli i zdzierali, a skargi skutku nie odnosiły. Wszystko czynili, jakby się nas pozbyć chcieli teraz; król pomimo to ze zwycięstwa korzystać postanowił i z pola schodzić nie myślał, choć hetmanowie nasi radziby temu byli.

Ostygł też teraz i Lotaryngski, laurów postradawszy przez nas i obojętnie bardzo przyjmował nalegania króla, aby dla koni paszę obmyślił, bo z głodu wszystkie wyzdychać mogą.

Posłany od króla do Wiednia kapitan, tyle tylko, że się tam wymówek i przekąsek nasłuchał za wymagania nasze...

Król do najwyższego stopnia niewdzięcznością obu-

rzony, Panu Bogu to ofiarując, mitygować się musiał, i pisał tylko do królowej, aby o wszystkiem zawiadomiła nuncyusza. Słyszałem go utyskującego wielce na to, że sam został pozostawiony i narażony na zgubę, gdy z aliantów jedni natychmiast do domów powrócili zniechęceni, drudzy się wcale nie śpieszyli.

Nie było co stać dłużej pod Wiedniem, gdzie się już odgrażano, że do nas strzelać będą, aby odegnać Lotaryngski na nic radzić, w niczem pomocą być nie chciał. W nas krew kipiała... — a król powtarzał tylko:

— Jam to wszystko przewidywał i gdyby nie Ojciec św. i nie naleganie jego, nigdybym się nie naraził na to.

Tu też jedni duchowni, ojciec Marek pobożny i kilku księży, usiłowali coś pomódz i za nami przemówić, ale to spełzło na małem lub niczem.

Król do gazet nawet swego żalu słusznego w tej mierze, jak czuł, nie kazał posyłać — dyktował tylko, „że komisarze cesarscy bardzo wojska zawiedli w prowiantach, na które Ojciec św. tak wielkie sumy ordynował, że mostu dotąd nie masz, że wojsko cierpi srodze, że cesarscy stoją jeszcze pod Wiedniem, Sasi poszli do domów, a król w pochodzie za nieprzyjacielem, kawaleryą go swoją ścigając i — gdyby nie wielkie spustoszenie kraju, które pośpieszyć nie dozwala, noga-by jego nie uszła."

Z wojska też naszego siła się zaczęła napierać do domów, a żołnierza prostego i bez abszytu odchodzić. Ci, co się pod Wiedniem pochwyconemi zdobyczami obłowili, umykali z niemi w obawie, aby im jej nie odebrano.

Zaraz mało co od Wiednia odszedłszy, mieliśmy tego dowód, co u Turków imię króla naszego znaczyło... Natrafiliśmy bowiem na zameczek, w którym przedtem trzymano lwy, ale z niego strzelanie się słyszeć dawało. Posłał król się dowiadywać, coby to znaczyło i okazało się, że tam kilkudziesięciu janczarów się zamknęło, broniąc się wściekle, a nie chcąc się poddawać. Posłał zaraz król, dając im znać o sobie i na jego imię niezwłocznie się poddali.

Ciągnęliśmy dalej tak ku Presburgowi sami i choć po zwycięstwie wielkiem, które nas sławą okryło, ale z jakim humorem i zgryzotą w sercu, trudno wysłowić! Nie każdy tę niewdzięczność mógł tak znieść po chrześcijańsku, z pogodą i rezygnacją, jako król nasz, prawy rycerz Chrystusowy. Było się czem pocieszać, ale było czem i trapić. Szczęściem, gdy już o konie strach był największy, cokolwiek paszy dla nich na Dunaju się znalazło. W samą tedy porę z Wiednia ktoś przybieżał od koniuszego cesarskiego, przymawiając się, aby ze zdobytych koni król parę cesarzowi ofiarował, za co on też się chce odwdzięczyć. Na co ramionami ruszył pan i rzekł, co słyszałem.

— Na to zeszło, że to, cośmy tu obdarzeni być mieli za nasze trudy, od nas się darów domagają, — ale tak lepiej.

Z naszych panów w Wiedniu się nieco pozostało, z czego król nie był bardzo rad. Wojewoda wołyński dla niedomagania, podstoli koronny grodzieński, chorąży koronny lotaryński i pomniejszych wielu, ale ci za nami nadążyć mieli.

W ciągu tych wszystkich dni i przez miłość dla pana i przez ludzką ciekawość miałem w niego wlepione oczy, chcąc myśli odgadnąć. Sądzę też, iż nieraz mi się to udawało, bom nawykł dłuższym przy nim pobytem wyraz oblicza — ze stanem duszy porównywać.

Po zwycięstwie stał się, mogę powiedzieć, pobożniejszym jeszcze i z tego, co mówił, znać było, iż wierzył w swe posłanie na pogrom nieprzyjaciela krzyża świętego. Wszystko do Boga odnosił, ale przeto się wcale nie zaniedbywał, aby po ludzku przewidzieć potrzeby wojsk i zaspokoić je. Na Opatrzność się zbytnio nie spuszczał.

Po wyjściu z Wiednia nieprzyjaciela ani znaku już, ani innego śladu oprócz trupa i padliny na drogach, a zniszczenia i ruiny okrutnej. Ci Niemcy, którzy nam przybywającym na sukurs z takiemi komplementami zabiegali drogę, uniżali się, salwatorami czcili — teraz się stali nieprzyjaciółmi. W znacznej części do tego

się przyczyniała nędzna owa chciwość ludzka, bo wiadomem było, że myśmy co najprzedniejsze namioty i skarby owe wezyrskie opanowali, a choć król z nich szczodrą ręką obdarzał wszystkich, domyślano się olbrzymich łupów, mówiono o korcami mierzonych perłach i klejnotach i t. p. Pierwsze też europejskie gazety, jakie się zjawiły, króla polskiego stawiły na czele, jemu wszystko niemal przyznawały, co i Lotaryngskiego i innych srodze bolało. O cesarzu niema co i mówić, bo temu łaskę czyniono, milcząc o nim...

Pochód nasz dalszy ku Dunajowi i mostom, któreśmy sobie budować musieli, osobliwy był. Znaleźliśmy się sami, bez wieści o innych sprzymierzonych, pozostawieni własnemu przemysłowi, nie wiedząc nawet, co Niemcy zamyślali czynić dalej i jak z wiktoryi korzystać. Posyłał król kilkakroć, ale znajdował taką niechęć, chłód i widoczną ochotę pozbycia się, że wkońcu niemal sam tylko na siebie rachować już musiał.

Myślą króla było, dwie lub trzy twierdze jeszcze zdobywszy, zawrócić do domu. Łupów w nich, krom prochów i kul, spodziewać się nie mogliśmy, ale król mówił o tem, iżby kilka zbezczeszczonych kościołów, obróconych na meczety, chciał przywrócić służbie Bożej— i niemal dlatego jedynie szedł dalej. To wiadomem było powszechnie, iż na wieży św. Szczepana w Wiedniu, z pierwszego oblężenia jego, był z tureckiego przymusu zatknięty księżyc, na którym chociaż krzyż postawiono, pozostał pamiątką upokorzenia.

Król się teraz domagał, aby zaraz księżyc zdjęto, bo już dawne traktaty nie obowiązywały. Chciał to mieć na pociechę swą, iż oczyścił dom Boży od pamiątki sromotnej. Przyrzekł zaraz Starenberg na wieżę posłać i księżyc zrzucić, ale potem pono umyślnie wlókł, aby się to po woli króla ploskiego nie stało, — tak też wszędzie pierwszą myślą było jego księżyce rugować, a na ich miejsce krzyże wznosić, — jako się niżej powie.

Dosyć późno już w pochodzie ku Dunajowi, gdy król na nich się nie oglądał tak bardzo, pomiarkowali się Niemcy przecież i dali o sobie znać. Cesarzowi posłał

król na żądanie parę pięknych koni, które sam wybierał, ale nie gołych, lecz z siedzeniami bardzo bogatemi, lub rubinami i szmaragdami wysadzonemi. Na jednym z nich rzędzik dyamentowy.

Cesarz też, pomiarkowawszy się, albo i zasłyszawszy, że się na despekt uczyniony królewiczowi Jakóbowi skarżono, — przysłał mu przez dworzanina swego szpadę dyamentami sadzoną, dosyć piękną.

Po posłańcach, którzy od księcia Lotaryngskiego, od cesarza i od innych książąt przecież zaczęli przybywać, jakby sobie dopiero o nas przypominali teraz — sam generalissimus się obiecywał wkrótce. W tych dniach tak znowu nas posłami i gońcami, przez których odpisywać było potrzeba, trapiono, iż król nawet książki w rękę wziąć nie miał czasu, co jego najmilszą było rozrywką. Mieliśmy ich poddostatkiem i ja też pamiętałem o tem, aby zawsze przy łóżku miał tę, którą rozpoczął, ale tknąć jej nie było czasu nigdy... Obcy i swoi pokoju nie dawali, bo po zabitych okazały się wakanse i o te zaraz nacisk był utrapiony.

Już nad Dunajem król otrzymał z Krakowa listy, które go wielce uradowały. Z nich dowiedzieliśmy się, iż pierwszą wiadomość o walnem zwycięstwie królowa odebrała w kościele na modlitwie i o mało nie omdlała z początku z trwogi, co jej przyniesiono, potem z radości wielkiej. I strzemię też owo wezyrskie, które jej na znak przyniesiono, natychmiast u krzyża, przed którym klęczała, zawiesić kazała.

Z Wiednia przez duchownych miał król wiadomość, iż świątobliwy o. Marek d'Avinno pojechał z Wiednia do Lincu, a stamtąd zaraz miał do Włoch powracać i że głośno a srodze bolał nad grzechami tej stolicy wiedeńskiej i cesarskiego dworu, na pychę, niesprawiedliwość i rozpustę, której cesarz hamować nie chciał, czy nie umiał...

Naszych biedaków chorych przecież na wyproszonych i zapłaconych szkutach Dunajem tu za nami przywieziono, około których ks. Hacki, Peccorini i co było doktorów i felczerów, pilno chodzili. Chorych w obozie

nie zliczyć było, mało kto dla złej wody i strawy nie lepszej wolny był od biegunki. Z rannych dużo umierało codzień. Teraz dopiero straty nasze bardzo znaczne i z kwiatu rycerstwa obliczać poczęliśmy. Nie było chorągwi, pod którąby nie brakło kilku, albo i kilkunastu.

Tu dopiero, gdy niemieccy książęta przybywać zaczęli, okazało się, że nie jeden król nasz srogą niewdzięcznością się czuł pokrzywdzonym, lekko to znosząc, bo powtarzał ciągle, iż czynił dla krzyża Chrystusowego i wiary nie dla cesarza tę wyprawę...

Najwięcej bolał książę Saski, który z posiłkami precz szedł, czując, że mu się niesprawiedliwość działa wielka, gdy go ukłonem zbyto, Starenbergowi zaś feldmarszałkostwo, Złote Runo, sto tysięcy talarów dano...

Oprócz Saskiego, oburzonego wielce i niemogącego się ukoić, Caprara i Lesle, którzy najczynniejsi byli, narzekali i odzywali się nawet tak butnie, że sam słyszałem mówiących:

— Pocoście go przyszli ratować, niechby był przepadł — i ta jego pycha z korzeniem wyginęła.

Niektórzy jednak wlekli się za nami, i znowu pod rozkazy króla się zaciągali, jak książę Bawarski.

Lotaryngski, gdy nadążył za nami, znowu u nas był gościem codziennym, ale na nim wcale też nie znać było żadnej łaski cesarskiej, ani wielkiego ukontentowania. Człowiek też skromny i cichy się wydawał.

Z tych dni pochodu naszego, ile pamięcią zasięgnąć mogę, jeszcze to zapisuję, iż król się ze znużenia czuł niedyspozyt i życzył sobie, gdzieś do miasta zajechawszy, lekarstwa zażyć z rady Peccoriniego, ale i na to czasu nie było. Lekarstw zaś nie zabrakłoby, bo między innym łupem dostała się królowi wezyrska apteka osobliwa, z balsamami i ingredyencyami najrzadszemi i najkosztowniejszemi.

Co dalej ku Preszburgowi, tyleśmy mieli pociechy, że dla koni pasza była lepsza i dostatniejsza, tak, że wychudłe szkapy cokolwiek do siebie przychodzić zaczęły, gdyśmy już trwożyli się, że nam bodaj pieszo powracać przyjdzie. Za to między chorymi na tę biegunkę okrutna

śmiertelność panowała sroga. Chorych pomiędzy starszyzną nie zliczyć było, wojewodowie krakowski, lubelski, kasztelan sandomierski obłożnie, wołyński też bez nadziei prawie. Podczaszy lubelski Gałęzowski zmarł, Kizynk z rany tu skończył życie. Trafiało się tak, że nie było komu dowództwa zdać i porządku utrzymać.

Król dzięki Bogu, choć innego owocu nie mając, dereń dojrzały i berberys przegryzał, trzymał się zdrów dosyć i jeździł Jaworyn twierdzę oglądać. Lekarstwo jednak z rady doktora zażył. Mnie do pana wojewody Kochowskiego do Preszburga posyłał, skąd wróciłem przerażony, bo jednym szpitalem zdało mi się miasto, tylu tam naszych leżało i codzień zmierało.

Skarżył się pan wojewoda, iż z tego aprehensyę miał wielką, patrząc, jak dokoła nieustannie ludzie marli. Płaciliśmy za dany cesarzowi sukurs drogo bardzo, bo nam młodzieży najznaczniejszej siła się nie doliczyć potem przyszło.

O Turkach tyleśmy wiadomości mieli, iż wezyr na paszów swych niepowodzenie składając, kilku ich udusić kazał.

Z książąt niemieckich, o ilem mógł zauważyć, Bawarski z nami w najlepszej komitywie był, dla króla z należytą rewerencyą, z królewiczem serdecznie. Chwalono go też z siły i zręczności we wszelkich ćwiczeniach, na koniach oklep jeździł, pływał jak ryba, dziarski i wesół... Królewicz i król obdarzyli go szczodrze z łupów.

Zapisać też to należy, iż król nad Tekelim i Węgrami okazywał miłosierdzie wielkie i chciał ich ratować o tyle, o ile się to z interesem wiary świętej i chrześcijaństwa dało pogodzić. Zapowiedziane były posły do króla od Tekelego, który, jak przyrzekł, tak wszelkiej zaczepki względem nas i na szkodę Rzeczypospolitej dotąd unikał.

Wojska nasze jak wyszły z pod Wiednia pierwsze, choć je choroba dziesiątkowała, tak i teraz przodem stały przed wszystkiemi, Lotaryngski za nami dopiero. Niemcy, z którymi się wciąż stykaliśmy, najbardziej pono boleli nie nad tem, żeśmy im laury z przed nosa wzięli, ale że królowi się dostały w spadku po wezyrze jakieś bajeczne

miliony. Słyszałem sam, gdy król któremuś z nich się spowiadał otwarcie z tego, co dostał, nie licząc, iż rozdał zaraz część znaczną, a ja też poświadczyć mogę najlepiej, bo kosztowności te były pod dozorem moim. Na regestrze u mnie pięć naszyjników, pas dyamentowy, dwa zegarki dyamentami sadzone, pięć nożów bogato oprawnych i kamieniami przyozdobionych, pięć sahajdaków ekstra kosztownych, bo lśniących od rubinów, szmaragdów i pereł, sobolów i futer soroków kilkadziesiąt, najpiękniejszych w świecie. Do tego doliczywszy siodła i rzędy, szkatułki złote, bagatelek różnych pięknej roboty dosyć — będzie po wszystkiem — koni nie wiem wiele, ale z tych się już rozeszło na podarki bodaj połowa.

Chodziła po obozie pogłoska, że Miączyński w pierwszych dniach po ciurach i czeladzi nabywając, czy też namiot taki szczęśliwy natrafiwszy, bardzo się zapomógł w kosztowności wielkiej ceny. Wiem, że go król o to pytał przez ciekawość, chcąc oglądać, lecz nie czekając już wszystko było przy dozorze pewnych ludzi na Wołyń wyprawione. Miączyński zaś tylko do jednego pasa dyamentowego się przyznawał, który u chłopaka miał kupić za parę talarów.

Pieniędzy gotowych, owego skarbu, o którym wiele prawiono, nikt na oczy nie widział. Ten albo w pierwszej chwili rozerwali ci, co do niego dopadli, albo wszyscy ludzie zabrali, ale myśmy go nie dostali, ani nawet ów *locus ubi Troja fuit* oglądać się nam dał...

Twierdze, przez Turków dotąd trzymane, królowi animuszu wielkiego dodały, tak, że i niewdzięczności i zawodów doznanych zapomniał, cały gorączką tą przejęty, jakby je najrychlej szedł zdobywać. Siedem mil stąd do Jaworzyna pojechał go oglądać, zawczasu nie lutując fatygi, taki w niego młody duch znowu wstąpił. Niezrużony, niezmordowany, nieustannie czynny, że człowiek, patrząc na niego, wistocie sobie przypomina, co słyszał o tych specyalnych *gratiae status*, które Bóg ludziom powołanym zsyła. Wierzę w to, iż mu łaskę swą szczególną zlał na tę wyprawę, bo pospolitą ludzką siłą, w jego wieku na to starczyć—niemożliwą było rzeczą.

Król stąd do Krakowa niektóre zdobyte osobliwości przez niejakiego Zdżańskiego wyprawił, przyczemi więźniów tureckich kilku, którzy potem handlem się zabawiali. Dla królowej, dla księżnej siostry, ojca Markiza i córeczki Teresy (Pupusieńki) rozmaitych szkatułeczek, kobierców, zasłonek, materyi poszło dosyć, co lepszych, przytem namioty bardzo piękne, chociaż cokolwiek podczosowane... które w Żółkwi złożone zostały.

Nie wiem, czy królowa to dobrze przyjęła, iż o Minionku jej ulubionym wcale zapomniał, lecz gdym się ośmielił mu go przypominać, nic mi nie odpowiedział.

Choroby ciągle nie ustawały, ale też i leki się do śmiertelności przyczyniały, bo gdzie się Peccoriniego i naszych felczerów doczekać nie mogli, lada Żydów wzywali na radę, a ci, jako ks. Przeborowskiemu opium i inne venena zadawali, tak że od nich pomarli.

Co do dalszego pochodu, spór był z Niemcami, bo ci chcieli iść wprost na Budę—i żałowali, że króla posłuchali, król zaś także w tę stronę dążył, ale po tej stronie Dunaju i rad był po drodze zamki zdobywać, co uważał za rzecz łatwą. My tylko jedni z Tekelim i ks. Siedmiogrodzkim mieliśmy porozumienie. Ostatni po niewoli szedł z Turkami, bo go wezyr puścić od siebie nie chciał.

To też konotować się godzi, iż w listach królowa okazywała zbytnią troskliwość o łupy i mężowi o nie pokoju nie dawała, że mu je prawie z rąk wyrwano, tak, że się tłumaczyć i uniewinniać musiał. Mało jej było odniesionego zwycięstwa i tych kosztowności, których się nam przecież dostało dosyć. Nie było sposobu po opanowaniu namiotów jak te obstawić wartą, ażeby się tam czeladź i ciury nie wdarli, a nawet gdzie straże stały, namioty z tyłu rzezano i wyciągano z nich co lepszego.

Inni nasi mądrale, jak Gałecki, co się do klejnotów nie dobrali, jak ów kozaczek, kuchcik chorążego, woły skupując, porzuconą miedź zbierając, a potem spieniężywszy, do znacznego przyszli zarobku.

Ja się niczem pochwalić nie mogłem, krom drobiazgów, które od żołnierzy kupowałem, bo mi się nie zdało za

łupem uganiać, król sam też cokolwiek podarował, widząc, że nie mam ani czasu, ni ochoty do łupieży.

Ci, którzy do łatwego zarobku mieli zdolność a nie zapominali korzystać z okoliczności,—przysporzyli sobie mienia, choć wielu je potem po drodze potraciło.

Niech Bóg strzeże, abym nawet nieprzyjaciela miał lekko posądzać i obwiniać—ani z siebie to biorę, co muszę zapisać z powodu dalszego pochodu naszego, gdzie jedna łaska Boża nas uratowała, a król istnym cudem śmierci uszedł, jako zaraz powiem.

To rzecz pewna, że Niemcy się ociągali, o kilka mil za nami pozostając w tyle, chociaż książę Lotaryngski wiedział dobrze, iż mamy przed sobą Turków siłę przemagającą.

Gdyśmy z obozowiska nad Dunajem w pobliżu Ostrzygonia czyli Granu, ruszać mieli w pochód, król, przewidując starcie z Turkami, posłał księdza Zebrzydowskiego do Lotaryngu, aby z jazdą za nim pośpieszał. Straży zaś przykazał, aby przodem idąc, czółna na Dunaju dla Kozaków zabierała i żeby na niego o milę od mostu czekała a miała się na baczności. Postanowiono było, jeżeliby z miasteczka około mostu, Parkanami zwanego, mieli na drugą stronę do Ostrzygonia uciekać i most za sobą zabierać, ażeby i Parkany zająć zaraz, jeżeliby zaś tu wojsko się jakie ukazało i bronić chciało—stanąć od niego w mili i czekać na cesarską piechotę i na działa, które za nami dobrze jeszcze pozostały.

Tymczasem straż, nie pytając i nie dawszy królowi znać, dotarła aż do mostu, gdzie zastała wojsko tureckie, które właśnie w nocy przeszło przez Dunaj. Zwycięstwem uzuchwaleni nasi, nie czekając i nie oglądając się na nic, poczęli się z niemi ucierać.

Nadjechał na to wojewoda ruski, który w niedostatku piechoty dragonom kazał zsiąść z koni, nie prezumując, z jaką siłą mieć będzie do czynienia, gdy z zarośli i chróstów coraz większe kupy Turków wysuwać się poczęły. Cofać się było za późno, bo byi dragoni i reszta na zgubę pewną wystawioną została.

Widząc się w bardzo niebezpiecznem położeniu, woje-

woda począł wyprawiać posłańca za posłańcem do króla, prosząc o posiłki i ratunek.

Ale nie powiedziano wcale, że wojsko tureckie było bardzo znaczne,—więc my z królem bez piechoty, bez dział, można po viedzieć, z gołemi rękami szliśmy dragonom w pomoc, którzy już odcięci byli i odbieżano ich...

Król nie miał jeszcze najmniejszego przeczucia przewagi nieprzyjaciela, uszykowano pułki, aż tu, nie dalej nad sto kroków przed nami wystąpili Turcy, zastęp srogi.

W pułkach naszych więcej pięciu tysięcy ludzi nie było, gdyż straty wielkie ponieśliśmy przez choroby, a wielu się z tyłu pozostało przy zdobyczach, stadach bydła, wozach i t. p.

Król wprawdzie się zasępił, okiem rzuciwszy przed się, ale nie stracił ducha i tyle tylko, że nas jednego po drugim wczwał wyprawiał po Lotaryngskiego i piechoty, a swoim kazał stać, nie ruszając się.

Sam osobiście mało kogo przy sobie mając, objeżdżał szeregi i rozporządzał je, starając się miejsca zająć dosyć, aby siła się wydawała większa—ale wojsko było pomieszane i ludzi mało. Na prawem skrzydle postawił król wojewodę ruskiego, krakowskiego na lewem, w pośrodku p. Marcina Zamoyskiego, lubelskiego.

Mnie już wówczas przy królu nie było, bom z rozkazu jego biegł po piechotę na złamanie karku, gdyż mi sam powiedział: konia nie żałuj,—ale mi naoczny świadek j. m. pan Czerkas później to opowiadał.

Jeszcze do bitwy nie przyszło, gdy nadbiegł zafrasowany okrutnie wojewoda ruski do króla, zaklinając go, aby zawczasu uchodził, gdyż w wojsku zauważył konfuzyę wielką i opór przeciwko rozkazom. Dragonia z koni zsiadać nie chciała, kilka chorągwi dysponowanych, aby szły stanowiska wyznaczone zająć, nie ruszały się z miejsca, wołając, że je na rzeź dawano.

Królowi jednak, raz tu przyszedłszy, nie zdało się cofać i okazywać obawę, któraby wojsku resztę odwagi

odjęła. Pozostał więc w miejscu, mając przy sobie generała Dynewalda, przybyłego od cesarskich wojsk dla obserwacyi nieprzyjaciela.

Dynewald też zmiarkował ogromną przewagę Turków i od siebie ludzi do Lotaryngskiego posyłał, dopraszając się posiłku jazdy niezwłocznie.

Niechże Bóg sądzi, czy Lotaryngski mógł a nie chciał pośpieszyć, albo li też nagłości się nie domyślał. Słyszałem potem dowodzących, iż posiłek spóźniono w tej nadziei, aby nas, zostawionych samym sobie z tą garścią, konfuzya spotkała...

Turcy zaś, nie czekając, gdy nas obliczyli, rzucili się na prawe skrzydło wojewody ruskiego i odparli je.

Powtórnie potem nacisnęli je—nie mogło się utrzymać. Za trzecim razem, gdy śmielsi coraz Turcy przyskoczyli, okrążyli prawe skrzydło, tył mu zabrali, objęli i zmieszali tak, że uchodzić zaczął, kto mógł i popłoch się wszczął wielki. Król w tej chwili bezpieczniejszym się sądząc wśród usaryi, a uchodzić nie myśląc, ruszył z nimi przeciwko tym Turkom, którzy tył wojewodzie ruskiemu zajęli i byłby go skutecznie poparł, ale w tejże chwili za przykładem prawego skrzydła, środek, a wkońcu i lewe skrzydło zmieszane z pola uchodzić zaczęło. Turcy wsiedli zaraz na nich ze wściekłością straszną, goniąc ogromnemi masami, więcej, niż pół mili uciekających, aż prawie ku piechocie naszej i ku wojsku cesarskiemu, które spokojnie sobie stało...

Królowi też nie pozostało nic, tylko na konia zdać życie swe i uchodzić z innymi,—ale naprzód jeszcze królewicza Jakóba wyprawił, przykazując co najrychlej biedz i unosić życie. O siebie się nie troszczył, ale o syna mdlał niemal z niepokoju wielkiego.

Przy królu naówczas byli koniuszy koronny, starosta łucki, Piekarski, Ustrzycki i Litwin Czerkas, rajtar jakiś z chorągwi usarskiej króla, wszystkiego ośmiu z nim...

Co się wówczas dziać poczęło — tego ci, co byli przy królu, opisać nie zdołali, bo ścisnąwszy się około pana tak, że mu zbrojami boki obijali, spychając jedni drugich, padając, odcinając, gonili na oślep przed się, już śmierć widząc przed sobą.

Wojewoda pomorski, który cokolwiek w tyle pozostał, już osaczony przez Turków zginął, a najdzielniejszego rycerstwa bardzo wielu. A że król potrafił się salwować, można to było za pewny cud łaski Bożej uważać, bo ci, co przy nim byli, już się za zgubionych mieli. W szalonej tej jeździe co chwila rowy przeskakiwać, trupy, bębny, zbroje na pobojowisku porozrzucane omijać, lub gnieść, od czego się konie płoszyły... Pod starostą sandomierskim, który za królem pędził, osobno dwa razy koń padł, ale go uratowano, tylko sekretarza Włocha, którzy przy nim był, utracił. Marszałek nadworny był naówczas przy wojsku cesarskiem i uszedł wcale nawet widowiska tego. Tymczasem Lotaryngski, niemal go przed oczyma mając, nie ruszał się pod pozorem, iż drugie jego skrzydło nie nadciągnęło, lubo miał czasu i miejsca dość, aby królowi towarzyszyć.

W pierwszym momencie, gdym nazad powrócił, a w obozie zastał popłochnieopisany, o małom nie padł trupem, gdyż głoszono, że król zabit, że królewicza wzięto, a nasi wodzowie polegli wszyscy. Wojewoda ruski, wojewoda lubelski już na pobojowisku trupa szukali... gdyż król, dzięki tej garści, co go między siebie wzięła, — uszedł cało... ale ręce i boki karwaszami i blachami miał tak poobijane, że je natychmiast opatrywać i okładać musieliśmy.

Do tego jeszcze niepewność o syna, o którym nie zaraz miał wiadomość, iż mu się nic nie stało, omało go nie ubiła...

A co się w jego sercu dziać musiało, gdy widział, że go na sztych umyślnie prawie dano!!

Gdym przybył potem, gdzie król spoczywał na materacu, dysząc okrutnie, słyszałem narzekającego, ale nie na własną dolę, tylko że przez to nieprzyjacielowi zuchwalstwa przybyć musiało, że teraz i wezyra się spodziewać było można.

Napróżno go wojewoda ruski z innymi mitygować chcieli, aby dalej nie ciągnąć, nie narażając się, wojsko schorzałe mając, dość uczyniwszy już, zawrócił do domu. O tem on ani chciał słyszeć bez odwetu—ani sobie dał mó-

wić, zaraz nazajutrz się wybierając, byle piechoty i działa nadeszły,—szturmować Parkany i most.

— To, co nas spotkało—mówił,—przyjmijmy za sprawiedliwą karę Bożą, za rabunki kościołów, zdzierstwa, wszeteczeństwa, jakie wojsko popełniało. Widziałem ja, co się działo, bolałem i groziłem, że precz odjadę, przy takiem wojsku, nad którem wisi kara Boża, trwać nie mogąc.

Później też król dowódcom wyrzucał, że wojsko się rozleżało, ćwiczeń zapomniało, oficerowie niedbali byli i niepilni, żołnierz rozpuszczony. W dragonii, jak się okazało, wielu lontów zapalonych brakło—i marnie przepadli.

Lecz wszystko to po niewczasie przychodziło. Niemcy, choć się może w duchu cieszyli, że my też za nasze zuchwalstwo ukarani zostaliśmy, wielką niby komizeracyę okazywali,—a zdumieli się mocno, gdy król oświadczył, że nie wziąwszy odwetu,—spokoju mieć nie będzie.

Po tym pogromie i stratach wszyscy prawie otaczający go przeciwili się nowej imprezie, prosili, po nogach go niemal całowali, ukazując, że zdrajcom Niemcom służyć dalej krwią naszą nie godziło się. Na co on ciągle odpowiadał jedno.

— Czci mojej i wojska naszego wetować muszę. Odstąpimy ich,—ale wczorajsze nieszczęście, Bóg da, zwycięstwem sobie wynagrodzić musimy.

Tem męstwem król drugich też powoli natchnął, bo widząc go tak uporczywie stojącym przy tem, ducha też nabrali.

Działo się to dnia ósmego Octobris, a przy pomocy Bożej, trzeciego dnia potem król mógł zawołać:

— Po wczorajszem zwycięstwie jakby mi lat dwadzieścia nazad wróciło!

Zwycięstwo zaś to nikomu innemu nie należało, tylko naszemu panu, bo po owej nieszczęśliwej porażce pod Parkanami jednym głosem wołali wszyscy:

— Wracajmy! dosyć już nas dla nich naginęło!

Król dla samej czci rycerstwa polskiego na powrót zgodzić się nie mógł i z szybkością nadzwyczajną zaraz się do walki nowej sposobił, wydając tejże nocy rozkazy, chociaż tak był potłuczony, że ciało miał jak najczarniej-

sze sukno od sińców, na co wcale nie zważał, ani się zdawał czuć. Na radzie wojennej, gdy wszyscy głosowali, aby do domu odciągnąć, słyszałem go, gdy leżący wołał:

— Wojsko wczoraj pokpiło, ale się jutro poprawi, to nie nowina, Niemcy wcale nie są strwożeni, a mybyśmy mieli ducha stracić? Co o fortunie mówicie, zdepczę ją, jako małpę, a Boga przebłagawszy, zobaczycie jutro odmianę.

Przyznać trzeba, że i wymowne kazanie ks. Skopowskiego przyczyniło się do odżywienia wojska i dodania mu ufności w Bogu.

Nie było też sposobu uniknąć bitwy, bo Turcy znowu uzuchwaleni nadciągali, wyzywając. Kara-Mustafa, starając się skorzystać z małego zwycięstwa, natychmiast całą siłą, obu brzegami Dunaju ruszył sam i Węgrom z Tekelim iść kazał, o Tatarach nie zapominając.

W dolinie pod Parkanami roiło się od Turków, którzy z gór od Budy i przez most pod Ostrzygonią napływali z pośpiechem. Przez całą noc słychać ich było, a że w wojsku tureckiem wieść chodziła, że król polski padł zabity, wielce ich to animowało. Innych wodzów mało co sobie ważyli!

Jak się później okazało, ustawili się poganie, pewni prawie zwycięstwa, opierając prawem skrzydłem o wąwozy, z których lada godzina Węgrów się w pomoc spodziewali. Z tej strony dowodził nowy pasza Budy, na miejsce Ibrahima mianowany, Czarny Mahomet, sylistryjski stał w pośrodku, w lewo pasza Karamunii Ali.

Z naszej strony razem pono liczono do czterdziestu tysięcy żołnierza dobrego, ale już wielce znużonego.

Przededniem na godzinę, mimo sińców, które winem z rozmarynem pookładano, już pan nasz na koniu był i wojsko w trzy rzędy ustawiał, mieszając pułki niemieckie z naszemi. Dopiero o dziewiątej, gdy już dzień był wielki, ruszyło się już wszystko wolnym krokiem przeciwko Turkom. Król stanął u prawego skrzydła, które miał rzucić na Parkany. Lotaryngski był w pośrodku z Badeńskim i innymi; lewem skrzydłem dowodził hetman Jabłonowski.

Z tej strony naprzód naskoczyli Turcy, chcąc hetmana opasać i odciąć. Impet był straszny, — ale nasze linie wytrzymały, nie dając się złamać.

Za powtórnym napadem Lotaryngski ruszył się z piechotą i złamał ich linię bardzo szczęśliwie. Zaczęło się szczęście ku nam przechylać. Kara-Mahomet raniony był a Karamanski ranny padł w ręce usaryi naszej. Sylistryjski, zapędziwszy się w czterdzieści koni, znalazł się otoczony jazdą niemiecką. Bronili się wściekle i nie poddali aż Jabłonowskiemu.

Król tymczasem, choć z Ostrzygonia strzelano nań, szedł na Parkany, osłoniony wzgórkami tak, że bezpiecznie przyszedł pod same mury.

Turcy, postrzegłszy go tu, spłoszyli się niezmiernie i rzucili, uchodząc na most do twierdzy prowadzący. Wojska nasze wielkiem kołem objąwszy ich, ku Dunajowi przyparło i już zwycięstwo było pewne, a król twierdzę zdobył łatwo.

Znowu tedy Polacy w łaskach, a nasz pan bohaterem!

Tekelego, jak król przewidywał zawczasu, nie było w bitwie, tylko pono dwu od niego posłańców, którzy na pogrom patrzyli, Tatarów też na lekarstwo chyba, kilkuset, do których król miał posłać więźnia z komplementem, dziękując chanowi, iż na przymierze z nami pamięta.

I to wzmiankować muszę, iż jak pod Wiedniem o. Marek widział nad królem unoszącą się białą gołębicę, tak przed tą klęską czwartkową pies nam czarny ustawicznie zachodził drogę, orzeł czarny spuszczał nad nami, a teraz gołębia sam król widział przed sobą.

Królewicz Jakób, który się szczęśliwie z pogromu wydobył bez żadnego szwanku i tu, choć do niego strzelano okrutnie z Ostrzygonia—wyszedł cało.

Już tedy po odwrocie tak szczęśliwym, iż król sobie to zwycięstwo wyżej cenił, niż odniesione pod Wiedniem, po tylu stratach, po tak srogiem wojska zdziesiątkowaniu —śmiało mogliśmy Niemców porzucić.

Ale—jak to zaraz przepowiedział hetman Jabłonowski, który naturę królewską znał dobrze,—zachciało mu

się Ostrzygonia dobywać, choć wezyr z Budy kilku tysiącami załogę jego wzmocnił. Nie zrażało to, że coraz ostrzejsza pora, wielkie znużenie i jadło niezdrowe chorób przymnażały. U nas nawet kilku z czeladzi nie wytrzymało, Kałmuczek i Dąbrowski, paź króla, którego on lubił,—na wozach poumierali. Chorych było bez liku, pogrzeby codzień towarzyszów, pachołków, czeladzi padała liczba u nas daleko większa, niż u Niemców, którzy na pozór wątlejsi byli.

Po zwycięstwie szemrać poczęto, a nieszczęśliwe wakanse po zabitych i pomarłych były wielu dysgustów przyczyną. Król wrzekomo tak czynił, jakby nie widział i nie słyszał, choć o wszystkiem był uwiadomiony. Referendarz koronny, który po zabitym Denhoffie województwa pomorskiego się dopominał, miał się odezwać na głos publicznie w majdanie:

— Ja wezmę moją chorągiew i pójdę do domu, bo ten most przez Dunaj budują nie dla czego innego, tylko żeby nas poprowadzić pod Budę i tam pogubić wszystkich.

Marszałek litewski Radziwiłł napierał się regimentu po wojewodzie—a nie otrzymawszy go, też malkontentem został.

Król mimo uszów to puszczał i śmiał się z tych, co do czarnych pieców i złego piwska chcieliby pośpieszyć,—ale to darmo;—ono piwo i podpiwek swój milszy, niż tu pałace i tokajskie wino.

Ja, co zblizka patrzyłem na niego—i mimo własnej woli, musiałem wiedzieć o wszystkiem, co go dotykało, mocy duszy jego wyadmirować się nie mogłem. Tu mało kto z niego kontent był—każdy więcej wymagał, niż mu dać można było; kwasy i wyrzuty, z Niemcami—choćby najlepiej był,—dowierzać im nie mógł, bo się przekonał, jak byli przewrotni, a szli za fortuną, naostatek—o czem tylko my wiedzieć mogliśmy—listy królowej zamiast pociechy przynosiły najczęściej wymówki, narzekania, wyrzuty i najdziwacznejsze wymagania. Radaby króla odciągnęła już była do Polski i żałowała, że więcej jeszcze zdobyczy i jeńców nie przynosił z sobą...

I tych baszów, których pobrał Jabłonowski, a od nich się wielkiego okupu spodziewał, królowa żałowała, choć się temu dostali, który w sercu jej—Boże odpuść,—na równi z królem był ulokowany.

Gdy listy od Astrei przychodziły, chwytał je chciwie król, a ręce mu do nich drżały. Czasem przy nich szarfa jakaś lub węzeł przyszedł, to się tem bzdurstwem nacieszyć nie mógł,—a no, gdy czytać począł, chmurzył się, rzucał, powracał do pisma—i znowu je odpychał i po kilkakroć do ręki brał... a nieraz mu aż pot na czoło występował. Królowa z Krakowa-by rada i wakansami rozporządzać i wszystkiem rządzić a rozkazy wydawać.

Nic po myśli jej nie było, zazdrość też dla Minionka tych laurów, które tu Fanfanik zdobywał, — choć wistocie nie narażał się zbytecznie, bo go pilnowano niezmiernie, a król o jego bezpieczeństwo daleko więcej dbał, niż o własne.

Śmiałym był, temu zaprzeczyć nie można, ale zewsząd wyszedł cało, nawet mu się bardzo zmęczyć nie dawano; co za dziw, że się niczego nie obawiał, gdy drudzy trwożyli się za niego.

W popłochu tym pierwszym pod Parkanami, gdy król do obozu szczęśliwie, ale cały potłuczony wrócił, gdy się na razie o Fanfaniku nie mógł dowiedzieć, mało że zmysłów nie stracił.

Jemu samemu ten ruch, to życie niewygód pełne, dziwnie na zdrowie służyły, czemu się Peccorini i Dumulin wydziwić nie mogli. Nie dojadł, nie dospał, woda częstokroć do picia taka bywała, że doma-by się nią człowiek umywać nie chciał; fatyga nieustanna, a na tuszy stracił, co ja na pasach widzę i na rapciach, bo wszystko trzeba było ściągać,—ale rzeźwiejszy jest, niż w domu i niemal odmłodzony.

Ks. Skopowski powiadał:

— Duch go trzyma..., gdyby nawet nie jadł nic, wytrwałby, taki ogień ma wewnętrzny w sobie...

Święta prawda.

Pod Ostrzygoniem, nie zważając na mruczenia, most budować rozkazawszy, do dwudziestego Octobris mieliśmy ukończonym. Jak tylko to nieprzyjaciel postrzegł, zwąchał, o co chodzi—przedmieścia, część miasta, zamek jeden na

górze św. Tomasza podpalono i zniszczono, gdy się bronić do upadłego zamierzali,—król zaś dowodził, iż do zdobywania zamków zawsze miał szczególne szczęście i że tu też rychło w miejscu księżyca na kościele starym krzyż zatknie.

Most zaledwie ustawiwszy, gdyśmy się przeprawiać poczęli, Turcy, o tem zasłyszawszy, ku Belgradowi się udali, Węgrów i Wołochów rozpuściwszy,—a tak węgierska ziemia, która od kilkuset lat w ręku ich była, przez naszego pana oswobodzoną została.

Zamek Ostrzygoński, który przy pomocy Bożej napewno zdobyć się spodziewaliśmy, bez mała przez półtora wieku w ich rękach pozostawał.

Ażeby serce anielskie bohatera naszego jak należy ocenić, trzeba było widzieć i słyszeć, jak się troszczył i za krzywdy biednemu ludowi wyrządzone ujmował. Słyszałem go powtarzającego wszystkim:

— A, dla Boga, za cóż niewinni chłopkowie cierpieć mają? Ja nawet wziętych na wojnie węgierskich żołnierzy odsyłam nazad, wyjmując im to z głowy, że my tu nie chrześcijan, ani kalwinów wojować przyszli, ale tylko samych pogan! Ten naród ustawicznie ręce wznosi do Pana Boga za nami, nam się w protekcyę oddaje, w nas pokłada nadzieję, a ich zato ścinać, tych, którzy nas żywią i dalej żywić będą! Pod miastami tureckiemi harcować, nie ubogich ziemnych robaków zatracać!

Po wzięciu Ostrzygonia, gdzie król bardzo pragnął krzyż zatknąć znowu, chciał nazad przejść Dunaj, i dalej nieco pociągnąwszy, ku Pesztowi wrzekomo, stamtąd dopiero ku granicom polskim zawrócić, dla rozłożenia wojsk na zimowe leże.

Królowa zaś, jak i większa część tych, którzy przy królu byli, nalegali na niego, aby do Polski wracał, a listy, które z Krakowa przychodziły, rozpaczliwe i niespokojne, nieustannie się tego domagały.

Jakkolwiek zawsze jejmości ulegał, tym razem jednak od imprezy raz powziętej nie odstąpił dla tych listów i szedł dalej, jako zamierzył.

Królowej zaś odpisywał:

„Wierzę, że tam ich siła pisze i pisali, ażebym nazad powracał, ale to są ci, którzy tego życzą i życzyli, nie dla mnie, ale dla siebie! Ja zdrowie, życie i szczęście moje oddałem raz w ręce Boskie i chwale Jego świętej, ani go też hazarduję więcej nad to, co poczciwemu należy, i temu, na którego akcye cały patrzy świat. Miłe mi życie dla usługi Boskiej, chrześcijaństwa i ojczyzny, miłe dla WMości, dzieci, krewnych i przyjaciół moich, ależ i honor, na który się cały wiek robiło, powinien być miły: a to oboje, przy łasce i protekcyi Bożej, pogodzą się."

Właśnie to są jego słowa.

Im bardziej napierano na to, aby przed zimą wojsko z Węgier wyciągało, tem król więcej obstawał przy tem, ażeby oswobodziwszy Węgry, w nich zimować.

W Ostrzygoniu była załoga, do pięciu tysięcy Turków, król obległ zamek sam, bez pomocy żadnej, krom małego oddziału brandeburskiego — w deszcz, zimno, w brak paszy dla koni, z wojskiem znużonem i chorobami wycieńczonem—a przecież czwartego dnia po osaczeniu zamek się poddał—na imię króla...

Radość była niezmierna i tryumf wielki.

Ostrzygońska ta twierdza broniła się zrazu bardzo dobrze przez te dni kilka, chociaż nam zrazu wielkiej szkody nie czyniąc. Z naszej strony rzucane bomby i granaty dokuczały im wielce, mury psowając i ludzi zabijając.

Patrzyliśmy z pociechą wielką na wyciągających precz pogan pod wodzą dwóch paszów, Alepu i Nikopolis, którzy na wezyra, że ich opuścił, narzekali, srom ponosząc, jakiego nie doznali nigdy.

Myśmy zaraz potem weszli na zamek, który stoi na górze dosyć wyniosłej, całej z marmuru czerwonego, z którego rozpadlin źródła wody ciepłej się sączą wszędzie i żaby w nich na Szymona Judę tak skrzeczą, jak u nas w maju...

Jam niezrównanej doznał pociechy serca, na pana patrząc, gdy po raz pierwszy wchodził do kaplicy marmurowej, niegdy chrześcijańskiej, potem na meczet obróconej, teraz orężem jego służbie i chwale prawdziwego Boga przywróconej po stu czterdziestu leciech. Trzeba go by-

łoby widzieć, jak się temu cieszył, więcej niż wszelkim tryumfom i zdobyczom..., gdy w dzień śś. Apostołów zagrzmiało tu Te Deum nasze!!

Kaplica marmurowa cała, jeszcze dawnych ołtarzów a nawet wizerunku Matki Boskiej ślady zachowała, ale twarz była popsowana i umyślnie zniszczona.

Po zdobyciu zamku, gdy już i pora spóźniona nie dozwalała dalej nieprzyjaciela ścigać, i uchodził tak, że go napędzić było trudno,—wojska nasze się od cesarskich oddzieliły dla łatwiejszego sustentowania.

My, wedle postanowienia króla, który map i kart nie rzucając, ciągle się w nich rozpatrywał, szliśmy dalej mimo twierdzy tureckiej Szecina, potem mimo Files, na Koszyce i Eperies. Ale wprzódy koniom i ludziom, okrutnie znużonym, spocząć potrzeba było, a i pory znośniejszej może spodziewaliśmy się doczekać, bo plucha, śniegi, wicher, zimno nie do zniesienia dokuczały.

Wszyscy tu tego się lękali, że król twierdze jeszcze przez załogi tureckie zajęte pomijając, nie wytrzyma, a jak zawsze do brania ich miał wielkie szczęście i tu go zechce próbować. Słyszałem mruczących i narzekających na to niesłychane pragnienie bohaterstwa, o którem my najlepiej wiedzieliśmy, że ono raczej było gorliwością o wiarę świętą i chrześcijaństwo...

Wysłał król do Krakowa do królowej z listami płochego Francuza Deleraka, którego zaraz na drodze Turcy ujęli i w niewolę uprowadzili, o czem dano znać. Król w kłopocie niemałym, bo Francuza pono za wielkiego jakiegoś i znacznego mieli człeka, okupu się za niego domagając takiego, że mimo najlepszych chęci, dać go niepodobna było, bo Francuz z kośćmi i mięsem nie wart był połowy tego, co zań pretendowano.

Nie omyliłem się wcale w domysłach moich, słysząc, żeśmy twierdze przez Turków zajęte pomijać mieli. Gdyśmy się ku Szecinowi zbliżyli, zauważyłem niepokój w panu wielki. Nie chciał na żaden sposób za sobą zostawić nieprzyjaciela w gnieździe. Zwołano radę, która jednozgodnie głosowała, aby twierdzy nie zaczepiać.

Pomimo to wysłał król syna z wojewodą lubelskim,

z Dynewaldem, generałem cesarskim i Truksem, dowódcą brandeburskiego posiłku dla rekognoskowania, którzy powrócili, opowiadając, że zamek się im nie zdawał bardzo mocnym i trudnym do opanowania.

Stanęliśmy w wigilię św. Marcina pod miastem w okrutną szarugę, ale twierdza się królowi wydała mocniejszą, niż opowiadano.

Palisady dokoła były podwójne, przekopy, mury, wieże, położenie na pagórku, załoga powiększona świeżo posiłkiem janczarów. Zobaczywszy to, nasi dowódcy, umysł króla znający, narzekać poczęli... a pan nasz, uśmiechając się, powtarzał i przypominał, że ma do twierdz szczęście, i że mu się one poddają łatwo.

Zaledwieśmy stanęli, gdy z zamku strzelać na nas poczęto i żołnierza nam zabito, a zabierając się do obrony, Turcy przedmieścia zapalili; król natychmiast tylko co przybyłych Kozaków wyprawił, aby przedmieść palić nie dawali. Cudem jakimś, bo kozacy się nam nie spisywali,— tym razem wpadli z impetem takim, że nietylko przedmieścia wzięli, ale pierwszą palisadę i bramę opanowali i chorągwie z krzyżem na niej zatknęli. Dodało to animuszu nadciągającej piechocie i działom, tak, że palisady wszystkie opanowano przed nocą.

Nie trwał ogień z naszej strony nad godzin trzy, gdy chorągiew białą na zamku wywiesili właśnie w tym momencie, gdy u nas w obozie lamentować poczęto, iż tu król wojsko daremnie na kule wystawia.

Zaprzestano strzelania i zamek się poddał na łaskę i niełaskę królowi. Słyszałem, jak ich padających do nóg i o żywot proszących uspokoił temi słowy:

— Nie bójcie się, nie spadnie wam włos z głowy. Nie jesteśmy pyszni w szczęściu, bo wszystko Bogu przyznawamy!

Wistocie osobliwemu szczęściu królewskiemu przypisać potrzeba, iż Turków trwogą nawiedził, bo się mogli kilka tygodni wyśmienicie bronić, żywności i prochów mając poddostatkiem.

— Na św. Marcin w obu meczetach chwałę Bożą

śpiewać będziemy!—powtarzał król z niewymowną radością.

Stąd już mamy na Eperies ciągnąć, nie spotykając i nie biorąc zamków,—bo nasi wodzowie, stęsknieni do domów i spoczynku, słuchać nie chcą o żadnej imprezie; on jeden, pan ten nasz do ostatka chwałę Bożą ma na myśli.

Stąd, dzięki Bogu i pochód, mimo zburzony Filek, szedł nam snadniej, gdyż niebo się wypogodziło i mrozy brać zaczęły takie w listopadzie, jakie u nas około Trzech Króli zwykle przychodzą dopiero. Ale gruda lepsza, niż błoto i mróz, niżeli plucha.

Król na mapy i opisy krajów narzekał, że w nich nigdzie prawdy nie znalezie. Zapewniano nas, iż tu gór wcale niema, tymczasem od Dunaju do granic naszych nic, tylko same góry spotykaliśmy i gęste lasy.

W ciągu pochodu tego, król ciągle od Tekelego listy miewał i wiadomości, a ile nam te stosunki z nim czasu wyprawy pomocnemi były,—wyrazić trudno.

Szliśmy tak ciągle, acz nie mogąc wedle myśli naszych panów pośpieszyć ku Koszycom. Król na to najbardziej utyskiwał, że nieregularnie wiadomości odbierał od Jejmości, a z Krakowa się żalono na toż samo i na fałszywe a skąpe nowiny, które cudzoziemskie gazety przynosiły. Myśmy też z obozów nie mieli zręczności w świat o sobie rozsyłać wieści, ani je ze świata odbierać. Doszło nas parę artykulików w Rzymie umyślnie fundowanego pisma, które miało specyalnie o wojskach i wojnie krzyżowej przeciwko pogaństwu zawiadamiać. Drukował je niejaki *Krakus*,—o którym, czyby Włochem był, lub jakiej innej narodowości,—nie wiem.

Dalej ku Koszycom wojsku się gorzej działo, bośmy wszędzie miasta i zamki przez Tekelego poobsadzane i pozamykane znajdowali na drodze. Koszyce kilka tysięcy ludzi miały na obronę. Tekeli, który się dotąd akomodował i króla szanował, chociaż mu on wszelkie bezpieczeństwo zapewnił, sam z żoną uszedł do Turków do Debreczyna, a wojsku pozostałemu wydał rozkazy, aby się z nami po nieprzyjacielsku obchodziło. Myśmy tu, spodziewając się być spo-

kojni, natrafili na wrogów, tak że od Satmar począwszy, ciągle zewsząd napastowali nas i strzelali.

Z Koszyc na nas uczynili wycieczkę. W Preszowie z działa ubito starego i dzielnego żołnierza pana Modrzewskiego, wojskiego halickiego. Głód, chłód, choróbska we znaki nam się dały haniebnie, a to był właśnie kraj na zimowe leże naznaczony, gdzieśmy się odpoczywać spodziewali.

Preszów pominąć musieliśmy, nie kusząc się o zdobycie jego, aby prędzej wyciągnąć z tego utrapionego kraju. Tymczasem nadspodzianie poszczęściło się w Sybinie. Starosta łucki, spotkawszy jazdę węgierską, trochę ją przekrzesał, a w sam dzień Niepokalanego Poczęcia, gdyśmy z królem nadeszli i artylerya litewska do miasta ognia dała kilkadziesiąt strzałów, miasto się poddało na łaskę i niełaskę.

My stąd wprost do Lubowli ciągnęliśmy, gdzie pono królowa miała się z nami spotkać—i czas jakiś zażyć spoczynku, bo król wiele miał do opatrzenia i zabezpieczenia,

Tandem *meta laborum* nadeszła—i król już na dwoje, mogę powiedzieć był rozdarty. Z jednej strony z Węgrami coś postanowić było potrzeba i od Tekelego czekać wiadomości, z drugiej już myśl cała i namiętność ciągnęła do królowej, która też niespokojna wielce, aby co rychlej panowanie odzyskać, pośpieszyć była gotową naprzeciw nas, choćby na Sącz—gdy król JMość na Czorsztyn i Nowy Targ, chociaż dalszą nieco radził drogę.

Mnie z Lubowli król z wozami do Czorsztyna wysłał, skąd część powierzonych rzeczy miałem, nie czekając, odprowadzić do Krakowa.

Tak tedy, po niemal czteromiesięcznej służbie, która mi się tem opłaciła, żem na moje oczy oglądał, o czem drudzy ze słuchów pojęcia mieć nie mogli nawet —powróciłem w grudniu do Krakowa, pozwolenie mając królewskie, abym na Gody pobiegł do matki, czego mi się żywnie pragnęło.

W Krakowie już nie pierwszy stanąłem, bo mnie tu dezerterów i powracających z dozwoleniem i bez wiadomości królewskiej,—poprzedziło bardzo wielu;—nie oble-

gano mnie więc tak dalece—a jam ciekawszy był tego, co tu zastanę, niż ci, co mnie tu witali, tego, com z sobą przynosił. Od Ostrzygonia bowiem, jeżeli nie wcześniej, bardzo wielu samopas się do granicy przedzierało, a im bliżej Lubowli byliśmy, tem liczba uchodzących pomnażała się.

Szaniawskiego mojego, który *volens nolens* musiał pozostać tu, znalazłem wielce radosnego, że mnie żywym widział, bo mu różnie donoszono... Oprócz niego, Kraków pełen był znajomych starych i nowych z wyprawy tej, a tum się mógł przekonać dopiero, co to się z prawdą w ludzkich ustach dzieje, i jak te same rzeczy, na które wiele oczów patrzy, każdemu się mogą wydawać inaczej. Cóżto mi się nasłuchać przyszło o tych bitwach i pochodach, przy których byłem, które oczyma memi oglądałem!! A i o królu samym i o wodzach naszych co tu opowiadano, uszy więdły. Jam z sobą wiózł największe uwielbienie dla pana, u którego boku ciągle będąc, słuchając go—nigdym tak wielkim nie widział, tu zaś inwidia, ślepota i łatwowierność w innem go świetle stawiły. Niemal na każdym kroku rozprawiać się przyszło z niechętnymi.

Zwłaszcza w tych rodzinach, które potraciły swoich w potyczkach, przeciwko ambicyi królewskiej, której on wszystko sakryfikował, sarkano. Drudzy niepomierną pożądliwością łupów tłumaczyli, iż zamiast wprost z pod Wiednia zawrócić do Polski, niewdzięczności doświadczywszy, szliśmy dalej tak się narażając, jako pierwszego dnia pod Parkanami.

Na samym wstępie Szaniawski mi oznajmił, że i Boncourową znajdę w Krakowie, abym się lepiej jej nie nastręczał, bo na łup pewnie z pod Wiednia czyhać będzie i obedrze mnie bez litości. A jam wistocie tego łupu tyle tylko miał, com go kupił po ciurach, bo sam nie tknąłem nic... Ledwie tyle się znalazło w sakwach, co starczyło na obdzielenie rodziny i przyjaciół bardzo skromne.

Szaniawskiemu dostał się pas nieszpetny w Parkanach nabyty — i tem się kontentować musiał. Ja dla siebie jedną szablę pięknie oprawną zachowałem.

A że i moja Felisia wistocie trochę z serca mi wywietrzała, niebardzom jej szukał, mając zamiar, dawszy wy-

poczynek ludziom i koniom, natychmiast się puścić w drogę tak, abym najpóźniej na złamanie opłatka do stóp dobrodziejki mógł pośpieszyć. Aż tu jednego ranka, gdym do Panny Maryi na ranną mszę się wybrał, spotykam w rynku podle kamienicy, w której część dworu królowej pozostała, wystrojoną jak lalkę... Boncourową.

Osłupiałem, widząc ją, bo, com sobie w myśli wystawiał, postarzałą i zwiędłą, znalazłem tak świeżą, rumianą, odmłodzoną—jakby się w cudownej wodzie owej, o której baśnie powiadają, skąpała. Podeszła sama ku mnie, sznurując pyszczek.

— A cóż to stary przyjaciel nie łaskaw?—odezwała się.—Czekałam go napróżno zasłyszawszy o nim. Waćpanowie, coście pogan gromili, tak jesteście tem zwycięstwem dumni, że już na nas patrzyć nie chcecie.

I nie dając mi odpowiedzieć, dodała:

— Musiałeś i wmość, przy królu będąc, jak pan Miączyński i inni, pięknych rzeczy dostać w namiocie wezyra. U nas tu tylko o tem prawią, żeście perły korcami mierzyli.

Rozśmiałem się.

— O drugich nie wiem nic—rzekłem,—a o sobie powiedzieć mogę, iż z wyprawy na Turka powracam, jak turecki święty. Gdy drudzy o sobie myśleli, jam myślał o panu.

— Oh! oh! — przerwała,—któżby to temu wierzył.

Wchodziliśmy do kościoła.

— Chociaż z próżnemi rękami i bez gościńca—dodała, —będziesz mi waszmość miłym gościem, proszę mnie nawiedzić.

Takeśmy się rozstali. Musiałem zatem, powróciwszy do gospody, pomyśleć o tem, co jej zaniosę. Nie miałem w czem wybierać. Oprócz tego, co dla matki i siostry przeznaczone było, miałem tylko piękną zasłonkę, szytą złotem, jakich się tam w obozie siła znajdowało,—musiałem ją w sepecik turecki wysadzony, mosiądzem misternie zamknąwszy, zanieść jejmości.

Chciałem, mało co pozdrowiwszy ją tylko i podarek złożywszy, ujść precz, ale syrena ta swoim głosikiem srebrnym jak mnie zaczęła wabić, a wesoło zabawiać i u-

śmiechać się i w oczy nieustannie patrzeć, — zupełniem znowu osłabł i do dawnej pasyi powrócił.

Trzymała mnie do późna u siebie, ale szczęściem, nowy jakiś amant nadszedł, który mnie z posterunku niebezpiecznego zluzował.

Boże uchowaj dać się raz niewieście ująć za serce! Wiedziałem, że ona sobie z mojej miłości igraszkę czyni, że nicpotem była, bo Szaniawski różnych historyi nowych dosyć mi nakładł w ucho; nie pomogło nic—oszołomiła mnie znowu, żem wyszedł, jak pijany zgoła.

Ale żem już do podróży wszystko rozporządził, wymogłem to na sobie, iż nazajutrz, mimo pokusy wielkiej, wyjechałem szczęśliwie do domu.

Dopiero w podróży, gdy mnie zdrowsze ogarnęło powietrze, a od wsi naszej wionęły wspomnienia—trochę ostygłem i przyszedłem do zmysłów.

Pani matce, gdybym był chciał dać o sobie znać naprzód, nie mogłem, ani się mnie mogła spodziewać.

W drodze się tak dziwnie złożyło, że po grudzie śpiesząc i w nocy zarywając, ledwie na samą wigilję rano w Łucku stanąłem. Tu już taka mnie ogarnęła niecierpliwość wielka, iż ludzi i konie popodbijane zostawiwszy, do mojego wozu żydowskie nająłem i nie spoczywając prawie, wyruszyłem do domu.

Nie było jeszcze owej gwiazdy na niebie, która u nas jest znakiem podawania wieczerzy w ten dzień, gdy wóz mój przed ganek się zatoczył, a jam z niego wyskoczywszy, wszedł, jak szalony, prosto pani matce pod nogi...

Znalazłem tu, jakom przeczuwał, nie tylko siostrę z mężem, ale nawet brata Michała.

A! niewysłowionej że to radości była chwila, gdym ich głosy usłyszał, gdym macierzyński uścisk uczuł — i znalazł się w tem gnieździe, w któremby człek, choć mu złote pałace stawiono—nigdy nie rad mieniać na nie.

Matka właśnie opłatki trzymała w ręku... i rozpłakawszy się, z pierwszym mną się pocałowała.

Mówili o mnie właśnie, gdym nadjechał, sądząc z tego, co słyszeli, żem z królem jeszcze albo w Lubowli lub zaledwie na drodze do Krakowa.

Oprócz rodziny, starszego brata, szwagra mojego znalazłem u nas w gościnie... Siedliśmy zaraz do stołu—a jak mi tu wszystko smakowało,—jeden Bóg wie. Zdało mi się, żem z temi potrawami szczęśliwe lata młodości na nowo spożywał.

Posypały się pytania;—słowo w słowo tu znalazłem, co w Krakowie; pełno fałszów i baśni o nas—a prawdy mało. Pisane gazetki, które tu z rąk do rąk przechodziły, zawierały ekscerpta z listów królewskich do niepoznania poprzekręcane—a razem inne wiadomości z różnych źródeł, które się z sobą sprzeczały.

Musiałem im opowiadać o panu, widząc, że i tu go sobie inaczej cale wystawiano, niż był. Nikt w nim nie widział owego bohatera chrześcijańskiego, jakim on nam się ukazywał od wstąpienia na ziemię, którą miał oswobodzić,— od mszy tej, do której służył w dzień zwycięstwa na Kalenbergu.

Brata Michała znowum znalazł zmienionym i postarzałym, ale równie jak pierwszym razem w stanie swym szczęśliwym i nie pragnącym nic nadto, co osiągnął. Powagi wielkie, nabrał, a pobożnością nas budował.

Z tych wigilii godów, które mi Pan Bóg dał przeżyć na świecie i pożywać z rodziną, nie wiem, czy która nad tę uroczystszą mi się wydawała.

Gdyśmy wstali od stołu, poszedłem moje sakwy podróżne rozwiązać, aby gościniec dobyć. Dla matki miałem bardzo piękny różaniec z drogich kamieni w złoto oprawny, bo to wiedzieć potrzeba, iż Turcy się też modlą na paciorkach i siedząc, ciągle je w rękach przebierają.—Trzeba tylko było, aby ten pogański różaniec ojciec Michał poświęcił.

Szwagrowi nóż pięknie oprawny przywiozłem, ale że się ostrza żelaznego nie godzi ofiarować — dla jakiegoś przesądu, grosz mi musiał za niego zapłacić. Najgorsza była sprawa z bratem szwagra, któregom się zastać nie spodziewał i musiałem go kontentować jednym pistoletem bez pary, który wprawdzie bardzo był pięknie kością słoniową i turkusikami oprawny, ale mu odpowiedniego do olstry brakło. Przyjął go sercem wdzięcznem. Siostrze się dostała spinka najkosztowniejsza ze szmaragdem.

Do tego terminu te moje notatki doprowadziwszy, gdy mi je dalej prowadzić przychodzi, serce się ściska.

Na własny mój los, chociażby on mógł był się złożyć inaczej a lepiej, narzekać nie będę,—ale nad ukochanego pana mojego ciężkiemi kolejami żywota komentować-by przystało i niemal przeznaczeniu wyrzuty czynić,—gdyby wszystko nie przychodziło z ręki i Sądu Bożego. Bohater i mąż, który tyle się chrześcijaństwu zasłużył,—cierpiał tak wiele,—nietylko że we własnej ojczyznie był zapartym, znieważonym—prześladowanym—ale umierając, pociechy tej nie miał, aby potomstwu lepsze widoki przyszłości zostawić.

Niemal od daty wiedeńskiej wyprawy i powrotu z niej rozpoczynają się niesnaski, spiski nowe, zabiegi dworów cudzoziemskich i knowania najlepszych przyjaciół Sobieskiego przeciwko niemu; przeciw wszystkiemu, cokolwiek zamierzał—bój i walka.

Wszystkiemu zaś temu pobudką jedyną, podporą i podnietą była królowa, która za żywota już zapierała się tego swojego dobroczyńcy, gotowa była go porzucić, własne dziecko, pierworodnego Jakóba prześladowała, wszystkie plany i myśli męża krzyżując, a nienawiść ściągając na niego.

Spisać wszystko to, co na nieszczęśliwym panu przez te lata,—aż do zgonu, brzemieniem ciężyło,—siły niemal i rezygnacyi braknie.

Europa cała czcią go wielką wynagradzała, imię sławiła, nieprzyjaciele poganie korzyli się przed nim, drżeli na wspomnienie Jana, a we własnym domu, ci, których on wyniósł, obdarzył, obsypał, śpiskowali przeciwko niemu.

Krok w krok iść za tem, co się do owego roku 1684 aż do zgonu króla działo, nad siłę moją, a i pióro-by nie podołało. Sądzę, że jeden tylko biskup Załuski,—który świadomość miał wszystkich czynów i pobudek, przed którym się król zwierzał z tego, co myślał i czynił—mógłby był z tych smutnych dziejów zdać sprawę, a i ten nawet wielu rzeczy się tylko domniemywać musiał, bo król przez srom i litość nad rodziną,—pokrywał często, co go bolało.

Lekko dziś nieraz ludzie męczennikami się zowią

i przyznają sobie to wielkie imię, które nosić godzien jest tylko ten, co cierpiąc, nie skarżył się—Bogu ból swój ofiarował i na rusztowaniu się uśmiechał. Otóż takim prawym męczennikiem z pogodą na czole był ten nasz pan przez wszystkie lata aż do końca. Nie skarżył się nigdy.

Raz tylko do ostateczności przywiedziony, koronę chciał złożyć, bo mu już sił do dźwigania brakło,—i dopiero naówczas postrzeżono, co on znaczył i wiele ważył.

Francuskie intrygi, cesarskie zabiegi przy niewdzięczności oburzającej, podstępne knowania matki przeciw własnemu dziecku, niepokój wewnętrzny, aż do wojny domowej posunięty—wszystko to spadło na niego, a wszystkiemu winna była królowa. Ciężar jej grzechów on musiał na sobie dźwigać.

Nie patrzyłem na to, gdy król naostatek się z żoną połączywszy, do Krakowa ściągnął na samą te wigilię godów, bo ja też matce mojej do nóg upadłem. Witano go tam pod bramami tryumfalnemi z radością wielką, — powracał bohaterem nie już naszym, ale całego chrześcijaństwa, a na imię polskie blask jego imienia spadał. Dawna sława rycerska, której się pozbyliśmy za Jana Kazimierza i Michała, wracała nam.

Nawet we Francyi, w pierwszej chwili wszystko brzmiało uwielbieniem bohatera, budząc tem większą ku niemu niechęć Ludwika XIV.

Przyznawano wielką zasługę papieżowi, który do wojny zagrzewał, posiłkował pieniędzmi,—lecz sam Innocenty XI, posyłając Sobieskiemu miecz poświęcony—przyczem się królowej dostała Złota Róża,—pokazywał, komu przypisywał pogrom, który złamał potęgę pogan i położył tamę dalszemu ich posuwaniu się i zdobyczom.

Za pozwoleniem króla, o które mi się Szaniawski przez p. Matczyńskiego postarał, przedłużyłem pobyt mój na wsi, z wielkiem matki ukontentowaniem, któraby mnie chętnie była zatrzymała przy sobie, nalegając na to, ażebym się żenił. Lecz wcale gustu do stanu tego nie miałem.

Przez cały ten czas przeciągniętego pobytu w Połonce albom się z gospodarstwem obeznawał, lub końmi zajmował, które lubiłem bardzo, albom po sąsiadach jeździł,

którzy mnie serdecznie zapraszali i ugaszczali, tak że często na jeden dzień wyjechawszy, całą niedzielę wyrwać się nie mogłem. Matka już później nauczyła się, wspomagając mnie,—posyłać od siebie z żądaniem pilnem powrotu do domu i to mnie wyzwalało.

Czas ten mile spędziwszy między swoimi, odetchnąwszy, pokrzepiony, dopiero w lecie roku tego, gdy mi Szaniawski doniósł, że król sam miał wyruszyć ku Kamieńcowi, zerwałem się z tej kopni, śpiesząc do pana, aby mu służyć znowu.

Znalazłem Jana otoczonego świetnym dworem posłów, książąt, kawalerów różnych nacyi, którzy się wpraszali, aby pod nim mogli uczyć się rycerskiego rzemiosła.

Nie potrafię tego opisać, co to była za świetność, przepych i życie w Jaworowie, pod któremi na czas kryły się potajemne knowania cesarskich przyjaciół i agentów króla francuskiego. Zatruło mi to życie, żem zaraz w początku namacał przewagę królowej we wszystkiem, która już nietylko polityką się zajmowała, ale na wojnę pretendowała towarzyszyć panu i zdobywaniu zamków asystować, aby też zwrócić oczy świata chrześcijańskiego na swą osobę. Przyczem i Aleksandra miała na względzie,—aby dzieciak był wspominany zarazem, gdy o Jakóbie umyślnie unikano wzmianki.

Już tedy od tej chwili poczęła się rodzić waśń pomiędzy braćmi, antagonizm, — niechęć, która potem pozbawiła rodzinę spadku zasługi ojcowskiej.

Wyprawa nasza tym razem, z muzyką, z namiotami, z kredensami, dworem licznym, całym szeregiem karet i kolebek, raczej spacerem i przejażdżką, niż wojennem wystąpieniem nazwać się mogła. Dopiero tam, gdzie się poczęło niebezpieczeństwo, cofnęła się królowa,—ojciec jej i cały ten niepotrzebny nam ciężar ciekawych próżniaków.

Często, gdy królowi na zwiady i po język ludzi brakło, ręce wszystkie były zajęte ustawianiem namiotów dla dworu, markiza, grafów, ambasadorów i nakrywaniem stołów, które musiały tak wyglądać po królewsku, jakby w ogrodzie Jaworowskim.

Naprzeciwko Kamieńca silnie się okopawszy i nieprzy-

jacielowi dokuczywszy, ale nie mogąc go do poddania się przymusić, król pociągnął nad Dniestr, pragnąc spotkania i bitwy, ale hetman się sprzeciwił i powróciliśmy do Żółkwi pod jarzmo ukochanej Marysieńki.

Król, jak mógł ukrywał nieukontentowanie swe, ale zato jejmość, otoczona szczególniej świetnym dworem Francuzów, którzy jej nadskakiwali, tryumfowała.

Wśród tej sławy, jaką zdobył, nie było nieszczęśliwszego człowieka nad niego, gdyż jejmość władzę swą nad nim despotycznie wywierała... Ustępował dla spokoju, a każde takie ustępstwo moc Maryi Kazimiery powiększało.

Zastęp zazdrosnych i niechętnych powiększał się codzień,—a w szeregach ich znajdowali się i Sapiehowie i Jabłonowski.

Głośno powstawać na to poczęto, iż król wszystko poświęcał nadziei ufundowania dynastyi i tronu dziedzicznego z pomocą Austryi—Francuzi tem zrażali wszystkich do króla. Zarzucano mu, że dotąd nie odzyskał Kamieńca, w ostatku, że sobie przyznawał wszystko, gdy hetmanowie i wojsko krew przelewało nadaremnie...

Na następny sejm, który się burzliwym zapowiadał, i ja też towarzyszyłem królowi do Warszawy po to tylko, abym się gryzł, zżymał i na zuchwałych nadaremnie narzekał.

Patrząc na to, co się działo w Warszawie, na zuchwalstwo Paców, na niewdzięczność Sapiehów, na niepokój, który nie dawał tchnąć królowi—można się było zarzec elekcyi Piasta na zawsze. Ci, co przeżyli dwa panowania—Michała i Jana, słusznie postanawiali domagać się ekskluzyi na przyszłość. Wszyscy ci panowie senatorowie sądzili się królowi równymi, poszanować go nie chcieli, a niczem ich przejednać nie było można.

Widząc to, iż mu jego sławy i laurów zazdroszczono, król dobrowolnie ustąpił dowództwa Jabłonowskiemu,—pozostając przy swych ogrodach i książkach,—ale hetmanowi się nie powiodło, ludzi nie mógł ściągnąć, do Kamieńca nie przystąpił nawet i impreza spełzła na niczem.

Oczywista rzecz, że choć król stał na uboczu i czyn-

nym nie był, Jabłonowski jemu przypisywał to, iż się bezsilnym okazał. Gniewy tedy i zniechęcenie wzajemne.

Królowa tymczasem z Francuzami rozpoczęła układy i króla z sobą ciągnęła. Bethune, ona, Wielopolski, którego do Paryża posłano, pracowali nad przejednaniem z Francyą. Popłoch padł na niewdzięcznych Rakuszan, którzy w niczem Sobieskiemu słowa dotrzymać nie chcieli.

Tego to czasu zjawił się przypadkiem, jakoby w przejeździe do Moskwy, ojciec Vota, zakonu Jezusowego, który sobie pozyskał króla serce, zaufanie i miłość. Rozpoczęło się to od owych rozmów wieczornych, które król lubił i tak ich potrzebował, że do nich w niedostatku innych, nawet swego Janasza, Aarona i lada kogo przypuszczał. O. Vota, trzeba mu to przyznać, jakby stworzony był dla króla. Uczony, czyli przynajmniej obeznany ze wszystkiem, encyklopedyą był chodzącą. Być może, jakem słyszał twierdzących, że głęboko żadnego przedmiotu nie badał, ale nie było kwestyi, któraby go nieprzygotowanym znalazła. Bawił więc i zajmował króla, bo mu na każde pytanie mógł dać odpowiedź, a przytem oszczędzał go, podnosił rozum i naukę, przypochlebić się umiał.

Od pierwszego wystąpienia O. Voty na dworze, można było przewidzieć i przepowiedzieć, że on tu stanie się niezbędnym.

Nieraz pode drzwiamiśmy się przysłuchiwali tym rozmowom wieczornym, które się czasem i do północy przeciągały. O. Votę było podziwiać wistocie; z taką łatwością i pewnością na wszelkie pytanie umiał znaleźć odpowiedź, tak grzecznie, łagodnie, rozumnie dotykał każdego przedmiotu.

Przytem niezmordowany był, a gdy zamieszkał na dłużej, zblizka się przypatrując jego sposobowi życia, musieliśmy i my go podziwiać.

Nie miał żadnej słabostki, ani jadło, ani napój, ani błyskotka go żadna nie nęciła, a w towarzystwie najdostojniejszych osób obracał się z taką swobodą, jakby był między swoimi. Jako kapłan pobożny, a nie świętoszek, tolerujący wiele a nie wychodzący z granic—słowem, jedynem, był wistocie stworzonym, aby się stać ulubieńcem

i powiernikiem znużonego i utrapionego pana, jakim był naówczas król, gdy się on zjawił.

Wpływu i przewagi, jakie później pozyskał, nie chwaląc się niemi,—nie zdobył odrazu, ale od pierwszego spotkania zjednał sobie aplauz nietylko pański, ale niemal wszystkich u dworu. Umiał się bowiem tak obchodzić z każdym, iż go za serce chwytał. Szczerym był, czy tylko tak wielki kunszt posiadał ujmowania sobie, Bóg wie jeden—lecz czarodziejem go nazwać było można.

Przy tem wszystkiem zazdrości nawet nie obudzał, bo nikt się z nim narówni postawić nie mógł.

Gdy się później okazało, że pan nasz raz wraz go potrzebował—rady zasięgał, objaśnienia od niego żądał,—o. Vota już go nie odstępował i bywało, iż w antykamerze lub w gabinecie, nie rozbierając się, legał na ławie, albo na sofie i chustką sobie twarz przykrywszy, drzemał tak, aby być na każde zawołanie.

Żelazna była, albo raczej gibka, jak stal natura, której nic zmódz nie mogło.

Rozumie się, że jak tylko postrzeżono, co się święci, każdy sobie usiłował o. Votę pozyskać, ale i tego się domyślać było łatwo, że cesarzowi i rakuskiemu dworowi całkiem był oddany, tak, że niektórzy posądzali, iż go tu umyślnie wybranego przysłano, aby czujnie stał na straży interesów cesarskich.

Rzecz oczywista, że królowa, która o wszystkich, co mogli na męża wywierać wpływ, była zazdrosną—lubić go nie mogła i chętnieby się pozbyła, lecz Vota sobie i ją ująć potrafił, jak się zdaje, obietnicami, że dynastyczne jej żądania z pomocą cesarza tylko mogą się spełnić.

Króla zaś, wodza chrześcijańskiego sławą go ujmując, stawiąc na czele przyszłej ligi przeciwko Turkom, która ich z Europy wygnać miała, było najpewniejszym sposobem zjednać sobie. Francuzi nic nie mieli, czemby te łudzące pokusy równoważyć mogli.

Takeśmy doszli do roku 1686, w którym króla ociężałego, znużonego, jeszcze raz w pole osobą swą ciągnąć na czele wojsk zmuszono.

Zanim to nastąpiło, zabawiał się pan nasz łowami, nad

które może wspanialszych i kosztowniejszych nie miał żaden z panujących.

Służyli mu do tego jeńcy tureccy pobrani na wojnach, z których wybierano co najzdolniejszych i najzręczniejszych, i było ich dwie kompanie janczarów, zupełnie na wzór tureckich odzianych i uzbrojonych. Dowódcy polscy komenderowali nimi po turecku, bo i sam król i wielu naszych dobrze tym językiem posługiwać się umiało. Dobór janczarów był taki, iż na nich rachować mógł król, jak na najwierniejsze sługi, ale też dobrze im się działo. Gdy z wojskiem szli janczarowie nasi, obowiązkiem ich było przy taborze iść, namioty rozbijać, zwijać i za stanowniczymi przygotowywać każdą naszą stacyę, aby król przybywając, znajdował wszystko w porządku.

Czasu pokoju janczarowie ci do łowów używani byli. W wigilię ich wyprawiano z sieciami na wozach i ze psy, a każdy z janczarów uzbrojony był w siekierę i strzelbę. Łowczy im wskazywał knieję, którą zająć mieli, a tę natychmiast dokoła sieciami opasywano, pozostawiając jedno wyjście, naprzeciw zaś niego stawali psiarze z ogary i psami.

Za przybyciem swem król mieścił się u tych wrót, towarzysze jego rozstawiali się w półkole na wyznaczonych stanowiskach, niewiele osób przy nim pozostawując. Puszczano potem psy, które zwierza naganiały. Od sieci odpędzali go janczarowie krzykiem i biciem w drzewa. Na każdego zwierza wyznaczone były psy osobne.

Król nietylko ten rodzaj łowów, ale i już zarzucony z ptakami, białozorami, sokoły, bardzo lubił i nie wzdragał się ani niedźwiedzi, ani dzików, które często oszczepami i nożami musiano dobijać, gdy zbyt nam psów nakaleczyły.

Po sejmie się zaraz rozpoczęły przygotowania do wyprawy, szczególniej na Litwie, którą sprowadzić było potrzeba z oddalonych leży zimowych.

Tymczasem się król zabawiał w Wilanowie, około którego miał takie staranie i tak sobie z tej rezydencyi wiele obiecywał, że i Żółkiew i Jaworów zaniedbane nieco zostały, drzewa, krzewy, kwiaty najrzadsze zwożono te-

raz do Wilanowa, a król sam własnoręcznie rad sadził, szczepił i zasiewał.

Ale już w końcu maja potrzeba było zaniechać ogrodnictwa i udać się do obozu, w którym król sam wszystkie pułki oglądał z wielką pociechą, gdyż chorągwie były okryte, a rycerstwo bardzo piękne. Działa też i artylerya nigdy nie były tak liczne i dobrze uposażone, dzięki Kątskiemu i Francuzom, przy nim będącym. Zaswatał się nam też na tę wyprawę ochotnik markiz de Courtanvaut z bardzo wykwintnym dworem, który tu na niego czekał, bo wprzódy brat jego w Polsce przebywał.

Towarzyszyło mu trzech oficerów francuskich, o których dlatego wzmiankuję, że jeden z nich Danville wdowie Boncourowej wpadł w oko i ona mu wzajemnie— co mnie od zalecania się oswobodziło, —bom nigdy z nikim w zawody się nie puszczał na tem polu.

Znajdą się, którzy lepiej ode mnie tę wyprawę opiszą, ja powiem tylko, żeśmy ciągnęli nad Dniestr i ku Bukowinie. Wojsko rzekę przebywało pod Żórawnem i Haliczem; poczem weszliśmy Pokuciem ku Bukowinie.

Nieprzyjaciel się nie ukazywał aż do granicy Mołdawskiej i przebycia tych lasów, które się w historyi naszej takiemi pogromami zapisały. Gdyśmy w pola nareszcie się wydobyli, zastaliśmy pustynię przed sobą a miasta po drodze noszące ślady wojny i okrutnej ruiny. Na polach zajałowiałych zboże padaliczne gdzieniegdzie dziko porastało. Oprócz Jass, żywej duszy nigdzieśmy w pochodzie nie spotkali.

Król po opuszczonych zamkach małe pozostawiał załogi, a na rzekach mosty kazał budować, w przewidywaniu odwrotu. Na drzewie nie zbywało i łatwo przychodziło je klecić z kłód obalonych. Rzeki też nie były na teraz do przebycia trudne, bo z nich, dla długiej nie do uwierzenia posuchy, zostały tylko suche po większej części łożyska. Powiadano, że od lat trzech kropla deszczu tu nie spadła — wszystko też na popiół było wysuszone, a pomimo to rosami żywione trawy — szczególniej na nizinach w pas człowiekowi sięgały.

Tylko uchowaj Boże ognia, paliły się, jak hubka, bo spodem poschłych badylów leżało grubo.

Jeszcześmy z Bukowiny nie wyszli, gdy do króla przybył z oświadczeniem gotowości poddania się hospodara, powinowaty jego, zapraszając do Jass, aby zapobiedz zbieganiu się mieszkańców. Jednakże wielkim jego obietnicom wierności i poddaństwa wiary niebardzo dawano, po tylokrotnych zdradach. Na dni trzy od Jass, posłano przodem osiem tysięcy ludzi, aby je zajęli, ale hospodara, który się tak serdecznie oświadczał, ani rodziny jego już nie zastaliśmy. Wszystko to pierzchnęło, skarby swe zabierając z sobą.

Położenie Jass bardzo piękne, miasto zbudowane porządnie, cerkwie jak zamki obronne, ogrody, winnice dokoła, — wszystkim po przebyciu lasów i pustkowiu rajem się wydały.

Zamek pryncypalny na wzgórzu, mury bardzo stare i nieforemne, ale bardzo mocne. Znaleźliśmy w nim sale i komnaty mozaikami i złoceniami przyozdobione bogato, jakich się nigdy tu spodziewać nie było można.

Lud też dorodny, silny, piękny, mężczyźni rycersko wyglądający, mowa do włoskiej podobna. Wojsku naszemu król jak najsurowsze wydał rozkazy, aby nikomu najmniejszej krzywdy czynić się nie ważono, tak samo, jak wprzód w Węgrzech, dbając o to, ażeby ludzie spokojni, pracowici nie cierpieli niewinnie z powodu wojny. Serce jego zawsze o tem pamiętało.

Myśmy z obozem królewskim o mil sześć od Jass się rozłożyli i król to poselstwo mieszkańców z duchowieństwem i biskupem przyjmował.

Nie chciał król bliżej podchodzić, aby wojsko mieszkańcom mimowoli ciężarem się nie stało, bo szczególniej utrzymać ciurów zawsze trudno. Na prośby jednak biskupa i starszyzny, którzy do stolicy zapukali bardzo uprzejmie, nie więcej, jak w kilkaset koni pojechał.

Życzyli sobie, aby im dał znać, gdy przybyć ma, aby go przyjęli uroczyście, ale król tego nie chciał i ruszyliśmy niespodzianie, a Prut przebywszy u ujścia do Bachlui,

pięknemi łąkami dostaliśmy się do Jass wprost na zamek.

W mieście, ledwie się spostrzegli, że przybywamy, biskup, duchowieństwo, mnichów moc zebrała się na powitanie,—król bardzo łaskawie z nimi rozmawiał i obiad zjadłszy, siadł na koń, objeżdżając cerkwie, miasto, rynki. Położenie mu się bardzo podobało, bo wistocie piękne jest i wesołe. Ogrody i winnice dokoła.

Po powrocie do obozu wysłał król dla załogi półtora tysiąca piechoty i osiemset koni a resztę cofnął nazad.

Zamiarem było Sobieskiego zająć Wołoszczyznę całą, postępując aż do Dunaju i osadzając załogi po opuszczonych zamkach i miastach,—a bodaj i zimę tu z wojskiem przepędzić.

Król przez swoich Tatarów i Turków, których miał przy sobie, a ci się do niego, jak do ojca przywiązywali, miał zawsze najlepsze wiadomości z Konstantynopola i teraz wiedział że Turcy naprzeciw niego gotowali się we czterdzieści tysięcy, więcej wysłać nie mogąc, bo zewsząd byli oskoczeni. Do nich przyłączyć się mieli Tatarowie Pogajscy i z Budziaku. Spodziewał się król jedną bitwą szczęśliwą rzucić popłoch na ordy i przepędzić je precz z Bessarabii i sąsiednich krajów.

Pochód nasz z tego powodu się przeciągnął, że krom Prutu, wody nie było nigdzie i dla niej musieliśmy się ciągle trzymać ponad brzegami.

Z obozu na tej równinie cesarskiej, gdzie król opłakiwał zgon dziada swojego i nabożeństwo za jego duszę odprawiać kazał, wojsko szło dalej do Falesi, mało nie dwie niedziele, jakom powiedział dla wody. Zapewniano króla, że zamek znajdzie opuszczony, jako inne,—ale nie w gorszym stanie od nich—tymczasem na miejscu się okazało, że tylko gruzy z niego obalone na kupy pozostały. Ani jednego budynku—ani jednej ściany całej nie znaleźliśmy, oprócz kościoła. Ale gdyby nawet i w lepszym stanie zamek się okazał, na nicby się nie zdał, jak twierdzili inżynierowie—bo dokoła był opasany wzgórzami nad nim panującemi, tak, że jak w kotlinę do niego było można strzelać.

Posucha, znużenie wojska, kraj pustynny,—skłoniły króla, dalej już nie idąc zawrócić, odkładając na rok przyszły dokończenie. Załogi tylko po zamkach miały się wzmocnić. W Galaczu most wystawiono i przeprawiliśmy się za Prut, gdzie paszy i lasu było poddostatkiem.

Czwartego dnia po rozpoczęciu odwrotu od Falisi, pokazali się nam po raz pierwszy Tatarowie, a i tu dopiero rozpoczęła się taka heca, na którą patrzeć było a dziwować się tylko, a kto tam był, nigdy jej nie zapomni. Szli naprzód Tatarowie po jednej stronie rzeki, my z drugiej, krok w krok za nami, ale prawie nas nie śmiejąc zaczepiać, tylko z hałaśliwemi krzyki i wrzaski. Potem przeprawili się na naszą stronę, trzymając zdaleka.

Między naszem kozactwem a ciurami i niemi poczęła się nieustanna szermierka. Nie upłynęło godzin kilka, żebyśmy języka nie dostawali. Zasadzano się w wąwozach nad rzeką na Tatarów, po zaroślach, po dołach i chwytano ich ciągle.

Tatarowie, żeby nam utrudnić pochód, zapalali suche trawy, które płonęły jak słoma. Wiatr niósł zwęglone badyle, popioły, czarny proch, a że żołnierz był dla okrutnego gorąca ciągle w potach, a sadze te na nas osiadały, wyglądali wszyscy jak murzyni. Króla nie było można poznać, ale śmiał się, spluwając. Co było robić, królewicz Jakób, który nam towarzyszył wraz z garstką Francuzów i Kozakami, puszczał się bardzo zuchwale na Tatarów, tak, że po kilkakroć był w srogiem niebezpieczeństwie, ale mężnie sobie poczynał.

Dalej już i tureckie wojsko i obozy z działami wystąpiły, ale ciągle się trzymali po drugiej stronie rzeki, do której dostać się dla napojenia koni było trudno bez strzelania i krwi przelewu.

W pustyni tej, którąśmy przebywali, krom ogórków i kawonów żadnego posiłku nie mieliśmy, a z tych tylko biegunka i śmiertelność rosła.

Pomimo trudności pochodu i ciągłej czujności dniem i nocą, tych pożarów, skwaru i okrutnego niebezpieczeństwa, wojsko było takim duchem ożywione, iż niemal za

zabawkę sobie poczytywano te harce z Turkami, w których Kozacy się szczególniej odznaczali.

W stepach tych ciągle ogromne mogiły odwieczne, groby jakieś spotykaliśmy, z których wierzchołka można było cokolwiek dalej okiem sięgnąć.

Ledwieśmy którą z tych mogił opatrzywszy odeszli, Tatarzy za nami idący natychmiast na nią się wdrapywali.

Młodzież z tego korzystała, aby im sztukę spłatać i zakopywała bomby z długim lontem tlącym się, pokryte darniną. Tatarowie się zbiegali na wierzchołek mogiły i w powietrze ich wysadzało. Tak samo zdechłe konie, na które łakomi byli, nasi im faszerowali bombami—i ginęło ich tak różnemi sposobami, w zasadzkach bardzo wielu.

Król się z syna cieszył, iż śmiało i ochotnie codzień dokazywał, tak, że niewolnika mu przyprowadzał, — ale obawiając się o niego straż mu dodawać musiał, bo był kilka razy tak osaczonym, iż ledwie go odbito.

Z Tatarami tysiącznemi sposoby igraszki sobie krwawe czyniono, na mogiłach, na ścierwie końskiem, na starych połamanych wozach, które gratami napełniano; — tak byli chciwi lada mizernej zdobyczy, że się ciągle na to brać dawali.

Dziś mi już spamiętać trudno wszystkich tych utarczek, które dzień w dzień po sobie następowały i, co prawda nie dawały nam spoczynku. Strat z naszej strony nie było znacznych, ale wojsko i pochodem i czuwaniem wielce było zmordowane. Parę razy Turcy nam zaskoczywszy drogę z działami na zakrętach rzeki, niby do boju wyzywali, ale nasze działa bardzo prędko ich zmuszały poprzestać ognia i ustępować. Nasza lekka jazda też kilkakrotnie się przedostała na tamtą stronę i wpadła po nocy na ich obozowiska, znaczną rzeź w nich sprawując, i popłoch roznosząc, ale z tego wszystkiego skutku nie było żadnego ani korzyści.

Król fatygi niezmierne tej wyprawy znosił tak szczęśliwie, że dziw było na niego patrzeć. We wszystkich tych niewygodach, trosce o wojsko, głodzie i skwarze, nigdym go takim nie widział, jak nieraz w Żółkwi lub Jaworowie,

gdy mu jejmość, siejąca niezgody, kłótliwa, gniewna, życie zatruwała.

Takeśmy znowu przyciągnęli na owe pamiętne pola pod Cecorą i tu postanowiono tegoroczną wyprawę dokończyć, wzmacniając tylko załogę w Jassach piechotą, działami, kulami i prochem.

Królewicz Jakób, kilku Francuzów i ja z nimi dojechaliśmy do monumentu i piramidy wzniesionej na pamiątkę poległego tu z synem Żółkiewskiego, gdzie dotąd zachowany napis łaciński czytaliśmy.

Wszędzie po drodze w zamkach król załogi poumieszczał, mury naprawiać i okopy sypać nowe nakazał. Można więc było pocieszać się tem, że choć żadnego znaczniejszego nie odniósł zwycięstwa, przecież opustoszały kawał kraju na nowo do życia przywrócił i handlowi, który tą drogą iść był zwykł dawniej, na nowo ją otworzył i zabezpieczył...

Rozpisałem się nieco o tem, na com patrzył, mogę powiedzieć z królewskiego namiotu, z którego mi się cała ta wyprawa nie tak skwapliwą wydawała, jak ją później z innych ust opisywaną słyszałem. Trudno dziś wszystko zapamiętać. Niejeden raz sprzeciwiano się królowi, do odwrotu naglono, narzekano, wojsko się skarżyło, przecież strat nie mieliśmy żadnych, a król sądził, że zajęciem Wołoszczyzny cel na teraz osiągnął.

Ja ze dworem naszym i panem do Żółkwi powróciłem, gdzie nieraz służba cięższą mi była, niż w polu... W Żółkwi mieliśmy wypoczywać, ale nas tu już oczekiwało poselstwo moskiewskie, zjazd senatorów i szlachty ogromny i powszednie nasze kłopoty, od których król nigdy wolnym nie był.

Trzeba na to było patrzeć a słuchać. Zabiegano o każdy wakans tak zawczasu, że jeszcze nie ostygł, albo i nie umarł ten, co urząd albo starostwo trzymał, a już dziesięciu się ze swemi zasługami dla ojczyzny—królowi naprzykrzało. Łapano go w ogrodzie, na polowaniu, w stajni, wkradano się do antykamery, przekupywano ludzi, zyskiwano o. Votę, Junosza, Betsala, Aarona, Wardeńskiego. Król wkońcu znużony ulegał.

Ledwie słowo dał, gdy wpadała królowa z zawiadomieniem, że ona już komu innemu wakans przyrzekła. Więc wojna, rzucanie drzwiami, krzyki, mdłości, wymówki, symulowana choroba, króla ani na oczy.

Sobieski zaś, gdy raz komu słowo dał, święte u niego było. Więc co jego proszono, on się wypraszać musiał a zaklinać, aby go dla miłości Bożej zwolniono, bo mu marnie ginąć przyjdzie.

Matczyński, o. Vota, albo kto z bliższych musiał w sukurs przychodzić, aby inaczej uspokoić petenta a króla wyswobodzić z męczarni.

Trafiało się to nie raz w miesiące, ale niemal każdego dnia. Królowa od wakansów brała jawnie pieniądze, czasem je i dla króla warowała.

Całą pociechą było staremu, gdy wieczorem, dzień ciężki przebolawszy, na rozmowę około siebie zgromadził duchownych i światłych ludzi, najczęściej cudzoziemców. Tu rozprawiając o nieśmiertelności duszy, o końcu człowieka, o religii, obyczajach, o nowych wynalazkach, których był nadzwyczaj ciekawym i chciwym, — zapomniał, co przecierpiał, aby nazajutrz znowu pod toż samo jarzmo powrócić.

Chociaż ciągle mając go na oczach, nam domownikom mniej się może dawało czuć powolne starzenie się i ociężałość,—wszelako i my nawet widzieliśmy go coraz częściej cierpiącym.

Troska o rodzinę, niesnaski z żoną, polityczne zabiegi, które nieustannie go otaczały, w ostatku gotująca się walka między synami, którą królowa podsycała swą niechęcią dla Jakóba a pieszczotami Aleksandra i Konstantego— nawet tak świętej cierpliwości człowieka wkońcu złamać musiały; tracił wiarę w ludzi i ochotę do życia, czuł, że swej woli nie mogąc mieć teraz, po zgonie spełnienia jej spodziewać się nie może.

Bolał więc i drętwiał tak w oczach naszych powoli.

Bywało też, żem sypiając z Morawcem obok niego, pierwszego przechodzącego widział, gdy się obudził. Nogi mu już często brzęknąć poczynały, owa blizna jeszcze pod Beresteczkiem z otrzymanej rany przypominała się, gdziekol-

wiek dawniej stłuczenia miał na ciele, teraz się odzywały łamaniem w kościach. Naprzód więc z Francuzem sługą razem i felczerem musiał mieć do czynienia. Potem dopiero z odzieżą myśmy przystępowali. Naówczas często rozmowami nas zabawiał i wypytywał. Pomnę raz w Żołkwi, sam byłem przy nim, bo Morawca do ogrodu posłał po owoce.

— Cóż ty, stary—zapytał mnie, śmiejąc się—nie myślisz się żenić? A jużby ci czas.

— Ochoty nie mam,—rzekłem.

— O! o! tak rozumny jesteś?—odparł,—a cóż Boncourowa.

— Właśnie mi ta do małżeństwa dysgust taki sprawia—mówiłem śmiało.—Piękność jej po dziś dzień mnie czaruje, ale co po tem, kiedy serca nie ma—a płocha nad wyraz.

— Ale nie wszystkie się w nią wdały—rzekł król—mógłbyś sobie znaleźć inną.

— N. panie—odezwałem się śmiało,—do innej serca nie mam, a ta, którą wybrałem, serca nie warta. Więc pozostaje mi więc ino...

— Cóż! chcesz kapucynem zostać?—rozśmiał się.—Wiesz, że dla tych moich najulubieńszych dzieci św. Franciszka budują klasztor w Warszawie. Chcesz tam być pierwszym brodatym mnichem polskim?... hę?

— N. panie—na zakonnika ja się też nie czuję powołanym. Brata już mam u oo. Jezuitów...

— Wiem.

— Dosyć będzie jednego—dodałem.

— Wielki rozum masz—rzekł po namyśle Sobieski,—ale przecież końca nie widzę. Starym kawalerem zostać nie dobra rzecz. Wprawdzie Polanowscy przez to nie wygasną, bo was dosyć jest, ale co na starość sam robić będziesz?

— Bóg wie, czy ja jej dożyję, N. Panie—odrzekłem.

Na tem się skończyło, ale król mnie zawsze potem rozumnym zwał i tłumaczył to wszystkim tem, żem kochając się w płochej kobiecie, namiętności nie uległ.

— Niewola namiętność—powtarzał,—a kto się jej raz da obuzdać, już go nie puści aż do zgonu.

Mówił to sam o sobie... chociaż mnie się zdawało, że wielka ta miłość dla wszystkich śliczności Marysieńki bardzo już była osłabła;—królowa hoża była jeszcze, ale po pięćdziesięciu leciech, przy największem staraniu o zachowanie świeżości i piękności, kosmetykach, smarowaniach, bielidłach i barwiczkach—młodości przywrócić nie było sposobu.

Królowi na Rusi było jakoś najlepiej i najswobodniej, czuł się tu w domu, i rad przesiadywał, ale i to go tu trzymało, że z Kamieńca oczów nie spuszczał. Nic już więcej nie pragnął nad to, aby go mógł odzyskać.

Królowa zaś, choć nie z przywiązania, ale z interesu rada była go do Warszawy i Wilanowa wyprawić, zapobiegając temu, żeby się już na nowe wyprawy nie puszczał. Obawiała się bowiem zgonu jego, wiedząc, jakie on mógł i musiał sprowadzić zamieszanie.

Szło jej o to, aby Jakóba, jako narodzonego za marszałkostwa Sobieskiego, od tronu wyłączyć, a Aleksandra w miejsce jego postawić, który był synem królewskim, o czem król słuchać nie chciał. Kochał on wszystkie swe dzieci równo, ale dla Jakóba miał najwięcej słabości, bo go widział pokrzywdzonym.

Królowa się nie kryła z tem, że go niecierpiała, a i on też wkońcu ostygł dla matki, z Aleksandrem prawie się nie spotykał, tylko, gdy musieli oba się stawić na pokojach.

Myśmy, wypocząwszy tego roku w Żołkwi, pojechali do Lwowa, gdzie przez kilka tygodni król wypoczywał, ciągle tłumem szlachty i panów otoczony.

Następnego roku król już sam nie wychodził w pole, wyprawił królewicza Jakóba z Jabłonowskim i Sapiehą—ale nic nie sprawili, tyle tylko, że Turków zaalarmowali. Sejm króla znowu struł i zszedł na niczem, dzięki francuskim zabiegom.

Litwa z Polską w czasie tym niemal do wojny przychodziła—tak, że ani dnia nie mieliśmy spokojnego,—królowa, hetman i cała partya francuska żgała przeciwko nieszczęśliwemu panu, tak, żeśmy musieli strzedz, aby niepoczciwych paszkwilów i wizerunków, w których był na

pośmiewisko wystawionym, nie znajdował na wrotach i drzwiach przybitych.

Malowano go bezecnie z ojcem Vota i Jezuitami odprawującym procesyę sromotną,—a znajdowali się słudzy, co po pokojach rzucali te szkarady... Serce boli pisać o tem, a pióro się wzdryga.

Nie jeden, ale niezliczoną ilość razy znajdowałem go i słuchałem lamentującego przed biskupem Załuskim nad przyszłością Polski.

Mógł sobie wprzódy król pochlebiać, że Jakóbowi tron zapewni,—ale we własnej matce znajdował nieprzyjaciela, a dwór rakuski też na monarchię dziedziczną w Polsce dozwolić nie chciał.

O sejmach pisać nie chcę i nie mogę; znajdą się ich dyaryusze mniej więcej wierne, na srom nasz i pohańbienie. Przeciwko intrygom królowej, rzucającej się namiętnie na jedną lub drugą stronę, przeciwko frakcyom panów, współzawodnictwom prywaty—bohaterstwo Jana ani wielki umysł jego, ani serce szlachetne nic nie mogło.

Pod koniec panowania wielki ów gmach starej rzeczpospolitej, która się zwycięstwami orężem Jana podniosła i uratować mogła,—zaczął grozić ruiną. Prawda, że wpływy obcych mocarstw się do niej wielce przyczyniły, że na tej naszej krwawej szachownicy dwór rakuski i francuski walczyły z sobą o lepszą, ale bez naszego rozprzężenia, nieładu i prywaty nigdyby do tej ostateczności nie doszło.

Mnie tylko miłość dla króla trzymała przy nim, bo mi tu wszystko srodze zbrzydło.

Wcisnąwszy się do izby sejmowej nieraz człek nie wiedział, czy płakać, czy rąbać i siekać zuchwałych warchołów! W oczy nieszczęśliwemu panu rzucano przezwiska tyrana, despoty, ciemiężyciela, dążącego do zagłady swobód. Wołano, aby przestał rządzić, a gdy on już sam gotów był złożyć koronę, nie dopuszczano.

Pamiętam tę poruszającą scenę, gdy wytrwawszy obelżywości, nawoływanie, szyderstwa, wstał prawie ze łzami w oczach i przemówił ze łkaniem w głosie:

— Bóg mi poszczęścił w bitwach—mówił,—ale ojczyzny ocalić nie zdołam... Pozostaje mi zdać zbawienie

jej nie na los, bom chrześcijanin i wierzę w Opatrzność Bożą, ale na to, co Bóg przeznaczył. Nie wierzę w wieszczby żadne, w wyrocznie i sny prorocze. Wiara mnie uczy, że wyroki boskie spełnić się muszą. Potęga i sprawiedliwość Tego, który rządzi światem, losy narodów naznacza; tam, gdzie za żywota panującego wszystko wolno, gdzie ołtarz przeciw ołtarza stawią ludzie, gdzie cudzych bogów sobie szukają, tam pomsta Najwyższego niedaleka.

Panowie senatorowie — w obliczu Boga i świata, rzeczpospolitej całej, świadczą o mojem poszanowaniu swobód naszych, poprzysięgam zachowanie ich takiemi, jakem je miał powierzone.

Nic nie potrafi zachwiać moją wiernością dla tego świętego depozytu, nawet niewdzięczność, ten potwór natury. Gotówem do ostatka życia święcić na ołtarzu religii i rzeczpospolitej, spodziewając się Bożego miłosierdzia, którego poświęcającym się dla narodu, nigdy łaska Pana nie odmawiała.

Dopiero mowa ta poruszyła serca, kardynał Radziejowski przyszedł do tronu, protestując w imię rzeczpospolitej, że wiary panu swemu dodawać miała.

Uniosła się cała izba żałością wielką i wzruszeniem,— głosowali jako jeden, ale trwało to właśnie, ile czasu zabrało wyjście z sali... Ci, co się w niej popłakali, śmieli się już wyszedłszy, bo u nas gorączki dostać zawsze równie bywało łatwo, jak jej pozbyć.

Po tym sejmie następnym zaraz frakcye wystąpiły z taką siłą, jak przedtem, królowę mając na czele. Rzeczby się zdawać mogła nie do wiary, gdyby nie była, niestety, aż do zbytku sprawdzoną i jawną. Nie odkrywała się królowa ze swem wspólnictwem w intrygach Jabłonowskiego, Opalińskiego, Lubomirskiego, Rafała Leszczyńskiego, ale król ich się mógł domyślać, albo i zawiadomionym był przez Matczyńskiego i biskupa Załuskiego.

Weszło w zwyczaj malować króla na różny sposób wykrzywiającego się, który choć podpisanym nie był, po otyłości i wąsach każdy go rozpoznał łatwo. Dawniej tedy w procesyi idącego z o. Votą, a teraz z okazyi układów

z Hollendrami, konterfektowano go jako kupca, któremu żydzi pomagali ładować kieszenie.

Niepraktykowane to dotąd u nas zuchwalstwo nieposzanowania dla majestatu nie mogło powiększyć,— a że uchodziło bezkarnie, poczynano sobie z królem, jak z bezbronną ofiarą. Biskup chełmiński Opaliński w oczy królowi rzucił na sądach sejmowych:

— Bądź sprawiedliwym lub przestań panować.

Nie uszło to wprawdzie całkiem płazem biskupowi, bo się na niego oburzono i kasztelan sandomirski zawołał, że Polska choruje na gorączkę, a nie będzie zdrową, aż jej krwi upuszczą.

Opaliński, uląkłszy się tej gorączki, zemknął. Złapano go, przyprowadzono i na klęczkach musiał króla przepraszać, który wszystko i zawsze przebaczał. Nie było przykładu, ażeby na kogokolwiek nastawał, ale tą dobrocią więcej ośmielał niż rozbrajał.

Matczyński, wojewoda bełski, który grozą był przejęty, krzyknął naówczas, że wszystkich biskupów wartoby do kupy zebrawszy, do Rzymu odprawić... Obrażony Załuski na to:

— Zapominasz panie wojewodo, że my, nim zostaliśmy biskupami, byliśmy szlachtą i zasiadamy tu takiem prawem, jako i wy.

Dopiero ich król, łagodnie się wdawszy, pogodził. Sejm zszedł na kłótniach, bo i o dobra Radziwiłłowskie na Litwie, które konfiskować chciano dla Jakóba królewicza, zatarg był z Sapiehami. Zerwał sejm jeden, potem drugi warchoł, bo nieprzyjaciele królewscy postanowili go nie dopuścić,—poszli za nim w pogoń,—aż do pałacu hetmana litewskiego, do którego się schronił napróżno. Ten w oknie lulkę kurząc, na zapytanie o zbiega, szydersko im odpowiedział, że Pan Bóg mu straży nad tym bratem nie powierzył.

Nadeszła noc. Tumult w izbie niesłychany, Litwin biskupowi po omacku policzek daje, szable dobywają— zgroza! Brandeburski minister z kieszeni gubi list, w którym stoi, że Sapiehowie wzięli sześćdziesiąt tysięcy, aby sejm

zerwać—i nic im za to! Powracają bezkarnie do domów, zostawując króla i rzeczpospolitą na lodzie.

Do wszystkich tych zgryzot przybyła sprawa Łyszczyńskiego, oskarżonego o to, że w Boga nie wierzył, którego osądzono na ciężką śmierć, czego ani Ojciec św. Innocenty XI nie pochwalił, ani król bez utrapienia i boleści nie mógł przenieść, bo się zdawna w Polsce nie trafiło, aby tak okrutnie bezbożnych karano. Drudzy zaś nawet Łyszczyńskiego niewiernym głosili.

Przywiedziony do ostatka polecił już Sobieski kanclerzowi akt abdykacyi przygotować, gdy królowa przestraszona, niepewna przyszłości, zapobiegła, aby nie przyszedł do skutku.

Ja w tych czasach naprzemiany to przy królu, to w domu przesiadywałem, gdyż matka moja najukochańsza coraz słabszą się czuła i chociaż gospodarstwa z rąk nie puszczała, już mu nie mogła podołać sama, i zięcia na pomoc wzywała, a mnie nakazywała, abym nadaremnie przy dworze nie wisiał. Król wistocie, chociaż mi się zdawna obiecywał, nic dotąd prawie dać nie mógł, bo wszystkie do rozdania wakanse, bodaj najmniejsze, zawczasu królowa przyrzekała—tak, że jam zawsze przybywał po harapie.

Król naostatek, mimo francuskich intryg Jakóba, o którego przyszłość się obawiał, zdołał go ożenić po myśli z księżną Neuburską. Bethune się wściekał, dużo pono pieniędzy wysypał, ale zapobiedz temu nie potrafił.

Wszyscyśmy to naprzód przewidywać mogli, iż królowa JMość synowej swej pokoju nie da i życie jej zatruje...

Tak się też stało. Jakóba żona, młoda piękna i z rodu wysokiego, podobać się nie mogła i musiała być na różne sposoby prześladowaną. Aleksander, ledwie dorastający, stawał przy matce przeciwko bratu. A król? Król powoli, nie mogąc niczemu już zapobiedz, w oczach nam drętwiał i stawał się obojętnym na wszystko. Nie poruszały go już ani paskwilusze, konterfekty złośliwe, ani głosy sejmowe, ani zamkowe waśnie, które zwykle od tego się poczynały, że ktoś ze sług królowej zadzierał się z naszymi, a od czeladzi szła waśń do góry i kończyła się między kró-

lową a mężem. Jan nasz dla najukochańszej Marysieńki w słowach był zawsze owym Celadonem i Orondantem, ale czasem się to wydawało gorzką ironią, gdy te imiona zapomniane na usta wróciły... *Post tot discrimina* miłość ta czysto cielesna, musiała ostygnąć—a innej dla królowej mieć i zachować nie było można. Jawnem było i dla króla, że Marya Kazimiera gotową była ślubować Jabłonowskiemu, gdyby go na tron wyniesiono,—że więcej się troszczyła o skarby, zachowane częścią w Żółkwi, częścią w Warszawie i Gdańsku, niż o serce mężowskie.

Przychodziło do tego, że gdy niedomagał, przez Załuskiego, przez kogo tylko zdołała, starała się wrzekomo dla spokoju i zgody nakłonić króla, aby ostatnią swą wolę spisać kazał. Przytem spodziewała się natarczywością dla siebie naprzód, potem dla Aleksandra wyrobić znaczniejszą część spadku.

Ale tu się okazało, jak temu naszemu panu serce już dla niej, a nawet dla dzieci krom Jakóba ostygło. Nalegania więc, napomknienia, rozmaite środki, jakich jejmość zażywała, aby króla skłonić do uczynienia testamentu, rozbiły się o tę jego ostygłość, odrętwienie jakieś i obojętność na wszystko.

Bywało tak, że gdy Załuski, biskup kijowski, do niego przychodził i zawiązywała się między nimi naówczas długa rozmowa, drzwi między sypialnią a gabinetem, w którym zawsze jeden z nas blizko progu siadywał, stały otworem. Łacno więc było słyszeć wszystko, co mówili. Dziś mi to powtórzyć trudno, ale sens ogólny tych rozmów przytomnym mi jest, jakbym ich jeszcze słuchał.

Biskup oczywiście, jako kapłan duchowny, wszystko tłumaczył i do woli Bożej odnosił,—król też nie inaczej mniemał, ale wpadał zaraz w ogólne uwagi nad kondycyą ludzką, nad niestałością rzeczy ludzkich, nad płochością serc i przewrotnością.

Ciężko pod ostatek życia na los swój narzekał, nie zdradzając się z tem, co myślał, iż wszystkiego przyczyną była królowa i namiętność jego dla niej.

— Pan Bóg mi, jak na igraszkę—mawiał do biskupa—dał wszystko, czego tylko człowiek zapragnąć może,—

zwycięstwa nad nieprzyjaciół, sławę szeroką u ludzi, koronę na skronie, purpurę na ramiona—bogactwa... a no szczęścia nie zaznałem nigdy. W każdej rozkoszy robak siedział i zatruwał ją. Ludziom się mogłem wydawać tryumfatorem, gdym najbiedniejszym był wistocie. Ani to moje męczeństwo się komu na co przydało, ani dzieciom, ani Marysieńce, ani rzeczypospolitej!

Srogim nie umiałem być, bom tego w naturze nie miał, a dobrociąm sobie nikogo nie pozyskał. Z przyjaciół do ostatka mało mi kto został wiernym. Słowem wszędzie i zawsze doznawałem zawodu.

Czasami, śmiejąc się do biskupa kijowskiego, upewniał, że najwdzięczniejsze bywały mu drzewka, które sadził, dające owoce i kwiaty.

— Z nich jednych miałem pociechę—mawiał,—ale co potem, gdy pomyślę, że te sady i ulice, którem ja starannie powysadzał w Olesku, w Żołkwi, w Jaworowie, Wilanowie, gdy ja oczy zamknę, spotka los wszystkich dzieł ludzkich. Podziczeje to, albo kto powycina—za sto lat śladu ich nie będzie...

Biskup Załuski, który króla znał, kochał go i wiedział, jak z nim poczynać,—bardzo zręcznie do testamentu go nakłaniał,—bo widział też iż był potrzebnym, aby zapobiedz nieuchronnym zatargom między rodzeństwem, Jakóbem i matką a Aleksandrem.

Gdy tylko do tego przychodziło, król ostygał.

— Mój ojcze—powtarzał,—jam nigdy za żywota nie potrafił woli mojej przeprowadzić—i posłuch dla niej wymódz lub poszanowanie, a wy sądzicie, że mnie z za grobu szanować będą?

I zaraz poczynał o czem innem.

Królowa, gdy Załuski był na rozmowie, podsłuchiwała, zżymała się, ale sama nie śmiała nalegać, bo już nie miała dawnej władzy nad nim.

W 1691 król na wyprawę idąc, choć mu odradzano, dla ran, które się odnawiały i dla tuszy a ciężkości—nie mógł się oprzeć temu, aby z sobą na prośby królowej, nie wziąć Aleksandra. Jakóbowi to było solą w oku... Po-

czął krzyczeć i narzekać, iż to jest spisek przeciwko niemu, że Aleksandrowi chcą dać pierwszeństwo.

O mało nie przyszło do wielkiego zgorszenia i rozerwania wczesnego, bo Jakób manifest chciał uczynić przeciwko ojcu i bratu, a sam się z Polski wynosić.

Król się znalazł w wielkiem utrapieniu, bo go postępowanie pierworodnego oburzyło, na posponowanie Aleksandra pozwolić nie mógł, widział w tem niesprawiedliwość. O włos że do zerwania z Jakóbem nie przyszło, gdyby w porę go nie upamiętano, iż sam na zgubę idzie.

Musiał ojca na klęczkach przeprosić i obaj bracia poszli razem na wyprawę—która króla goryczą nakarmiła, bo ciągle baczyć musiał, aby się ocierając o siebie, nie wybuchnęli tą nienawiścią jaką mieli ku sobie.

Jakóba, zuchwalszego, trzeba było ciągle mitygować, bo chodził zwarzony i zły ciągle, gdy Aleksander natomiast serca sobie zyskiwać się starał nadzwyczajną uprzejmością dla rycerstwa, łagodnością i szczodrobliwością. Słyszałem króla mówiącego, że mu ta wojna cięższa była, niż z muzułmanami.

Jakóba podszczuwano, a i on też sam gwałtowniejszego był temperamentu i na miłość ojca więcej liczył; Aleksander zaś, zwyciężywszy, i ojcu i nam wszystkim tak był akomodującym, że go choć do rany było przyłożyć.

Była to ostatnia wyprawa króla, co on sam pewnie przewidywał, chociaż nigdy nie mówił o tem. Jabłonowski i Sapieha odtąd hetmanić mieli... Obrzydł świat, ludzie i dwór królowi, a od tumultu uciekał i krył się po ogrodach, szukając samotności. Często senatorowie napróżno na niego oczekiwali, gdy on z Łukaszem ogrodnikiem, w płóciennym kitlu siedząc na ławie godzinami się zabawiał rozmową.

Gdym mu nieraz przybiegł dać znać, że któryś z wojewodów lub kasztelanów czekał—odpowiadał z przekąsem:

— Zalmelduj go królowej jejmości,—albo: powiedz Matczyńskiemu, niech go zabawia — ja czasu nie mam...

Uśmiechał się złośliwie i ręką dawał znać, aby mu nie dokuczano.

Wychodził, prawda, potem do swych gości z dosyć pogodnem obliczem, ale jak skoro który z nich tknął spraw publicznych, natychmiast rozmowę odwracał— albo o owocach, o ogrodzie lub o czemś powszedniem zagajając, tak że gość raz albo dwa popróbowawszy, musiał zmilczeć i odchodził z niczem.

Królowa natomiast zabawiała się, przyjmowała, otaczała dworem i gośćmi, szczególnicj cudzoziemcami, z wielkim przepychem i okazałością ich przyjmując. Ale najczęściej się tak składało, że król jegomość zdrowiem się od tych uroczystości wymawiał i pozostawał w szczupłem kółku przyjaciół na osobności, lub na chwilkę się ukazawszy, znikał, rozbierał się i wygodnie spoczywał, nie mieszając do towarzystwa.

Ojciec królowej, stary d'Arquien, pycha uosobiona, który we Francyi nie mogąc grać roli, jaką chciał, tu sobie stanowisko przywłaszczał, próżności jego dogadzające— prezydował zwykle na pokojach.

Król go oczywiście szanować musiał, ale rad omijał, bo mu rodzina cała dosyć już dojadła... królowa zaś z jednym tym ojcem była w zgodzie, bo z siostrami i szwagrami często rozbrat bywał i na dworze się nie pokazywali. Łaskę u niej zdobyć było łatwiej, niż ją utrzymać, gdyż ludźmi pomiatała, służyć sobie kazała, zaprzęgała ich w niewolę taką, że rzadko kto mógł wytrzymać. Na dworze wiekuiście, można powiedzieć, panowała wojna, bo bez niej zgryźliwa królowa nie mogła wytrzymać.

O sobie pod te czasy niewiele mam do zapisania: Boncourowa, która się za mąż napróżno wydać chciała, ciągle przy dworze królowej, jak wiele innych wisiała, tam się trzymając, że zawsze coś miała do doniesienia, a gdy plotki brakło, łacno ją z niczego tworzyła. Polowała na wielu, a powracała do mnie, snać rachując napewno, że gdy się nic lepszego nie znajdzie, weźmie, kiedy zechce. Na tem się wszelako omyliła. Miałem dla niej zakamieniałą pasyę, ale żenić się nie mogłem. Na wsi - by ona nie wyżyła, a jam się nie wyrzekał tego, by życie zakończyć

starym obyczajem w swem gnieździe. Już mi też powoli starzejącemu wszelka myśl ożenienia odeszła.

Boncourowa ciągle goniąc za małżeństwem — wkońcu zdesperowawszy, postanowiła się rozprawić ze mną stanowczo. Zaprosiła mnie więc raz do siebie na ową kawę, która podówczas po wiedeńskiej naszej wyprawie w używanie wchodziła, choć nie wszyscy w niej gustowali.

Byłem dla niej zawsze grzecznym i nadskakującym, bo to już w obyczaj weszło. Siedliśmy naprzód przeciw siebie, baraszkując,—aż nagle Boncourowa zagadnęła:

— No—a co, panie Adamie, dosyć już długo konkury wasze trwają, trzebaby im koniec uczynić jakiś. Mnie też zamąż wyjść pora... Myślisz się waszmość żenić ze mną?

Ani postrzał w piersi nie byłby mnie raził mocniej nad to pytanie... Musiałem milczeć chwilę.

— Piękna pani—rzekłem,—gdybym się ja ważył z nią żenić, oddawnabym się z tem oświadczył...

— A więc?—przerwała, brwi marszcząc groźno—Wpan mi dajesz odkosza.

— Uchowaj Boże — odparłem,—bo ja to za żart z jej strony uważam. Żenić się ja nie mogę.

— A to dlaczego?—spytała opryskliwie.

— Bom ja wieśniak i prędzej czy później na wieś mi do mojej ubogiej chaty szlacheckiej powrócić przyjdzie, a pani tam wytrwaćby było niepodobieństwem.

— Tak waćpan sądzisz?—odparła szydersko.

— Jestem tego pewnym—rzekłem,—dwoje-by nas nieszczęśliwych było;—waćpani w tym świecie, do którego nie jesteś nawykłą, a ja patrząc na nią i tej nieszczęśliwości czując się przyczyną.

Zagryzła usta i pokręciła główką.

— Jakbyś to waszmość dla mnie nie mógł do miasta się przenieść, wioskę zadzierżawić i tu sobie stworzyć świat po naszej myśli?

— Niemożliwa to jest rzecz—odezwałem się.

Rozmowa się na tem urwała.

Musiała zaraz w żart obrócić swą propozycyę, oświadczając, że mnie tylko próbować chciała. Od tego

dnia rozbrat wiekuisty między nami się począł i zyskałem w niej nieprzyjaciółkę skuteczną,—zabiegającą na wszelki sposób, aby mi szkodzić mogła. U królowej więc naprzód postarała się, aby mnie, jako jej nieprzyjaciela,—całkiem oddanego królewiczowi Jakubowi odmalować. Zrobiła mnie donosicielem, króla podszczuwającym i wielce szkodliwym interesom jejmości.

Postrzegłem to rychło, bo królowa, co była dla mnie obojętną, poczęła się okazywać pogardliwą i widocznie mi niechętną. Król po kilku dniach zrana mnie spytał:

— Cóż to waszmość królowej przewinił i naraził się?

— Jako żywo, N. panie nie uchybiłem w niczem, ani to było w myśli mojej.

— Nie poczuwasz się—ale coś jest?—zapytał.— Zróbno rachunek sumienia. Ja ci mówię, musiałeś coś zawinić.

— Bóg widzi, że się do tego przyznać nie mogę— odezwałem się,—ale *originem* tej niełaski łatwo się domyślam.

— Cóż to jest?—pytał dalej.

— Boncourowa na mnie zagniewana—odparłem— i stara mi się tem dokuczyć.

— Zawsze ta dawna miłość!—rozśmiał się król.

— N. panie—ciągnąłem dalej—cała rzecz w tem, iż naostatek sprzykrzyła sobie stan wdowi i chciała się wydać za mnie, a jam podziękował.

— Masz rozum—zamruczał król.

— Prosiłbym tylko N. pana—dodałem,—aby temu, co przeciwko mnie będzie donoszonem, nie dawał wiary.

— Bądź spokojny. Znam tę starą intrygantkę.

Na tem się, dzięki Bogu, skończyło.

Zaraz potem musiałem pobieżeć do domu, bo mi o ciężkiej chorobie matki siostra dała znać.

Biegłem, ani siebie, ani konia nie szczędząc, na gwałt, bo miałem aprehensyę wielką, czy ją przy życiu zastanę, siostra mi bowiem donosiła, iż ostatnie sakramenta z rąk Michała przyjęła.

Z bijącem i ściśnionem sercem dobiłem się naresz-

cie do domu, nie śmiejąc pytać, gdy mnie w progu siostra spotkała.

— Chwalić Boga—odezwała się, ściskając mnie— matka żyje jeszcze, a ciągle się o ciebie dopytywała i dopytuje. Przed chwilą z jej ust słyszałam, iż ciebie tylko co nie widać. Chodź.

Wprost, jak stałem, szedłem z nią do matki. Siedziała biedna wymizerowana i blada w łóżku, ostawiona poduszkami dokoła. Zobaczywszy mnie, podniosła ręce drżące i gdym ukląkł przed nią, chwyciła za głowę.

Poczęła płakać z radości wielkiej, ale mówić już prawie nie mogła, tak była osłabioną. Błogosławiła nietylko mnie, ale nas wszystkich, rozweselona, z twarzą pogodną,— żegnając się z nam , zalecając miłość i zgodę.

Była godzina dziesiąta na półzegarzu, gdy przyjechałem, a z północy matka znużona, zapragnęła spocząć, oczy zamknęła spokojna—i już ich nie otworzyła więcej. Gdyśmy się zbliżyli nad ranem, znaleźliśmy ją wiecznym snem uśpioną.

Wszystko po niej w takim było porządku, że ani z pogrzebem, ani ze spuścizną nie mieliśmy najmniejszej trudności ni wątpliwości. Na śmierć się obyczajem dawnym gotując zawczasu, miała wszystko, aż do ubrania przygotowane—światło nawet kupione. Pieniądze dla rozdania ubogim, duchowieństwu, kościołom były popieczętowane i pozapisywane, o czem siostra miała wiadomość. Odprowadziliśmy ją do grobu naszego do Łucka.

Ze spadkiem nie było też najmniejszej trudności między rodzeństwem. Michał się wszystkiego zrzekł na nas, a my z siostrą byliśmy zgodni. Mężowi jej puściłem Polankę, to sobie warując, abym każdego czasu dwór miał dla siebie ekscypowanym, gdyby mi powrócić przyszło.

Miałem bowiem to mocne postanowienie, iż po śmierci króla ani Jakóbowi, ani Aleksandrowi z królową służyć nie będę, a na wieś powrócę.

Pochwalała to siostra z tem tylko, że mi koniecznie żony szukać chciała,—co zbyłem śmiechem, postanowiwszy

nie żenić się wcale. Przeciw temu ona protestowała, że to nie może być.

Zabawiwszy w Polance dla spoczynku i ułożenia się ze szwagrem, powróciłem na sejm 1695 roku do Warszawy. Oddalenie się moje nie trwało nad kilka miesięcy, alem pana znalazł znacznie słabszym i cięższym, niżem go odjechał.

Na pokoje do gości prawie nie wychodził pod tym pozorem, że mu nogi brzękły i że często mu się w głowie zawroty trafiały. Wieczorami się wszyscy zbierali do króla na uczone rozmowy, które stanowiły jego jedyną rozrywkę, bo go od świata i jego niesmaków odrywały.

Najczęściej kółko to składało się z o. Voty, z przybyłego z Francyi, bardzo przebiegłego i miłego w towarzystwie ks. Polignaca, biskupa Załuskiego, doktora O'Connora, a nawet doktora Żyda Jonasza, którego król przypuszczał chętnie.

Żydzi ci: Jonasz, Bethsal, Aaron—wogóle u nieprzyjaciół króla byli narzędziem przeciwko niemu. Gdy nie było czem mu dokuczyć, jak to pospolicie mówią, nie mogąc konia uderzyć, bito po hołoblach,—prześladowano potrzebnych panu i posługujących mu Jonasza, człeka rozumnego i statecznego, Bethsala, który około pieniędzy chodzić umiał, ba, nawet Aarona, prostego faktora, którego król tu i owdzie posyłał.

Przyszło do tego, że na Żydów wzniecono burzę wielką, jakoby oni pośrednikami byli do sprzedaży urzędów i wakansów, za które pieniądze pobierali.

Mówiłem o tem już, że za królowej Maryi Ludwiki, która tę praktykę porękawicznego zastała już w Polsce, za wiedzą króla pobierały się od rozdawnictw podarki, z których nawet tajemnicy nie czyniono, choć to symonia była sromotna. Patrzała się na to, młodą będąc, królowa Marya Kazimiera, a chciwość jej formalny potem targ ustanowiła, za każdy przywilej i dostojność pobierając dla siebie i dla króla oznaczony podatek. Sami się napraszali ci, co otrzymać coś chcieli.

Król czasem dał coś darmo, bo nigdy nie przyjmował nic, ale królowa brała, imienia jego nadużywając;

naówczas krzyki były, narzekania, wymówki i kłótnie, iż często podpisany już przywilej, dla świętego spokoju rozerwać przyszło.

Trwało to przecież pół wieku już i choć sykano, nikt się publicznie skarżyć nie śmiał, bo kupujący również winien w takim frymarku, jak i sprzedawca. Teraz użyto broni tej przeciw królowi, choć on nie winien był, bo własny pieniądz na prochy i działa na obronę rzeczypospolitej bez rachuby wydawał, a obwiniano jego zamiast tej, która wszystkiego złego była sprawcą.

Na jednym sejmie, w Grodnie, jeżeli się nie mylę, Bethsala obwiniono i na śmierć sądzić chciano, pod pozorem świętokradztwa. Zadawano mu, że miał krucyfiks, na który przysięgać kazał chrześcijanom, a potem go bez poszanowania gdzieś w kąt rzucał. Król mu ledwie życie ocalił... Do Jonasza doktora, który Sobieskiemu równie miłym, jak potrzebnym był, rzucono się potem, aby królowi przez to dokuczyć—i ten ledwie bezkarnie uszedł prześladowania.

Na Litwie, Sapiehowie, których łaska królewska przeciwko Pacom podniosła, rządzili się teraz i dokazywali samowolnie, co chcieli. Wywierali oni despotyzm taki, iż się im nic oprzeć nie mogło, a czasu sejmów i w Polsce też rej wodzić usiłowali, mnogich mając przyjaciół i klijentów. Zadarłszy się z biskupem wileńskim Brzostowskim, którego majętności zniszczyli i całą książkę przeciwko niemu wydrukować dali (De Episcopo litigioso) na sejmie 1695 r. Kryszpina siostrzeńca biskupa do łaski przypuścić nie chcieli. Zadali mu, że szlachcicem nie był, popełnili w izbie poselskiej gwałt na jego osobie, i to im uszło bezkarnie.

Król nie miał władzy żadnej—a tacy pankowie, wojska na dworze trzymający, otoczeni klijentami—ubogą szlachtą, którą żywili—pozwalali sobie, co chcieli—i ani sejmy, ani trybunały od ich prepotencyi wolne nie były. Najlepsza sprawa przeciwko nim przegraną być musiała,—bo szablami pisali sobie dekrety.

W Warszawie naostatek oburzenie było przeciwko Sapiehom takie, a z ich przyczyny i na całą Litwę—że gdy

jeden z nich chłopców w palcaty w wojnę się zabawiających zaczepił i pogromił,—koronna szlachta rzuciła się na Litwinów i byłoby do krwawej przyszło rzezi w ulicach— gdyby się Sapiehowie nie wynieśli z Warszawy wraz ze swymi. Ale sejm też zerwany został.

Ostatnie te dwa lata, przy ciągłem niezdrowiu królewskiem, niepokoju na dworze dla zatargu z Jakóbem, zabiegówk rólowej, aby przed zgonem wszystko opanować— na co już stary zobojętniały pan patrzał zimno, nic poradzić nie mogąc—życie i dla nas przy osobie jego zostających, nie było bardzo słodkiem.

Musieliśmy z kilku wiernymi przyjaciółmi króla na straży stać, ażeby mu nieustannie jakąś burdą, skargą i wrzawą nie zakłócano spoczynku.

Widocznem było, że się niemal dziecinnie zabawiał fraszkami często—aby daremnie się nie gryźć, na co radzić nie umiał.

Wolał o ogród się troszczyć, niż o sejmiki i sejm, książki sobie kazał czytać i o nich rozprawiać, instrumenty różne, nowo wymyślone sprowadzać i z niemi eksperymenta czynić, niż *de publicis* nadaremnie radzić, gdy tu mu nic nie dawano doprowadzić do końca.

Niejeden raz, gdy z Matczyńskim sam pozostał, a serce mu się zbolałe otworzyło, słyszałem go powtarzającego:

— Co się z tym naszym krajem nieszczęśliwym dziać będzie,—gdy ja oczy zamknę,—nie śmiem myśleć nawet. Pragnąłbym pewnie tronu dla Jakóba, — a życzyć mu go nie śmiem, bo zamęczy go nieład, jak mnie, jak Kazimierza znękał, a Michała zamordował! Za jego to może dolę los się pomścił na mnie. Lecz niechżebym ja cierpiał, ale nie ta nieszczęśliwa rzeczpospolita.

Dźwignął ją oręż i zwycięstwa—trochę ducha rycerskiego tchnąć się udało w zniewieściałych—cóż potem? Owo rycerstwo się w rokosze obróciło — i w tę anarchię, na którą ani ja, ani żaden z moich nie poradzi.

Jakób też w waśni z matką i Aleksandrem nie utrzyma się pewnie, obu ich wyekskludują,—nie obiorą więcej Piasta — przyjdzie Niemiec z rakuskiego ramienia, albo

Francuz — oboje licha warte. Gdyby Niemiec umiał obuzdać warchołów, ale tego nie dokaże bez gwałtu, a gwałt wojnę domową wywoła. Francuz zaś—kto odgadnie!!

I wzdychał.

— Wojna z Turkiem—mówił, — narzekali na nią, że przez nią ja chcę szlachtę wytracić! A ona jedna, gdyby nie konfederacye i związki, cokolwiek nas uszlachetniała. Zamiast wojny tej krzyżowej — wolą się między sobą kąsać i zabijać.

Napastowano króla nieustannie, na wszelkie sposoby o zrobienie testamentu,—opierał się do ostatka. Mówił przed biskupem Załuskim po kilkakroć, że się to na nic nie zdało,—bo gdy żywego słuchać nie chciano, jak się spodziewać mógł, aby z za grobu słowo jego miało wagę jaką?

Ale może i nie to jedno skłaniało go do ociągania się. Po myśli królowej ostatniej woli uczynić nie chciał, a gdyby testament jej był nie w smak, zatrułaby mu dni ostatek wymówkami i gniewy, krzykami i narzekaniami.

Tak, w oczekiwaniu ciągłem tego testamentu — nie śmiała go drażnić.

Przychodziła po kilka razy na dzień, wystrojona, od swego towarzystwa, woniejąca, niby łagodna i troskliwa o zdrowie, — dopytywała o nie, dawała rady — starała się przypochlebić.

Król zawsze też grzeczny był dla Marysieńki, — ale tylko o tyle, aby ją ukołysać i nie podrażnić. Miłości tam żadnej nie było. Wygorzała na popiół.

Uśmiechał się, gdy wchodziła, — ale swobodniej oddychał, gdy się oddaliła od niego.

Do wszelkich trosk przybywała też i o przyszłość Jakóba. Nie mógł tego nie widzieć, że królewicz przyjaciół nie miał, u szlachty miru nie pozyskał. Z twarzy nie miał nic w sobie pociągającego, patrzyła z niej duma,—chociaż niczem osobiście nie mógł jej usprawiedliwić. Bił się nieraz mężnie, ale wodza z niego się nie spodziewano, nie wsławił się niczem, a takich rycerzy, jak on, siła mieliśmy w wojsku. Postawa była niepokaźna, wątła, a strój cudzoziemski i obyczaj francuski albo raczej jakiś europejski,—

choć podówczas już wielu się tak nosiło, nie dawał w nim nawet łatwo, na pierwszy rzut oka poznać Polaka. Wyraz oblicza miał zasępiony—ponury, dziki niemal.

Wszystkie potomstwo Sobieskiego, wychowane pod oczyma matki, dumą się odznaczało, na stopniach dworu zrodzonych książąt.

Jakób się spokrewnił z książęty niemieckimi przez małżeństwo swe z ks. Neuburgską; potem na rok coś przed śmiercią króla wydano księżniczkę Teresę za bawarskiego Maksymiliana; młodsi też mogli się spodziewać koligacyi nie mniejszych.

Na wiosnę następnego roku, król, co miał się dźwignąć, zimę przebywszy, bo tego doktorowie się wszyscy spodziewali, — rachując wedle przysłowia, że marzec przeżył, więc siły odzyska,—myśmy widzieli go coraz opadającym. Miewał często zawroty głowy, chodził ciężko i o kiju ledwie się wlókł. Powietrze wiosenne, co go miało ożywić, po przechadzce osłabiało. Czuł się niem jakby upojonym. Doktorowie zapytywani—milczeli, a dla nas to miało znaczenie wielkie. Z twarzy ich widać było troskę i niepewność. On przecież wesołym się okazywał i w małem kółku żartował sobie, wcale się nie zdając obawiać śmierci.

Są tacy ludzie, w których życiu ręka Opatrzności jest widoczna. Takim był Sobieski, przenaczony na wielkie dzieła, a zarazem na utrapienia i upokorzenia; dusza wielka, a człowiek słaby, gdy z własną namiętnością miał do czynienia.

Całe to jego życie dziwnie nauczające—a i koniec też jakby umyślnie przygotowany w sam dzień urodzin, którego dnia też na tron był powołany i do drugiego lepszego życia.

Po uroczystych procesyach Bożego Ciała do Wilanowa tłum się gości począł zjeżdżać z powinszowaniem urodzin i rocznicy. Nie wszystkich do niego dopuszczano, bo go rozmowa i przyjmowanie pustych komplementów męczyło. Czuł się osłabionym, ale umysł miał pogodny i okazywał się wesół.

Dopytywał przybywających z Warszawy ciągle:

— A co tam w mieście? co słychać?

Odpowiadano mu, że się wszyscy modlą, panu Bogu dziękując, i proszą Go o utrzymanie ukochanego Monarchy w zdrowiu i długiem życiu.

Rozpytywał niektórych o procesyę, o celebrujących i t. p. Ksiądz Vota potem mszę świętą w pokoju odprawił, której król słuchał z wielkiem skupieniem ducha,—skarżąc się tylko, że nie mógł komunikować, bo nie był już naczczo.

Chodził potrosze po pokojach, przyjmując przybywających i zabawiając się więcej słuchaniem rozmów, niż żywym w nich udziałem. Tak cały dzień jakoś szczęśliwie przeszedł, a Janasz i O'Connor obserwowali, iż jadł z apetytem.

Wieczorem, jak zazwyczaj, zeszli się ci, z którymi zabawiać się lubił i około łóżka zasiedli.

Tymczasem królowa tłumnie zgromadzonych panów senatorów przyjmowała wraz z ojcem kardynałem d'Arquien, w paradnych apartamentach, a że im nie żałowano wina, hałaśliwie też dość sprawiali się — tak, że do nas wiwaty podczas dochodziły;—król się uśmiechał, bo oszustwa nie znosił.

Siedzieli przy nim ks. biskup Załuski, ks. Polignac, o. Vota i trochę domowników było blizko. Rozmowa się zdawała toczyć obojętnie. Nadeszła królowa dowiedzieć się, co się tu działo. Spojrzał na nią jakoś nagle—drgnął, i Załuski spostrzegł, iż się pochylił ku poduszkom.

Nadbiegli doktorowie—ruszony był apopleksyą — mowę postradał. Na krzyk królowej, który się rozległ po pokojach, senatorowie, od stołu się porwawszy, choć niektórzy z nich ledwo się na nogach utrzymać mogli, nadbiegli, otaczając łoże. Lament powstał wielki, puszczono krew. Rozeszli się wszyscy.

Była nadzieja utrzymania przy życiu — ale trzeba było widzieć ów popłoch, jaki się wszczął, owo przerażenie, od którego wielu się otrzeźwiło nagle. Niektórzy natychmiast konie podawać kazali, śpiesząc do Warszawy,— inni pozostali, czekając końca.

Wtem król tchnął silnie—poruszył się—oczy otworzył—i odezwał się głośno:

— *Stava bene!*

Jakby mu dobrze z tem było, iż przytomność postradał.

Nadzieja w nas wstąpiła, ale on snać czuł, że żyć nie może i prosił zaraz o spowiednika.—Pozostał z nim zamknięty dosyć długo, bo niemal pół godziny. Zażądał sakramentów i wijatyku.

Królowa biegała poruszona, ręce łamiąc, — to się zbliżając do chorego — to odbiegając do okna, to rozsyłając ludzi,—to szlochając, to narzekając. Widać było, że nie tyle śmierć ta w niej budziła żalu, co obawy o przyszłość.

Po przyjęciu sakramentów król położył się spokojnie bardzo,—ale niewiele czasu upłynęło, gdy doktór, który go za rękę trzymał, puścił ją i powieki zwolna przywarł.

Król nie żył...

Było to mało co po zachodzie słońca, długiego czerwcowego dnia.

Co się potem u nas w Wilanowie działo, jak się zawieruszyło—niepodobna tego opisywać.

Królewicz Jakób udał się był przedtem do Warszawy na zamek, czy w przewidywaniu zgonu ojca—nie umiem powiedzieć, ani twierdzić mogę... Dano mu natychmiast znać konnym posłańcem, ale nie od królowej matki, tylko ktoś z jego przyjaciół — i to potajemnie...

Słyszałem nieraz z ust samego króla, że w chwili urodzin jego burza straszliwa szalała nad Oleskiem.

Otóż dziwnym trafem, w tę rocznicę, zaledwie król oczy zamknął, nadciągnęła chmura i rozpoczęła się ulewa z gradem i piorunami, z wiatrem takim, że zdawała się chcieć wszystko zburzyć i zniszczyć. W ogrodzie wilanowskim ze starych topoli kilka z korzeniami wyrwało, dachy pozrywało...

Zwłoki królewskie, jeszcze nietknięte, leżały na łóżku, gdy nadciągnęła ta burza i przeraziła wszystkich. Piorun po piorunie waliły w Wisłę i w ogrodzie.

Strach nas jakiś ogarnął, żeśmy poklękali wszyscy, modląc się zapłakani.

Królowę kobiety jej na rękach zaniosły pod kotarę...

Burzy tak gwałtownej mało kto sobie w życiu przypominał—i nierychło przeciągnęła... Jeszcze się to przyczyniło do zamieszania w pałacu, bo do reszty wszyscy głowy potracili. Może najpierwsza podniosła się królowa, do swoich przyjaciół śląc do Warszawy...

Tymczasem, gdy królewiczowi dano znać o śmierci ojca, w pierwszej chwili albo mu źle doradzili, albo sam na tę myśl wpadł, żeby na zamek nie dopuścić matki.

Z północy jej o tem dano znać, iż Jakób od gwardyi odebrał przysięgę wierności, nie wiedzieć jakiem prawem, wrota wszystkie pozamykać kazał, silną straż przy nich postawiwszy i nikogo nie dozwalając wpuszczać bez swego zezwolenia...

Dano znać o tem wdowie, która wpadła w gniew wielki przeciwko wyrodnemu synowi.

Ofiarowali się niektórzy z panów do pośrednictwa pomiędzy matką a synem... i pojechali do Warszawy, ale po kilku godzinach powrócili z niczem.

Jakób ich słuchać nie chciał, upierając się przy tem, że królowej nie dopuści.

Uchwalono więc, aby z ciałem nieboszczyka wraz udała się w uroczystym pochodzie, bo zdawało się niepodobieństwem, ażeby syn ojcowskim zwłokom miał wzbronić zamku, a duchowieństwu i rodzinie wrota zamykać.

Naprędce tylko obmyte ciało, przyobleczone w szaty, jakie się znalazły pod ręką—na wóz żałobny włożono i pochód się puścił z Wilanowa do miasta. Straszno to powiedzieć, ale doktorowie sami taką zmianę nagłą w twarzy i ciele zmarłego spostrzegli, że o truciźnie szeptać poczęto...

Ale to była wprost baśń niedorzeczna, bo któż i dlaczego mógł mu ją zadać? Wcale zaś dziwnem nie było, że schorowane stare ciało przy gorącu wielkiem bardzo prędko się psuć poczęło.

Lecz do wszystkich nieszczęść, jakich ten pan doświadczył i tego było potrzeba, aby potwarz taka ze śmiercią jego na świat wyszła. Ludziom zaś łatwowiernym i małego umysłu milsza taka plotka niedorzeczna, niż prawda.

Nie potrzeba było innej trucizny nad tę, jakiej on

codzień zażywał i która mu życie skrócić musiała. Była nią niewdzięczność ludzka, waśń dzieci, zwątpienie o wszystkiem...

Gdyśmy ze zwłokami przybyli do Warszawy, tłumy już zastaliśmy w ulicach, które aż do samego zamku przepełnione były. Stała ta ciżba w smutnem milczeniu, ani się może spodziewając tego widowiska gorszącego, jakie jej królewicz Jakób przygotował.

Posłanych przodem dworzan odprawiono z tem, ażeby nadaremnie na zamek ze zwłokami nie przybywano, gdyż ich straż nie wpuści. Gdyśmy o tem się dowiedzieli, duchowieństwo całe oburzyło się strasznie.

Pojechali biskupi, Załuski pierwszy do królewicza nie z prośbami już, ale z groźbami, iż się dopuszczał wobec całego świata niesłychanego wykroczenia, ojcu własnemu zamykając drzwi jego zamku, do którego królewicz żadnego prawa nie miał.

Załuski śmielszy wpadł z takim ferworem, iż mu ludzkiem i boskiem prawem zagroził, przepowiadając pomstę niebios za samą myśl tę niegodziwą.

Poczęli też przyjaciele Jakóba reflektować go, że się tem światu i Rzeczypospolitej wcale niedobrze okazywał i zjednać tem ludzi nie mógł, ale ich przeciwko sobie obruszył.

Stały zwłoki, jakby litości prosząc, u wrót, gdy naostatek otworzono im, zmógłszy Jakóba, i karawan wszedł w podwórze, poczem na ramionach naszych zanieśliśmy ciało do sali, gdzie je w królewskie szaty i insygnia przybrać należało, zanim na widok wystawione będą i nabożeństwo się rozpocznie.

Korona, berło, jabłko były pod kluczem królowej. Idzie do niej Matczyński, dopominając się ich...

Pierwsze słowo jej było:

— Nie dam,—nie dam! królewicz Jakób gotów i te klejnoty, kilkakroć sto tysięcy wartujące, sobie przywłaszczyć, tak, jako i cały skarb nieboszczyka pochwycił, lub myśli opanować. Nie dam!

Z królową było gorzej, niż z Jakóbem, bo tej ani ów

najwierniejszy przyjaciel króla, Matczyński wojewoda, ani biskup Załuski, ani ks. Polignac nie zdołali zmiękczyć.

Matczyński od zmysłów niemal odchodził, ręce łamiąc. Stał u katafalku i płakał... Potem nagle złocisty hełm pochwyciwszy, na głowę nieboszczyka włożył...

Otóż jaka była śmierć—ostatnie godziny i początek bezkrólewia po bohaterze!

Czego się już potem spodziewać było można?—chyba wojny domowej. Ale nawet z pomocą wszystkich zabiegów królowej, jej pieniędzy i zachodów—nie mogła rodzina tak rozdarta, powaśniona... wzbudzić w nikim sympatyi ku sobie. Litowało się wielu, nikt nie widział sposobu, aby dobili się do tego tronu, do którego królowa i Jakób rościli prawa...

Zrazu to poznać było łatwo, że Piasta ekskluzya spotka, i inaczej być nie mogło, choć Radziejowski kardynał Sobieskim był oddany. Ani on, ani Załuski, ani poczciwy Matczyński, który wkrótce potem zmarł z żalu, nie zdołali umysłów na stronę rodziny nawrócić. Z wyborem Sobieskich, czego innego, jak przedłużenia niepokojów domowych spodziewać się nie było można...

Ja natychmiast po śmierci królewskiej zażądałem odprawy i uwolniłem się od służby,—chociaż miałem zaległości, których na razie uzyskać nie było podobna.

Pozostałem jednak w Warszawie, bo mnie tu sama ciekawość trzymała,—a ostatnich czasów kłopoty i nieustanne czuwanie o chorobę mnie przyprawiły taką, że musiałem w gospodzie, którą trudno znaleźć było, obledz...

Szaniawski też ani Jakóbowi ani Aleksandrowi się nie dał do służby namówić i dwór pożegnał, jeszcze spełna nie wiedząc, co z sobą pocznie...

Nie można było przewidzieć w tych początkach, komu tron przeznaczony, aleśmy to tylko czuli, że Sobiescy go nie posiądą. Królowej żaden z nas nie byłby za nic chciał służyć, tak nam ona za żywota pańskiego dokuczyła.

Tuśmy w stolicy byli świadkami tego poruszenia umysłów i powodzi piśmideł, jakie się zaraz z okazyi bezkrólewia wylały. Czego nie można było drukować, to pisa-

no, przepisywano i rozrzucano, — hańbiąc i nie szczędząc ani matki, ani dzieci.

Królowej przedewszystkiem już szło nie o tron, ale o spuściznę, którą dla siebie więcej, niż dla potomstwa rewindykowała. Powiadano naówczas, że sześćdziesięcioletnia, owdowiałemu kochankowi dawnemu, hetmanowi się stręczyła, aby z nim podzielić koronę. Lecz Jabłonowski ją już nadto dobrze znał, a głos powszechny go uczył, iż z nią i przez nią do niczegoby nie doszedł. Patrzał też na los niegdyś przyjaciela swego, nieboszczyka króla, i przekonał się, że korona nie była do zazdrości.

Wojsko się zaraz, pod pozorem zaległych żołdów, skonfederowało, dopominając wypłaty—ale konfederacya ta poddmuchniętą była albo przez rakuskich lub przez francuskich intrygantów, którzy się z niej spodziewali korzystać.

Jeszcześmy byli w Warszawie z Szaniawskim, gdy Jakób, który ciała ojca nie chciał wpuścić do zamku, a później musiał mu wrota otworzyć i ohydę tylko na siebie ściągnął, zmiarkowawszy, iż zajście z matką i szczucie przeciwko niej i Aleksandrowi powszechną zgrozę obudza, postanowił się z nią przejednać.

My, gdyśmy o tem posłyszeli, śmiać się nam chciało i pamiętam, że Szaniawski o trzy garnce węgierskiego chciał iść w zakład, iż się nie pogodzą.

Ale do zakładu nie przyszło, bo sam on pomiarkował, że gdyby królowa tylko w tem korzyść dla siebie widziała najmniejszą, gotowa się zgodzić, a nazajutrz pokłócić... Serca w niej nigdy nie było, pycha rządziła wszystkiem.

Jeszcze teraz, gdy już ze skroni jej korona ze śmiercią króla spadła, z majestatem swym nosiła się tak samo dumna i otaczała dworem, ceremonią, jakby zawsze królową była.

Ale jak między mężczyznami nie miała przyjaciół krom tych, których sobie kupować musiała, a wrogów tysiące liczyła, tak między kobietami, nie wyłączając rodziny własnej i Sobieskiego, żywa dusza jej nie sprzyjała.

Za późno teraz było sobie serca pozyskiwać.

Jakób, gdy mu doradzono, chociażby dla oka ludzkiego tylko, z matką się pojednać, a ta wszelkie pośrednictwo odrzucała i zapowiedziała mu, że gdyby się ważył próg jej przestąpić, każe go służbie precz wypchnąć— namyślał się długo, aż czy to z naprawy czyjej, czy z własnego planu, postanowił gdziekolwiekbądź jej drogę zajść, bodaj wychodzącej z kościoła, paść do nóg publicznie i w ten sposób nijako zmusić do przejednania. Starał się tylko o to, ażeby mieć przy sobie świadków, gdyż na ich przytomność rachował...

Zawiadomiono go, że dnia jednego królowa ma Wizytki odwiedzić i o pewnej godzinie powracać od nich będzie. Nagotował się więc z przyjaciółmi, których było osób ze dwadzieścia wraz ze służbą, i oczekiwał na przejeżdżającą.

Królowa, której towarzyszyła straż tatarska, poznawszy syna i domyślając się o co szło, kazała woźnicy i Tatarom, aby zawrócili i uchodzili. Jechał przy kolebce starszy podkomorzy jej, Sawicki, któremu też dała rozkaz,— aby nie dopuszczał spotkania.

Ale panowie senatorowie, towarzyszący Jakóbowi, zajęli tak ulicę i powóz opasali, że ani ujść, ani dalej jechać nie było sposobu. Królowa, stukając w szyby, wołała ciągle, aby jechali, a kroku dalej nie można było przebojem uczynić.

Jakób, z konia skoczywszy, prawie się pod koła karety rzucił. Nie pomogło to nic. Nie chciała słuchać jego, ani żadnego z tych, co w jego imieniu z obu stron się cisnęli, szyby pozamykała, maski, którą miała na twarzy, od opalenia ją nosząc (tak dotąd o cerę była troskliwa) nie zdjęła...—i w najniegrzeczniejszy sposób odprawiła nie już syna, ale najdostojniejszych dygnitarzy, którzy się do zgody przyłożyć chcieli.

Przyjaciele rodziny nieboszczyka króla, pomimo tych wybryków królowej, stali przy niej długo, wiernie, usiłując dopomódz, pogodzić i zburzone ułagodzić umysły.

Największe jednak starania biskupa Załuskiego, kardynała Radziejowskiego, Potockich nie pomogły, bo kró-

lowa, cokolwiek oni uspokoili, postępowaniem swojem gorączkowem burzyła i wniwecz ich zachody obracała.

Mając zdawna wielu na siebie łaskawych, obracałem się ciągle pomiędzy nimi, mało nie codzień widując z Matczyńskim wojewodą i Załuskim.

Nie śpieszyłem do domu, sama ciekawość mnie trzymała w Warszawie, sądziłem, że się tu końca tej tragikomedyi doczekam.

Szaniawski mój dał się namówić i wciągnąć do dworu królowej, która dworzan potrzebowała, a niełatwo kto do niej przystał, jeszcze zaś trudniej się utrzymał, — przez niego więc także wiadomości miewałem, co się działo.

Na zamku wrzało, jak w kotle nieustannie; widocznem było, że wdowa korony dla siebie z kimkolwiekbądź więcej pragnęła, niż nawet dla ulubionego Aleksandra.

Stręczyła się więc Polignacowi dla francuskiego kandydata tak samo, jak gotową była austryackiego przyjąć, gdyby nieżonatym był. Tych, co żony mieli, samo przez się ekskludowała.

Stara, zwiędła, rozlana, choć zdrowa jeszcze i silna— niegdyś najśliczniejsza Marysieńka, powabu już dla nikogo mieć nie mogła. Stroiła się pomimo to młodo, sznurowała usta, przymrużała oczy,—a przytem brzękała milionami, o które z Jakóbem wojnę prowadzić miała.

Srom było patrzeć na te zabiegi, przez pamięć na tego bohatera, którego imię tak się nikczemnie poniewierało.

Mnie, jakom rzekł, nic tu już po ustąpieniu ze służby nie wiązało, oprócz ciekawości. Do Jakóba nie mogłem się przywiązać, a od Aleksandra odstręczała matka. Trochę znużenia pozbyłem się łatwo, wypocząwszy, mogłem więc, swobodnie się obracając, być spektatorem tylko, do niczego się już mieszać nie chcąc. Nie suponowałem, iż się doczekam tego, że siedzieć będę musiał—poniewoli.

A stało się to z następującej przyczyny.

Miałem sobie przez króla powierzane klucze jego skarbczyka, w którym się część klejnotów, oręża, kosztowności różnych, papierów i pieniędzy przechowywała. Bywało tak, że gdym się oddalał na czas jaki, bo mnie posy-

łał w ważniejszych sprawach, gdy pisać nie chciał, albo pieniądze znaczniejsze przewozić było potrzeba—klucze zdawałem panu, a potem je znowu odbierałem.

Między innemi precyozami były u mnie owe sławne garnitury, zdobyte na Kara-Mustafie pod Wiedniem, kosztowne bardzo i piękne. Każdy z nich składał się z bogato sadzonego sahajdaka, czyli, jak u nas pospolicie denominowano, łubu, z szabli, noża, zegarka i siedzenia na konia. Jedne były turkusami perskiemi, drugie rubinami malajskiemi, inne perłami uryańskiemi i szmaragdami wysadzane. Nie mniejszej ceny była ich oprawa i robota wielce misterna, a nie w srebro złocone jak pospolicie się trafiało, ale w czyste złoto były osadzone, co łatwo waga poznać dawała. Złożone były w pięknych sepetach, skórami cielęcia morskiego obciągniętych, a tak ochędożne, że je choć w pokojach można było trzymać. Sama ślusarska koło nich robota godną była oglądania. Czasami król cudzoziemcom i ciekawym gościom pokazywać je kazał, a było na co patrzeć i dziwować się czemu.

Ostatnim razem stały garnitury w Jaworowie, gdy mnie stamtąd król do Wilanowa posłał. Klucze oddałem jemu samemu do rąk i tylem je już widział. Zdało mi się, że one w Jaworowie zostały.

Po zgonie króla ani mi one na myśl przyjść mogły, gdy jednego dnia przysyła do mnie wojewoda Matczyński, prosząc, abym go nawiedził. Przyszedłem do niego nazajutrz rano.

Znalazłem biednego pana, tak jak był ciągle od śmierci królewskiej, smutnego, schorzałego. Kaszel go męczył nieustanny i dychawica.

— Mój Polanowski—odezwał się, zobaczywszy mnie i przywitawszy,—chciałem się ciebie zapytać, co się stało z temi garniturami, które były pod kluczem u ciebie? Królowa się do mnie odzywa, dopominając o nie i Panie Boże jej odpuść, bodaj albo mnie lub wmości ma w posądzeniu, żeśmy te drogocenne klejnoty przefrymarczyli! Na waszmości zaś tem cięższe podejrzenie, żeś się zaraz uwolnił ze służby!

Poruszył ramionami, a jam, usłyszawszy to, aż do góry poskoczył.

— Na rany Pańskie!—krzyknąłem, czerwieniejąc się, jakby mnie kto krwią oblał—jeszcze mi się to w życiu nie trafiło, aby kto śmiał mnie o złodziejstwo posądzać! *Stante pede* biegnę na zamek, niech inkwizycyę czynią. Mam na to świadków, gdym królowi, do Wilanowa jadąc, klucze wszystkie zdał i sepety z niemi; komu je potem zwierzył, niewiadomo mi, ale to się łatwo okaże. Ja na mojem poczciwem imieniu nawet cienia takiego posądzenia dopuścić nie mogę...

— Czekaj-no, nie strzelaj—odparł, śmiejąc się i mitygując wojewoda,—powinno cię to pocieszać, żeś w dobrej kompanii ze mną. Wszyscy przecie wiedzą, że was i mnie o to posądzać, śmieszna rzecz. Królowa nawet sama frymark ten tylko ma na myśli, żeśmy je Jakóbowi wydali, a nie sobie przywłaszczyli. Ot co jest! Musisz przecie domyślać się, co się z sepetami stało? Gdzie one są?

— Właśnie, że nic o tem nie wiem, bo później o nich mowy nigdy nie było. Król ciągle niedomagał. To wiem, że do Wilanowa jadąc, klucze, jak zawsze, wszystkie oddałem królowi... a potem ani już skarbczyka, ani garniturów, ani kluczów tych nie oglądałem. Żądam ścisłej inkwizycyi, wyjdzie oliwa na wierzch!

— Daj pokój—odparł Matczyński,—samo z siebie wyniknie, iż dochodzić będą. Siedź cicho, jakbyś nie wiedział o niczem. Dosyć wrzawy i zgorszenia bez tego. Być może, iż Jakób sobie te sepety przywłaszczył, albo...

Nie dokończył i rzekł:

— Chciałem z ust waszych mieć, jak to stoi. Garniturów w Jaworowie już niema. Albo je król odesłał do Żółkwi, albo Jakób zagarnął, lub—nie ręczę za królowę, choć teraz się o nie upomina, aby z siebie to na drugich zwaliła... Zwolna, *paulatim*, wszystko się wyjaśni. Ani ja, ani wy nie wzięliśmy ich przecie do kieszeni...

— Miałem się już do domu wybierać—odezwałem się, ale teraz krokiem się stąd nie ruszę, dopóki z garniturami końca nie będzie. Nie mogę dopuścić tego, ażeby

kto posądzał mnie, żem zbiegł ze strachu o inkwizycyę, której sam pierwszy się dopominam.

Matczyński stał zamyślony, pokaszlując.

— Ty wiesz—rzekł potem,—iż król mi wszystko zwierzał, największy grzech był wyspowiadał, gdyby go miał na sumieniu. O tych nieszczęsnych garniturach, któremi się chlubić lubiał, nic mi ostatniemi czasy nie wspominał. O ile przypomnieć mogę, pokazywano je, bodaj pośledni raz Polignacowi, gdy przybył, bo ciekaw był wszystko oglądać. Królowa przy tem była i zachwycała się niemi, utrzymując, że sahajdaki do niczego się już nie zdały, że je należało na inne poprzerabiać klejnoty. Król się temu sprzeciwił mocno, chcąc mieć historyczne pamiątki zwycięstwa utrzymane tak, jak były... Miały dla niego w tym stanie *pretium affectionis*. Zamknięto je napowrót do sepetów i na tem się skończyło.

— Bądź co bądź, panie wojewodo,—odparłem—proszę i suplikuję, aby surową inkwizycyę nakazano o te garnitury. Ja się z Warszawy krokiem nie ruszę, aż spokojnym będę, że się one znalazły. Żeby je kto inny, okrom królowej albo królewicza Jakóba mógł sobie przywłaszczyć i wykraść je, śmieszna pomyśleć nawet. Kufry były wcale niemałe, a na lada wózek ich nawet nie było zabrać, i stały zawsze pod kluczem, a z twarzy je znali wszyscy.

— Wszystko się tu wyjaśni,—czekaj—rzekł Matczyński,—nie gorącuj się tylko i nie mów o tem wcale, bo możesz na siebie gniew ściągnąć. *Is fecit cui prodest*... Mnie się wszystko zdaje, iż królowa dlatego o nie się tak troszczy, że je już musiała sama wziąć. My po nici do kłębka dojdziemy, ale trzeba milczeć, dosyć wstydu i sromoty bez tego. Niech lepiej przepadają tysiące i krocie, niżby poczciwe imię pana naszego cierpiało na tem. Wiesz waszmość z Pisma św., jako synowie Noego nagość jego i sromotę okrywali.

Niełatwo mu przyszło mnie zmitygować.

Przypomniałem mu, że po obiciu i okuciach sepety były tak znaczne, iż od innych się odróżniały, że jabym je w piekle poznał. W Wilanowie zaś wszystkie zakamarki zwiedzałem, i wiem, że ich tam nie było, na zamku

też pewno niema. Jeżeli w Jaworowie się nie znalazły, a dobrze szukano, należało tam za niemi iść, gdzie reszta skarbu królewskiego złożoną była.

Matczyński mi nie dał dokończyć, ręką zamachnąwszy w powietrzu, i szepnął cicho:

— Nową koronę, berła, jabłko, miecz poświęcany papieski—królowa trzyma u siebie,—sepety u niej też być muszą, ale się niemi dzielić nie chce—w tem sekret cały... My tego dojdziemy. Gdyby w istocie garnitury zginęły—byłoby daleko więcej o nie wrzawy, a tu bardzo cicho się tylko półgębkiem o nich mówi i—*sub rosa.*

Dobry czas potem jeszcze stękaliśmy z nim razem nad nieszczęśliwem położeniem rodziny ukochanego pana naszego, który przez nią w grobie nie miał spokoju. Pożegnałem potem wojewodę, zaprzysięgając mu, że się z Warszawy nie ruszę, dopóki sprawa nie wyjaśni się i nie wyklaruje aż do dna. Chciałem się nią sam zaraz zająć, ale mnie Matczyński zaklął, ażebym nie poczynał nic i nikomu nie mówił o tem, a on już wszystko bierze na siebie.

Otóż przez co ja uwięzłem w Warszawie, a że się to dłuższy czas mogło przeciągnąć, mnie zaś izdebka w gospodzie, wśród wrzawy i niepokoju, gdzie coraz nowi ludzie zajeżdżali, a ciągle się trzeba było pilnować, aby uprzęży, okucia, a nawet obroków nie odkradano—wcale nie była dogodną, nająłem dworek za krakowską bramą u Glińskich, mały, drewniany, ale schludny, przy którym też były stajnie z biedy, na dziesięć koni mogące starczyć, masztarnia i wozownia.

Przeniosłem się tam zaraz.

Ale że dworek pustką stał, sprzętu trochę lepszego musiałem sprowadzić z Połonki, reszta się w miejscu dokupiła i tam poniewoli osiadłem, z wielkim dysgustem moim—ale dla poczciwości imienia naszego tak mi postąpić należało. Com miał zaś rupieci różnych przyzbieranych potrosze, nawzajem do Połonki się odesłało.

Do Matczyńskiego, do którego i tak przywiązany byłem, jak najczęściej się dowiadywałem, ale one garnitury teraz jak w wodę wpadły. Powiadał, że królowa już o nich ani wspominała.

Tymczasem sejm konwokacyjny się otwierał i zaraz w początku rakuska partya ekskluzyę Piasta przeprowadziła... Cios był wielki, znaczyło to, że Sobiescy musieli się wyrzec nadziei; synowie, ale nie matka! Znalazł się przytem zaraz w pogotowiu poseł Horodeński, który huknąwszy *veto*, narady zerwał, a sam szyję salwując, pod skrzydła związku Baranowskiego drapnął.

Przez to się okazało, jak na dłoni, z czyjej naprawy zerwanie nastąpiło, chociaż i bez tego czuli wszyscy rękę królowej. Nigdy może tak zapamiętale czynną, rzucającą się, sypiącą pieniędzmi nie była. Na pokojach u niej od rana do nocy, jak mi Szaniawski powiadał, gdyby w szkole żydowskiej wrzawa nie ustawała.

Baranowskiego tego, głowę związku wojskowego, znałem dobrze zdawna. Człeczek był mały i nie znaczący, podjął się tego przewodniczenia w nadziei jurgieltu i krescytywy. Pamiętałem go takim, że mi się do kolan kłaniał, gdym go na kieliszek gorzałki z zakąską kiełbasy wędzonej zapraszał. Spotykałem się i teraz z nim, ale już nosa do góry zadzierał, a drudzy mu się kłaniali, z czego mi się drwić ino chciało.

I ciągłem mu do ucha kładł:

— Ej, ostrożnie, aby cię los Gąsiewskiego nie spotkał!

Do tego związku Baranowskiego przyłączyli potem i Litwini z Michałem Ogińskim i Kryszpinami, wiążąc w konfederacyę przeciwko Sapiehom. Zaczęła się więc wojna, którą królowa opłacać musiała, a elekcyę do roku następnego odłożono.

Tymczasem tak się wszyscy rozpierzchli, tak się dziwnie powiązali, że nawet człowiek, co, jak ja, wszystkich znał, nie mógł się zoryentować z kim, kto i przeciw komu trzymał. Istny chaos!

Szlachta przeciwko senatorom gardłowała, jak to u nas zdawna bywało we zwyczaju, Litwa się z Koroną waśniła, rakuska partya z francuską darła. Przewidzieć było niepodobna, na czem się ten zamęt skończy, bo i królowa przechylała się na różne strony.

Rachowała ona w początkach na hetmana Jabłonow-

skiego, ale ten zmiarkowawszy, że przyjaźń z nią na sławie mu szkodzi i w ohydę podaje, zdezerterował i przeszedł do partyzantów cesarskich... Radziejowski, Załuski, Służkowie, Leszczyński, Potoccy, dla pamięci nieboszczyka, rodzinę jego podtrzymywali; ale ona sobie sama tak wiele szkodziła, że jej nikt w świecie uratować nie mógł.

Ani Jakób, a tem mniej królowa serc sobie pozyskać nie zdołali: jeżeli co zrobili, to pieniędzmi.

Jakóbowi cesarz szwagier przyrzekał niby to pomoc i protekcyę, ale nieszczerze. Dynastyi Sobieskich na tronie sobie nie życzył.

Aleksandra żywa dusza, oprócz matki, nie popierała, mało go kto znał, i chociaż nad Jakóba więcej miał zalet—nie ufano mu dla krolowej, która go prowadziła.

Rada w radę—ks. Polignac jeszcze był w wielkiem zachowaniu, królowa mu ufała, choć ją zdradzał—z jego tedy naprawy nastąpiła zgoda z Jakóbem i on wraz z Aleksandrem pojechali do Paryża łaski króla francuskiego się dopraszać.

Któż mógł się tego domyślać, iż Marya Kazimiera swoją własną sprawę przez Polignaca popierała u Ludwika, byle francuski kandydat nieżonaty ją obowiązał się poślubić. Polignac czyniłnadzieję, że się to da przeprowadzić.

Ten wyjazd obu królewiczów do Paryża był tak niespodzianą rzeczą, że gdy mi Szaniawski o nim przyniósł wiadomość, myślałem zrazu, iż sobie ze mnie czyni igraszkę. Tymczasem prawda była, że z milionami pojechali do Francyi. Dzieci własne oszukawszy, poczęła królowa teraz zabiegać, aby elekt francuski był nieżonaty...

Do wszystkich poczwarności i sromot, które były sprawą tej kobiety, z piekła rodem, tego tylko brakło, ażeby dzieci własne dla siebie sakryfikowała...

Miałem to od Szaniawskiego, który nigdy nie kłamał (zwłaszcza przede mną), że po odjeździe synów, wśród licznego zgromadzenia,—bo pełno u niej codzień bywało na pokojach, a wielu sama ciekawość sprowadzała,—królowa poczęła w głos mówić przeciwko synom. Ludzie zrazu uszom wierzyć nie chcieli.

Przysięgał Szaniawski, że własne jej powtarzał słowa.

— Prawda, żem się Polką nie urodziła—mówiła—alem ja od dziecka tu wzrosła i całem sercem Polką jestem. Najlepszym tego dowodem, że więcej miłuję tę Rzeczpospolitę, niż własne moje potomstwo i rodzinę, a powiadam panom otwarcie,—niech Bóg uchowa, abyście którego z synów moich za króla wybrać mieli.

Załuski syknął z bólu—podnosząc ręce do góry. Odwróciła się do niego.

— Lepiej ja od was znam tę krew moją, — ciągnęła dalej.—Jeżeli którego z nich,—zwłaszcza Jakóba wybierzecie, zginie Rzeczpospolita, zgubicie ją!

Załuski przerwał, ręce składając:

— Na miłość Bożą, najjaśniejsza pani—miej się wasza królewska mość na baczności. Czyż się to godzi? Czy przystało matce tak się oświadczać?

Nie dała mu mówić i przerwała porywczo na głos, tak, że ją wszyscy słyszeli.

— Prawdą jest, co mówię—księże biskupie. Otwarcie to oświadczam i nie będę żałować tego, com rzekła. Czynię to przez troskliwość o los tej Rzeczypospolitej. Wybierzcie, jeżeli chcecie, Piasta—lepiej pierwszego lepszego z pomiędzy was. Macie dosyć zasłużonych.

Stał właśnie przy niej wojewoda kijowski,—generał artyleryi Kątski—któremu król chciał przed śmiercią hetmańską ofiarować buławę, a wszystkim wiadomem było, iż królowa do tego nie dopuściła. Wtem obróciła się ku niemu i wskazała go.

— Nie macież, naprzykład, tego dostojnego pana wojewody kijowskiego, tylu wsławionego bitwami?

Wojewoda się skrzywił na to, ramionami poruszając.

— O! la Boga—zawołał.—Wasza królewska mość, nie więcej temu nad kilka miesięcy, nie uznaliście mnie godnym buławy, a jakżebym teraz nagle berła się miał stać godnym!

Zarumieniła się nieco jejmość, ale nigdy jej na wybiegu nie zbywało, zasypała słowami, zwróciła rozmowę inaczej, dowodziła zuchwale niedorzeczności — tak że we wszystkich najżyczliwszych nawet wstręt obudziła.

Tym, co Jakóba podtrzymywać myśleli, ręce po-opadały.

Na Jabłonowskiego nie mogąc rachować, bo ten się całkiem od nich odstrychnął,—oddała się przewrotnemu Polignacowi, który z wielką subtelnością uwodził ją, zręcznie się nią posługiwał, a wcale jej pomagać nie myślał.

Z tego, com sam po ludziach chwytał i co mi Szaniawski przynosił, niewielem się mógł nauczyć, bo on też ostrowidzem nie był, a mnie te frymarki tak obrzydły, żem nie rad się o nich informował.

Siedziałem tymczasem przykuty do Warszawy, gdyż z powodu wyjazdu Jakóba sprawa sepetów z garniturami wyklarowaną być nie mogła.

Jednym razem, pod koniec roku, jak z procy wyleciało dotąd nieznane nazwisko francuskiego kandydata, ks. Ludwika de Conti—siostrzeńca króla Ludwika XIV—sławnego już wodza, ale—żonatego.

Jak tylko się rozgłosiła ta kandydatura, na zamku zawrzało; królowa, gdyby szalona, kazała do karety zaprządz i sama poleciała do Polignaca.

Na parę dni przedtem jeszcze dla niego tak serdecznie usposobioną była, że mu własny wizerunek podarowała. Ten zobaczywszy u niego na ścianie zawieszony, własną ręką go zerwała i rzuciła na ziemię.

Można tedy miarkować, jak się tam Francuz miał z pyszna, co mu się dostało i jak się z sobą rozeszli.

Musiała tedy potem królowa nawrócić do Jakóba i do jego austryackich protektorów,—ale ci już znać jej niechcieli i nic nie miogli uczynić.

Cesarz się tem tłumaczył, iż Ojca Świętego słuchać musiał, który na tron polski zalecał i prowadził elektora saskiego, Augusta, albowiem tu się zobowiązywał wiarę swą luterską odrzucić, katolikiem zostać, a potajemnie przyrzekł starać się o to, aby Jezuici poddanych też jego nawracali i kościołowi zyskali na nowo.

Wkrótce też potem królowa się tak naprzykrzyła wszystkim w Warszawie, niespokojnem zachowaniem się i intrygami mnożąc tylko rozterki, że j j kazano oddalić się na czas elekcyi, tak, jak innym kandydatom

prawo pobytu czasu sejmu wzbraniało. Tylko, że jej pozbyć się nie było łatwo, a siłą ją wyrzucić Radziejowski nie mógł, aby na siebie zarzutu niewdzięczności nie ściągnąć. Dopiero więc w trzy miesiące po objawieniu jej zapadłego wyroku wygnania do Gdańska,—zdołano się jej pozbyć.

Tak to—w oczach naszych spuścizna po wielkim monarsze wniwecz poszła i zmarniała, w ohydę podaną została przez jedną tę kobietę, która zgubą była za żywota mężowi, a po zgonie jego rodzinę swą własną zagubiła.

Ja, pomimo że w Warszawie już nie było co robić, bo o sepetach i garniturach zupełnie zabyto i nikt o nich nie pisnął, a biednemu Matczyńskiemu z żalu po przyjacielu zmarło się wkrótce,—pozostałem do elekcyi, przedłużywszy dzierżawę szwagrowi.

Ciekaw byłem końca, którego nikt nie mógł przewidzieć!

Załuski popierał Contiego. Dla nas też to była rzecz prawie nie do wiary, ażeby Sasa, protegowanego przez rakuski dwór, miano okrzyknąć.

W głowie się nam nie mieściło, ażeby ta nasza Rzeczpospolita, co się tak praw tych rakuskich obawiała a od stu lat przeszło czuwała, nie dopuszczając wpływu rakuskiego, koligacyi z niemi, miała teraz abdykować wstręt, obawę, niechęć i dobrowolnie owo jarzmo dać sobie nałożyć.

Gdy się zjechała szlachta a poczęło na Woli zwykłym obyczajem szumieć, my z Szaniawskim prawieśmy nie schodzili z pola i od szopy.

Z wielkiem zdumieniem przekonaliśmy się, że nawet Jakób miał trochę ludzi za sobą, że tu i owdzie za nim odzywały się głosy, ale przewidzieć było można łatwo, że się utrzymać nie potrafi.

Z jednej strony Francuzi sypali pieniędzmi, na gwałt prowadząc ks. de Conti, z drugiej Przebędowski, kasztelan chełmski, z nicjakim Flemingiem, szwagrem swym Sasem, talary niemieckie sieli w polu, w nadziei, że z nich korona urośnie.

Z niepospolitą chodzili zręcznością, pokątnie, cicho

przekupując ludzi obietnicami większemi jeszcze, niż pieniędzmi.

Radziejowskiego jednak prymasa, którego głos najwięcej znaczył przy wyborze, nie potrafili sobie zjednać, chociaż nuncyusz około tego chodził w sekrecie i biskupów kilku pozyskał, a między innymi Dąbskiego kujawskiego, który się na wszystko gotowym oświadczał, nawet przeciwko prymasowi elekta obwołać.

Gdy przyszło do wotów, w początku województwa krakowskie i część Wielkopolski okrzyknęła Jakóba, a reszta zagłuszyła je, wołając: Conti!

Z płockiego też trochę głosów miał Jakób za sobą.

Za Sasem dopiero później oświadczać się zaczęto, gdy spostrzeżono, iż Jakób utrzymać się nie może—a Conti w jego miejscu stanie.

Królowa i ci, których miała na rozkazy, woleli kogokolwiekbądź, bodaj Sasa, byle nie zdrajcę Francuza.

Bądź co bądź Marya Kazimiera potrzebowała się pomścić na Polignacu.

W ten sposób głosy się pomieszały i Jakób z królową przeszli na stronę Sasa.

Pierwszego dnia, gdyśmy o nim zasłyszeli ani ja, ani Szaniawski, a z nami, sądzę, i znaczniejsza część szlachty o królu tym przyszłym, tak dobrze, jak nic nie wiedziała. Przebędowski nie miał czasu go zalecić, żadnym też urokiem nie pociągał ku sobie.

Zaczęto oponować głośno naprzód, że luter był,—ale o. Jezuici ręczyli zato, że rewokował herezyę i że do kościoła katolickiego powrócił.

Biskupi też niektórzy świadczyli za tem dalej, że rakuskim duchem był nadziany,—przeciwko czemu stawiono tylko, iż on się nikomu nie da prowadzić i t. p.

Po nader gorącym dniu 26 czerwca, nocą na 27, wracając z Woli do mnie na przekąskę i wypoczynek z Szaniawskim, zabraliśmy z sobą dworzanina pana kasztelana chełmskiego, niejakiego Suskiego, który w polu bardzo za Sasem gardłował, tak, że go przezwali Saskim mia-

sto Suskiego. Ten, że Szaniawskiemu jakimś koligatem był, nie wiem, która woda po kisielu—pokumaliśmy się z nim i pociągnęli z sobą.

Chcieliśmy się od nieg o cokolwiek dowiedzieć, co zacz był ten, któregośmy, albo i drudzy wybierać mieli. Suski zaś chwalił się, że i w Dreznie bywał i na dworze elektora pił.

Ten, zaszedłszy do mnie, gdyśmy wieczerzali i w kubki się trącali do późna w noc, albo lepiej do rana, naprawić się nie mógł cudowisk o tym kandydacie.

Mnie się, prawdę rzekłszy, ani kandydat, ani ten, co go zalecał, nie podobał, ale dla miłości Szaniawskiego musiałem mu rad być. Ciekawości się też dogodziło. Byli z nami także Morawiec i Drwęski i kilku jeszcze, których nie pamiętam, czas więc zszedł wesoło.

Zaczęto zaraz Suskiego zagadywać o tego kandydata i plótł niestworzone rzeczy.

„Takiegośmy na tronie jeszcze nie mieli—mówił—od owego francuskiego Henryka, który także, jak wiadomo, wesoły był i zabawiać się lubił. August tylko-by baraszkował, choć pan poważny, gdy chce, i pięknej postaci.

Naprzód jednak to o nim wiedzieć macie—że u nas nawet, gdzie na siłaczach nie zbywa, nikt mu nie sprosta—koniowi albo wołu głowę mieczem odcina jednym zamachem, jak pióro osmalił, podkowy w ręku, jak liście, gniecie. Ostatnim razem, gdy do Wiednia jeździł, wiózł z sobą ni mniej, ni więcej, tylko panią duszkę urzędową—hrabinę Königsmark, dalej drugą pośledniejszą pannę Klengel, a w samym Wiedniu dobrał sobie jeszcze pannę Althaun. I dopiero mu było bez mała dosyć.

— Nieżonaty więc?—zapytałem.

Saski się rozśmiał.

— Ale bo z waszmości *simplex*—rzekł,—królowie idą wzorem Salomona. Żonaty i dzieci ma, ale to nie przeszkadza, że miłośnic ma zawsze po kilka. Jedna, albo dwie mu nie starczą!! U nas tak!!!

— Ano—odparłem,—jeżeli u nas tak, to się nie macie czem chwalić.

Morawiec dodał:

— W Polsce to nie uchodzi. Pewnośmy też nie święci, ale choć wstyd mamy.

— Et! dajcie tam temu pokój—przerwał Suski.— Sas tu inny obyczaj zaprowadzi... Pan jest gładki i grzeczny, gdy chce,—ale też gdy się rozsierdzi—mówią, że jak dziki zwierz straszny.

Słuchaliśmy, sądząc, że z nas szydzi i bajki plecie,— ale później się okazało, że nie kłamał.

— I z tego pochwalić go potrzeba—mówił dalej— że do kielicha chwat, a pije, jak piasek... U nas, gdzie też za kołnierz nie wylewają, wątpię, żeby go kto przepił. Pije puharami ogromnemi, a potem gotów na Bucefała siąść i w pole gnać, a gdy konia chce osadzić, to go tylko nogami ściśnie. Strzela kulą w lot jaskółki...

— Czy nie będzie tego za wiele?—spytałem, śmiejąc się.—Rycerz więc jest i pewnie w wojnach bywał, a w nich się już odznaczył.

— Na męstwie mu pono nie zbędzie — rzekł Suski,— ale żeby hetmaniąc wielkie szczęście miał, o tem nie słyszałem. Widzicie, że kłamać nie chcę... Z Turkami mu się pono nie wiodło... Co prawda, to prawda. Sasi tłumaczą go, że jenerał jakiś rakuski przez zazdrość go zdradzał, ja przy tem nie byłem i nie wiem o niczem.

— No—przerwał Szaniawski—chwała Bogu, żeś do naganienia coś znalazł, bom sądził, że z nas drwisz, takim go czyniąc. Trudno powiedzieć, czy on do nas, a my do niego przypadniemy... Jakim my się z nim językiem rozmawiać będziemy—to też ciekawa. O Contim powszechnie głoszą, że rycerz jest dzielny.

Suski ręką o stół uderzył.

— Co tu już o Contim mówić, kiedy, czy zechcecie, czy nie, Sasa będziecie mieli. Nie weźmiecie go po dobrej woli, narzucą go wam... Osiem tysięcy doskonałego żołnierza stoi, słyszę, w pogotowiu na granicy... Byle Sasa dziesięciu Przebędowskiego przyjaciół okrzyknęło, wejdą natychmiast Sasi, a mamy w kieszeni biskupa takiego, co nam Te Deum zaśpiewa. Nim się Conti dowie, że go wybrano, nim namyśli, nim wybierze, nim wujaszek pienię-

dzy da, nim okręty się ściągną, Sas będzie gospodarzył— i Francuzi przyjdą po harapie.

— Biskup—przerwałem—żaden się przecie nie waży ogłaszać, kiedy prymas jest, i zdrów a na nikogo nie zdał funkcyi. Za to zaś ręczyć można, iż Radziejowski Sasa nie będzie proklamował, tylko Jakóba, albo Contiego.

— A ja wam ręczę, że się znajdzie biskup, co go zastąpi—rzekł Suski.—Praktykowana to rzecz, czy nie, spraktykuje się teraz. Czyż nie widzicie, że rzeczy są ukartowane tak, iż wam go narzucą, a nie macie Zamoyskiego, coby tego Maksymiliana wziął pod Byczyną, bo Jabłonowski przy jego boku stanie. Będziemy mieli u Ojca św. tę zasługę, że od Turków nasz Sobieski Europę salwował, a z luterstwa August Saksonię obmyje... dwie dobre kreski! Rakuski dom go też poprze, bo go w Wiedniu na rękach noszą.

— Więcej, niż szwagra Jakóba?—zapytałem.

— Co cesarzowi po takim szwagrze—wtrącił Suski,— który kosztować go może, a nic nie przyniesie. Ojcowie Jezuici też coś znaczą, a oni tego kandydata prowadzą i protegują. Zatem niema nam co się darmo zżymać i rzucać, a warcholić, pójdziemy, gdzie nam wskażą, niema rady.

Wszystkim się nam smutno zrobiło, nie żebyśmy tak po Jakóbie płakali, ale ten siłacz, z pozwoleniem moczymorda, rozpustnik sławny, o którym sobie rozpowiadano takie rzeczy, jakich by się nawiększym hultajom sromać należało—na nasz tron zdał się nam wcale niepożądanym.

Nie kryliśmy się z tem, że nam ów do smaku nie przypadał,—Suski stronę jego trzymał, dowodząc, że gdy Sasi się z nami połączą, łatwo Kamieniec i inne awulsa odzyskamy, wojsko porządne wystawim, i przyjdziemy do ładu i do siły.

— A przytem i to nie do pogardzenia—dodał,—że się Rzeczpospolita wesoło zabawiać będzie, bo August jedyny jest do urządzania festynów maszkar, balów, widowisk teatralnych, myśliwca nad niego niema lepszego i z oszczepem na zwierza, idzie jak na igraszkę.

Jak nam potem począł pleść znowu o sztabach że-

łaznych, które Sas, jak wstążki zwijał, o wychylanych puharach, które w ręku dusił, o szaleństwach bezwstydnych z kobietami, o nadzwyczajnej dworu wspaniałości,—o turniejach, festynach, zamiast gustu nam dodać do niego, do reszty go zmierził. Gdzież było porównać tego jakiegoś sztukmistrza i kuglarza do naszego Jana, idącego w imię Boże, pod chorągwią Chrystusową, z modlitwą na ustach,— z jedną tą myślą, aby chłopkowi było lżej, żeby się sprawiedliwość działa wszystkim,—żeby prawo Boże panowało na ziemi!

Drwęski, który pobożnym był, rzekł na zakończenie:

— Bóg go chyba za grzechy zsyła na ostatnią zgubę naszą, bo takiego pana widzieć na tronie, to znak srogiego gniewu Pańskiego. Co zostało starej cnoty, przepadnie i pójdziemy w niewolę obcą, jak Skarga i Jan Kazimierz przepowiedzieli... *Fiat voluntas tua.*

Nazajutrz jechaliśmy na wolę z innymi, patrząc, co się tam dziać będzie, ale ani ja, ani Szaniawski, ani Drwęski nie głosowaliśmy za nikim. Za Augustem nie chcieliśmy, grzechem się nam zdało; za Contim głos-by nasz przepadł, za Jakóbem już nikt prawie się nie odzywał. Świadkami byliśmy, gdy się elekcya na dwoje rozdarła...

Z głosów wnosząc, widocznem było, że Conti miał znaczną większość za sobą, ale Augustowi wrzask ogromny czynili — wołali, hukali, straszyli i koniec końcem jedni i drudzy pośpieszyli odśpiewać Te Deum.

W niepewności i zawieszeniu wszystko potem pozostało, ale jedna rzecz jawną była, iż po Janie żaden z jego synów korony nie odziedziczy. Królowa i Jakób pieniędzy wysypali dosyć na przepadłe imię, Polignac wydał do ostatniego grosza, bo jeszcze na Woli głosy kupowano.

Statyści po Warszawie zaczęli głosić:

— Teraz, kto pierwszy do młyna zajedzie, ten będzie mełł.

Lecz łatwo było przewidzieć, nie będąc prorokiem, że Sas, stojący już w pogotowiu na granicy, uprzedzi Francuza, który przez morze tylko mógł się dostać do Polski, a wojska z sobą wiele przyprowadzić nie sposób mu było, ani go tu tak na poczekaniu ściągnąć.

Po elekcyi poszedłem rankiem do ks. biskupa kijowskiego, który zawsze bywał łaskaw na mnie, dowiadując się, co o tym ewenemencie przyjaciele Sobieskich myśleli.

Znalazłem go wielce przygnębionym i smutnym.

— Rzecz ci to jeszcze nie rozstrzygnięta—odezwał się na moje pytanie.—Mamy nadzieję, choć słabą, że Conti się utrzyma, a ten Herkules Saski, którym nas straszą, ustąpić będzie musiał. Elekcya to osobliwa, bo nietylko większości nie miał, ale zaledwie go część jakaś wywoływała. Radziejowski prymas znać go nie chce, znaczniejsza część panów senatorów z nami trzyma, szlachty też dosyć rakuskiego protegowanego nie życzy.

Jeżeli Conti prędko przybędzie, a król francuski, jak się spodziewać należy, wyposaży go dobrze, poprze silnie, może się jeszcze wszystko zmienić na lepsze, choćby Sasa i ogłoszono, a bodaj ukoronowano. Elekcya w najmniejszej rzeczy ważną nie jest — wedle prawa wcale na nic się nie zdała. My będziemy na Contiego czekali, wyglądając go kędyś z Gdańska!

Taką nadzieją byli w początkach ożywieni prymas, biskup kijowski, wojewoda Kątski, wszyscy przyjaciele Sobieskiego, dobrze Rzeczypospolitej życzący, ale wszystko to się wniwecz obróciło.

Elekcya Sasa, okrzyknięcie, koronacya szparka, objęcie rządów, wszystko było jakimś kuglarskim sposobem obmyślane,—wykradzione, narzucone. W co się tu wolne głosy narodu obróciły!... Nie było prawdy za grosz w niczem—udanie, kłamstwo, zahukanie... Czego to się można było spodziewać po panowaniu, które się od tego poczynało, że król dla korony wypierał się swojej wiary, jakąby ona tam była—a drudzy powiadali—wiary nie zmienił, bo zmienić można tylko, co się ma, a on żadnej nie miał nigdy!

Jezuitom w oczy rzucano—apostata jest i bezbożnik! Odpowiadali—mniejsza o to, syna jego wychowamy tak, że bez nas nie stąpi, żonę mu damy pobożną i w rodzinie wiarę ugruntujemy.

Gdy August przybiegł, na wszystko się godząc, byle

tylko koronę pochwycić, ktoś jego wybór i wstąpienie na tron w paskwiluszu nazwał komedyą w pięciu aktach.

Akt pierwszy. Król bez dyplomu elekcyjnego.

Akt drugi. Pogrzeb bez zwłok i trumny. (Sobiescy bowiem ciała króla nie dali).

Akt trzeci. Sejm bez posłów.

Akt czwarty. Koronacya bez prymasa.

Akt piąty. Protestacye bez skutku.

Po elekcyi anim miał po co, ani chciałem dłużej w Warszawie siedzieć i patrzeć na smutne te dzieje.

Postanowiłem wracać do domu. Poszliśmy z Szaniawskim pieszo odprawić ostatnią żałobną pielgrzymkę do Wilanowa.

Oba zahartowani, starzy, do łez nie skłonni, chodziliśmy po tym opustoszałym pałacu i ogrodzie, oczy ocierając. Stał przed niemi ten pan nasz uśmiechnięty, choć umęczony, z piłką i nożykiem w ręku, lubujący się drzewkom swoim. Słyszałem to nieraz z ust jego—toć jedna istota jest, co wdzięczną być umie, da mi kwiatek i owoc za moje staranie...

Wszędzie tu po nim pozostały ślady albo ręki, albo myśli jego, ale z nim kończyło się wszystko. Żadne z dzieci jego ducha, serca, rozumu, charakteru nie przejęło. Gdziekolwiek ta kobieta dotknęła czego, splugawiła i zniszczyła.

Patrzyliśmy z boleścią na sadzone przez niego drzewka, o które teraz nikt nie dbał. Ogrodnicy szukali służby i rozłazili się. Pałac stał pustkami; książki, które on tak lubił, a miał ich tyle,—na kupę pozrzucano—nikt teraz ich nie tknął. Gdzie komu z nich książka była w głowie?

Ruina blizka patrzała zewsząd.

Zwłoki jeszcze niepochowane stały, a po nim już tylko u ludzi wspomnienie zostało i baśnie, jakby go od stu lat pogrzebiono. Córka za niemieckim księciem, syn z Niemką ożeniony, wdowa ni Polka ni Francuzka, do żadnego się narodu nie przyznająca... Młodsi synowie w perukach.

Gdzież tu było szukać potomstwa po Sobieskim, który do ostatniej godziny Polakiem był, polskim szlachcicem do szpiku kości!—A wszystko to przez jedną kobietę, jed-

no nieszczęśliwe ożenienie! Jego ona przerobić nie potrafiła, ale dzieła i myśl bohatera zniszczyła.

Już przed zgonem, gdy z Załuskim o blizkiej swej mówił śmierci, widać było, iż zrezygnowany na to patrzył, że po sobie nic trwałego nie pozostawi, krom chorągwi Mahometa w Rzymie i imienia obrońcy chrześcijaństwa.

O nic się też dla siebie nie dopominał, a mówiąc o wyprawie wiedeńskiej, gdy ową straszną chwilę pod Parkanami przypominał, w której cudem z życiem uszedł, dodawał:

— To mi zapłaciło za wszystko, żem sześć meczetów tureckich na kościoły obrócił.

Czasu tego pochodu pod Wiedeń, dokąd się czuł głosem Bożym powołany,—jeszcze na Jakóbie pokładał nadzieje, jeszcze się nim cieszył, jak spadkobiercą, ale myśmy widzieli, mówić nie śmiejąc, że młodego pana nic polskiego, nic naszego nie pociągało ku sobie. Oddawał, co miał najlepszego księciu bawarskiemu, Waldekowi, innym, z nimi rad przestawał, nadewszystko się pragnąc cudzoziemcom przypodobać,—z Polakami ani się przyjaźnił, ani przestawał... gminem mu się wydawali.

W królu był szlachcic jeszcze, w nim z Francuzki narodzony królewicz—zamiłowanie to w obczyźnie z matki wziął, która, Polką się być oświadczając, nic nigdy w sobie polskiego nie miała.

Pożegnawszy Wilanów, tak jakbym się z całą młodością moją pożegnał—wybrałem się precz z Warszawy, z tem stałem postanowieniem, aby na wsi zamieszkać i Pana Boga chwalić, na świat się więcej nie wydobywając.

O dalszem też życiu mojem mało co mam do zapisania—było to powszednie nasze życie szlacheckie wedle prastarej modły, bo się po wsiach mało co od wieków zmieniło. Powróciłem spodziewany i oczekiwany do Połonki, dając szwagrowi dotrzymywać dzierżawę jej, a sam sobie tymczasem dwór po myśli urządzając tak, aby i mnie był miy i rodzicielskich pamiątek nie pozbył.

W ciągu tych lat włóczęgi mimowoli, nieznacznie, uzbierało się rupieci różnych bardzo wiele. Patrząc na to, jak drudzy kosztowny oręż, osobliwe uzbrojenia, sprzęt

różny nabywali, a kochając się w tem, choć pieniędzy wiele nie miałem do tracenia, bo się i przyjaciołom wygadzało i sobie nie było potrzeby żałować—tak, żem tu i owdzie coś stręczącego się tanio nabył.

A że służba trwała dość długo, naściągało się tego sporo tak, że gdym w ostatku, dwór porzuciwszy, wszystkie moje skrzynie, kufry, sepety i węzełki pościągał z Jaworowa, z Żółkwi, ze Lwowa, zdziwiłem się sam, jaka to moc tego się znalazła. Niektórych skrzyń tak się zapomniało, żem sam potem nie wiedział, co w nich znajdę.

Prawda, że od wiedeńskiej potrzeby poczynając, na Węgrzech, potem w Mołdawii, po miastach i obozach ciągle się narzucały różne osobliwości. Z naszych żołnierzy, co który miał, to potrzebą przyciśnięty, za lada grosz oddawał. Więc ratując, trzeba było brać niepotrzebne rzeczy.

Gdy się raz ludzie dowiedzieli, że ja to kupuję, co się nikomu na nic nie zdało — nasyłali na mnie z lada łomem. Każdy szedł, jak w dym, aż się czasem śmiać chciało. Ano między temi łupami były i piękne, takie, których mi potem możniejsi ludzie zazdrościli.

W Warszawie u Żyda kupiłem szpalery stare tkane, flamskiej roboty z historyą Dawidową, które gdym potem, oczyściwszy je, na ścianach u siebie rozwiesił, wydziwić się im nie mogli. Te później do kościoła ofiarowałem. Tureckich namiotów, cale ochędożnych miałem kilka, broni też, buńczuków i zbroi zebrało się dosyć. Szyszak jeden srebrny trybowany, złocony, com go w Mołdawii za małe pieniądze kupił, drogo mi płacić chciano, ale frymarczyć nie lubiłem i pozostał u mnie. Złotnicy go na kilkaset złotych cenili. Srebro pono niewielkiej było próby, ale robota wyśmienita.

Samych kobierców ważnych perskich i tureckich niemal cały wóz nabity przyciągnąłem z sobą do Połonki.

Sam jeden nie mając w początku co robić, bo szwagier się sam około roli porał, wziąłem się do porządkowania mojej rezydencyi, wedle fantazyi, a na wzór tego, co się

po świecie widywało. Ludzie mi to potem za złe poczytywali, sądząc, że im tem imponować chciałem, alem się po prostu durzył tem i nic więcej.

Siostra mnie zaraz też żenić chciałaby była, choć szpakowaciałem, i byłaby mi panien urodziwych dosyć napytała, alem żadnej nieszczęśliwą czynić nie chciał, serca do żadnej nie mając. Kobiety mi też przez królowę i jej fraucymer obmierzły, bom się takich napatrzył, że wstręt do całego rodzaju niewieściego powziąć od nich było można. Samo wspomnienie Boncourowej starczyło.

Ta wielką miała ochotę zrazu pomścić się na mnie, próbowała mi na różne sposoby szkodzić, lecz się jej nie powiodło. Podupadła potem wielce i była jednego razu w takiej potrzebie, że się do mnie uciekła o ratunek. Przebaczywszy jej, pomogłem w istocie. Wydała się naostatek za starego Francuza kuchmistrza królowej, bardzo już na małem przestając, gdy wprzódy wysoko patrzyła... Zwał się Petit, tłusty, łysy, brzydki, ale bystry człek, — grosza sporo sobie, tłustości szumując, przyzbierał. Podobał sobie ją, choć wiedział kogo bierze, i do ołtarza idąc, oświadczył, że brykać nie dopuści, a twarde mięso zwykł bijać, dopóki nie zmięknie.

Żyli potem z sobą podobno w zgodzie i dostatkach, choć drudzy twierdzili, że się jej po bokach dostawało i bywało różnie. Bóg tam z niemi.

Byłem już na wsi, gdy wieść doszła i do nas, że Conti z Francuzami na okrętach wojennych przybył do Gdańska. Mówiono o wielu tysiącach rycerstwa...

Wszystko u nas zakipiało po staremu przeciwko rakuskiemu elektowi i Niemcom,—ruszali się panowie niektórzy, niepokoiła szlachta, ale nie było jej komu prowadzić. Dowiedziałem się, że wojewoda kijowski pobiegł do Gdańska. Rozesłał ktoś okólnik, aby kto żyw lub *poena Perduelionis* przy Contim stawał, a tuż drugie, *idem*, aby się nikt ruszyć nie ważył.

Przyleciał do mnie Morawiec we trzy konie, namawiając z sobą.

— Jedźmy!

Ochoty nie miałem najmniejszej, ani ufności, aby co z tego dobrego wyrosnąć mogło, ale jak mnie zaczął moestować, namawiać, prosić, wkońcu podedrwiwać, żem ja już do niczego zaszkapiał, kazałem ludziom i koniom do podróży się sposobić; kupić nie kupić, potargować można.

Powiedziałem Morawcowi z góry:

— Do niczego ręki nie przyłożę, póki się nie przekonam, że tam siła jest i ład, bo darmo w kraju niepokój szczepić, grzeszna sprawa. Pojedziemy się rozpatrzeć, z czem ten Conti przybywa i kto z nim idzie.

Morawiec na upartego mi dowodził,—z tego, co słyszał, że senatorowie zewsząd z wojskami nadwornemi i nowemi zaciągami pod Gdańsk pośpieszali.

Szwagier i siostra na żaden sposób puszczać mnie nie chcieli, ałem ich uspokoiwszy, wyruszył z Morawcem.

Z kopyta poszło zrazu bardzo ostro a śpiesznie po drodze języka dostając,—który tak sprzeczny był, że się z niego nic nauczyć nie mogliśmy. Co godzina to nowina. Jedni twierdzili, z imprezy tej nie będzie nic—Sasi do kraju weszli, król ukoronowany, panowie akcessa robią ciągle, łączą się z wybranym, prymas nawet zmiękł. Drudzy mówili:

— Sasa z ramienia rakuskiego nikt nie chce znać, do Contiego i Francuzów garnie się wszystko. Conti hetman wielki—godzien być Sobieskiego następcą.

Słyszeliśmy że już przy nim byli Załuski, Kątski, Leszczyńscy, Potoccy i innych wielu. Przepowiadano, że byle się Conti ruszył z pod Gdańska—wymiecie Sasów i śladu po nich nie zostanie. Przypominano Maksymiliana i t. p.

Wszystko to tak różnie brzmiało, — żeśmy musieli dotrzeć aż do miejsca dla sprawdzenia. Mnie też i tego miasta, któregom nie znał, a wiele o nim słyszałem, ciekawość brała.

Jechaliśmy, śpiesząc, co koni stało. Dziwiło nas tylko,

iż owych wojsk, o których rozpowiadano—że zewsząd ściągały, nigdzieśmy po drogach nie spotkali. Szlachty też, ochotnika bardzo mało.

Dociągnęliśmy też naostatek do miasta, jak dziś pamiętam, rankiem pogodnym. Wrota murowane, jak do twierdzy—straż przy nich miejska całe porządnie uzbrojona. Tuśmy wszakże musieli przystanąć, bo właśnie oddział dragonów odchodził precz.

Patrzę, przyglądając się im, i poznaję Żerebskiego, starego namiestnika, któregom znał z wojen za króla Jana.

— Czołem panu namiestnikowi!—zawołałem.

Zdziwiony stary stanął, wąsa podkręcając.

— A wy tu co robicie?—zapytał.

— Przybywam gdzie i drudzy — rzekłem—nowemu królowi służyć. Pewnie Conti w pole wyciąga?

Żerebski się przeżegnał, oglądając.

— A no, wczaseście się wybrali—odparł,—Francuz nam komplementów naprawił siła, ale go już niema. Zawinął się, siadł na okręt, na którym przybył, i żegluje już z powrotem, nas w saku pozostawiwszy!

Aż po mnie ciarki poszły. Wtem stary namiestnik pokłonił mi się i dalej ruszył.

— Jedźcie do miasta, dowiecie się reszty.

W mieście zastaliśmy rumor wielki, poruszenie, bieganinę. Zaraz w pierwszym rynku natknąłem się na dworzanina biskupa Załuskiego.

— Jesteście tu?—przywitałem go z radością.

— Jesteśmy, to jest, byliśmy—odparł zagadnięty,—dziś lub jutro napowrót do Warszawy się wybieramy; niema tu już co robić, Francuz na okręt wsiadł i uszedł.

— Spojrzałem na Morawca—a co?...

Jechaliśmy do gospody. Pełne były niemal wszystkie przybyłych na powitanie nowego króla, który, gdy się rozpatrzył, że gotowej armii na rozkazy niema, a rozsłuchał o Sasach i o akcesach, wojować mu się odechciało i przeprosiwszy adherentów swych, nazad do Francyi nawrócił.

Cóż tu było robić?...

Pieprzu i korzennych przypraw kupiwszy, do domu po pięknem mieście i kościołach, na zbory poprzerabianych, rozglądnąwszy się, koniom dawszy wypocząć, z drugimi wraz przy czarnem piwie gdańskiem na dolę naszą nabiedowawszy dosyć—musieliśmy do domów nawracać.

Ostatnia to była znaczniejsza podróż moja i pokuszenie się. Siadłem potem w Połonce rozpamiętywać *praeterita.*

KONIEC.